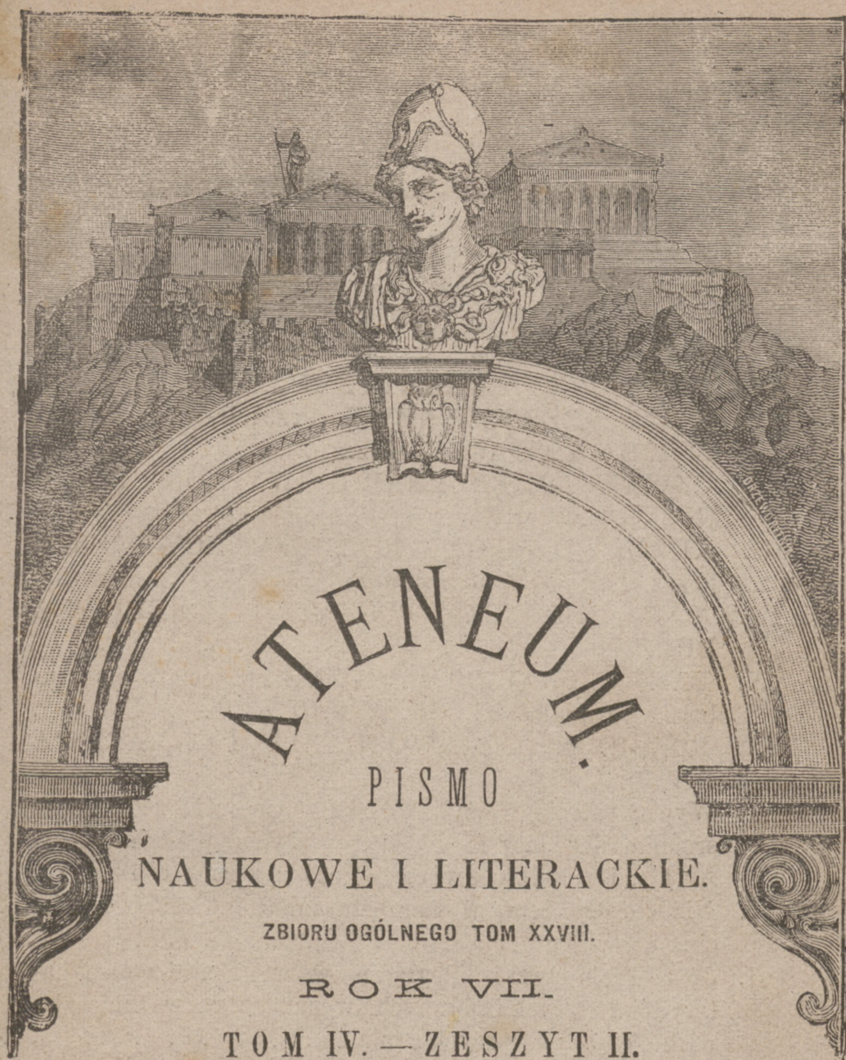


ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXVIII.

ROK VII.

TOM IV. — ZESZYT II.

Listopad.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

—

1882.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Listopada 1882 r.

Z pamiętników Leona Dembowskiego.

XIII.

Na sam początek 1807 roku, bo na 1 stycznia powrócił Napoleon do Warszawy i zabawił tu teraz stale blisko przez cztery tygodnie. Urządzono mu wówczas coś w rodzaju dworu, a książę Aleksander Sapieha, ten sam który późniéj podróżował po Bośnii i Albanii i podróż swoję drukiem ogłosił, został naczelnym szambelanem. Darowano mu dobra Preny i jedyna to dotacya z liczby tych, które nadane przez Napoleona, odebrane następnie nie zostały.

Jeszcze kiedy Napoleon w Poznaniu bawił, brat jego, książę Hieronim, na czele kontyngensów związku reńskiego, z których utworzono 9 korpus, rozpoczął zdobywanie twierdz szląskich. Te choć dość liczne posiadały garnizony, brakło w nich wszakże żołnierza starszego, a szczególniéj kanonierów. Amunicyi téż niewielkie były zapasy, nie spodziewano się bowiem w Prusiech, aby teatr wojny tak prędko mógł się przenieść nad Odrę. Jeszcze więc 2 grudnia roku poprzedniego poddała się Głogowa, a Wrocławia w styczniu także dobyto, choć ks. Anhalt Plees, zebrawszy masy chłopstwa, usiłował mu przyjść na pomoc. Równie w styczniu Brzeg otworzył swe bramy, a w ciągu dalszych miesięcy poddały się Koźle, Świdnica, Nissa i Kladzko (Glatz). W lutym Bawarczyków, jako już do działania tutaj zbytecznych, odesłano do Warszawy. Mortier tymczasem oblegał Stralsund i zajmował Berlin. W styczniu utworzono nowy 10-ty korpus marszałka Lefebvre. Oprócz kilku pułków francuzkich z kraju przybyłych, złożyli go Badeńczycy i dwie polskie legie, to jest ośm batalionów Dąbrowskiego, sformowanych w Poznaniu i tyleż Zajączka, wystawionych w Kaliszu. Siły te skierowano ku ujściu Wisły, w Gdańsku bowiem generał pruski Kalkreuth stał z dosyć znacznem wojskiem.

Generała tego pamiętam dobrze, nabył on bowiem dobra w Lubelskiém—Łęcznę i ile razy ją odwiedzał, zawsze do Puław na kilka dni wstępował. Urodzony 1737 r., należał on do szkoły Fryderyka II-go i w czasie wojny siedmioletniéj pierwszą swą praktykę wojskową odbywał. Późniéj pełnił obowiązki adjutanta przy bracie królewskim, ks. Henryku i posuwając się po stopniach, został generałem i grafem. Głównie zasłynął w kampanii francuskiéj — zdobył Moguncyą i pod Kaiserslautern odparł Francuzów. Po pokoju Bazylejskim wojskami w Pomeranii dowodził.

Wysokiego wzrostu, chudy, kościsty, z żoną bardzo do siebie podobną, tworzył on wraz z nią prawdziwą parę koczkodanów. Generał kawaleryi Kalkreuth nie stosował się do przyjętego w armii munduru, ale *antiquo more* nosił krój sukien z czasów Fryderyka II. Frak tedy błękitny z szerokiemi połami, do surduta się zbliżający, niziutki przy nim czerwony kołnierz i takież wązkie rabaty, sięgające do bioder. Guzy przy fraku olbrzymie, kamizelka kanarkowa niepospolitéj długości, spodnie łosiowe i buty palone z ogromnemi ostrogami. U boku szabla prosta na pasie rzemiennym czarnym, który spięty klamrą szmelcowaną, kamizelkę przecinał. Łysy zupełnie, z bocznych włosów splatał cieniutki harcap, który mu się aż do pasa zwieszał. Pani generałowa w kornetach łokciowych i w sukniach krojem z pierwszych lat panowania Ludwika XVI, ani na krok nie opuszczała staruszka i zawsze przy jego boku dreptała. Syn ich—poeta niemiecki.

Warszawa tymczasem wskutek pobytu tutaj Napoleona ożywiła się znacznie. Przybywały do niéj rozmaite znakomitości: książę Talleyrand ze swém biurem, ks. Bassano i z nim cały sekretaryat stanu, główna intendentura armii, sztaby i liczny garnizon. Ciągłe bale i wieczory nie ustawały prawie, a i Napoleon także w Zamku przyjmował. W tym to czasie zapoznał się on i zaprzyjaźnił z panią Walewską, z domu Łączyńską, świeżą i piękną blondynką. Znajomość ta jednak w téj epoce nie przekraczała po za granice towarzyskiéj zalotności.

Współcześnie pomyślano oześrodkowaniu i uporządkowaniu władzy, pięć bowiem miejscowości: Poznań, Bydgoszcz, Kalisz, Warszawa i Płock, gdzie potworzono izby administracyjne, żadnéj w postępowaniu nie zachowywały łączności i rządziły się dotychczas podług własnéj chęci. Ustanowiony więc został główny zarząd na zasadzie instrukcyi, dnia 26 stycznia 1807 r. przez Napoleona podpisanéj. Był to rodzaj dosyć ciekawéj kolegialnéj dyktatury. Wszystkie postanowienia wydawano w imieniu Napoleona Wielkiego, cesarza i króla a władza téj magistratury była zarazem i prawodawcza

i wykonawcza, z tą różnicą, że prawa według paragrafu 8 nazywano *wyrokami*, a przepisy wykonawcze *uchwałami*.

Komisya ta rządząca składała się z siedmiu osób. Prezesem mianowany został były marszałek Stanisław Małachowski, a członkami: Ludwik Gutakowski prezes warszawskiéj izby administracyjnéj, Stanisław Potocki, Wybicki emigrant, Piotr Bieliński, Działyński— prezesi izb kaliskiéj i poznańskiéj i Walenty Sobolewski były starosta warszawski. Sekretarzem naznaczono Jana Łuszczewskiego, a za herb i pieczęć przyjęto Orła białego, nadając takież same znaki i innym dykasteryom.

Ministeryów ustanowiono pięć i na naczelników ich, zwanych dyrektorami, zamianowano: Feliksa Łubieńskiego dyrektorem sprawiedliwości, ks. Józefa Poniatowskiego dyrektorem wojny, Tadeusza Dembowskiego dyrektorem skarbu, Brezę — spraw wewnętrznych i Aleksandra Potockiego z Koniecpola — policyi. Wszyscy oni razem w pięciu składali gabinet *direktorium* zwany.

Izby administracyjne zatrzymano i nadal, za warunek tylko położono, żeby działały kolegialnie w komplecie dwunastu członków. Prowincye, któremi Izby te zarządzały, nazwano departamentami. Landratów skasowano, a na ich miejsce ustanowiono Izby powiatowe, z czterech członków złożone i także kolegialnie działające. Miastom przywileje ich zatwierdzono i zachowano prawo mianowania prezydentów i magistratów. W miastach prywatnych nominanacyą burmistrzów w ręce właścicieli oddano.

Zaprowadzono sądy pokoju patrymonialne do sądzenia spraw włościan z dziedzicami, miejskie, graniczne, ziemiańskie, sąd apelacyjny i trybunał najwyższy. Oddzielnych sądów kryminalnych nie ustanawiano.

Wychowanie powierzono Izbie edukacyjnéj. Co do duchowieństwa, zwierzchność nad nim oddano Dyrekcyi spraw wewnętrznych i nakazano modlić się za Napoleona. Bulle papiezkie bez pozwolenia rządu ogłaszane być nie mogly, a nominacya biskupów i kanoników także od rządu zawisły.

Chociaż Warszawa balami i zabawami świetniała, obraz tego, co się działo w kraju, rozdzierał serce każdego. Napoleon uwalniając prowincye polskie od kontrybucyi, jakie z Prus ściągano, w zamian bezpłatne żywienie swojéj armii zastrzegł. System rekwizycyjny zastosowano w całéj rozciągłości, a armia cała, za wyjątkiem 8, 9 i 10 korpusów, tudzież Bernadotta, skoncentrowana na Kujawach i w Płockiém, wymagała nietylko nadzwyczajnych ilości furażu, ale jeszcze rzeczy zagranicznych takich, jak: ryż, wino i t. p. Nadto niezliczona ilość podwód, do ciągłych transportów konieczna,

niszczyła i zabijała sprzężaj. Tworzenie siły zbrojnéj miejscowéj całą gotowiznę pochłonęło, wojska i system kontynentalny handel przyprawiły o ruinę, a ponieważ za produkta nie płacono gotówką, tylko do późniejszéj koekwacyi bony dawano, pieniądz więc stał się prawdziwą rzadkością. Tam gdzie wojsko przechodziło, bez litości zabierano wszystko, szukano nawet po lasach zakopanego zboża, administryacya zaś ze swéj strony nakładała coraz nowe podatki i rekwizycye. Komisarze mianowani wypłat pilnowali, a podług rozkazu z 5 marca 1807 r. polecono: „Cokolwiek wykaże się po folwarkach i chałupach wiejskich zbywającego od istotnych potrzeb gospodarskich, ma być zajęte na rzecz publiczną.“

Pospolite ruszenie, nakazane przez wojewodę Radzimińskiego na 1 stycznia 1807 roku, dla którego punkt zborny pod Łowiczem wyznaczono, następnie zmienione trochę zostało. Z masy, którą zbierać mieli ustanowieni generałowie wojewódzcy, zaczęto formować regularne pułki jazdy, dodając je do piechoty, która umundurowana, w ewolucyach wojskowych trochę wyćwiczona i karabinami z Berlina uzbrojona, składała się z 12 pułków, wstępujących na linię bojową. Z pospolitego ruszenia dodano do niéj trzy pułki ułanów, broni we francuskiem wojsku nieznanéj i trzy pułki strzelców konnych.

Uregulowanie powinności dostawy ludzi oznaczyła Komisya Rządząca postanowieniami swojemi z dnia 20 stycznia, 12 i 24 lutego 1807 r. i na mocy ich siły te oddano pod rozporządzenie dyrektora wojny. Jeszcze zaś w miesiącu poprzednim zaczęto za zezwoleniem Napoleona formować pułk ułanów. Ten wzięto odrazu na żołd francuzki i później do gwardyi cesarskiéj wcielono. Dowódcą jego naznaczono Wincentego Krasińskiego; o pomieszczenie tutaj najpierwsza młodzież polska się ubiegała.

Te wszystkie wysilenia kraj zubożyły okropnie i szczególniéj po wsiach nastąpiła tak straszna nędza, że wyobrażenia o niéj nawet zrobić sobie trudno.

Przy Komisyi Rządzącéj komisarzem czyli rezydentem francuskim zamianowany został p. Vincent, a szczególnym zbiegiem okoliczności tak samo się nazywał austryacki rezydent do Warszawy przysłany. Austrya nadto oprócz swojego p. Vincent poleciła hr. Neupergowi, dowódcy tak zwanych *Kaiser-Husaren*, w Okuniewie konsystujących, stale w Warszawie przemieszkiwać.

Po bitwach Pułtuskiéj i Gołymińskiéj dowództwo nad wojskami rosyjskiemi Kameńskiemu odjęto i naczelnym wodzem zamianowany został Beningsen. Ten ściągnął do siebie dwie dywizye, które bezczynnie nad Bugiem w Popowie stały i idąc ku Tykocinowi, w koń-

cu stycznia wkroczył w głąb Prus Wschodnich. Nad rzeką Omulewem zostawił dwie dywizye świeżo z Litwy przybyłe pod Essenem, a Francuzi, których czaty koło Ostrołęki były wyciągnięte ani przypuszczali, widząc kręcących się kozaków, że strony te przez główne siły rosyjskie są już opuszczone. Marszałek Ney, który za furażowaniem głęboko do Warmii się zapuszczał, pierwszy dowiedział się o tych ruchach i o wielkiéj sile Rosyan 26 stycznia do Warszawy doniósł. Cesarz przypuszczając, że nowe walki bliskie, 30 stolicę opuścił i wszystkie korpusy z zimowych leż poruszył. Warszawę zajęli Bawarowie, komendantem zamianowany został adjutant cesarski Lemazois, a Pragę obsadzono polskimi zaciągami.

5 korpus marszałka Lannes, który chorobą złożony od miesiąca w Warszawie przebywał, oddano generałowi Savary, późniejszemu księciu Rovigo i nad Omulewem go zostawiono, inne ku Allensteinowi w Warmii zbierać się miały, Bernadotte zaś nad dolną Wisłą obozujący, miał się cofać aż ku Toruniowi. Tak w dniach kilku front wojska całkiem zmieniono i z kierunku wschodniego zwrócono ku północy, wkraczając w kraj żyzny, w miasta obfity i klęskami wojny dotąd nie wyczerpany. Zima ustaliła się także, lekki śnieżek utarty zrobił drogi wyborne i dawnych błot ani śladu nie było.

Napoleon 30-go nocował w Przasnyszu, a 31 z Wielbarka wysłał rozkaz do Bernadotta, zalecając mu ruch już wspomniany. Nieszczęściem, oficera, wiozącego depeszę, kozacy ujęli i Beningsen dowiedział się nietylko o przeznaczeniu Bernadotta, ale i o położeniu innych korpusów i całym planie Napoleona. Przypuszczać by było słusznie, że po wypadkowém odkryciu zamiarów rzuci się naprzód na Bernadotta i korpus jego rozbije. Beningsen jednak postanowił zatrzymać się na miejscu, aby pojedyncze nadchodzące korpusy chwytać. Tymczasem wojska francuskie 2 i 3 lutego w Allensteinie spoczywały, a wieczorem tegoż dnia Soult most pod Bergfried zdobył. 4-go zajęto Gutstadt, 5-go Ney, przerzuciwszy się pod Deppen przez Pasargę, spotkał się z generałem Lestok, ten jednak bitwy nie przyjął, ale uratował się, dając na zniszczenie cały oddział do zasłaniania jego przeznaczony. 6-go Rosyanie opuściwszy Heilsberg, stanęli w Landsberg i zajęli Hoff z mocnym zamiarem nie oddania téj pozycyi. Spędzeni ztąd atoli cofnęli się do Preussich-Eylau. Beningsen tu stanął 7-go, przednie czaty zostawiwszy w Ziegelhoff pod wodzą Bagowuta i Barclaya de Tolly. Wieczorem kawalerya Murata i korpus Soulta zaatakowały tę wioskę, a spędziwszy awangardę, zajęły miasto Eylau. Rosyanie uporczywie go bronili, tak, że prawie każdy dom i ulicę zdobywać było trzeba, a nie mogąc gwałtownemu atakowi Francuzów się oprzéć, ustąpili za miasto i zaraz

za nim obóz rozłożyli. Widząc to, Napoleon wysłał do marszałków Neya i Davousta rozkazy, ażeby co prędzéj tu dążyli. Davoust znajdował się o mil trzy pod Bartensteinem i odpowiedział, że z pewnością zrana się stawi, co do Neya, ten stoczywszy bitwę z Lestokiem, był w owéj chwili pod Kreuzburgiem i nie mógł wcześniéj jak na wieczór przybyć. Tym sposobem Napoleon rozporządzał swemi gwardyami, kawaleryą Murata, korpusami Soulta i Augereau. Wszystko to razem stanowiło jedynie 54, a z Neyem 68 tysięcy wojska, które zmniejszoném zostało znacznie, gdyż z powodu forsownych marszów wiele zostało maruderów. Rosyanie z Prusakami liczyć się mogli razem na 85,000, ale po kilku wspomnionych bitwach zredukowani byli do 75,000. W artyleryi wszakże mieli wielką nad Francuzami przewagę.

Rano 3 lutego uszykowały się wojska wśród równiny na któréj jedyną wyniosłość zajmowało miasto, z większym wzgórkiem, gdzie znajdował się kościół i cmentarz obmurowany. Rosyanie uszykowali się w dwie linie niezbyt od siebie odległe, na czele ustawiono trzysta dział, w tyle po skrzydłach stanęły dwie ścieśnione kolumny piechoty, a w środku za liniami znajdowała się rezerwa artyleryi i część jazdy, któréj reszta rozdzieliła się między dwa skrzydła. Napoleon sam ze sztabem stanął na cmentarzu, Soult zajął miasto, dotykając jedną stroną młynów, drugą cmentarza, a jedna jego dywizya rozlokowała się po za cmentarzem wiosce Rothenen. Za nim marszałek Augereau, a daléj jeszcze w tyle gwardya i kawalerya. Działa także na froncie były uszykowane. Rozpoczęła się bitwa straszliwa. Dział 500 na nierozległéj stosunkowo przestrzeni ustawionych sprawiało huk taki, iż wszystko trzęść się zdawało, a miasto Eylau i wioska Rothenen ogniem się zajęły. Obydwa wojska stały nieporuszone, choć straszne spustoszenia w szeregach ich działa sprawiły. Pierwsi Rosyanie w ściśniętéj kolumnie uderzyli na koniec prawego skrzydła, ale odparci zostali. Koło 9 dały się słyszeć strzały karabinowe, to Davoust przybywał, atakując prawe skrzydło pozycyi rosyjskich. Napoleon wysunął korpus Augéreau i kazał mu także na toż prawe skrzydło uderzyć. Nieszczęśliwy ten korpus w wykonaniu tego ruchu przez zamieć śnieżną otumaniony, podsunął się pod rosyjskie bateryе, a skorzystał z tego Beningsen i sypnął kartaczami z 72 armat. Większa połowa jego od razu poległa, a w tejże chwili kolumna jazdy silnie nań natarła. Cofał się marszałek Augéreau na cmentarz, a sam ranny, surowo wyrzucał cesarzowi, że stał się powodem tak dotkliwéj straty. Chwila była krytyczna, wszyscy otaczający cesarza zadrżeli, bo przez usunięcie tego korpusu z placu boju siły Francuzów stawały się pokilkakroć mniejsze

i całéj armii groziła zupełna porażka. Napoleon jednak krwi zimnéj nie stracił i kazał kawaleryi Murata wstrzymać atak rosyjski. 84 szwadrony zaledwie zdołało odeprzéć tłoczącą się kolumnę. Tak gdy ciągle zwycięstwo się waży, przybywa Rosyanom w pomoc Lestok. Zguba Francuzów zdawała się nieunikniona, kiedy nagle zjawia się marszałek Ney i świeżemi swemi siłami, oraz przytomnością umysłu wszystko ratuje. Rosyanie nie ośmielają się więcéj atakować, ale owszem, cofają się i za Preglem ustawiają się na nowo. W strasznéj téj bitwie obie strony przypisywały sobie zwycięstwo, ale właściwie żadna nie zwyciężyła. Na placu legło około 40,000 trupa i kilkanaście dział rosyjskich zdemontowanych zostało. Książę Rovigo w pamiętnikach swych twierdzi, że rzeczywiście żadna strona nie zwyciężyła, ale jeżeliby oceniać skutki bitwy, to Francuzi przegrali, gdyż nie byli w stanie uskutecznić żadnego ruchu i gdyby Rosyanie odnowili atak, znieśliby ich zupełnie. Nie skorzystał z tego Beningsen i czekał dwa dni póki Bernadotte nowemi siłami osłabionéj armii nie wspomógł.

W każdym razie bitwa Eylauska miała te dla Napoleona zyski, że mógł się on rozłożyć wzdłuż Pasargi w kraju żyznym i był pewny, że osłabieni Rosyanie długo go atakować nie będą. Kwaterę swą główną założył w Ostrudzie, a późniéj w wiosce Finkelstein. Korpus Augéreau z powodu poniesionych strat rozwiązać musiano.

My tymczasem w Puławach, nie rozrywając się jak dawniéj zabawami, całą uwagę zwróciliśmy na polityczne wypadki i chciwie łowili wszelkie nowiny. Dawniéj wiele osób z naszego kółka na przejazdy do Warszawy posiadało pasporta roczne lub na komorze w Mniszewie było pewném, że przy ustalonych z urzędnikami za pomocą datków stosunkach, można zawsze uzyskać kilkodniowe pozwolenie przejazdu. Teraz wszakże, skoro teatr wojny zbliżył się do granic Galicyi, roczne pasporta skasowano a za przepuszczenie na komorach jak najsurowszą zagrożono odpowiedzialnością. Ci więc co do wojska mieli zamiar wstąpić przekradali się potajemnie, a o paszport starania trzeba było czynić w Wiedniu.

Mój ojciec z Grabowskim po długich trudach w drugiéj połowie stycznia pozwolenie uzyskał i w końcu tego miesiąca ruszyliśmy do Warszawy. Najważniejszy interes zobaczenia choćby zdaleka Napoleona, musiał spełznąć na niczém, bośmy go już w stolicy nie zastali. Kiedy jednak słońca na horyzoncie już nie było, trzeba się było kontentować obserwowaniem mniejszych gwiazdek, które niemniéj były ciekawe.

Pierwszą znakomitą osobą, którą poznać miałem sposobność, był książę Ludwik Bawarski, następca tronu, który późniéj otoczyw-

szy się artystami, założył najznakomitszą szkołę malarstwa i rzeźbiarstwa niemieckiego i stoleczne swoje Monachium cudnie pięknemi gmachami ozdobił. Wtenczas jednak, kiedym go poznał, nie można było się domyślić tych utajonych artystycznych zdolności, nawet skłonność do wierszopisarstwa, którą później objawił, nie była w tym czasie widoczna. Dowodził on dywizyą Bawarczyków, ale tylko nominalnie, bo właściwie obowiązki te pełnił generał Wrede. Książę hołdował wtedy wdziękom panny Teresy Kickiéj i ustawicznie usiłował się tam znajdować, gdzie się ją zastać spodziewał. W domu też Kickich go poznałem i kilka razy byłem z nim i z generałem Wrede na obiedzie. Średnio wysoki, szczupły, przystojny, blondyn, mowę miał utrudnioną, bo się dosyć jąkał, niemniéj przeto z powodu wykształcenia interlokutorem był przyjemnym. Wrede, późniejszy książę i feldmarszałek, rodem z Badeńskiego, był średniego wzrostu, dosyć otyły i bardzo małomówny.

Zaproszeni także zostaliśmy na wielki bal dawany przez Stanisława Małachowskiego, prezesa komisyi rządzącéj. Mieszkał on w swym pałacu na Krakowskiem Przedmieściu, który dziś do Krasińskich należy. Apartamenta jego górne i dolne zaledwie pomieścić zdołały wielką masę gości, a wszystkie znakomitości wojskowe i cywilne można tu było spotkać. Wrażenia moje były tak silne, że choć od tego czasu upłynęło już pół wieku, jednak wszystko jakby wczorajsze dokładnie mi się zarysowuje w pamięci.

Sam gospodarz niski, chudy, łysy, z twarzą zmarszczkami pokrytą, wśród któréj tylko ogromny nos orli — rodowa cecha Małachowskich—się wyróżniał, był już bardzo przyciśnięty wiekiem. Łysina opudrowana i z rzadkich resztek włosów opleciony cieniutki harcap. W stroju francuskim *en habit habillé*, z jednym rzędem kameryzowanych guzików, mało mówił i mało się ruszał. Liczył już wtedy siedmdziesiąt dwa lata.

Na krótką chwilę przybył na bal marszałek Massena, słynny wojownik i po Napoleonie do kierowania wielkiemi masami wojsk za najzdolniejszego powszechnie poczytywany. Od podoficera zaczął on swoję karyerę wojskową, a wieleż w tém pełném rozmaitości życiu prawdziwie bohaterskich czynów? Pomiędzy innemi dosyć wspomnieć słynne w roku 1800 w Genui oblężenie, które wytrzymał i Napoleonowi niém tryumf pod Marengo przygotował. Garnizon po wyjedzeniu wszystkich koni, psów, kotów i szczurów przez trzy dni rozgotowanemi trzewikami się żywił. Obecnie wracał z Neapolu, gdzie oblężeniem Gaëty kierował. Opowiadano, że Napoleon zazdrościł jego talentom, wierzyć jednak temu trudno i prawdopodobniejsze jest, że Massena zwykle w zdaniu uparty, narażał się

często, nie chcąc cesarzowi w wielu razach ustąpić. Obecnie miał lat pięćdziesiąt. Twarz śniada, podłużna, znakami ospy trochę poznaczona, włosy długo zapuszczone. Oczy małe, ale bystre, wzrost średni, figura szczupła, ale kształtna. Mundur marszałkowski, jaki miał na sobie, różnił się trochę od późniéj zaprowadzonego. Był to rodzaj fraka granatowego, na kołnierzu, klapach i kieszeniach bogato zahaftowanego złotem. W pasie przepasany był szarfą. Nie zdołałem go mówiącego słyszéć, raz dla tego, że go tłum wielki otaczał, a powtóre, że bardzo krótko bawił na balu.

Podobnież i marszałka Lannes zaledwiem zauważyć zdołał. Ten bowiem tylko co powstał z choroby, wysoki był blady, zmęczony i zaledwie się na salonach pokazał, zaraz odjechał do siebie. Za to książę Telleyrand, książę Bassano, p. Vincent, hr. Neuperg, poseł perski, towarzysze poselstwa tureckiego: p. Serpos i książę Maurocordato, zapełniali salony. Bal rozpoczęto polonezem a późniéj tańczono same tylko kadryle francuzkie, za przybyciem dopiero Francuzów wprowadzone. Dawniejsze bowiem zbliżały się więcéj do dzisiaj tak nazywanych *les lanciers* i nowy taniec dla odróżnienia od dawniejszego nazwano *contre-danse*. Na wzór Francuzów skakano w nich, wyprawiano piruety i *entrechats* i nie każdy miał odwagę w ten taniec się puszczać. Grecy z poselstwa tureckiego, w białe zawoje i bogate kaftany przybrani i wybornie po francuzku mówiący, najlepszymi byli tancerzami. Na tym balu także poznałem pułkownika Legrand, który miał więcéj jak lat sześćdziesiąt, a żadnego tańca nie pominął. Ożeniony jeszcze przed rewolucyą, szesnaście lat nie był w kraju i w Warszawie się dowiedział, że córka jego, któréj prawie nie znał, wydana za mąż powiła mu wnuka.

W kilka dni potém dawał bal Stanisław Potocki. Towarzystwo było mniéj liczne i w górnych apartamentach przyjmowano. Marszałkowie francuzcy na zaproszenie się nie stawili, ale za to był sam poseł turecki, który się różnił wiele od członków swéj ambasady, o których wyżéj wspomniałem. Mężczyzna średniego wieku, rysów regularnych, z długą czarną brodą i potężnymi wąsami, ubrany w orzechowy żupan i takąż szatę, wszedł do salonu wsparty na ramionach dwóch olbrzymich janczarów, nikomu się nie ukłonił, nikogo nie powitał, tylko skierował się prosto do przygotowanéj dla niego kanapy, gdzie usiadł, skrzyżowawszy pod sobą nogi. Janczarowie stanęli z dwóch stron jakby na straży, a obok dragoman. Podano mu fajkę i tytoń i ten przez cały czas milcząc palił, nie odpowiadając nawet na zwrócone do niego zapytania. Przeciwnie poseł perski nie miał tak licznéj ambasady, tylko jednego tłómacza Francuza. Prze-

chadzał się po salonie, fajki nie palił i chętnie rozmowę za pośrednictwem tłómacza prowadził.

Książę Stanisław Jabłonowski zaprzyjaźnił się z p. Joubert, radcą stanu, który do misyi francuzkiéj w Teheranie należał i razem z posłem perskim do Warszawy przybył, on więc mnie i mego szwagra posłowi zaprezentował. Mieszkał poseł perski na Podwalu w pałacu, który od ulicy Miodowéj, czyli jak ją wówczas zwano ulicy Napoleona, w filary jest ubrany. Stawiliśmy się o godzinie jedenastéj. Poseł siedział na taborecie ze skrzyżowanemi nogami, paląc nargilę, a przy nim stał tłómacz. Oprócz tego taboretu innych żadnych sprzętów w komnacie nie było. Sam wysoki, cienki, brunet z brodą śpiczasto ostrzyżoną, w śpiczastéj czapce, ubrany był w rodzaj szlafroka z szafirowéj materyi, złotem przetykanéj. P. Joubert przedstawił nas i dragoman każdemu powiedział parę komplementów. Następnie podano nam taborety i na srebrnéj tacy przyniesiono wodę różaną, miednicę i flaszki z pachnidłami. Powiedziano nam, że trzeba wodą się umyć i pachnidłami oblać. Kiedyśmy téj czynności dokonywali, poseł zacytował jakieś wiersze, których treścią było życzenie, jak nam dragoman wytłómaczył, żeby życie nasze było tak czyste jak woda, a przyjemne jak wonności. Poczém podano fajki z tytoniem i aloesowém drzewem i w filiżankach z pięknéj porcelany w srebro oprawnych kawę ugotowaną razem z fusami i bez cukru, Szczęściem, że specyału tego było nie wiele i że na załagodzenie jego smaku podano sorbety i konfitury wyborne. Pokazywano nam następnie prezenta, jakie poseł wiózł dla cesarzowéj Józefiny a które składały się z portretu panującego szacha, z przepysznych szalów i z mapy krajów europejskich, znakomicie sztychowanéj. Najzabawniejszém ze wszystkiego był portret Perskiego monarchy. Widać tylko było, że szach nosił śpiczastą brodę, niezmiernie długą i musiał mieć duże oczy, bo je artysta zrobił długiemi przez całą szerokość twarzy. Poseł utrzymywał, że portret jest nadzwyczajnie podobny. Służba cała poselska ubrana była w białe kontusze z niebieskiemi żupanami i w śpiczaste czapki.

Po mieście całém wszędzie widzieć można było francuzkich żołnierzy, a najwięcéj konwalescentów, którzy ze szpitali wychodzili. Oryginalnie wyglądały ich płaszcze najrozmaitszych kolorów. Z sukna zebranego w magazynach i u kupców pruskich porobiono im zimowe ubranie, nie zważając wcale na barwę i ztąd po ulicach można było spotykać żołnierzy w płaszczach kanarkowych, pomarańczowych, czerwonych, fioletowych i czarnych. Niezmiernie ciekawy byłem widzieć w szeregu i w wojskowych ćwiczeniach tego żołnierza, przed którym drżał świat cały. Zdarzyła się do tego sposobność,

bo świeżo do Warszawy przybyły pułkownik Coustard, odbywał na Saskim placu rewią swojego 65 pułku. Wydziwić się i uwierzyć nie mogłem, żeby sławnymi bohaterami mogli być ludzie mali, chudzi, wynędzniali, ubrani nie jednostajnie w niskich, przyklepanych kapeluszach stosowanych, trzewikach i kamaszach.

Mimo ucisku, jakiego kraj cały, a więc i Warszawa doznawały, duch publiczny, wróżbą lepszéj przyszłości podniesiony, utrzymywał się na swéj wyżynie i oddawano z chęcią ostatnie ziarno, płacono potrójne podatki, a drobna nawet Francuzów uprzejmość była dostateczną nagrodą. Wesołość panowała, choć właściwie nikt nie był pewny tego co posiada, bo go co chwila rekwizycya wszystkiego pozbawić mogla. Z pomiędzy licznych tego rodzaju wypadków nadmieniam o jednym. Mieszkał wówczas w Warszawie w narożnéj kamienicy Ryksa obok karmelitów na Krakowskiem Przedmieściu niejaki p. Husarzewski, staruszek zamożny i dosyć oryginalny, choć oryginalność jego nikomu nie szkodziła. Owszem za uprzejmość swą był wszędzie wraz z małżonką mile witany i przyjmowany, a delikatność posuwał tak daleko, że kiedy szedł do teatru rękawy płaszcza wewnątrz wciągał, żeby nikogo niemi nie zawadzić. Lubił grywać na skrzypcach i w karecie jego znajdował się zawsze ten istrument i pulpit z nutami, a wierzch karety był podnoszony. Skoro mu więc ochota przyszła, otwierano na wszystkie strony karetę i Hussarzewski spacerując po mieście, dawał koncert bezpłatny. Posiadał on także konia, niekształtnego wprawdzie, ale maści oryginalnéj, bo na białém tle pocentkowany był łatami gliniasto-czerwonemi. Ponieważ życie uregulowane miał podług zegarka, na tym więc koniu codziennie o jednéj i téj saméj godzinie wyjeżdżał w Ujazdowskie Aleje. Owóż przyszła nieszczęsna chwila rekwizycyi i staruszka zawiadomiono, że jego wierzchowiec ma być do armii zabrany. Napróżno udawał się do magistratu, napróżno składał znaczną sumę pieniędzy i obowiązywał się kupić innego konia, urzędnicy zbyli go sucho i odprawili z kwitkiem. W tém trudném położeniu postanowił p. Hasarzewski wyrzec się swoich stałych przejażdżek i dla ocalenia ulubionéj szkapy, w jakikolwiek sposób ją ukryć. Po schodach z wielką biedą wprowadził ją w nocy na strych, tam uwiązał i sam nosił jéj wodę, owies i siano, bo bał się, żeby go kto ze służby nie wydał. Rano masztalerz doniósł panu, że konia w stajni nie masz. Rozeszła się pogłoska, że konia Francuzi ukradli i kiedy za rekwizycyą przyszła policya, wszyscy mieszkańcy domu kradzież tę poświadczyli, a ponieważ posądzenie na Francuzów padało, wszystkiemu więc dano pokój. W kilka jednak dni potém koło południa koń z więzi się urwał, przyszedł do dymnika, szturchnął głową w znajdujące się tu okno

i, wybiwszy je zaczął na ulicę wyglądać. Pierwsi spostrzegli go przechodzący żołnierze francuzcy. *Voilà camarade*, rzekł jeden do drugiego, *voyez donc le coucou?* Zebrał się tłum, przybył i policyant, o ukryciu konia się dowiedziano i natychmiast go zabrano. P. Husarzewski ze zmartwienia ciężko się rozchorował, a żona jego widząc, że wszystkie leki nie skutkują, udała się z płaczem i prożbą o ratunek do pani de Vauban. Dopiéro ks. Józef po złożeniu wartości, konia kazał oddać i p. Hussarzewski od razu uzdrowiony, zwykłe swoje przejażdżki nanowo rozpoczął.

Po kilkutygodniowym w Warszawie pobycie, udaliśmy się z powrotem do Puław, żegnając ze łzami dawnych swoich towarzyszów, których większość w wojskowych już mundurach po ulicach się uwijała. Największy nacisk był do pułku ułanów i najrozmaitszych używano protekcyj, żeby choć na prostego żołnierza do wojska tego się dostać. Nadzieja walczenia pod okiem Napoleona i strojny mundur, były zapewne głównym tego powodem. Ułani nosili kurtki białe, z wypustkami i rabatami karmazynowemi. Na ułańskiéj karmazynowéj czapce złota blacha z literą N. w środku słońca, rajtuzy karmazynowe.

Marszałek Massena. objąwszy dowództwo, ruszył nad Narew i Omulew. Wojsko bawarskie i część legii polskiéj mu towarzyszyły, a dowództwo nad nią objął Zajączek. Książę Józef bowiem, jako Dyrektor wojny, zajęty organizacyą sił nowych, w Warszawie pozostać musiał. Pałac pod-Blachą stał się główném dyplomatow i wojskowych siedliskiem, a ks. Talleyrand, pieszczony już przez p. Wincentowę Tyszkiewicz, królował tutaj, rozsypując iskry żywego dowcipu i utrzymując w Polakach ducha gotowości do ofiar. W tym czasie na jego żądanie Komisya Rządząca mianowała przy jego boku swoim dyplomatycznym agentem p. Aleksandra Batowskiego. Czynność jego ograniczała się do protekcyi w udzielaniu posad i na rozpuszczaniu pod sekretem różnorodnych wieści od Talleyranda pochodzących, które miały na celu rozbudzanie nadziei i przyśpieszanie uzbrojeń i pieniężnych datków. Batowski, od kilkunastu lat we Francyi zamieszkały i z Francuzką ożeniony, tym okolicznościom zawdzięczał względy Talleyranda.

Broń dla formującego się wojska dostarczyły magazyny pruskie. Karabinki były małe i lekkie z niepospolicie długim bagnetem, połowę długości broni wynoszącym. Bagnety te cienko i delikatnie wykute w użyciu okazały się niepraktyczne, gięły się bowiem i łamały i powoli zaczęto je zastępować innemi. Komisya Rządząca podatki przeznaczyła na formowanie wojsk nowych, a rekwizycye oddawano Francuzom. Fundusz wszakże jaki w gotowiznie się zbierał, na umun-

durowanie nie wystarczał; przyjmowano więc ochotników, wkładając na nich obowiązek mundurowania się własnym kosztem i za dostawianie gotowych szeregowców, kompanij, a nawet i pułków, udzielano oficerskie stopnie.

Z legii księcia Józefa oddziały nad Omulewem rozłożone świetny chrzest pod Mewe (Gniew) i Dirschau (Tczew) odbyły i dowiodły, że nie ustępują starym żołnierzom. Ruchy jednakże początkowe i bitwa pod Ostrołęką, jaką zwiódł z Rosyanami Savary, nie wydały ważniejszych rezultatów. Główną czynnością było zdobycie Gdańska. Miasto to, przed dwunastu laty do Polski należące, położone jest od północy, wschodu i południa na płaszczyźnie; od zachodu dopiera do pasma wzgórz aż do klasztoru Oliwskiego się ciągnących. Fortyfikacye posiada trojakie. Miasto samo otoczone jest małemi głębokiemi fosami, ktore woda z Motławy napełnia. Szczyt góry Bischofsberg uzbrojony w cytadelę, osłoniętą przez fort Hagelsberg, a nakoniec nad morzem przy ujściu Motławy znajduje się mała forteczka Weichselmünde zwana. W Gdańsku dowodził Kalkreuth załogą 18 tysięcy liczącą. Po bitwach pod Gniewem i Tczewem, 10 korpus marszalka Lefebvre rozpoczął w marcu przykopy do Hagelsberga. Odznaczył się tu zaszczytnie ziomek nasz kapitan Sokolnicki, a także legion północny przez ks. Michała Radziwiłła dowodzony. Kiedy już równoległe były gotowe i kiedy wyspę Helen zajęto 18 maja kilka tysięcy Rosyan w Weichselmünde wylądowało i uderzyli oni wraz z Prusakami na francuzkie bateryc. Współcześnie korweta angielska usiłowała kanałem od Weichselmünde do Gdańska się dostać. Rosyanie jednak zostali odparci, a korweta rudel złamawszy na piasku osiadła i musiala się poddać. 26 maja Francuzi zajęli Gdańsk a Kalkreuth uzyskał pozwolenie wyprowadzenia swego garnizonu, który do 7.000 się zmniejszył.

Kiedy oblężenie Gdańska przez trzy miesiące armią zajmowało, tak Rosyanie jak i Anglicy tymczasem starali się nakłonić Austryą do czynnego wystąpienia przeciw Napoleonowi. Przedstawiano w Wiedniu, że po Eylauskiéj bitwie armia francuzka jest zupełnie zniszczona, że cesarz może teraz Napoleona od Francyi odciąć i wszystkie swe straty terytoryalne powetować. Jednak hr. Neuperg, który stale w Warszawie przemieszkiwał i wkradłszy się w łaski pani de Vauban, przez nią dokładnie zawsze o wszystkiém był objaśniony, od zaangażowania się podobnego rząd swój wstrzymywał. Talleyrand nadto o pokojowem usposobieniu Austryi przez p. Vincent zapewniony, uspokajał Napoleona, że z téj strony żadne niebezpieczeństwo nie grozi. Napoleon odpowiedział mu szorstko w tych słowach: „Jesteś łatwowierny i tyle skłonny do obałamucenia, ile

zręczny do łudzenia innych. Pochlebiając ci zawsze oszukać, cię można. P. Vincent karesując cię, w pole wyprowadza. Austrya może mnie się bać, ale mnie nie cierpi. Uzbraja się, aby napaść, skoro mnie tylko szczęście opuści. Ofiaruj p. Vincent Szląsk, a niech zawrze alians." Na uczynioną propozycyą p. Vincent odpowiedział, że upoważnienia nie posiada i do hr. Stadiona, ówczesnego austryackiego kanclerza się odniósł. Stadion odpowiedział, że Szląska nie przyjmie, w układ nie wejdzie, gdyżby to Austryą na wojnę z Rosyą i Anglią naraziło, lecz że ofiaruje medyacyą.—Napoleon odpowiedź tę wziął za objawioną chęć przystąpienia do koalicyi przeciwko niemu i postanowił z większą energią prowadzić wojnę, żeby sobie odpowiedni pokój wywalczyć.

Do głównéj kwatery Beningsena w Bartenstein, gdzie się znajdował król pruski, przybył cesarz Aleksander i nowe pozawierano konwencye. Postanowiono nie składać oręża, dopóki Niemcy, Holandya i Włochy z pod jarzma francuzkiego wyswobodzone nie będą, i z 15.000 Szwedów, 20.000 Anglików i 10.000 Prusaków sformować nową armią, którąby tyły Napoleonowi zajęła. Austrya o połączenie się wzywana nie chciała dać stanowczéj odpowiedzi.

Te odświeżone układy dodały ruchom więcéj energii i podobnie jak Napoleon chciał działać pośpiesznie, postanowił także Beningsen zaczepne rozpocząć ruchy. Siły jednak teraz były nie równe. Rosyanie wraz z Prusakami na całéj linii bojowéj od Narwi do morza Baltyckiego mieli 140.000 wojska. Siły franczkie wraz z garnizonem Gdańska wynosiły około 250.000, z których rozporządzalnych i pod ręką Napoleon miał 155.000.

Mimo to wódz rosyjski postanowił uderzyć na prawe skrzydło marszałka Neya, rozłożone w okolicy Gutstadt. W tym celu na całéj linii miały nastąpić fałszywe ataki, żeby posiłkowaniu przeszkodzić. Jakoż 5 czerwca Bagration rozpoczął zaczepne działania pod Altkirchen, a w innych miejscach współcześnie niepokojono francuzkie komendy. Podstęp ten jednak się nie udał, bo Ney sił swych nie rozrywając, cofnął się w porządku do Heilsberga. Tu zaszła krwawa bitwa i obie strony, nie osiągnąwszy stanowczego rezultatu, koło 5.000 poległych na placu zostawiły. 11 czerwca Rosyanie zaczęli cofać się wzdłuż Alli ku Bartenstein, Napoleon 13 zajął Eylau, część swéj armii wysłał do Królewca, a marszałkowi Lannes poleciwszy obserwować obroty rosyjskie, sam posuwał się w środkowéj pozycyi. Beningsen pod Friedland przez Allę się przeprawiszy, zdawał się mieć zamiar posuwać się do Niemna, kiedy nagle, dowiedziawszy się o ruchu Francuzów na Królewiec, nazad zawrócił i znowu pod

Friedland rozpoczął przeprawę. Napoleon przeszkadzać mu nie kazał i wpuszczał wojska rosyjskie na ciasną płaszczyznę, ograniczoną z jednéj strony łukiem zakreślonym przez Allę, z innéj lasami. Kiedy przeprawieni w czworoboki szykować się zaczęli, o trzeciéj rano wypuścił na nich marszałka Lannes i jazdę Grouchy'ego, sam ukrywając się w okolicznych lasach i tylko od czasu do czasu wysyłając posiłki. Beningsen lekceważył ten atak, ale kiedy o siódméj pojawił się Napoleon z gwardyami i korpusy Bernadotta i Neya, poznali Rosyanie, że prawie z całą armią francuzką będą mieć do czynienia. Ustawili się więc w szachownicę i potężną artyleryą umieścili na froncie. Ney z narażeniem się na największe niebezpieczeństwo, przy pomocy dywizyi Dupont zdobył miasto Friedland i choć go ztamtąd wyparował Gorczaków, stanął jednak tak, że działa przystępu do mosta nie dozwalały. Tymczasem na prawem skrzydle artylerya francuzka straszne w szeregach rosyjskich czyniła spustoszenie i po wytrzymaniu kilku ataków, bitwę za stanowczo przegranę uważając, postanowił Beningsen się cofnąć. Tu nowa nastręczyła się trudność. Ney do mostów nie puścił, a do przeprawiania się wpław nie prędko bród znaleziono. W bitwie téj stracili Rosyanie mnóstwo dział, a oprócz poległych i rannych, oddali 5.000 niewolnika.

Polacy pod Dąbrowskim w asekuracyi dział w czasie bitwy téj się znajdowali. Zarzucono Francuzom i słusznie, że 44 szwadrony kawaleryi swéj w nieczynności trzymali i gdyby ją wypuścili w porę, dalekoby większą jeszcze klęskę przy przeprawie zadali. Niemniéj przeto zwycięztwo było zupełne i Francuzi zajęli zaraz Królewiec, a 19 czerwca do Niemna pod Tylżą przybyli.

Tu poraz pierwszy okazały się w przednich czatach pułki Baszkirów i Kałmuków, w strojach narodowych, ze swemi oryginalnemi czapkami, i za jedynę broń pałasze i łuki mających. Wypuszczono strzał kilka, które raniły kilku żołnierzy i Francuzi z podziwienia wyjść nie mogli.

Tegoż dnia do księcia Murata przywiózł list Beningsena Bagration, w którym dowódzca rosyjski prosi o zawieszenie broni. Propozycyą przyjął Napoleon i ks. Łobanów, który świeżych posiłków przyprowadził około 20.000, a między nimi owe narody wschodnie, został upoważniony do zawarcia umowy. Podpisano ją 22 czerwca, a obowiązywała ona armię francuzką tylko względnie do rosyjskiéj; w parę dni wszakże i Prusacy armistycyum przez jenerała Kalkreuth uzyskali. Za linią demarkacyjną przyjęto bieg Niemna aż do Grodna, ztąd Biebrzą do Narwi i Narwią do Wisły. Tym sposobem do księstwa Warszawskiego przybywał szósty departament, Łomżyński, ale do zajęcia jego z powodu braku czasu za trwania zawiesze-

nia broni nie przystępiono. Massena posunął się nad rzekę Biebrzę, a Dąbrowski zajął pośrednie między nim a Gumbinem stanowisko.

24 czerwca do kwatery Napoleona przybył znowu Łobanow, proponując osobiste panujących spotkanie i porozumienie się co do warunków pokoju. Napoleon się zgodził i nazajutrz na tratwie, w środku Niemna sznurami umocowanéj rozpięto dwa namioty, mające służyć za miejsce schadzki monarchów. O pierwszéj po południu przypłynął do tratwy cesarz Francuzów, w towarzystwie książąt Murata, Berthier, marszałków Bessières i Duroc i koniuszego Caulaincourt. Współcześnie z drugiéj strony zbliżał się Aleksander, mając obok siebie w. księcia Konstantego, jenerałów Beningsena, Łobanowa, Uwarowa i Lievena. Ponieważ Napoleon pierwszy na tratwie stanął, oczekiwał więc przybijającego Aleksandra i skoro ten ze statku wysiadł, obaj monarchowie uściskali się serdecznie. Potém weszli do jednego z namiotów i tam przeszło godzinę rozmawiali. Rezultatem najpierwszym téj rozmowy było, że kwatera cesarza Aleksandra przyniesioną została do Tylży i miasto to za neutralny punkt uznane, miało być obsadzone wspólnemi garnizonami.

Następnego dnia cesarz Aleksander zajął mieszkanie w Tylży, a Napoleon na téj saméj tratwie niemeńskiéj przyjmował króla pruskiego. Tym razem rozmowa była krótsza i nie trwała dłużej nad dwadzieścia minut. O piątéj złożył Napoleon wizytę Aleksandrowi w mieście, zaprosił go na obiad i wymógł przyrzeczenie, że przez cały czas swego tutaj pobytu stale u niego obiadować będzie.

W kilka dni późniéj przybył król pruski i książę Talleyrand i układy się rozpoczęły. Mniéj zważając na króla Pruskiego najczęściéj Napoleon lubił rozmawiać i przesiadywać z Aleksandrem, ale rozmowy te odbywały się zawsze sam na sam i jedno tylko słówko podchwycił p. Meneval, kiedy mu kazano przynieść mapę Turcyi. Napoleon wskazał wtedy na Stambuł i wyrzekł: „Tego nigdy.“ Te układy trwały do 6 lipca i powszechnie tylko się uskarżano, że Napoleon bardzo twardym się okazywał. Tego dnia przyjechała królowa pruska i zdaje się że rachunek na wdzięki, jakiemi silnie na cesarza Francuzów działała, był jednym z głównych przybycia jéj powodów. Napoleon zaraz wizytę jéj złożył, na obiad zaprosił i u podwojów domu, w którym mieszkał, przyjął. Powiadają, że za bukiet róż, który mu na pamiątkę darowała, domagała się także pamiątki, a tą były Prusy królewskie.

7 lipca podpisano traktaty Tylżyckie przez ks. Talleyranda z jednéj, a książąt Łobanowa i Kurakina z drugiéj strony. Zawierały one:

1. Zwrot Prusom zajętéj prowincyi Brandeburskiéj po Elbę, Pomeranii, Szląska, Prus Wschodnich i Prus Królewskich, za wyjątkiem Gdańska z paro-milowym obwodem.

2. Utworzenie dla księcia Hieronima Bonapartego królestwa Westfalskiego.

3. Oddanie utworzonego księstwa Warszawskiego królowi Saskiemu.

4. Uznanie Ludwika i Józefa Bonapartych za królów Holandyi i Neapolu.

5. Uznanie związku reńskiego i zwrot krajów zabranych książętom Meklemburskiemu i Oldenburskiemu.

Oprócz tego zawrzéć miano dwie umowy sekretne. Pierwsza z nich obejmowała:

1. Oddanie Francuzom Cattaro i wysp Jońskich.

2. Obietnicę zwrócenia Prusakom kraju ku Magdeburgowi, zawierającego do 400.000 ludności w razie, jeśli w zawartym z Anglią pokoju Hanower przy królestwie Westfalskiem się utrzyma.

3. Wynagrodzenie pieniężne książąt Heskiego, Nassauskiego Brunswickiego za kraje do Westfalii wcielone.

Co do drugiéj umowy, choć mnóstwo dzieł do tego się odnoszących posiadamy, nie można nic stanowczego powiedziéć. Z pamiętników ks. Rovigo i z korespondencyi Napoleona przypuszczać można, że Francya zezwalała Rosyi na zajęcie Finlandyi, Multan Wołoszczyzny i Rumelii po Bałkany, a Aleksander zgadzał się na zamienienie hiszpańskich Burbonów przez Napoleonidów i na zajęcie przez Francuzów Bośnii i Albanii.

Jakkolwiek pokój ten dla Rosyi był korzystny, bo dawał jéj Białostocki obwód i otwierał widoki na Finlandyą i tureckie prowincye, cesarz Aleksander wszakże nie mile przyjął stworzenie księstwa Warszawskiego, które się sprzeciwiało jego co do Polski zamiarom. Z drugiéj strony w tych poufnych a niby przyjacielskich czternastodniowych rozmowach utwierdził się cesarz rosyjski w przekonaniu o niepohamowanéj ambicyi Napoleona i rosnącéj z każdym dniem chęci zagarniania coraz nowych krajów. Zwierzając się, rzucił podobno nawet Napoleon projekt podziału całéj Europy na Wschodnią i Zachodnią. Pierwsza miała należeć do Rosyi, druga do Francyi. Ale i tu już przy projekcie samym spory o ujście Bosforu się rozpoczęły.

Artykuł 5 Tylżyckiego pokoju nadawał księstwu Warszawskiemu byt polityczny. Wszakże nadzieje Polaków sięgały o wiele daléj. Szczególniéj odłączenie prowincyi Białostockiéj niemile wywarło wrażenie. Opowiadano sobie, że cesarz Aleksander nie rad z upadku swego alianta, wielkiéj chęci na kraj ten nie miał: a kie -

dy zabrano go Prusakom, czemuż odłączono od księstwa? Podobnież wieść o zamianie bukietu róż na Prusy Królewskie goryczą napełniała serca.

Co do wprowadzonego na tron domu Saskiego, dziwném się to także Polakom wydało, spodziewano się bowiem powszechnie; że ks. Murat księciem Warszawskim będzie. Że jednak osoby wówczas najwpływowsze należały do stronnictwa, które za sejmu czteroletniego koronę Polskę domowi Saskiemu ofiarowało, przeto wiadomość tę przyjęto z radością.

Sprawa polska przez osoby otaczające Napoleona bardzo rozmaicie była uważana. Ks. Murat, Davoust, Savary i z cywilnych ks. Bassano radzili, aby Napoleon przez silną organizacyą tego kraju zapewnił sobie bezpieczną w téj stronie podstawę. Nie tylko więc chcieli dołączenia doń Białegostoku, ale Prus Królewskich z Warmią Gdańska i Szląska. Żądali także aby nabytą Dalmacyą i Istryą z Austryą na Galicye wymieniać, te do państwa nowego dołączyć i rządy jakiemu księciu francuzkiemu powierzyć. Ks. Talleyrand, oraz Berthier i Lannes byli zupełnie innego zdania. Twierdzili oni, że państwo takie, zaledwie tylko Prusy zrównoważy, a nie będzie dość silne, żeby się Rosyi i Austryi o nie kuszącym oprzéć. Że Francya dla utrzymania jego narazi się na ciągłe wojny i że ustalenie jego zamiast pokoju ciągłą niezgodę spowoduje.

Nasz reprezentant p. Aleksander Batowski, skoro tylko ks. Talleyrand opuścił Warszawę, doradzał Komisyi Rządzącéj, a nawet naglił na nią, żeby francuzkiemu dyplomacie ofiarowała upominek od 7 do 10 milionów wynoszący, zapewniając, że podarek ten będzie mile przyjęty i jak najlepsze z niego wypłyną skutki. Czy do propozycyi podobnéj miał upoważnienie, nigdy to na jaw nie wyszło, zdaje się jednak, że bez ośmielających go do tego insynuacyj, nigdy by rzeczy podobnéj nie proponował. Komisya Rządząca atoli, złożona z ludzi prawych, nieugiętych i możności przekupstwa nie pojmujących, żądanie to puściła mimo uszu. Zresztą skarb zostawał w niedostatku i zebranie sumy takiéj było prawie niemożliwe. Poniéj kiedy stosunki moje ze Stanisławem Potockim bliskiemi się stały, pokilkakroć słyszałem od niego opowiadaną tę okoliczność, a utyskając, że nie posłuchano rady Batowskiego, zwykle tak kończył:

— Tak, tak, panie (było to jego przysłowie): mielibyśmy i Prusy Królewskie i Warmią, panie, i Gdańsk i Białystok i Szląsk, panie, a późniéj i obie Galicye. A z takim krajem, panie, mając, panie 200.000 wojska i fortece, bylibyśmy, panie, przez całą Europę poważani.

To także pewna, że książę Talleyrand, zaledwie opuścił Warszawę, wystąpił z całą do nas nienawiścią. Kiedy przejeżdżając przez Królewiec, dowiedział się od Savary'ego, że ten pontony na Niemen posyła, powiedział mu:

— Daj pokój, nie śpiesz się. A cóż my za Niemnem poczniemy? Czegóż tam będziemy szukać? Potrzeba, żeby cesarz zaniechał myśli o Polsce. Naród to do niczego nie zdatny, z nim nieład tylko wieczny i żadnego porządku.

9 lipca wymieniono ratyfikacye. Napoleon dostał order św. Andrzeja, a Aleksander Legii Honorowéj i tegoż dnia cesarze do swych stolic się wybrali; Davoust z 3 korpusem zajął księstwo Warszawskie, Ney i Mortier Szląsk, a Napoleon w przejeździe zatrzymał się w Dreznie, tu przywołał członków Komisyi Rządzącéj i oddał im podpisaną przez siebie konstytucyą, składającą się z 89 artykułów.

Podług niéj religia katolicka uznaną została za panującą, a inne wyznania miały zapewnioną wolność. Ustanowiono jedno arcybiskupstwo i pięć biskupstw, wszyscy w obliczu prawa uznani zostawali za równych i wszelka niewola zniesiona (l'ésclavage est aboli). Rząd sprawuje król i przy nim pozostaje władza wykonawcza i porządkowanie praw. Ma on moc zlać władzę swą na wice-króla, lub prezesa rady ministrów. Zwołuje sejmy, sejmiki i prezyduje w senacie. Uposażenie króla wynosi 7 milionów złotych polskich rocznego dochodu w połowie w dobrach, w połowie w gotowiźnie. Zamek i pałac Saski są jego własnością. Ministeryów ustanawia się sześć: Sprawiedliwości, Spraw wewnętrznych, Wojny, Skarbu, Policyi i Sekretaryatu stanu. Rada stanu składa się z ministrów, rądców stanu i referendarzy. Układa ona projekta do praw, sądzi spory jurysdykcyjne, zaszłe między władzami i stanowi sąd kasacyjny.

Sejmy odbywają się co dwa lata w Warszawie i trwają dni piętnaście, składając się z Izby senatorskiéj i poselskiéj. Uchwalają one prawa skarbowe, cywilne i kryminalne. Projekta do praw wnosi Rada stanu do Izby poselskiéj. Tu sekretnemi kreskami odrzucone lub przyjęte, idą pod zatwierdzenie Senatu. Senat składa się z sześciu biskupów, tyluż wojewodów i kasztelanów, mianowanych dożywotnio przez króla. Senat nie może odmówić zatwierdzenia prawa przez Izbę przyjętego, chyba w takim razie, jeśli się okaże, że kreskowanie było nierzetelne, lub że uchwalone prawo sprzeciwia się konstytucyi. W podobnym przypadku król prawo odsyła do powtórnego w Izbie poselskiéj rozważenia i jeśli poprawka wprowadzoną nie jest, Izbę rozwiązuje. Izba składa się z sześćdziesięciu posłów i czterdziestu deputowanych. Jak jedni tak drudzy na lat dziewięć wybrani, co lat trzy w jednéj trzeciéj się odnawiają. W Izbie prezyduje

marszałek przez króla mianowany. Izba wybiera piętnastu komisarzy do praw skarbowych, cywilnych i kryminalnych i ustanowione z nich komisye naradzają się z Radą stanu, nad samemi projektami praw. Rada stanu z prawem głosu zasiada w Izbie, a tylko radcy stanu i komisarze mają prawo głos zabierać. Sejmiki składają się ze szlachty, zgromadzenia gminne z właścicieli ziemskich nie-szlachty, z rękodzielników, kupców, artystów, profesorów, proboszczów, wikarych, oficerów, podoficerów i żołnierzy, którzy zaszczytnie się odznaczyli. Aby być wyborcą, dosyć być pełnoletnim.

Pod względem administracyjnym księstwo podzielono na sześć departamentów, którymi zarządzają prefekci. Obok nich jest Rada prefekturalna, stanowiąca władzę administracyjną z sądem administr. Składa się ona z dwudziestu czterech członków i ci wybierają się na sejmikach. Rozkłady ciężarów i opinia o administracyi do niej należą. W miastach powiatowych na czele administracyi stoją podprefekci, z Radą powiatową, takież jak departamentowa mającą obowiązki. Miasta rządzone są przez prezydentów i Rady municypalne, które układają etaty i słuchają rachunków. Kodeks Napoleona będzie prawem cywilném dla księstwa, a postępowanie ma być publiczne.

W każdym powiecie ustanowiony jeden Sąd Pokoju, a w każdym departamencie jeden Trybunał. Na dwa departamenty jeden Sąd karny, a dla całego księstwa jeden Sąd apelacyjny. Rada stanu ma pełnić obowiązki Sądu kasacyjnego. Wojsko składać się będzie z 36.000 ludzi.

Konstytucya ta zupełnie nowe zaprowadzała przepisy, dotąd w żadnym monarchicznym kraju nie istniejące, sankcya bowiem praw nie panującemu, ale senatowi została powierzona. Wprawdzie do króla należało początkowanie, ale ponieważ nie miał on prawa nawet rozwiązać Izby, przeto w praktyce i ten przywiléj mógł mu być wydarty. Zresztą administracya kraju oparta wyłącznie na wyborach dawała silne podstawy prawdziwie autonomicznemu rządowi; konstytucya ta wszakże za krótko istniała, żeby mogące z niej wyjść następstwa mogły wartość swą okazać w praktyce.

Pod względem finansowym księstwo doznało także pewnego ucisku. Prawda, że Napoleon nie nałożył nań kontrybucyi i w rachunku opłat przez Prusy wnoszonych przyjął tak zwane *sumy bajońskie*, to jest długi jakie zaciągnięto na hypoteki z banków berlińskich; ale do 17 września 1807 r. kazał utrzymywać kosztem kraju całą armią, intendenturę i szpitale i nadto na sumę 30 milionów złp. zabrał dóbr narodowych do swego rozporządzenia. Koszta żywienia rmii były olbrzymie, a i od naznaczonego terminu płacono albo bo-

nami, albo likwidowano jakieś odwieczne pretensye. Co do dóbr narodowych, przy ówczesnéj deprecyacyi ziemi, wzięto ich na sumę daleko większą, a choć za podstawę przyjęto kontrakty dzierżawne, nie bardzo jednak téj zasady przestrzegano. Nadto zaszła jeszcze druga trudność. Rząd Pruski ze względów administracyjnych zamykał dobra narodowe w tak zwane *amty* i często nomenklatary prywatne wchodziły do takich amtów. Ztąd wyrodziły się długie spory. Tak naprzykład marszałek Davoust, któremu nadano Łowicz, wykreślił sobie granice o wiele przechodzące własność narodową. Z Polaków obdarowano Dąbrowskiego, Zajączka, Krasińskiego, Sapiehę i kilku innych.

Od nowego pana bardzo długo czekano znaku życia, i dopiero 23 września król Saski ogłosił proklamacyą do narodu; snać posyłał ją do zatwierdzenia do Paryża. 5 października rozwiązano Komisyą Rządzącą a zaprowadzono Radę ministrów, 20 zaś listopada nowy monarcha przybył do Warszawy. Przy okopach oczekiwał nań magistrat, cechy z chorągwiami, rabin z kahałem i wiceprezydent wręczył mu klucze. Przy kościołach duchowni w szatach uroczystych występowali, a Rada stanu, świeżo uorganizowana, czekała w Zamku przy bramie Marszałkowską zwanéj. Wojska francuzkie i polskie po ulicach tworzyły szpalery, a wystrzały działowe i dzwony dawały znać ludowi o przybyciu panującego.

Zajęto się zaraz czynnie wprowadzeniem w życie nowéj konstytucyi. Utworzono Senat, w którym prezesem mianowany Stanisław Małachowski, senatorami: Wybicki, Bieliński, Działyński, Stanisław Potocki, Radzimiński, Sobolewski, ks. Stanisław Jabłonowski, Onufry Kicki i inni. Następnie mianowano Radę ministrów: prezesem został Ludwik Gutakowski, ministrem Sprawiedliwości Feliks Łubieński, Spraw wewnętrznych Łuszczewski, Skarbu Tadeusz Dembowski, Wojny książę Józef Poniatowski, Policyi Aleksander Potocki, sekretarzem stanu—Breza. Naznaczono także kilku radców stanu i referendarzy. Między pierwszymi mianowani byli: Michał Kochanowski, Linowski, ksiądz Woronicz, Łuba, Rządkowski; referendarzami: ksiądz Staszic, Wojda, Horodyński i Szaniawski.

Prawie wszyscy, współpracownicy sejmu czteroletniego, byli wielbicielami Napoleona, przywiązani doń, wierzący i całą nadzieję w nim pokładający. Rząd ten wszakże w szczególném znajdował się położeniu. Zgromadziwszy się około króla, zdawał się wodze władzy brać w ręce, a tymczasem Davoust i rezydent francuzki p. Serra, na miejsce p. Vincent przybyły, rządzili wszystkiém i nic nie mogło stać się bez ich woli. Księstwo Warszawskie wydawało się jakby prowincyą francuzką. Nadto konstytucya nowa obalała z gruntu dawne

zwyczaje, przywileje, prerogatywy i prawodawstwo. Rządy pruskie, po których procedura karna została, przyczyniły się jeszcze do większego zamieszania, a jeśli zważymy, że bardzo mała liczba znajdowała się ludzi, którzyby gruntowne odbyli nauki, lub w służbie cywilnéj odbyli praktykę, to doprawdy dziwić się trzeba, że wśród tego nie powstał okropny chaos i tém więcéj oceniać trzeba niezmordowaną gorliwość osób, które stały na czele. Oni to z epoki sejmu czteroletniego lub insurekcyi Kościuszkowskiéj siaką taką praktykę wyniosły, dla pomocników swoich stali się formalnymi profesorami. Bieglejsi z nich i do pióra sposobni poczęli drukiem ogłaszać *listy* w materyach ekonomicznych, skarbowych, prawnych i administracyjnych. Kalasanty Szaniawski, Horodyński, Rembieliński, Gliszczyński, Rembowski, Mioduski i Dominik Kuczyński główny w nich przyjęli udział, a obok twierdzeń ze zbyt bujnéj wynikających imaginacyi, listy te wiele dobrego zrobiły. Rozdawano je darmo, a młodzież ciekawie je czytała. Drugą powagą, która ówczesne sfery rządzące kierowała, był przez p. *Fleurigeou* spisany zbiór urządzeń administracyjnych, skarbowych i etykietalnych, obowiązujących we Francyi. Bez względu, że kodeks ten zaraz na wstępie zawierał bardzo fałszywą definicyą: *Administrer c'est agir*, był on powagą w kraju, który świeżo z zamętu rewolucyi wyszedł, i u nas więc musiał się stać ostateczną wyrocznią.

Dla wojska dozwolił Napoleon użyć oficerów francuskich i jeżeli we wszystkich broniach było ich wielu, to w inżynieryi, artyleryi i sztabach niemi tylko wyłącznie się posługiwano. Takimi między innymi byli: Pelletier, Malet, Bontemps, Daret, d'Hauterive, d'Alfonce i inni.

Zaraz po przybyciu legionów w granice księstwa, między wodzami rozpoczęły się rozmaite nieporozumienia. Książę Józef nie miał właściwie nad niemi zwierzchnictwa, tylko Davoust książę d'Auerstädt i jego sztab rozkazy wydawał. Poniatowski mianowany ministrem wojny nie mógł takiego stosunku uznawać i we wszystkie szczegóły organizacyi z urzędu mięszać się musiał. Że zaś i Dąbrowski i Zajączek do impozycyi generałów francuskich nawykli, we wszystkiém do kwatery ks. Auerstädt się odnosili, powstały więc ztąd waśnie, a kwasy, ciągnące się aż do r. 1809, kiedy wspólne niebezpieczeństwo o nieporozumieniach zapomnieć kazało.

Do wybuchu nieporozumień pierwszy dał powód generał Zajączek. Ten niechcąc ani munduru, ani kokardy francuskiéj porzucać, korzystał także z przywilejów francuskiego wojska i koszta kwatery i żywności wkładał na tych, u których się znajdował. W Kaliszu koszta te ponosiło miasto i po ogłoszeniu konstytucyi zgłosiło się

z prośbą do ministra wojny, aby przynajmniéj przez czas pokoju od tych ciężkich ekspensów je uwolnił a żądanie to minister spraw wewnętrznych całym swym wpływem popierał. Rada ministrów przychyliła się do prośby i poleciła Zajączkowi, żeby do jéj decyzyi się zastosował. Ten w sposób szorstki odpowiedział, że gdyby go o to proszono, możeby dla ulżenia ziomkom poświęcenie to zrobił, ale ponieważ mu rozkazują. oświadcza więc wyraźnie, że jako francuski generał dywizyi nie przyjmuje rozkazów od nikogo, tylko od cesarza, księcia Neufchetel, lub księcia Auerstädt.

Generał Dąbrowski, który nie we francuskiéj ale neapolitańskiéj zostawał służbie, odrazu mundur polski przywdział i białą kokardę przypiął. Szanowany i prawie ubóstwiany przez naród, który w czasie ucisku giermańskiego jedynego reprezenta lepszéj przyszłości w nim widział, znany osobiście i ceniony od lat jedenastu przez cesarza, uczuł się niemile dotkniętym, skoro formowanym w Warszawie pułkom dano numera pierwsze, aniżeli jego, który ze swoimi wystąpił już, kiedy w Warszawie o rekrutowaniu ani myślano. To go odrazu zniechęciło, a nadto do księcia Józefa miał żal, datujący się jeszcze właściwie z czasów dawniejszych.

Król Saski zabawił w Warszawie przez cały grudzień. Przepisał organizacyą Rady stanu i Rady ministrów, podzielił kraj na powiaty i zgromadzenia gminne, naznaczył stolicę każdego, wydał przepisy o obywatelstwie i zasadnicze punkta usamowolnienia włościan. Rozdał dla generałów dywizyj krzyże komandorskie, dla niższych oraz dla pułkowników i majorów kawalerskie i wyznaczył ich pewną ilość dla zasłużeńszych żołnierzy.

Myśmy po powrocie z Warszawy częścią w Puławach, a częścią w Bronicach przesiadywali. Książę feldmarszałek nie rad w tym roku zbytnio od domu się oddalać, nie pojechał jak zwykle do Bardyowa, ale kuracyi używał w Nałęczowie, dobrach podówczas do Małachowskich należących i graniczących z Bronicami. Wody Nałęczowskie byłyby bardzo skuteczne, dużo bowiem posiadają żelaza, ale znaczna ilość części wapiennych, czyni je do picia mniéj zdatne i do kąpieli stosowniejsze. Ponieważ w Nałęczowie o pomieszczenie trudno, pałac bowiem zajmował także na kuracyi będący Cieciszowski, biskup łucki, przeto książę Czartoryski u nas zamieszkał i codziennie do kąpieli jeździł. W tym roku także z wielkim żalem wszystkich umarła na suchoty w drodze do Włoch Aniela Czartoryska; a siostra moja powiła pierwszego syna—Leona Grabowskiego, dzisiejszego kamerjunkra dworu rosyjskiego.

Naprzód we wrześniu a później w grudniu na parę dni z ojcem Warszawę odwiedziłem, ale z krótkiego tego pobytu nie mam nic

ważniejszego do zanotowania. Mój ojciec dowiedział się, że król Saski postanowił wysłać do Paryża deputacyą złożoną ze Stanisława Potockiego, Bielińskiego i Działyńskiego, aby ona wyjednała u Napoleona, żeby przejęte przezeń sumy bajońskie nie były odrazu egzekwowane, ale podzielone na raty. Po odbytéj z księciem feldmarszałkiem i panem Ignacym Potockim naradzie, stanęło na tém, abym swoim kosztem przy boku Stanisława Potockiego tę podróż dla rozejrzenia się po świecie odbył. Udzielono mi potrzebne fundusze, a ks. feldmarszałek zaopatrzył mnie w listy rekomendacyjne i przez kilka godzin codziennie objaśniał, co i gdzie mam oglądać. Jednéj rzeczy tylko brakowało—paszportu. Okoliczność ta jednak mnie nie przestraszała i postanowiłem, jak wszyscy do legionów się wybierający, drogę odbyć na Ryki, Żelechów, Parysów, Siennicę, Rudę, do wsi Cisia, w okolicy Okuniewa wśród lasów położonéj. W wiosce téj mieszkał Zaleski, człowiek niezmiernéj poczciwości, Nemrod niezmordowany i wielki Napoleona wielbiciel. On to, byle tylko armii żołnierza przysporzyć, całą młodzież przez kordon austryacki przemycał.

Wioska Cisie wśród sapów, piasków, błot i lasów położona, miała domek szczupły, tak jak wszystkie prawie u ówczesnéj szlachty uboższéj stawiano. Po jednéj stronie sieni wielka izba i alkierz: to mieszkanie dziedzica; po drugiéj izba czeladna i kuchnia. W pańskiéj połowie przy drzwiach krzyż, a pod nim przybite naczynie ze święconą wodą. Z jednéj strony drzwi ogromny kanciasty komin, a obok piec olbrzymi z ławami dokoła, z drugiéj szafa kredensowa. Na środku stół okrągły dywanem przykryty, pod oknem stolik z regestrami gospodarskiemi i kalendarzami, daléj kanapa i przy ścianach porozstawiane krzesła. Alkierz służył za sypialnią i schronienie dla żony i dzieci. W domach takich żadnego przepychu, stołki twarde i ciasnota ogromna, ale gościa otaczano takiém wylaniem serca, służbę jego i konie tak karmiono obficie, że lepiéj tu było, aniżeli w złoconych pańskich komnatach.

Pan Zaleski nigdy innego nie przywdziewał stroju jak kurtę zieloną, spiętą rzemiennym pasem, szaraczkowe szarawary i buty juchtowe. Za pasem tkwił nieodstępny batożek, za pomocą którego utrzymywał porządek w licznych swoich sforach. Stada psów całe, zalegały wązki, gospodarskiemi budynkami obstawiony dziedziniec, a ogary, charty, gończe, wyżły, pijawki, wszystkie słowem rasy miały tu swoich przedstawicieli. Na ścianach domu rozmaite myśliwskie trofea porozpinane: sępy, orły, jastrzębie, rarogi, jelenie rogi, kły dzicze i łby wilcze. Na kominie ciągły ogień i to nie z drobnych polanek, ale kłód całych, szczęściem że mokrych.

Szlachcica tego zupełnie nie znałem, ale miałem do niego polecające listy i szczęśliwym trafem zastałem go w domu. Listy przeczytał i zaraz mnie jak starego przyjaciela serdecznie uściskał.

— Dobrze— rzekł — będziemy w Warszawie, ale mi trzeba jutrzejszy dzień przeczekać, żeby się dowiedzieć kto na komorze, kto na straży wojskowéj? — Ale—dodał — więc waść nie do wojska, jak widzę, cóż więc poczniesz, skoro ci wrócić wypadnie?

Nad trudnością tą nie myślałem dotąd, co prawda, i zresztą zapewniłem go, że mam pewność, iż do Paryża pojadę.

— Co tam pewność?—przerwał mi — jak będziesz w Paryżu, to dopiero będzie pewność. Słyszałem i ja, że król jest w Warszawie i deputacyą wysłać zamierza, ale hr. Neuperg mówił mi wczoraj, że Napoleon jakoby w hiszpańskie sprawy mięszać się zaczyna, może więc ci panowie nie do Paryża, ale do Madrytu pojadą.

Na uwagi te straciłem trochę fantazyą i p. Zaleski tak sprawę zadecydował:

— Pojutrze pojedziesz zemną do Warszawy. Konie, rzeczy, służących tutaj zostawisz i jeśli na pewno się dowiesz, że JW. Potocki wyjeżdża, to ci rzeczy odeślę. Jeżeli nie, wrócisz ze mną nazad.

Stosownie do tego programu stanęliśmy w dniu oznaczonym w Warszawie około jedenastéj rano. Nie tracąc ani chwili czasu, przebrałem się i do Potockiego pobiegłem. Ten listy przeczytał i zaraz zapytał:

— A paszport masz?

Opowiedziałem mu w jaki sposób do Warszawy się dostałem.

— Hm — rzekł —możebym wreszcie paszport wyjednał od ministra policyi, mego krewnego, ale wydać się to może i Austryacy gotowi ojcu twojemu skonfiskować Bronice. Zresztą my sami nie wiemy kiedy i gdzie jedziemy. Być może, że w Paryżu wcale nie będziem. Napoleon jest podobno teraz w Medyolanie i czekać będziemy na wiadomość, kiedy i gdzie widzieć go będzie można. Dlatego radzę ci, wracaj nazad tym samym sposobem, jakieś tu przybył.

Victus rationibus, wróciłem do domu i tak się ten mój projekt pierwszéj wycieczki w świat ulotnił.

Tymczasem pokój Tylżycki, wciągając Rosyą do przymierza z Napoleonem, wywołał na dworze petersburskim liczne zmiany. Stronnictwo przychylne Anglikom upaść musiało i Nowosilcow, hr. Lieven, Strogonow, Tołstoj i Wołkoński ministeryum opuścili, a wraz z nimi usunął się także ks. Adam Czartoryski. Ponieważ od téj chwili często o nim wspominać będę, notatka więc, odnosząca się do jego przeszłości nie zawadzi. Urodzony w 1770 r. otrzyma staranną edukacyą pod zwierzchnim nadzorem pułkownika Ciesiel-

skiego. Koło roku 1787 z matką udał się za granicę i najdłużéj w Anglii, bo półtora roku, przebywał. Po powrocie do kraju krótko jako ochotnik służył w kampanii Targowickiéj. Kiedy w 1795 r. dobra należące do ks. generała skonfiskowane zostały, Repnin dał do zrozumienia, że odzyskać się one dadzą, jeśli Czartoryscy obudwóch swych synów na dwór petersburski odeślą. Księcia Adama, skoro tam bracia przybyli, dodano do towarzystwa w. ks. Aleksandrowi i tu pomiędzy młodzieńcami zawiązała się serdeczna przyjaźń. Po śmierci Katarzyny cesarz Paweł przeznaczył ks. Adama na posła przy dworze Sardyńskim, bawiącym podówczas w Cagliari. Tu przebywał on aż do wstąpienia na tron Aleksandra, który go zaraz do siebie przywołał i we wszystkich swoich projektach i planach rady u niego szukał. Kiedy projekta przez ks. Adama podawane upadły i Aleksander w Tylży traktat z Napoleonem zawarł, książę Czartoryski wystąpił ze służby dyplomatycznéj, pozostał wszakże radcą tajnym, członkiem Rady państwa i wziął na siebie pełnienie obowiązków kuratora okręgu naukowego wileńskiego.

Uczucia, jakie ożywiały Księstwo Warszawskie, nie miały prawie żadnego odgłosu na Litwie. Wiedziano tu powszechnie o zamiarach z jakimi się nosił cesarz Aleksander i więcéj w nim jak w Napoleonie pokładano nadziei, gotowość do ofiar i przywiązanie do Francuzów szałem nazywając. Warunki zresztą miejscowe nie były zbyt uciążliwe. W języku polskim wykładano nauki w Wilnie i Krzemieńcu, zachowano statut litewski i urzędy sądowe zostawiono dla krajowców, pozwalając nawet przez wybory je obsadzać. Część urzędów administracyjnych także w polskich była rękach, a na najwyższe godności cesarz zwykle zaszczytnie znanych obywateli powoływał. Szlachta od podatków uwolniona z litością wzruszała ramionami, słysząc o ciężarach, jakie Napoleon w księstwie ponakładał. Tym sposobem jakby na dwa stronnictwa kraj zostawał rozbity.

Przy samym schyłku roku, Napoleon coraz wyraźniéj zaczął stwierdzać przekonanie, że pokój pod panowaniem jego niemożliwy. W lipcu jeszcze a nawet cokolwiek przedtém dwory hiszpański i portugalski ściągnęły na siebie niezadowolenie cesarza Francuzów. Pierwszy — ponieważ się wahał z wysłaniem posiłkowego, trzydziestotysięcznego korpusu, drugi — ponieważ nie zamknął portów swych dla angielskiego handlu. Niebawem téż trzydziestotysięczny korpus, pod dowództwem generała Junot wybrał się do Portugalii. Mimo trudów, niewygód i braku żywności, armia zbliżała się do Lizbony, a przestraszona familia królewska i znakomite rodziny ratowały się ucieczką. To ułatwiło opanowanie

i zajęcie kraju, a kiedy Junot w Portugalii gospodarował, Napoleon u stóp Pireneów sztyftował drugą i trzecią armią. 27 października podpisano w Fontainebleau traktat, mocą którego Portugalia ulegała podziałowi. Część jéj w zamian za Toskanią miał dostać król Etruryi, część przeznaczona była księciu Pokoju, pierwszemu ministrowi i faworytowi króla i królowéj hiszpańskiéj. Królewski dom Bragancyi został ogłoszony za pozbawiony tronu, a kraj musiał wypłacić Francyi sto milionów franków.

Kiedy podpisywano w Fontainebleau traktat co do Portugalii, w Hiszpanii tymczasem w rodzinie królewskiéj wybuchły familijne niesnaski, które wmięszanie się Napoleona w sprawy tego królestwa wielce ułatwiły. Król Karol V kazał aresztować następcę tronu Ferdynanda, księcia Austryi, zabrać jego papiery i przed Napoleonem skarżył się, jakoby syn wyrodny myślał o zabójstwie matki i zrzuceniu z tronu ojca. Współcześnie do dworu francuskiego udawał się także Ferdynand, zarzutom zaprzeczał, prosił o protekcyą i o rękę jakiéj księżniczki francuskiéj. Zdaje się, że ks. Pokoju, wszechwładny minister hiszpański i osobisty wróg księcia Austuryi intrygę tę uknuł. Bądź co bądź wszakże, Napoleon odebrawszy te listy nakazał, żeby armia do Hiszpanii wkroczyła. Nim jednak ruchy wojskowe się rozpoczęły, doniesiono, że zgoda na dworze hiszpańskim się ustaliła.

Wspominaliśmy już, że w pertraktacyach Tylżyckich myśl Napoleona podzielenia Europy na wschodnią i zachodnią rzuconą była, a choć — jak to się z dalszego toku wypadków okaże — nie chciał on Rosyi zupełnéj swobody na Wschodzie dozwolić, dla swoich wszakże widoków podburzał ciągle dwór Petersburski do przedsiębrania wojen. Tak wysłany generał Savary skłaniał Rosyą do odjęcia Szwedom Finlandyi, tak samo téż zawikłano ją w wojnę z Turcyą. Z drugiéj strony generał Sebastiani, poseł francuski przy sułtanie Selimie III, nakłonił go do odebrania władzy hospodarskiéj książętom Ypsilanti i Moruzzi w Mołdawii i Wołoszczyźnie dlatego tylko, że byli Rosyi stronnikami. Destytucya ta sromotna, wbrew traktatowi zawartemu w Jassach, była powodem, że generał Michelson na czele 40,000 wojska wkroczył do Turcyi i zajął Chocim i Bender. Współcześnie zaś admirał angielski Dukwart, wraz z Sieniawinem, zniszczył flotę turecką i Selima III z tronu zrzucono. Po pokoju Tylżyckim Rosya na swoję rękę musiała kampanią prowadzić i nie długo téż zawarto zawieszenie broni. Do pokoju jednak nie przychodziło, bo Napoleon słuchając podszeptów generała Sebastiani i podając ucha radom, aby upadającą Turcyą dla Francyi zhołdować, rozmaite stawił przeszkody.

Jeszcze w roku poprzednim, zaraz po wygranéj pod Jena, wydał Napoleon dnia 21 listopada 1806 roku dekret w Berlinie, stanowiący, że:

1. Wyspy Wielkiéj Brytanii są uznane w stanie blokady. Zabronione z niemi wszelkie stosunki handlowe a nawet listowne.

2. Każdy Anglik za jeńca ma być uważany.

3. Wszelka własność do Anglika należąca, tak ruchoma jak nieruchoma, poczytuje się jako zdobycz wojenna.

4. Również za zdobycz uważane będą wszelkie wyroby z fabryk angielskich pochodzące.

Ustawy te weszły w wykonanie we Francyi, Holandyi, Północnych Niemczech, krajach Związku Reńskiego, Szwajcaryi i całych Włoszech. W listopadzie zaś na mocy traktatu Tylżyckiego przystąpiły do nich Rosya i Prusy, po traktacie w Fontainebleau Portugalia i Hiszpania, a po doznaném bombardowaniu Dania. Tak więc handel dla Anglii otwarty był tylko w Szwecyi, Turcyi i Austryi. Z dwoma pierwszemi jednak Anglia prowadziła wojnę aż do traktatu w Tylży, a w Austryi i tak towary angielskie były zabronione. Podczas pobytu swojego w Medyolanie Napoleon jeszcze więcéj surowość blokady téj obostrzył. Nakazano mianowicie konfiskatę każdego okrętu, bez względu na jego flagę, jeśli do brzegów angielskich przybijał i tego któryby się rewizyi odbywanéj przez flotę angielską poddał. Pochodziło to ztąd, że Anglia porty francuskie w stanie blokady ogłosiwszy, wszelkiego do nich dowozu bez rewizyi i opłacania podatku nie dozwalała. Jako odpowiedź na postanowienia Napoleona w Medyolanie ogłoszone, zabroniła Anglia dowozić do portów, dla jéj handlu zamkniętych, towarów kolonialnych. Trudno sobie wyobrazić dzisiaj jakie skutki wynikły z takiego gnębienia stosunków handlowych. Jeszcze wówczas nie znano w Europie innego cukru, jak z Antyllów w melasie dostarczany i na rafineryach europejskich oczyszczany. Herbaty nie dowożono także przez Rosyą, oprócz tego farby do fabryk, specyfiki aptekarskie, bawełnę przędzoną, watę, wszystko to dostarczała Anglia i kiedy z początku nastąpiło tylko tych przedmiotów podrożenie, późniéj, kiedy wyczerpano zapasy, okazał się brak dokuczliwy. Jeszcze bez przedmiotów zbytku można się było obejść, ale najgorsza sprawa okazała się z lekarstwami. Starano się je zastępować rozmaitemi surogatami, jak: chinę—korą wierzbową, opium—ekstraktem z maku i liści szaleju i t. d. ale w skutkach okazało się to zgubném, a właściwe rezultaty wyszły na jaw właściwie dopiero w latach 1812 i 1813.

W lecie tegoż roku, przed pokojem jeszcze Tylżyckim, przybył do Bronic Jan hr. Krukowiecki, lwowianin i chociaż już nie pierw-

széj młodości, bo około czterdziestu lat wtedy liczył, wyszukany elegant. Służył on poprzednio w wojsku austryackiém i dymisyą, zdaje się w stopniu porucznika otrzymał. Charakteru popędliwego, miał wiele pojedynków i to prawdopodobnie jego wystąpienia ze służby było powodem. Z ojcem mym, który corocznie na kontraktach lwowskich bywał i zwykle po sześć tygodni tam bawił, dawną miał znajomość, prosił więc jak jego, tak i mego szwagra o listy rekomendacyjne do ks. Józefa i generała Michała Grabowskiego, żeby go do wojsk Księstwa Warszawskiego przyjęto. Bez żadnéj trudności je uzyskał, a że oficerów brak był wielki i że książę Józef wskutek dawnéj służby swojéj w wojsku austryackiém, wielką miał dla oficerów ztamtąd sympatyą, został więc zamianowany szefem batalionu w pułku Michała Grabowskiego.

I ojciec mój i szwagier żałowali późniéj, że się tego umieszczenia jego stali powodem, bo chociaż to był odważny, waleczny i dobry oficer, jednak z powodu jego charakteru kłótliwego miał Grabowski mnóstwo nieprzyjemności. Krukowiecki nawet właściwie był powodem śmierci Grabowskiego pod Smoleńskiem. Kiedy bowiem Grabowski szykował swe kolumny do szturmu i objeżdżał szeregi, Krukowiecki podówczas już pułkownik ozwał się:

— Generale, pokaż nam, stanąwszy na czele, jak się bez drabin i wyłomu na te mury wydostać. Nie, Garnizon to w Gdańsku, nie czekają nas jak tam ostrygi i wygodne bety niemieckie.

— Rozumie się, że na waszém czele — odpowiedział generał — daléj za mną! — i od pierwszego poległ strzału.

W kilka godzin zginął tu także powinowaty jego generał Kozen.

(*Dokończ. nastąpi*).

WPŁYWY GRECKIE

NA WYBRZEŻACH ZATOKI TARENCKIÉJ.

V.

Na północy zatoki Tarenckiéj morze ciasném przejściem wchodzi w głąb lądu, tworząc obszerne wewnętrzne jezioro, oddzielone od ogólnéj massy wodnéj długim i wązkim paskiem ziemi. Na téj ograniczonéj przestrzeni wznosi się dzisiejszy Tarent, ścieśniony w trzech ulicach, przy których wysoko jedne po nad drugiemi piętrzą się domy o rzadkich oknach i balkonach zakratowanych, złączone między sobą kamiennemi łukami. Na ulicach roi się ludńość krzykliwa i brudna jak wszędzie w południowych Włoszech, ale bardziéj niż gdzieindziéj wynędzniała i schorowana dla zupełnego braku powietrza i wyłącznie rybnych pokarmów. W „mare piccolo" jak nazywają część morza wgłębioną w ziemię od dawna już prowadzi się na wielką skalę hodowla ostryg i mięczaków, równocześnie zaś rybacy poławiają tam niezliczone mnóstwo owych „frutti di mare," które tak prześladują cudzoziemca na wszystkich włoskich wybrzeżach. Na przeciwnych końcach przesmyku dwa silne bastyony strzegą miasta, które aż do wzięcia Algieru przez Francuzów żyło w ciągłéj obawie piratów—z czasem zapewne fortyfikacye te przybierą nieskończenie szersze rozmiary, jeśli rząd włoski uskuteczni swój wspaniały choć bardzo kosztowny zamiar zrobienia z Tarentu pierwszorzędnego portu wojennego, podobnie jak nim jest Spezzia. W istocie *mare piccolo*, zdolne pomieścić całą flotę, stanowi naturalny port największy i najbezpieczniejszy na morzu Śródziemném.

We Włoszech całych niewiele jest krajobrazów, od tego piękniejszych. Z dwóch stron morze go ujmuje w szafirowe ramy, w głębi za tło mu służy płaszczyzna podnosząca się ustępami coraz

wyżéj, w części opustoszała i tylko chwastem i wrzosami zarosła, w części, w mniejszéj połowie urozmaicona wesołemi wioskami, naokoło których zielenieją zbite gęstwiny mirtów, gaje pomarańcz i migdałów—winograd pnie się po urwiskach i murach, a czasem ponad otaczającą zieleń wzbija się lekko wachlarz palmowy. Ostatni plan widnokręgu zamknięty jest łańcuchem gór, które się tu rozdzielają na dwie gałęzie opasujące zatokę. Pomiędzy nagiemi szczytami i urwiskami dzikiemi toczą się z łoskotem po skałach te „fiumare“ kalabryjskie, suche latem, w porze deszczów roznoszące szeroko do koła zniszczenie nawałem wód, i dotychczas jeszcze wzbudzające w mieszkańcach taki sam przestrach zabobonny, jak wtenczas, gdy pod postacią byków wściekłych, ryjących ziemię rogami, oddawano im cześć boską i łagodzono gniew ich ofiarami.

Początki osady greckiéj w Tarencie, jak wszystkich innych w Italii, podanie odnosi do przybyłych tu w bardzo odległéj epoce Greków z Krety, splatając z niemi bogów i mitycznych bohaterów, z których główny, po rozbiciu swego okrętu, miał tu przypłynąć na grzbiecie delfina. Godłem miasta w związku z tym mitem, była postać młodzieńca, niosącego przez morze na delfinie trójnóg Apolina dalekim lądom. Jak zwykle, w podaniu tém może tkwić cząstka prawdy;—istnienie osady dawniejszéj i może w istocie greckiéj, w tak ważnym i wygodnym punkcie, zdaje się więcéj niż prawdopodobnem; historycznie stwierdzoną jednak jest dopiero emigracya doryjska, która tu siedzibę obrała w kilka lat po założeniu Sybaris i Krotony (707). Emigracya ta składała się z nieprawych synów niewiast lakońskich, którzy się urodzili podczas długoletniéj nieobecności ich mężów na wojnach Messeńskich. Rząd wprawdzie uprawnił ich położenie zarówno w rodzinach jak i w państwie, oczywiście jednak nie widziano ich chętném okiem, a gdy jeszcze nie udała się im próba pochwycenia gwałtem władzy w swoje ręce, zmuszono ich szukać sobie nowéj ojczyzny. Przynieśli do niéj rodzinne swe tradycye, arystokratyczny ustrój państwowy, wytrwałe męstwo i energię—zalety niezbędne wśród warunków, w jakich się znaleźli.

Warunki były trudne. Messapijskim i Salentyńskim plemionom, zajmującym równinę i góry w okolicy Tarentu, daleko było do miękkiéj dobroduszności Enotryjczyków, których Sybaryci i Krotończycy opanowali tak łatwo. Trzeba było z niemi krwawo walczyć o każdą piędź ziemi, a kiedy wreszcie po dwu wiekach walki rozegrał się jéj akt ostatni i wahające się aż do końca zwycięztwo stało się udziałem Tarentczyków, forma rządu zwycięsców musiała się zmienić na demokratyczną, bo wszystkie wielkie rody wyginęły na placu boju. Na pamiątkę dwóch ostatnich kampanii, które w ich

ręce oddały władzę nad całą południowo-wschodnią stroną półwyspu, Tarentczycy ofiarowali świątyni Delfickiéj najprzód konie i statuy niewolnic z bronzu, późniéj wielką grupę hoplitów messapijskich, walczących nad ciałem swego poległego króla z Tarentczykami, na których czele stali ich dwaj założyciele, mityczny Tazas i przywódca Lakończyków Falantos. W ogóle nabożeństwem do boga delfickiego odznaczał się Tarent, może dlatego, że wedle podania synowie Apolina pierwsi z Greków przybyli na te wybrzeża.

Ze zwyciężeniem Messapijczyków, Tarent doszedł do kulminacyjnego punktu szczęścia i potęgi. Siły żywotne Greków italskich, wyczerpujące się już na południu, skupiły się w tym zakątku najbardziéj oddalonym od wrogich wpływów. Półwysep Japigijski, owładnięty przez Tarentczyków, dostarczał w obfitości produktów rolnych i dobrego żołnierza armiom, wojenne okręty Tarenckie napełniały całe morze Jońskie i Adryatyckie, utrzymując na nich ścisłą policyę; przemysł był czynny, handel rozszerzył się po dalekich morzach, monopolizując zupełnie Adryatyk. Z upadkiem Sybaris i osłabieniem Krotony nieszczęśliwemi walkami z Bruttium i tyranami Syrakuzy, wpływ Tarentu rozciągnął się na całą wielką Grecyę i hegemonia jego uznaną została przez wszystkie miasta południowo-italskie. Równocześnie poddawały się jéj tuziemne ludy Apulii, wiążąc się w federacyę pod przywództwem Tarentu i opieki jego potężnéj używały osady greckie na środkowych i północnych wybrzeżach Adryatyku, *Ankona* doryjska i *Hadrya* przy ujściu *Po*. Rząd prowadził rozumną i oględną politykę, jednając sobie podbitych tuziemców łagodnością i powolném przypuszczeniem do praw i interesów stolicy. Utrzymując stosunki przyjazne z tyranami Syrakuzy, którzy coraz bardziéj naciskali bliższe Sycylii osady greckie, wpływami swemi starał się nieraz uzyskać dla tychże zwolnienia i ustępstwa. Wtedy to (w początkach IV w.) równocześnie z młodszym Dyonizyuszem w Syrakuzie, wpływ przeważny na rządy Tarentu zaczął wywierać pitagorejczyk *Archytas*, przyjaciel Platona, twórca mechaniki i najznakomitszy swojego czasu astronom i matematyk. Podobnie jak Perykles w Atenach, bez urzędowego stanowiska, jedynie siłą wymowy, patryotyzmem, cnotą i wyższemi zdolnościami potrafił stanąć na czele zewnętrznych i wewnętrznych spraw swego kraju, ulepszając prawa i zwyciężając nieprzyjaciół. „Zdawać się wówczas mogło, że Włochy znalazły pana i że panem tym nie będzie Rzym, który się zaledwie podnosił z klęski, doznanéj od Gallów i którego potęga nie mogła jeszcze była przejść ciasnego koła, w którém rozwijała się z trudnością“ (1).

---

(1) Lenormant, la Grande Grèce, I, 36.

Ale podobnie jak w Sybaris i Krotonie, to szczęście tak wielkie niosło w sobie czynniki upadku. Bogactwa niepomierne, jakie Tarentczykom przynosił handel, zwłaszcza po upadku Sybaris, wywołały szalony zbytek i zniewieściałość. Ze śmiercią Archytasa, miejsce dawnych doryckich cnót obywatelskich zajęło zamiłowanie w teatrze i wyścigach, w biesiadach wytwornych, w elegancyach złotem i srebrem litéj odzieży, w rozpuście, któréj pomagał słynny rynek niewolników. Długo jeszcze na zewnątrz świetność i przewaga Tarentu pozostają niezmienne, nie zmniejsza się handel, bogactwo, teorytoryalna potęga—ale już jedne za drugiemi psują się wewnętrzne czynniki organiczne, już usuwają się podstawy, na których dotąd opierał się byt miasta, już obywatele jego zapominają o sławie wojennéj ojców i wolą opłacać najemników, żeby ich bronili; już bliską chwila, gdy dla ocalenia bytu, Tarent będzie musiał używać fatalnéj pomocy książęcych kondotierów z Lacedemonii i Epiru i wybierać między ich tyranią a obcem jarzmem.

Don-Kiszot unieśmiertelnił tę epokę na schyłku wieków średnich, gdy duch rycerski i awanturniczy, niespodzianie rozbudzony na nowo, stwarzał całe zastępy błędnych rycerzy i książąt bez ziemi, szukających po świecie państw i sławy, a znajdujących zazwyczaj tylko guzy. Nic ciekawszego od takich postaci np. jak ów Władysław Biały, przez tyle lat wikłający dzieje polskie, albo owe wyprawy „krzyżowe“ z Anglii i Francyi na pomoc Teutońskim rycerzom, walczącym z ochrzczonemi Litwinami i Polską. Wskrzeszanie gorączkowe epoki dawno umarłéj,—zapalanie się na zimno do ideałów, unoszących za sobą niegdyś tłumy, wyzyskiwanie tych ideałów na własną korzyść z przewrotną rachubą—świadkiem „wzór paladynów“ „najpierwszy z europejskich rycerzy“ Zygmunt Luksemburski—to charakterystyczne cechy czasów tych i ludzi.

Jakkolwiek zakrojona na nieskończenie szerszą skalę, epoka Aleksandra Macedońskiego ma z XIV i XV w. wiele podobieństwa. Jak tam przygody Normandów i wyprawy krzyżowe, tak tu walki bohaterów Iliady są wzorem, a czasem pretekstem dla mnóstwa ludzi niespokojnych i ambitnych, dla małych królików górskich, którym się przykrzyło stada paść na rodzinnych urwiskach, albo tych biednych książąt spartańskich, wiecznie spiskujących bezowocnie i wypędzanych z ojczyzny. Dla wszystkich ostrogą było bajeczne opanowanie państwa Achemenidów aż do najdalszych krańców Wschodu przez szczupłą garstkę wojska pod przywództwem spragnionego przygód młodzieńca. To co się jemu udało, dla czegóż nie miałoby się stać i ich udziałem? Wschód był zamknięty, wszystkie oczy i żądzę zwróciły się ku Zachodowi, ku téj Italii południowéj, którą łą-

czyły stałe interesa i stosunki z całą Grecyą, a wewnętrzne niepokoje i zawikłania dawały ciągłą sposobność mieszania się do jéj spraw.

Była to chwila, gdy walczące z hellenizmem żywioły tak się wzmogły, że pokonawszy bliższe sobie osady były już w stanie się zwrócić przeciw Tarentowi. Mieszkańcy Bruttium zalewali Krotonę i Caulonię, Lukańczycy opanowali z jednéj strony całe greckie wybrzeże morza Tyrreńskiego i rzucili się na Tarentczyków, wywołując równocześnie powstanie plemion Messapijskich zależnych od Tarentu i odrywając sprzymierzoną z nim Apulię. Za chwilę miał na północy zjawić się wróg jeszcze straszniejszy. Opanowawszy Samnitów, przez Apulię zbliżał się Rzym.

Czasy, w których cała arystokracya tarencka dawała się zabijać w obronie ojczyzny, dawno już minęły. Naciśnięci ze wszystkich stron, Tarentczycy szczęśliwemi się czuli, znajdując płatnych obrońców, którzy korzystali z pretekstu, żeby pracować dla własnych celów i ambicyi, i poskramiając wrogów Tarentu, równocześnie ujarzmiać jego mieszkańców. Cały téż stosunek owych zamorskich wodzów z Tarentem, polega na grze w zręczniejszego i oszukiwaniu wzajemném, pod pozorami serdecznéj przyjaźni. Król epirski, Aleksander Moloss, wuj swego macedońskiego imiennika, wezwany przez Tarentczyków dla ocalenia ich i wszystkich Greków italskich od brutyjskiéj i lukańskiéj powodzi, zaczął od próby zdobycia i obsadzenia swą załogą sprzymierzonego z Tarentem Brentesionu, a następnie opanował tarencką mennicę i jak prawdziwy monarcha wybijał w niéj złote i srebrne monety ze swém popiersiem. Gdy zaś wskutek podobnych przedsięwzięć, gotujących tyranię, Tarentczycy stali się bardziéj jeszcze ostrożnemi i niechętnemi, zerwał z niemi, kolonię ich Herakleę ogłosił niepodległą i punkt środkowéj ligi grecko-italskiéj z Tarentu przeniósł do Turyów. Walki jego z wrogami Greków miały świetne powodzenie—nietylko odebrał im greckie podboje, ale wdarłszy się na pierwotne ich terytorym, pomiędzy góry, opanował najważniejsze miasta i fortece i tylko śmierć w bitwie pod Pandosią przeszkodziła mu urzeczywistnić śmiały zamiar utworzenia wielkiego królestwa grecko-italskiego.

Gorszym był inny awanturnik, książę lacedemoński Kleonim, który z 5.000 hoplitów przybył bronić Tarentu od Lukańczyków, na nowo zaczynających walkę nie bez tajnego udziału Rzymu. Dowódca zręczny i śmiały, zwyciężył szybko nieprzyjaciół, ale zaraz potém, zruciwszy maskę cnoty spartańskiéj, opanował swemi żołnierzami fortecę Tarencką, rozpędził rząd i rozpoczął tyranię. Później korzystając z jednéj z jego wypraw, Tarentczykom udało się wyswobodzić, ale

ich sprzymierzeniec dawny długo jeszcze pozostał postrachem wszystkich italskich Greków. Łącząc się w razie potrzeby z Lukańczykami dla wspólnéj grabieży, napadał niespodzianie na miasta greckie i łupił je w straszny sposób, zabierając nieraz oprócz okupu pieniężnego po kilkaset młodych dziewcząt dla własnego haremu i dla żołdactwa. Wpadały mu tak w ręce kolejno Metapont, Tropaia, Korcyra i Turye, gdzie zrobił sobie punkt środkowy rozbójniczych operacyj, póki Rzymianie, dotychczas spokojni świadkowie, nie uznali, że dojrzała już chwila interwencyi i nie wypędzili go z tego ostatniego miasta, występując w ulubionéj swéj roli protektorów miast greckich.

Postawionym był w ten sposób pierwszy krok na drodze, na któréj niebawem musiała nastąpić kolizya rzymskich interesów z tarenckiemi. Rzymianie dążyli do opanowania zatoki, którą Tarent przywykł od czasu swéj hegemonii uważać za wyłączną własność. Łamiąc traktat handlowy, wzbraniający ich okrętom przechodzić po za przylądek Lacyński, Rzymianie pomimo protestacyi tarenckich wysłali całą flotyllę do Turyów i w końcu przywłaszczyli sobie policyę i straż zatoki. Wtedy w Tarencie obudziło się na chwilę dawne patryotyczne uczucie. Kiedy raz w dniu świątecznym lud był zebrany w otwartym amfiteatrze podczas przedstawienia jednéj z ulubionych sztuk komicznych, z wyższych stopni ujrzano na morzu dziesięć okrętów rzymskich, podpływających w wojennym rynsztunku pod same mury miasta, jakby z umyślném wyzwaniem. Wielki krzyk oburzenia rozległ się w teatrze. Jedną olbrzymią falą rzuciła się cała masa ludzi ku morzu i na kilku triremach pod rozkazami na prędce znalezionych dowódców rozbiła niezwłocznie rzymską flotę, zatapiając lub opanowując połowę statków, podczas gdy druga spiesznie musiała ratować się ucieczką. Zaraz potém, pod wpływem pierwszego powodzenia, posłano wojsko do Turyów dla wypędzenia ztamtąd rzymskiéj załogi. Oczywiście odpowiedź Rzymian nie kazała na siebie czekać. Na dumne żądanie zadośćuczynienia i kar surowych dla winowajców, senat tarencki odpowiedział spokojnie i z powagą posłom rzymskim, że walki nie pragnie, ale od traktatów i praw swoich nie odstąpi, na zebraniu zaś ogólném w amfiteatrze, gdzie lud miał niejako w ostatniéj instancyi wydać wyrok, namiętności rozbudzone wyraziły się obelgami, zapewne powiększonemi przez historyków rzymskich. „Śmiejcie się teraz: wasza krew zmyje tę obrazę!" miał zawołać wychodząc przywódca poselstwa—L. Postumiusz, którego licha greczyzna nie znalazła powodzenia u słuchaczów.

Zapominając o długoletnich walkach, dla obrony przeciw Rzymianom połączyły się z Tarentem i innemi italsko-greckiemi miastami wszystkie owe straszne niegdyś plemiona brutyjskie, lukańskie, samnickie, dziś już pod północnym naciskiem osłabłe znacznie. Z obydwu stron rozumiano dobrze cel i przewidywano skutki tego starcia, oczekiwanego oddawna z potęgą, która, według wyrażenia zastosowanego do wiele mniejszych czasów i ludzi, pochłaniała po jednym listku włoskiego karczocha. W samym początku starcia fortuna Rzymu odniosła zwycięstwo i za rozbitemi wojskami sprzymierzeńców żołnierze rzymscy weszli do Lukanii.

Na wieść o porażce, w Tarencie nastąpiło równie szybkie zniechęcenie i upadek wiary w możebność obrony, jak gwałtownym był przedtem wybuch patryotycznéj odwagi. Pomimo świeżych jeszcze doświadczeń tłumy wołały głośno o przyzwanie na pomoc obcego wodza, dawnego sojusznika Tarentu, Pirrusa z Epiru. Darmo rozsądniejsi przypominali smutną pamięć Kleonima i Aleksandra, a jeden z wpływowych mieszkańców miasta zjawił się w teatrze uwieńczony kwiatami w towarzystwie lutnistki, wołając: „bawmy się, bo gdy Pirrus nadejdzie, nie będzie już to możliwém"—ogólnego prądu nie można było wstrzymać. Królowi Epirskiemu przyobiecano wystawić blisko czterykroćstotysięczną armię i już w następnym roku ujrzano go w murach Tarentu. Pierwszą jego czynnością było zaprowadzenie tyranii. Rząd został usunięty, teatr, pod pozorem wyrwania Tarentczyków z ich z niewieściałości, zamknięto, kładąc w ten sposób tamę równocześnie i ludowym zebraniom. Pod tym samym pozorem zniesiono *syssytie*, uczty publiczne, na których codziennie mówiono o sprawach państwa. Równocześnie żołdactwo epirskie bezkarnie plądrowało w mieście, popełniając wszelkie gwałty, a tych wszystkich, którzy probowali skarżyć się lub opierać, zmuszano do ucieczki z miasta. W końcu, straciwszy lekkomyślnie całą prawie armię, ukoronowany awanturnik poszedł szukać nowych przygód w Epirze, na łasce zwycięzców zostawiając Tarentczyków pomimo świetnych obietnic i zrzucając na nich winę własnego niepowodzenia. Rzymianie popierają to świadectwo, w jaskrawych barwach malując tchórzostwo i miękkość swoich przeciwników. Zdaje się jednak, że z obudwu stron źródło i bezstronność zarzutów dość są podejrzane. Odpowiedzią na nie jest odwaga Tarentczyków w bitwie pod Ausculum, w któréj ich białe tarcze przodowały armii całéj, a po usunięciu się Pirrusa z placu boju, zacięty i mężny opór stawiany Rzymianom aż do końca, dopóki zdrada epirskiego komendanta miasta nie wydała Tarentu w ręce Rzymian. Zdaje się jakby w ostatnich chwilach istnienia politycznego obudziły się w Tarencie jego dawne

dorycKie cnoty obywatelskie, nadając mu w chwili zgonu tragiczny majestat, jakiego nie mają upadające miasta achejskie.

„Zwyciężywszy Tarent, na cóż nie można było się ważyć?!“

Frazes ten historyków rzymskich jest wymownem świadectwem stanowiska, jakie zajmowało zwyciężone miasto, znaczenia, jakie do jego opanowania przywiązywali zwycięzcy. Odbiło się ono silnie na Rzymie i na całych Włoszech. Bogactwo zdobyczy było tak niezmierne, że kurs złota i srebra nagle spadł na całym półwyspie. Senat rzymski wtedy dopiero zdecydował się na wybicie po raz pierwszy monet srebrnych, odbierając natomiast to prawo wszystkim miastom zależnym od siebie. Tarent odtąd musiał zaprzestać wybijania słynnych *didrachmów* srebrnych rozpowszechnionych po całych Włoszech i Adryatyku, ograniczając się wyłącznie do zdawkowéj monety miedzianéj.

Panowaniu Greków na południu Włoch zajęcie Tarentu położyło kres na całych dziesięć stuleci. Jak w ostatniéj fortecy skupiły się tam wszystkie siły żywotne hellenizmu italskiego, zwyciężonego kolejno przez wrogie im żywioły na wszystkich innych stanowiskach: — ze zgaśnięciem tego ogniska, rozproszone pierwiastki nie miały już się nigdy skupić na nowo. Długo jeszcze żywioł grecki przedłuża swe istnienie w pojedyńczych punktach — ale istnienie to bezsilne, przytłumione, dające tylko sporadycznie znaki życia.

Polityka Rzymian, bardzo zręczna i konsekwentna, od początku już zagrodziła drogę wszelkiemu połączeniu i jednomyślności, starając się wewnątrz każdego miasta i pomiędzy miastami wywołać nieustanne ścieranie się wzajemnych interesów. Z nieporównanym sprytem umieli Rzymianie wyzyskiwać walkę stronnictw, rywalizacyę szczepową, nienawiść wspólną Greków do Kartaginy. Każde miasto dostawało inne prawa, kolonie ostentacyjnie uprzywilejowano wyżéj od ich metropolii — rachuba jak się pokazało niemylna, arystokratyczny żywioł obdarzany szczególnemi względami stawał się wszędzie czynnikiem służącym wiernie Rzymowi wbrew interesom ojczystym. Wreszcie zastosowanie zręczne szali łask i swobód do stopnia uległości dla Rzymu stało się najczęściéj potężnym motorem popychającym Greków do stóp zwycięzcy.

Ciekawem jest widzieć, jak niedługo po jednomyślnem połączeniu do wspólnéj walki przeciw Rzymowi, miasta greckie rozchodzą się w swoich drogach, rządząc się wyłącznie egoistycznym interesem i chwilową korzyścią zarówno w stosunku do Rzymian jak i między sobą. Niektóre z nich jak Metapont stają otwarcie po stronie Kartagińczyków podczas wojny punickiéj, podczas gdy inne bronią sprawy rzymskiéj wtedy nawet, gdy ich Rzymianie sami zwalniają

z przysiąg. Z bohaterstwem godném bardziéj patryotycznego celu mieszkańcy Petelii, opuszczeni od zgnębionego Rzymu, patrzą niewzruszenie na mord swoich żon i dzieci pod murami miasta, giną powolną śmiercią z głodu i oddają wreszcie nieprzyjacielowi nie miasto ale wielki grobowiec. Z mniejszém poświęceniem i większą dbałością o własne bezpieczeństwo idą za ich wzorem z Rzymianami liczne inne miasta italo-greckie.

Tarentowi nowi jego panowie pozostawili dawne prawa i cień samorządu, odebrawszy mu wraz z ogromną kontrybucyą broń i okręty. Mury obronne zrównano z ziemią a na akropolu stanęła rzymska załoga. W pierwszéj wojnie punickiéj Rzymianie pozwolili znów Tarentczykom odbudować sławne ich galery, i jako sprzymierzeńcy morscy, doskonali marynarze greccy stali się wielką pomocą przeciw znienawidzonemu wspólnie od Greków i Rzymian wrogowi. Była to niejako wojna narodowa wszystkich mieszkańców półwyspu. Inaczéj się stało w drugiéj wojnie. Coraz cięższéj gnębiące jarzmo Rzymu spróbowały odrazu zrzucić niektóre miasta, łącząc się z Hannibalem. Tarent, pomimo świeżych wspomnień swobody i czynionych przez Hannibala obietnic jéj powrotu, nie mógł w początkach odważyć się na przymierze, po tylu wiekach zajadłéj rywalizacyi na morzu i lądach wydające się Grekom czémś potworném. Dopiero okrutne morderstwo zakładników tarenckich w Rzymie rzuciło Tarent na stronę Kartagińczyów. Hannibal dopełnił obietnicy, a korzystając z odzyskanéj na krótko niezależności, miasto pospieszyło bić na nowo złote i srebrne monety, które musiały rozejść się szeroko po świecie, skoro około 200 r. przed Chr. mieszkańcy dzisiejszego Amiens w Galii, zaczynając bicie złotych monet, za wzór sobie wzięli pieniądze Tarentu, zaniesione tam zapewne przez wracających z wojny najemników Hannibala.

Przez trzy lata Tarent służył za miejsce zaopatrywania się w żywność dla wojsk kartagińskich, podczas gdy w fortecy utrzymywał się rzymski oddział. Nareszcie zdradą Brutyjczyków, należących do załogi miejskiéj, otwarto jednéj nocy bramę Rzymianom, w chwili gdy wojsko tarenckie odpierało wycieczkę załogi forteczněj. W ciasnych ulicach miasta rozpoczął się bój długi na życie i śmierć. Wojsko Fabiusza, dowodzącego Rzymianami, zdobywać musiało oddzielnie każdy dom, każdą piędź ziemi. Na wysokości Saguntu i Kartaginy stanął Tarent w téj ostatniéj walce, bez nadziei. Dopiero gdy wybito ostatnich żołnierzy i zdatnych do obrony mieszczan, mogło żołdactwo rozpocząć rabunek. Chroniąc się od zniewagi, dziewice strzegące świątyni Ateny rzucały się z jéj dachu na ziemię. Senatorów smagali rózgami i ścinali liktorowie; trzydzieści tysięcy obywa-

teli sprzedano jako niewolników, resztę wygnano lub przesiedlono do Etruryi. Wraz z częścią zdobyczy, zatrzymaną, przez skarb i wynoszącą 3,000 talentów srebrnych (rzeczywistéj wartości około 30 milionów rs.), przeniesiono do Rzymu skarby sztuki, jak słynnego Herkulesa rzeźbionego przez Lizyppa i Wiktorię, z czasem najpiękniejszą ozdobę Curia Julia. Tylko kolosalny Zeus Lizyppa, na 40 łokci wysoki, musiał dla braku środków przeniesienia go pozostać na miejscu i powodowany zabobonem, Fabiusz wzbronił zabierać wszystkie posągi bogów, wystawionych w zagniewanéj postaci.

Po kilku miesiącach gwałtów i prześladowań, Fabiusz uznał wreszcie karę za wystarczającą i na jego wstawienie się wrócono Tarentowi stanowisko sprzymierzonego miasta, zachowując w niém jednak pretora i silną załogę. Oprócz tego przez długie lata całą młodzież miejską pod pretekstem służby wojskowéj trzymano zdala od ojczyzny—ostrożność zbyteczna, bo miasto wyludnione do szczętu prawie, nie było już zdolne zamarzyć nawet o wolności. Dzieje jego odtąd przestają mieć jakikolwiek interes. Jedno tylko zasługuje na uwagę. Pomimo zgnębienia żywiołu greckiego przez Fabiusza, pomimo przysyłanych tu kolejno kolonii rzymskich—*Colonii Neptunii* za Kajusa Gracha i kolonii weteranów za Nerona, miasto pozostało greckiém przez czas długi, tak, że za Augusta jeszcze Strabon zalicza je wraz z Neapolis i Rhegion do jedynych miejsc na półwyspie, w których hellenizm utrzymał się w całéj swéj czystości.

Za następnych cesarzy, sądząc z epigrafiki ówczesnéj, latynizacya Tarentu szybko poszła naprzód. Późniéj w wirze ścierających się z sobą żywiołów, wraz z innemi prowincyonalnemi miastami mienia panów i Otranto, przechodząc kolejno od Gotów do Greków, od Greków do Lombardów i napowrót do Greków, aż póki wielka nawałnica muzułmańska wstrzymana na czas jakiś przez byzantyńskich cesarzów i wodzów, nie zalała w początku X w. całego Japygijskiego półwyspu i nie zrównała z ziemią dawnego Tarentu, którego mieszkańców wyrznięto lub uprowadzono do Afryki w niewolę. Dopiero w czterdzieści lat późniéj cesarz Nicefor Fokas postanowił odbudować miasto, nie chcąc zostawić tak ważnego strategicznego i handlowego punktu opuszczonym. Na skale, na któréj niegdyś wznosił się akropol, stanęło nowe miasto w całości zbudowane ze starożytnych ruin, których zniszczenie zupełnie w ten sposób się tłumaczy. Odtąd na nowo greckie wyłącznie Otranto pozostało wierném swoim byzantyńskim panom i mężnie odpierało przez długi czas nacisk Normandów, póki go wreszcie niezdobył Robert Guiscard w drugiéj połowie XI w. wprowadzając za sobą łaciński rytuał i nieprzyjazny hellenizmowi żywioł polityczny i cywilizacyjny.

VI.

Ten sam fatalizm dziwny, który tak zupełnie zatarł ślady miast greckich na półwyspie Italskim, zdaje się ciężyć i nad szczątkami ich umysłowéj i artystycznéj kultury. Z podania tylko wiemy o mędrcach i uczonych, któremi przez parę stuleci jaśniała szkoła pitagorejska w Wielkiéj Grecyi. Szkoła lekarzy krotońskich słynęła szeroko w najdalszych zakątach świata greckiego: — jednym z jéj głównych przepisów było wyrabianie sił za pomocą ćwiczeń gimnastycznych. Jéj założyciel Alkmajon pierwszy w starożytności zaczął za pomocą sekcyi anatomicznych na zwierzętach badać tajemnice organizmów żyjących i w *Traktacie o naturze rzeczy* próbował oprzeć swój system leczniczy na ogólnych prawach fizyki i kosmografii. Ziemie Tarentu obfitowały w poetów. Jeden z nich—Leonidas, zmuszony szukać schronienia w Grecyi po upadku ojczyzny, kazał pisać na swym grobowcu: „Leżę bardzo daleko od ziemi italskiéj i od Tarentu, mojéj ojczyzny, i to mi cięższe od śmierci!“ Pomiędzy jeńcami, uprowadzonemi z Tarentu przez Rzymian, znajdowało się dziecię, które w niewoli wyrosło i przejęło mowę łacińską. zachowując wrodzony geniusz swojego szczepu. Był to Livius Andronicus, twórca poezyi dramatycznéj, nieznanéj przedtém w surowym i lekceważącym sztuki wyzwolone Rzymie. Niedługo potém w okolicach Tarentu przychodził na świat Ennius, który miał pierwszy obdarzyć Rzym epopeją. W ten sposób zwyciężeni cywilizowali zwycięzców.

Widzieliśmy już jak niewiele zabytków architektury grecko-italskiéj doszło naszych czasów. Trzy świątynie z Poseidonii-Pestum, jedna kolumna i fundamenta gmachu na przylądku Lacyńskim, trochę głazów niekształtnych w Cumae. To samo da się powiedzieć o rzeźbie. Wiemy że zdawna kwitła w Krotonie, że późniéj słynną była w Heraklei i Tarencie — podczas jednak gdy imiona licznych filozofów, poetów dramatycznych i muzyków tego miasta przeszły do potomności, imiona rzeźbiarzy zaginęły. U wielkich mistrzów doryckich Tarentczycy zwykli byli zamawiać kolosalne grupy marmurowe i pojedyńcze posągi, których sława doszła do nas w podaniu. Opierając się na tém p. Lenormant przypuszcza, że szkoła plastyczna w Tarencie miała charakter dorycki i przypisuje jéj wpływ na inne części Wielkiéj Grecyi. Z trzech najwybitniejszych okazów jakie do nas doszły, wysnuwa istnienienie trzech odrębnych epok w rozwoju plastyki. Bronzowa noga rycerza, z początku V w. delikatném modelowaniem i wyrobieniem nosi podług niego też same

cechy, jakie odznaczają statuy z Eginy. W oddziale bronzów neapolitańskiego *Museo Nazionale* znajduje się pod nazwą Platona głowa z zatraconego posągu, wbrew zdaniu większości archeologów, którzy w niéj widzą Bachusa, przypisywana Poseidonowi przez p. Lenormant. W głowie téj, jednym niewątpliwie z najpiękniejszych utworów plastyki na półwyspie, z wybitnie greckim charakterem, widzi uczony francuski punkt kulminacyjny rozwoju i wielkości sztuki italsko-greckiéj w połowie V w., dowodząc za pomocą złotego numizmatu tarenckiego pochodzenia jéj z miasta, które Poseidona, jako ojca mitycznego swego założyciela Tarasa, wybijało na swych monetach (1). Do końca IV w. wreszcie odnosi p. Lenormant znalezioną między Metapontem a Tarentem statuetkę rycerza w zbroi, pełną podług niego szlachetnego wdzięku i zapewne poprzedzającą bezpośrednio upadek sztuki plastycznéj w Tarencie.

W poszukiwaniach archeologicznych, prowadzonych przez rząd na miejscu gdzie się znajdowała tarencka *agora*, oraz na cmentarzu starożytnym w Murivetere pod Tarentem, znajdują znaczną ilość zabytków, które na nieszczęście rozpraszają się po prywatnych zbiorach i antykwarniach. Wobec małego dziś interesowania się kulturą Wielkiéj Grecyi, handel neapolitański starożytnościami podaje zazwyczaj za greckie piękne dzieła helleńskiéj sztuki z Włoch południowych i nawet antykwaryusze greccy, jadąc na wielki artystyczny rynek w Paryżu, mają zwyczaj uzupełniać w Neapolu i Rzymie swoje zapasy. Terracotty italsko-greckie a specyalnie tarenckie odznaczają się rozwojem motywów ornamentacyjnych, zwłaszcza w ubiorze włosów na głowach w teatralny sposób wielkiemi dyademami z kwiatów i liści. Upodobanie wykwintu greków italskich odbija w tém wyraźnie.

Malarstwo ceramiczne rozwinięte było na południu Włoch zarówno jak w całéj Grecyi. Ma ono kilka typów odrębnych, odróżniających naczynia pochodzące z *Lokrów*, z *Kum*, z miast achejskich z głównem ogniskiem w Krotonie, i z Tarentu, z którym p. Lenormant łączy urny znalezione w Apulii i w Bazylikacie. Te ostatnie odznaczają się od innych zarówno wielkiem bogactwem ornamentacyi jak obfitością przesadną haftów i klejnotów na przedstawianych postaciach. Zamieszczone na nich sceny komiczne, odróżniające się od obrazów, zaczerpniętych z komedyi ateńskiéj i sycylijskiéj na

---

(1) Burchard jednak wraz z innemi archeologami odnosi tę głowę do połowy IV wieku. I rzeczywiście obok niepospolitéj majestatyczności, siły i powagi jest w ekspresyi pewna tkliwość prawie miękka, która nie zdaje mi się licować z nastrojem wcześniejszéj epoki.

innych zabytkach, rzucają ciekawe światło na charakter i ulubione temata teatru tarenckiego. Są to najczęściéj trawestacye historyi bogów i bohaterów, przedstawionych w podobny sposób jak w Offenbachowskim Orfeuszu i Pięknéj Helenie. Tak rodzaj poliszynela cwałującego w grubéj czapce futrzanéj na wielkiéj rybie, gra rolę bajecznego Icadiosa, przypływającego ku italskim brzegom na grzbiecie delfina. W równie komiczném świetle przedstawione są miłosne przygody Zeusa i Dyonizosa. Apollon pytyjski wyobrażony jest jako szarlatan, otwierający budę swą w Delfach i próbujący leczyć ze ślepoty Cheirona. Niewiele lepiéj wygląda wracający z wyprawy Herakles. Oczywiście wszystkie te karykatury odnosić się muszą do trywialnych i wesołych fars teatralnych, w których się kochali tarentczycy. Nie przeszkadzało zresztą teatrowi ich owo lekkie traktowanie mieszkańców Olimpu stanowić część religijnego kultu.

Z pomiędzy licznych monet, jakie z różnych miast italsko-greckich i z różnych epok ich rozwoju dochowały się naszych czasów, tarenckie stoją na czele swą pięknością i doskonałością wyrobu. Wedle słusznéj uwagi p. Lenormant, nie dochodzi się do tak wysokiego rozwoju w rytownictwie monetarném, nie mając równocześnie znakomitego wykształcenia w rzeźbie. Pyszne klejnoty i wieńce złote, znajdowane w Tarencie i pobliskich mu terytoryach, świadczą o niepospolitem wyrobieniu i wytworności złotnictwa. Niektóre z tych wieńców, znalezione w grobowcach, składają się z listków złotych, naśladujących liść bobu. Była w tém myśl symboliczna pośmiertnego odradzania się, ile że w mysteryach Wielkiéj Grecyi bób uchodził za symbol płodności. Uważano go z tego powodu za nieczysty i naśladując Egipcyan Pitagoras wzbronił swoim uczniom używać go do pokarmu lub mieszać z *panspermią*, wywarem wszystkich ziarn, które w każdym domu w odrębnym poświęconym tyglu gotowano na posiłek dla zmarłych.

Myśl o nieśmiertelności duszy owiewa również napisy liturgiczne na cienkich blaszkach złotych, pochodzących z grobów w Petelii i Turyach. Są to albo inwokacye do głównych bóstw orfizmu, sekty mistycznéj powstałéj na wzór i z odłamków pitagorejczyków, albo téż pożegnania umarłych, noszące na sobie charakter ułamków starego rytuału. „Z pomiędzy ludzi czystych, złamany przez Paskę, uleciałem z kraju żałoby i cierpienia — woła jeden z nich — szybkim krokiem dosięgłem upragnionego wieńca i spłynąłem na łono królowéj Piekeł. Szczęśliwy, ze śmiertelnika bogiem się stanę!" „Gdy dusza opuszcza światło słońca — woła inny — idzie do tego, którego myśl prosta i sprawiedliwa, który wszystko widzi i ze wszystkiego robi rachunek. Żegnaj! Cierpiąc śmierć, nic na prawdę nie cierpia-

łeś! Z nędznego człowieka stałeś się bogiem. Żegnaj, ty który dobrą drogę obrałeś ku świętym łąkom i gajom Persefony!" Gdzie indziéj dusza wychodząca z ciała, spotyka u wrót piekielnych źródło wody żywéj i woła do strzegących jéj duchów: „Przychodzę z pragnieniem, z którego umieram. Dajcież mi co prędzéj wody świeżéj płynącéj z jeziora Mnemozyny, abym nią ukoiła płomień bożego pragnienia!" Zdaje się, że się słyszy Jacopone z Todi lub S. Teressę.

Zwyczaj ten składania przy głowie zmarłego w bogatych grobowcach, jakby na znak inicyacyi, wyrytego na liściu złotym urywka z mistycznego hymnu o życiu przyszłem i wiecznéj szczęśliwości wybranych, odnosi się niewątpliwie do rozpowszechnionych w Wielkiéj Grecyi mysteryów dyonizyjskich i praktyk orfizmu. We wszystkich mysteryach greckich wiara w życie przyszłe zajmuje poważne a często główne miejsce. Cały rytuał tajemniczy i uroczystości niedostępne dla profanów, oczyszczenia, ekspiacye, ofiary, rewelacye— wszystko miało zawsze za cel pomimo niedoskonałości człowieka podnosić go do bogów, oczyszczać z ziemskich pierwiastków, czynić go uczestnikiem łask specyalnych, nadprzyrodzonych, skutecznych w tém i w tamtém życiu, wreszcie za pomocą takiego nadprzyrodzonego łącznika między człowiekiem, poznającym część boskich tajemnic, a bogami zapewnić wtajemniczonemu po przelotnéj wędrówce śmiertelnego życia, nieskończoną błogość w krainie umarłych. Pojęcia religijne Wielkiéj Grecyi nosić musiały w początkach wybitniéj niż gdzieindziéj kosmiczny i panteistyczny charakter — dla tego głównym bogiem religijnych tajemnic zjawia się tu bóg wina, produktów ziemi, a na около niego, grupują się uosobienia głównych sił przyrody. Identyfikuje się też on zupełnie z królem piekieł—Hadesem, i wraz z małżonką swą Kore-Persefoną, stanowi mistyczną parę, zamykającą w sobie tajemnicze zespolenie życia ze śmiercią. Na łonie złotowłoséj bogini idą spoczywać ci, którzy odchodzą z państwa żyjących.

To mistyczne połączenie rodzajem pośmiertnego hymenu z królową piekieł stanowi punkt kulminacyjny religijnych tajemnic dyonizyjskich, składających się z całego szeregu obrzędów, scen symbolicznych i olśniewających uroczystości, w których brali udział inicyowani wraz z kapłanami we wspaniałych szatach kościelnych. Obietnica życia przyszłego, jako najwyższéj i wyłącznie dla inicyowanych zachowanéj nagrody, stanowiła ścisłą linię demarkacyjną pomiędzy niemi a resztą ludzi niewtajemniczonych, leżących według Platona—w błocie piekielném. Darmo próbują ci ostatni dosięgnąć poznania bogów, prawdy i dobra. Dusza ich, spragniona ideału nadziemskiego, podobną jest do niedającéj się nigdy napełnić beczki

Danaid, których mit, w ideach mistycznych, nabierał wyższego, symbolicznego znaczenia. Ale za to trzykroć szczęśliwemi nazywa Sofokles tych, którzy schodzą do piekieł poznawszy tajemnice. „Oni jedni mają życie, dla innych pozostają same cierpienia!“ Śmierć dopiero stanowi ostatni szczebel wtajemniczenia do wielkich misteryów. „Życie jest szeregiem zboczeń i błędów — mówi Platon — dopiéro w chwili gdy wyjdziemy z drżeń i obaw ostatniéj jego chwili, witają nas wizye niebieskie na cudownych łąkach. Człowiek, który przez ostatnie to wtajemniczenie stał się doskonałym, swobodnym zupełnie i panem siebie, odprawia w wieńcu mirtowym najwyższe misterya i spogląda z pogardą na nieczyste grono niewtajemniczonych.“

Na pewnéj liczbie urn znalezionych w Wielkiéj Grecyi zachowały się ciekawe ślady wierzeń religijnych, służących za podstawę misteryom dyonizyjskim. Urny te musiały być używane do obrzędów religijnych a przed oczyma profanów ukrywano je zapewne starannie. Podobnie jak listki złote z rytualnemi napisami i wieńce z liści bobu, symbolizującego nieśmiertelność, składano je w grobowcach, jako oznakę inicyacyi zmarłego. Stąd charakter rysunków i całéj kompozycyi zupełnie jednolity, powtarzający się niezmiennie, z wyjątkiem kilku dodatkowych szczegółów. W środku widać zawsze pałac podziemny Hadesa z berłem w ręku i Persefonę, żegnającą małżonka przed swojém peryodyczném podniesieniem się na powierzchnię ziemi, stanowiącém dla inicyowanych symbol i obietnicę wiekuistego powstawania nowego życia ze śmierci. Na około grupują się najsławniejsi bohaterowie mitów greckich, między któremi wybitne miejsce zajmuje Herakles wiążący Cerbera, jakby na pokazanie zwycięstwa potęg niebieskich nad strachami piekieł. Niżéj idą wyobrażenia mąk Tartaru. Wpływ orfizmu, rozszerzonego wślad za pitagoreizmem na italskich brzegach, odbija w Orfeuszu, który uosabia ideę łaski, łagodzącéj surowość boskiéj sprawiedliwości. W stroju hierofanta, czasem otoczony gromadką inicyowanych, stoi w progu Hadesowego pałacu, łagodząc magicznym dźwiękiem liry podziemne potęgi. Po lewéj stronie są dwa źródła: w jedném z nich— w wodach Mnemozyny — cień zmarłego gasi swoje pragnienia nadziemskiego ideału i wtedy dopiero wchodzi do rozkosznych łąk i gajów Persefony. Tam należy do niéj bez podziału. Na niektórych urnach przedstawiono alegorycznie ten związek zmarłego z boginią, pod przewodem Erosa. Myśl podobna odbija w epitafiach i epigramach żałobnych. „Zanim poznałem łoże małżeńskie zszedłem do nieodmiennego łoża jasnowłoséj Persefony“ — mówi przypisywany Simonidowi napis. „Zyskawszy pochwały mężnym należne, zajmujesz teraz łoże Persefony, które konieczność czyni wspól-

ném dla wszystkich," czytamy gdzieindziéj. „Należę do córki Demetry" mówi krótko napis na blaszce złotéj, znalezionéj w grobowcu greckim w Pestum.

Z czasem misterye dyonizyjskie z wielkiéj Grecyi rozszerzyły się po Etruryi, aż do Rzymu, zmieniając się z podniosłéj doktryny nieśmiertelności duszy i wewnętrznego doskonalenia się człowieka w dzikie orgie wyuzdanéj rozpusty. Jakkolwiek wykroczenia i zbrodnie, które spowodowały niedługo po wzięciu Tarentu proces przeciw uczestnikom bachanalii w Rzymie, nie powtarzały się na południu półwyspu, senat rzymski rozciągnął surowy zakaz odprawiania mysteryów na Wielką Grecyę tém chętniéj, że w nich widział gotowe ramy dla tajnych stowarzyszeń, inne cele zupełnie mogących mieć na oku. Nie bez walki i oporu przeszło jednak wykorzenienie wierzeń i obrzędów, z któremi wybitniejsze żywioły greckiego społeczeństwa złączyły się tém ściśléj, że w nich religijny pierwiastek opierał się na podstawie narodowych mitów i tradycyi. Za cesarstwa, wraz ze zwolnieniem zakazów, wracają na jakiś czas ślady wznowionych misteryów dyonizyjskich.

VII.

Po ostatecznym ciosie, zadanym przez drugą wojnę punicką, żywioł Grecki we Włoszech, ubezwładniony politycznie, nie przestaje być przecie potężnym czynnikiem cywilizacyjnym przez całe wieki. Korzystając z niego w Rzymie dla rozwoju i uszlachetnienia własnéj swéj kultury, nowi panowie Włoch a wkrótce świata całego dążyli równocześnie do latynizacyi Wielkiéj Grecyi, nasyłając tam liczne kolonie obywateli i weteranów, starając się z niemi zmieszać miejscową ludność i zagładzić powoli jéj odrębne cechy. Za cesarstwa napisy świadczą o zupełnym upadku albo przynajmniéj o bierności wpływów greckich w głównem ich ognisku. Tém nie mniéj wspomnienia greckiéj kultury musiały być bardzo silne i żywotne skoro po dziesięciu wiekach obcego panowania widzimy helenizm ogarniający znów z nieporównaną szybkością całe południe półwyspu pod panowaniem byzantyńskiem.

Na innym gruncie byłoby niewytłumaczonym problematem takie pomyślne rozszerzenie się kultury, co już oddawna straciła swoje ekspansywne dążności i soki żywotne, i naciskana, zwyciężona ze wszech stron przez nowe żywioły, zaskorupiała się w sztywnéj martwocie. Szeregiem zręcznych wywodów próbuje ją p. Lenormant rehabilitować, wykazać w niéj zdrowe i silne pierwiastki i dowieść

że z tych pierwiastków, z mądréj polityki cesarzy Byzancyum i wywołanego przez nich prądu emigracyjnego powstał ten powtórny blask helenizmu we Włoszech, którego resztki przetrwały aż do naszych czasów. Uczony francuzki zapomina przytém, że pojedyńcze dodatnie objawy nie wystarczają dla nadania charakteru całemu społeczeństwu w pewnéj epoce jego istnienia i dla odmiany sądu, jaki o niém wydała historya. Wymowném świadectwem przeciw argumentacyi, wiążącéj odrodzenie helenizmu we Włoszech z samym tylko byzantyjskim wpływem, jest ograniczenie się greckiego żywiołu do miejsc, jakie zajmował niegdyś nad zatoką tarencką, i Messyńskiem międzymorzem. W środkowych i północnych Włoszech panowanie Greków bizantyńskich przeszło zupełnie bez wpływu. W Rawennie kultura Bizancyum odbiła się na bazylikach pobożnéj Gallii Placydii i mozaikach z V w.—egzarchat nie pozostawił żadnych śladów. Niezaprzeczenie panowanie i zręczna polityka cesarzy Wschodu dała italsko-greckiemu żywiołowi nowy impuls, przebudziła go z uśpienia; było to jednak tylko otwarcie drogi dla starego strumienia, który czas jakiś ukrył się pod ziemią. Odnośną teoryę Niebuhra, lekceważoną przez uczonego francuzkiego, można zmodyfikować w rozmiarach jéj:—trudno ją obalić i czem innem zastąpić.

W chwili opanowania Włoch przez wojska Justyniana, żywioł łaciński był tam pełen sił i życia. Zwyciężony bez nadziei odwetu przez barbarzyńców, którzy z półwyspu zrobili jedno pole bitwy, z natury rzeczy stanął wobec zwycięzców na podobnym gruncie, jaki niegdyś wobec niego samego zajęli Grecy italscy. Kilku wybitnych mężów, w których wśród ogólnego zdziczenia żyły jeszcze tradycye dawnéj kultury i rzymskiego patryotyzmu, rozumiało dobrze, że wkrótce siła fizyczna znajdzie się w konieczności szukania poważnych, rozumnych podstaw dla swojéj władzy i będzie musiała zwrócić się o to ku wyższym umysłowo żywiołom, które niedawno uległy jéj przemocy. Na stanowisku podrzędném, jako czynnik państwowy, kultura łacińska mogła się przecież rozwijać zupełnie swobodnie, nie wchodząc w kolizię z barbarzyńcami, którzy przeciwnie śpieszyli poddawać się jéj wpływom. Daleko większe niebezpieczeństwo groziło ze strony występującéj oficyalnie w obronie zagrożonych interesów łacińskich. Cesarze byzantyńscy, sięgając po spadek upadłego cesarstwa Zachodu, głosili się obrońcami i odnowicielami rzymskiéj tradycyi, rzymskiego ducha. Nie trudno jednak było dostrzedz poważniejszym umysłom, że absorbująca potęga żywiołu greckiego musiała by dążyć do powolnego opanowania i zniszczenia kultury łacińskiéj, podobnie jak to się działo w Konstantynopolu, gdzie

łaciński język i obyczaj z dniem każdym ustępował miejsca hellenizmowi. Ztąd, zamiast pośpieszyć na wezwania i obietnice Belizaryusza, ludzie tacy jak Cassiodorus woleli skupiać się około powstających tronów Odoakra i Teodoryka. Potężne państwo Ostrogotów rozpadło się wprawdzie niedługo i zwycięskie wojska Justyniana opanowały większą część Włoch,—ale zaraz potém podniosły się dwa czynniki silniejsze przeciw bizantyńskiéj władzy: materyalny—monarchii Lombardów, duchowy—Papiestwa. Około tego ostatniego miały odtąd skupić się wszystkie nieprzyjazne Grekom żywioły i dzięki jego niezwyciężonéj przewadze powrócić choć w odmiennych formach samodzielność i część uszlachetnionego, czystszego niż dawniéj blasku swéj ojczyznie.

Zwycięstwo greckie za Justyniana pozostawiło Włochom z początku autonomiczne swobody i gwarancye szczepowéj odrębności. Tylko, zamiast jednolitego organizmu politycznego, o jakim marzyli Rzymianie otaczający Teodoryka, postarano się rozdrobić kraj na mnóstwo maleńkich republik rządzących się samodzielnie i państewek z dożywotniemi książętami miejscowemi pod naczelną władzą greckiego egzarchy. Na wzajemnych zawiściach i rywalizacyi tych małych ciałek politycznych opierała się władza centralna kraju. Pomimo nieustannéj walki bizantyńskich cesarzy przeciw papieżom, juryzdykcya tych ostatnich przez dwa wieki jeszcze nie przestała ogarniać całego półwyspu a w sądach panowało prawo lombardzkie zamiast bizantyńskiego lub rzymskiego Justyniana. Dopiero walka ikonoklastów i wejście na tron Leona Izauryjczyka zmieniły stanowczo stosunek Greków bizantyńskich do Włoch i Rzymu.

Ten rodzaj protestantyzmu z VIII w., dążący pod pozorem zniesienia czci obrazów do zreorganizowania społeczeństwa na świeckich podstawach, do ujarzmienia kościoła i podkopania jego wpływu—natrafił jak wiadomo na heroiczny opór. Kościół wschodni stanął w całym swym dawnym blasku i potędze duchowéj raz jeszcze przed chwilą oderwania się od całości kościoła i od cywilizacyi zachodniéj. Zakony, zagrożone w istnieniu swém, dosięgły podobnych wyżyn i poświęcenia i ofiary, jakie na Zachodzie uwieczniło pióro Montalamberta. Głównie téż przeciw mnichom zwróciło się prześladowanie i wielkie ich mnóstwo zmuszone było szukać schronienia za morzem, we Włoszech. Tłumy wiernych poszły za niemi i niedługo do 50.000 wygnańców greckich zapełniło południową część Włoch, nie licząc Rzymu, który zrzucił jarzmo bizantyńskie i oddał się pod świecką władzę papieża. Była to prawdziwa kolonizacya grecka, która musiała potężnie wpłynąć na rozbudzenie i rozwój wszystkich pierwiastków zachowanego jeszcze hellenizmu. Roz-

mnożyły się klasztory bazyliańskie, świetne ogniska italsko-greckiéj kultury—w Kalabryi saméj sto ich liczono. W wielu miastach włoskich zachowały się jeszcze cudowne obrazy bizantyńskich Madonn, przyniesionych tu podczas dzikich szałów obrazoburczych.

Czy cesarze zrozumieli korzyść polityczną, jaką im przynosił ten wielki egzodus prawowiernych, uciekających od ich prześladowań? Zdaje się, że tak; zostawiono bowiem i mnichom i świeckim wolność wyznania i rozkrzewiania się, równocześnie zaś Leon Izauryjczyk słynną swą *Nowellą* odrywał od rzymskiego zwierzchnictwa Illiryę i Sycylię, a na południu Włoch kościoły zależne od metropolitów Reggio, S. Severina i Otranto. Był to potężny krok naprzód ku helenizacyi kraju, a mnisi bazyliańscy, choć prawowierni, musieli w tym razie wspierać przedsięwzięcie, rozszerzające ich rytuał i dające im przewagę na szkodę niemiłego wszystkim Grekom latynizmu. Z upadkiem egzarchatu w Rawennie, posiadłości włoskie wschodnich cesarzy, ograniczone do Wielkiéj Grecyi, przestały stanowić odrębną całość i złączone z centralnym rządem państwa, zhelenizowały się ostatecznie. Dokumenta wszystkie w X w. pisane są wyłącznie po grecku a zakaz zupełny łacińskiego rytuału nie zdaje się napotykać oporu.

Było więc na nowo zupełnie greckiem całe południe Włoch. Greckim i—co za tém idzie—fanatycznie wyłącznym został kościół; greckiem stawało się prawodawstwo, greckiemi wszystkie pomniki literatury. W malarstwie i w architekturze bizantynizm panował niepodzielnie—motywa jego długo jeszcze za Normandów i po nich nawet powracają w ornamentacyi, w szczegółach, podobnie jak w Wenecyi. Klasztory św. Bazylego rywalizowały w braterskiéj zgodzie z benedyktynami. Na wzorach wielkich ojców kościoła i klasyków pogańskich kształciły się całe pokolenia uczonych mnichów a ich rękopisy, licznie rozproszone po Europie całéj, słyną dotąd ze swéj piękności.

Wpływ grecki odbił się i na Normandach zaraz po ich zwycięstwie, w stroju wschodnim, w monetach naśladujących cesarskie, w budownictwie, przez stulecie całe bizantyńskiem jeszcze. Rozumna polityka nowych panów Sycylii i tarenckiéj zatoki zostawiła kulturze greckiéj zupełną swobodę. Zwłaszcza dwaj Rogerowie szczególną swą opieką otaczali poezyę i literaturę, heleńsko-bizantyńską. Dwór ich rywalizował pod tym względem z Bizancyum. Poezyę przedstawiali na nim Eugeniusz z Palermo, Konstantyn Sycylijski, Rogier z Otranto i kalabryjczyk Jan Grasos. Literaturę kościelną uświetniał Neilos Doxopatrios, Prosper, biskup z Reggio, teolog i hi-

storyk, arcybiskup z Taorminy Teofan, kaznodzieja,—hagiografowie Jan z Bari i diakon Amandos z Atrani.

Znaczna część miast greckich zachowała swój autonomiczny zarząd, *gerontów* i *archontów* starych. W reszcie kraju za to, system feodalny, zaprowadzony przez Normandów, oddawał miejską ludność w zupełną zależność od panów i ułatwiał zaprowadzenie nowych porządków. Żywioł grecki, na dworze doznający przyjaznego przyjęcia, zostawał tu w upokorzeniu i duchowieństwo parafialne na równi z innémi wieśniakami uważane było za ludzi niewolnych i sprzedawane z rodzinami.

Pod względem religijnym nie poszli Normandowie w ślady fanatyzmu byzantyjskiego. Rytuał grecki zostawiony został przy dawnych swobodach—książęta normandzcy, obok klasztorów benedyktyńskich i cysterskich, punktów głównych kultury łacińskiéj, zakładali i obdarzali hojnie nowe osady synów ś. Bazylego. Ale polityka normandzka, od początku ściśle związana z Papieżami przeciw wspólnym wrogom—zachodnim i wschodnim cesarzom, nie mogła dopuścić wpływu tych ostatnich na kościół południowo-włoski. Równocześnie téż z bullą Urbana II, która mu w jego państwach dawała duchowne przywileje legata *a latere*, hrabia Rogier oderwał swoje dyecezye od patryarchów konstantynopolskich, zamieniając powoli ze śmiercią greckich biskupów ich miejsca łacińskiemi. Grecki rytuał jednak zachował się niezmiennie pod osobnémi protopopami, zależnemi od biskupów. Żywioł grecki pozostał tak mało dotknięty latynizacyą, że jeszcze w XIII w. nie znajdywano w miastach niektórych ani jednego notaryusza, któryby potrafił napisać łaciński dokument. W kancelaryi książąt normandzkich greczyzna zajmowała równe miejsce z łaciną.

Ze śmiercią króla Rogiera i z ostatecznćm oddzieleniem kościoła greckiego od rzymskiego, nastały gorsze dnie dla włoskiego helenizmu. Powstanie apulijskich greków, podtrzymywane przez cesarzy byzantyjskich i flotę, zmusiło Normandów do krwawéj represyi, *desolatio Apuliae*, wedle dziejopisów ówczesnych. Bazylianie, którzy brali udział w rozruchach i na równi z sympatyami do Byzancyum podejrzywani byli o skłonność do odszczepieństwa, ulegli prześladowaniom ciężkim—wielu z nich mordowano lub zaprzedawano w niewolę, klasztory liczne zniszczono lub oddano zakonom łacińskim. Zabroniono im związków ze wschodem, rozciągnięto ścisły nadzór, nad zasadami, nauką, rytuałem, bibliotekami. Równocześnie latynizacyę starano się silnie popierać.

Fryderyk II i Manfred, skupiając w koło siebie wszystkie żywioły niechętne Rzymowi, nie mogli pominąć Greków. Język grecki

przybrał znów na równi z łacińskim urzędową cechę. Obok rozkwitającéj poezyi włoskiéj na dworze Fryderyka i jego syna, w tém zupełnie już renesansowém ognisku wytwornéj rozpusty i wykształconego artyzmu, zjawiały się raz jeszcze błyski poezyi greckiéj, którą sam cesarz lubił i uprawiał. *Jan z Otranto* i *Jerzy z Gallipoli* próbują pod jego opieką odżywiać literackie tradycye swoich przodków obok pień miłośnych w nowém narzeczu jeszcze nie wyrobioném przez Danta i Boccacia, obok *Ciullo d'Alcamo*, Fryderykowego poety laureata, *Guido delle Colonne*, wyrafinowanego *Jacopo da Lentino*, kanclerza *Pier delle Vigne* i samychże koronowanych poetów Fryderyka, Manfreda i nieszczęśliwego Enzio. Ale opieka cesarska na złe wyszła Grekom. Zdwojonym uciskiem ukarał ich za to Karol Anjou, wstrzymując rozwój ich literatury, otaczając żelazną kontrolą wschodni rytuał i bazyliańskie klasztory. Rozsadniki helenizmu wpadły szybko w zupełną ciemnotę, zachowując jednak wedle świadectw niechętnych nawet pisarzy, czystość obyczajów i doktryny. Kardynał Bessarion pisał z boleścią nazajutrz po soborze florenckim o braciach swoich włoskich reguły S. Bazylego, że nie umieją alfabetu greckiego nawet, a nieliczna garstka, rozumiejąca słowa rytuału, nie jest w stanie innych książek greckich czytać i porównać swoje mszały z textami kanonów założyciela.

W czasach soboru florenckiego, z rozbudzonémi stosunkami z Grecyą, emigracyą uczonych uciekających z zabranego Konstantynopola, ogólnym interesem dla greckiéj literatury i sztuki, a równocześnie silną nadzieją zakończenia odszczepieństwa wschodniego— Papieże zaczęli się opiekować niedobitkami mnichów i wiernych unickich we Włoszech, próbując dźwignąć ich z intelektualnego upadku. Około Tropei i Nicotery, na pochyłości Aspromonte ku morzu Tyrreńskiemu, pozostał cały jeden powiat z nietkniętą ludnością grecką, z kwitnącémi klasztorami, w których pielęgnowano nauki i czystość mowy greckiéj, tradycyi i obrządków. Ztamtąd wyszedł Leontios Pilatos, pierwszy tłómacz łaciński Homera i założyciel studiów greckich we Florencyi, z których i Boccacio korzystał; ztamtąd mistrz Petrarki Barlaam, wsławiony swemi teologicznemi kłótniami i pamfletami,—jedna z najbardziéj charakterystycznych postaci XIV w.—kolejny obrońca wiary greckiéj przeciw „łacińskiéj herezyi“ na Bizantyjskim dworze, i oskarżyciel greckich błędów u Papieża w Awinionie, w końcu bibliotekarz króla Roberta Neapolitańskiego i biskup w Gerace. Dyecezya ta aż do końca XV w. zachowała rytuał wschodni.

Na ten zakątek zwróciła się opieka papieży, rozciągając się równocześnie na tamtą stronę międzymorza. Za wspólną zgodą Pa-

pieża Kalixta III i króla neapolitańskiego Alfonsa założono w Messynie szkoły i Akademię, dla wykształcenia unickiego duchowieństwa i świeckich greków, oraz dla nadania nowego impulsu helenizmowi. Miała w ten sposób podnieść się pod skrzydłami Rzymu przerwana tradycya pełna chwały kościoła greckiego, odżywiając upadły hellenizm pod muzułmańskiem jarzmem. Bessarion osiadłszy w Messynie jako opat bazyliańskiego monasteru Zbawiciela, zajął sam katedrę profesorską w założonéj przez siebie szkole. Następcą jego został słynny Konstantyn Laskarys, który po ucieczce z Konstantynopola i po kilkuletnich wykładach w Medyolanie i Rzymie z wielkim rozgłosem przez trzydzieści lat ściągał do Messyny miłośników literatury greckiéj. Ale usiłowania papieży i uczonych patryotów greckich pozostały bezowocne. Hellenizm włoski nie podniósł się z upadku. Szkoły mesyńskie nie wydały uczonych pokoleń nowych i żywioł grecki coraz bardziéj topniéć począł we Włoszech. Jeszcze w XVII w. tu i owdzie zachował się grecki język po wsiach nietknięty—nawet bywały miejscowości, w których nie mówiono po włosku. Późniéj jednak zlały się te dawne kolonie greckie w ogólném morzu włoskiem—a jeżeli dziś pozostały jeszcze wsie, używające mowy greckiéj, należą one do potomków emigrantów, którzy się schronili do Kalabryi przed Turkami w XVI w.

Obrządek unicki pozostał jednak dotąd w wielu innych miejscowościach nad brzegami zatoki tarenckiéj i messyńskiéj cieśniny. Jeśli się nie mylę liczy on do 70.000 wyznawców, którzy zazwyczaj nierozumieją ani słowa liturgii swojéj, nie mają jednak prawa przechodzić na obrządek łaciński. Choć od tylu wieków zmieszani z ludnością włoską odznaczają się jednak od niéj wybitnym typem greckim, dającym się dostrzedz od pierwszego rzutu oka. W Rzymie przy Babuino jest ich kościół, obok którego mieści się arcybiskup, duchowieństwo i seminaryum. Uczniowie jego, których część większa idzie pełnić posługę duchowną około swych pobratymców na Archipelagu, w Azyi mniejszéj i Syryi, zaczynają się uczyć po grecku dopiéro wstąpiwszy do zakładu, chyba że nie pochodzą z Włoch.

Z licznych klasztorów bazyliańskich większa część opustoszała po ogólnéj kasacie włoskich zgromadzeń zakonnych. W Messynie pozostało jeszcze słynne opactwo Zbawiciela którego archimandryta ma godność równą biskupiéj i dawniéj zazwyczaj bywał nim jeden z kardynałów. O kilka mil na zachód od Rzymu, pomiędzy Frascati, Rocca di Papa a jeziorem Albano, leży Grotta-Ferrata, klasztor bazyliański założony przez uczniów S. Nila, zaraz po śmierci tego Benedykta bazylianów włoskich w pobliskiem Tuskulum.Przez całą wiosnę i jesień nadciągają tu tłumy anglików do fresków Domenichina,

przedstawiających cuda świętego i tryumf wschodniego zakonu. Ale od gwałtownéj brawury Domenichina i sentymentalnéj maniery Guido-Reniego i Caraccich większy ma interes i urok kilku mnichów starych, którzy tu zostali na straży swoich świętości, swoich wspomnień, ośmiowiekowéj tradycyi klasztornéj. Straż to ostatnia już może—z ustąpieniem tych kilku rozsypanych jeszcze po Włoszech placówek helenizmu, znikną ślady wpływów greckich, zapomniane szczątki kultury, która trwała może dwadzieścia kilka, może wiele więcéj stuleci. Niedługo już w muzeum archeologiczném trzeba będzie złożyć te kilka cegieł, pozostałych z wielkiego gmachu, który na chwilę piękniejszym był i wspanialszym od wszystkich innych współczesnego świata, póki go nie obaliły do szczętu burze dziejowe, nie zostawiając nawet jego ruin.

Jan Gnatowski.

Rodzina Łaskich w XVI wieku.

II. (*)

SYNOWCOWIE PRYMASA:

reformator Jan Łaski i jego bracia Hieronim i Stanisław.

L. Hubert, Hieronim z Łaska Łaski (w Bibliotece Warsz. 1861, tom 3).— *M. Malinowski*, Stanisława Łaskiego prace naukowe i dyplomatyczne. Wilno 1864. — *Schweckendieck*, Johann a Lasco (w IX tomie Allgemeine Zeitschrift für Geschichtswissenschaft. Berlin 1848).—*Bartels*, Johannes a Lasco. Elberfeld 1860.— *Kuyper*, Joannis a Lasco opera. Amsterdam i Haga 1866.— *Cypr. Walewski*, Jan Łaski reformator kościoła. Warszawa 1872 (z Bibliot. Warsz. odbicie).—*Dalton*, Johannes a Lasco. Gotha 1881.—*X. Korytkowski*, Łaski Jan, proboszcz gnieznieński (Prałaci i kanonicy kapituły metropolitalnej gnieźnieńskiej. Tom II, 499—515). Gniezno 1882.

Wielka ambicya i rozległe chociaż niezawsze jasne plany cechują prymasa Jana Łaskiego. Wynieść siebie i swą rodzinę, reformować stosunki wewnętrzne państwa, wskazywać kierunek polityce jego zewnętrznej, rządzić przez króla lub chociażby wbrew królewskiemu rządowi—tego pragnął przez całe życie założyciel świetności rodu Łaskich, temu poświęcał swoje niepospolite zdolności i niestrudzoną ruchliwość. Ambicyę i zdolności niezwykłe dziedziczą po nim synowcy, ale nie u wszystkich ambicya ta w jednaki sposób się objawia. W najstarszym, Hieronimie-Jarosławie, dominuje po nad wszystko żądza działania, rozgłosu, wyniesienia się: z obozu do obozu wiodą go względy osobiste; a ten rodzaj ambicyi przechodzi spadkiem na jego syna Olbrachta. Drugi prymasa synowiec—jego imiennik — Jan młodszy, żywi w swém sercu szlachetniejszą ambicyą, pragnie się oświecić, wydoskonalić, innych zachęcić własnym przykładem. Stryj dążył do reformy stosunków politycznych; synowiec

(*) Zob. *Ateneum* z Maja i Czerwa b. r.

za cel życia swojego obiera reformę religijno-kościelną, gotów dla téj sprawy ponosić znaczne ofiary osobiste. Pośrednie poniekąd między braćmi stanowisko zajmuje trzeci prymasa synowiec, najmłodszy— Stanisław, który żadnemu z braci starszych nie dorównywa zdolnościami. Ci trzéj stanowią drugie rodziny Łaskich pokolenie.

Znamy z żywota prymasa początki karyery dyplomatycznéj Jarosława Łaskiego. Zrazu wykonawca tylko planów stryjowskich, niebawem go prześcignął zuchwałością pomysłów i przedsięwzięć, kiedy na własną rozpoczął działać rękę; a gdy prymas umierał, imię Jarosława Łaskiego już się liczyło do najgłośniejszych w całéj współczesnéj dyplomacyi europejskiéj. Rozgłos ten wzmagał się lub przynajmniéj nie zmniejszał przez cały lat dziesiątek, o który przeżył stryja prymasa, a jednak nie doczekał się dotąd Hieronim Łaski biografa (1), choć ich miewali inni mniéj słynni jego rodziny członkowie, niektórzy nawet już po kilku, choć sam zostawił obszerne ze swoich poselstw sprawozdania i listy. Niewątpliwie zużytkuje te wszystkie źródła Dr. Hirschberg, który już od dłuższego czasu pracuje nad biografią Jarosława Łaskiego, niewątpliwie zbierze i wyzyska należycie i to, co już z tych źródeł ogłoszono (Bel, Gevay, Horwath i inni), i to co się dotychczas przechowuje w ukryciu. Dopóki taka obszerna, źródłowa, dokładna i szczegółowa biografia nie da nam poznać wszystkich spraw i całéj działalności Jarosława, niepodobna w krótkim zarysie naszkicować wyraźnego obrazu tego niespokojnego dyplomaty. W paru tylko słowach przypomnieć tu należy, co już wogóle o nim wiadomo.

Prawdziwie zdumiewającą jest ta jego ruchliwość, jaką przez 6 lat, odkąd wszedł w służbę króla Jana Zapolyi, nieustannie rozwija, z jaką potém, gdy mu już opiekę sułtana Solimana pozyskał, całą niemal Europę przebiega, to żeby nowych mu na Zachodzie zjednać przyjaciół, to znów żeby utrwalić owo przymierze tureckie albo pojednać Zapolyę z jego austryackim rywalem. Szczególniéj poselstwa do Stambułu stanowią jakby specyalność Łaskiego: czterokrotnie (jeśli nie więcéj jeszcze razy) jeździł tam w imieniu Zapolyi i nawiązywał osobiste tak rozgałęzione stosunki, że — kto wie — czy to właśnie nie wzbudziło w końcu podejrzliwości króla Jana i niesprowadziło Łaskiego w Węgrzech katastrofy. Jak wiadomo Jan Zapolya kazał uwięzić Jarosława Łaskiego nagle i niespodzianie w lecie 1534 r. (w sierpniu czy początkach września), i dopiero po usilnych

---

(1) Nie może wchodzić wcale w rachubę artykuł L. Huberta w Bibl. Warsz. 1861 r., dający wprawdzie parę dat, ale pełen grubych błędów i wykazujący zupełną nieznajomość czasu i ludzi.

staraniach rodziny, po zabiegach tych panów polskich, względem których się król Jan do wdzięczności za dawniejszą pomoc musiał poczuwać, po wstawieniu się całego senatu polskiego, po przedstawieniach nawet króla Zygmunta, wrócił mu wolność w styczniu 1535 r. Co to uwięzienie znaczyło, nie wyjaśniono dotychczas dostatecznie; tyle tylko zdaje się być pewnem, że nietylko zawiść panów węgierskich przeciw obcemu, nietylko niewdzięczność króla Jana w grę tu wchodziły. Zdawałoby się prawie, że Łaski miał istotnie jakieś dla Zapolyi nie zbyt przyjazne zamiary, że widząc jego słabość, jak nie jest w stanie utrzymać go w tém województwie siedmiogrodzkiem, które mu przyrzekł, a które jednak nadał niebawem i innemu, Węgrowi, wolał się obejrzeć za potężniejszym opiekunem. Bodaj czy nie naprawdę zamyślał Jarosław Łaski o tém, jakby mógł dojść do władania Siedmiogrodem pod zwierzchnością bezpośrednią sułtana, i czy nie spodziewał się tego osiągnąć przez swoje związki z Grittim, dawnym ze Stambułu znajomym i przyjacielem, który obecnie przysłany przez Sułtana dla nadzoru nad sprawami węgierskiemi podobno o koronie węgierskiéj dla siebie marzył. O to podejrzywano ich obu; to się i śmierci gwałtownéj Grittego niebawem stało przyczyną. Czy podejrzenia te miały jakąś rzeczywistą podstawę, może nam to Dr. Hirschberg zczasem wyświeci.

Uwolniony z więzienia Łaski rozstał się naturalnie z Zapolyą na zawsze, cofnął się do tych dóbr swoich na Spiżu, które (zamki Kezmark i Dunajec-Niedzicę z otaczającemi włościami) już dawniéj od Zapolyi był otrzymał. Czas jakiś nic prawie o nim nie słychać: podobno pragnął odzyskać utracone względy króla Zygmunta, lecz król się niedał przebłagać, pomny dawniejszych uraz. Po paru latach znów Jarosław Łaski staje się głośnym; teraz występuje w usługach domu Habsburskiego, z którym dotąd za wzorem stryja tak zawziętą prowadził walkę polityczną. To już dowód niezbity, że mu przedewszystkiem o osobiste tylko cele chodziło. Wierny swéj specyalności, przedsiębierze wkrótce Jarosław tę samą drogę do Turek, którą tylekroć dotąd w interesach Zapolyi przebywał, stara się odrobić to wszystko, co sam sprawił przed kilku laty, rozerwać to przymierze Sułtana z królem Janem, które sam zawarł, sprowadzić traktat Ferdynanda z Turkami, któremu przedtem jak tylko mógł przeszkadzał. Ale teraz całkiem innego doznaje w Stambule przyjęcia, w największe się podaje niebezpieczeństwo osobiste, podobno nawet śmierć przedwczesną sobie sprowadza. Turcy nie mogąc pojąć takiéj zmienności, widzieli w Łaskim prostego awanturnika, który gotów służyć jakiéjbądź sprawie, byleby mu to niosło korzyści; widzieli w nim jednak awanturnika pełnego zdolności i ta-

lentów z którychby należało skorzystać: proponowali mu, aby wszedł w ich usługi, obiecując wielkie za to nagrody. A gdy Łaski czynione mu ofiary odrzucił, mieli mu podać powolną truciznę dwukrotnie, w śmietance i w winie (1). Tak przynajmniéj sam Łaski opowiadał, kiedy wróciwszy z ostatniego poselstwa już chorym do Polski, tu niebawem kończył swój burzliwy choć krótki żywot, umierając, dopiero 45-letni, w samym początku r. 1542 (przed 22 stycznia, daty dnia nie znamy). W parę tygodni po mężu umarła i Anna z Kurozwęk, która mu niegdyś wielkie dostatki wniosła w posagu. Z pozostałych trojga sierot, dwoje—syn jedynak Olbracht i jedna córka—było jeszcze nieletnich; drugiéj córki małżonek Andrzéj Ciołek z Żelechowa, musiał niebawem wzywać opieki sądów w obronie macierzystego sierot majątku. Bo zamek Rytwiany, gdzie on z żoną przebywał, obległ i zdobył, jako prawny nieletnich, opiekun, stryj ich Stanisław Łaski i o to go Ciołek pozywał.

W tym najmłodszym z trzech prymasa synowców dostrzega się także wyraźnie całéj rodzinie wspólne cechy charakterystyczne, ale w niższym stopniu niźli u innych braci. W młodości równie jak Hieronim niespokojny i żądny czynów, najwcześniéj się jednak ustatkował i otrzeźwiał; dalsza téż jego karyera nie różni się od zwykłéj panom polskim kolei życia.

I Stanisław Łaski, jak brat Jarosław, odbył pielgrzymkę do Ziemi świętéj; i on przywiózł z niéj tytuł rycerza jerozolimskiego i znalazł wtedy sposobność ucierać się z „Murzyny i Araby." Potém z bratem Jarosławem, gdy ten jechał posłem Zygmunta do Francyi, pośpieszył na dwór Franciszka; tam pozostawszy w jego służbie jako zakład przymierza rodziny Łaskich z królem francuskim, walczył przy jego boku pod Pawią, dzielił jego niewolę, potém okupiwszy się dopomagał do tego, aby osłodzić mu więzienie hiszpańskie, aby przyspieszyć uwolnienie. Wrócił z oswobodzonym przez pokój Madrycki Franciszkiem do Francyi, w jego interesach i z jego podobno polecenia spieszył po Mohaczu na Węgry, ztąd niebawem znów z bratem Jarosławem, teraz już posłem Zapolyi, do Francyi się udał i do Anglii. Jesienią 1527 r. jest znów w Krakowie przy boku posła francuskiego Rincona (2); ale w 1528 r. bierze udział w wyprawie francuskiéj Lautrec'a na Neapol. Nie mógł więc towarzyszyć

(1) Hausto bis in flore lactis et in vino veneno in Turcia — powiada Gamrat w swoim sprawozdaniu dla Bony o tém, co mu Łaski przed śmiercią o stosunku Turków do Polski zakomunikował, w Acta Tom. rękopiśmiennych.

(2) Do niego to bowiem odnosi się wzmianka w A. Tom. IX, 298, którą Dalton fałszywie do Jana Ł. odnosi.

w tym samym czasie bratu Jarosławowi do Stambułu, choć to poeta Sabinus w elegii swojéj na cześć naszego Stanisława powiada; prawdopodobnie towarzyszył mu jednak bądź w drugiem, bądź w którém późniejszém do Turcyi poselstwie, skoro sam o tém wspomina, że był u Sułtana i z w. wezyrem Ibrahimem rozmawiał.

Główném jednak Stanisława Łaskiego zadaniem było walczyć, o stanie wojskowym mówi jako o własnym, rzemiosło rycerskie zawsze jako swoje uważa. Mniéj uzdolniony, mniéj zwłaszcza wykształcony od braci starszych, nie w dyplomacyi ani kościele, lecz w żołnierce szukał rozgłosu, którego i on jak cała rodzina był żądny. Więc jak najprzód w służbie francuskiéj, tak potém staczał boje w obronie sprawy Zapolyi przeciwko wojskom Ferdynanda, brał udział w obronie Budy obleganéj przez Roggendorfa w r. 1530,— aż go śmierć stryja, potrzeba działów między braćmi, uporządkowania stosunków majątkowych, odwołała w następnym roku do Polski. Odtąd stale już — jak się zdaje — w Polsce pozostał, z Jarosławem na Węgry nie powrócił, raz tylko się późniéj tam udał, gdy chodziło o uwolnienie uwięzionego przez Zapolyę brata. Niebawem się ożenił korzystnie, choć nie tak świetnie, jak o tém przed paru laty stryj dla niego marzył; swatana mu przez prymasa księżniczka Anna Mazowiecka wyszła tymczasem za mąż za Stanisława Odrowąża ze Sprowy, ostatniego potomka téj starożytnéj i możnéj rodziny: właśnie siostrę tegoż Odrowąża, Beatę ze Sprowy zaślubił, a przez ten związek zyskał dla rodziny Łaskich nową dostojną koligacyę. Osiadłszy w dobrach ojczystych pracuje odtąd spokojnie, aby podźwignąć fortunę, mocno nadszarpaną poprzedniemi wędrówkami w dalekie strony; wstępuje do senatu zrazu w dosyć podrzędnéj godności; a chociaż go długo wyższe dostojeństwa mijają, choć przez lat kilka na kasztelanii przemęckiéj musi poprzestawać, nie goni już za życiem awanturniczém, nie szuka dalekich bojów, śledzi tylko pilnie zdaleka sprawy wojenne u postronnych. Obecną bezczynność, rzadko przerywaną wysłaniem go z jakiemś poselstwem mniejszéj wagi, osładza sobie albo takim jak zajazd Rytwian walk dawnych przypomnieniem, albo pracami literackiemi.

Wydawca pism Stanisława Łaskiego Malinowski przypisuje mu udział w autorstwie znanéj satyry Krzyckiego o sejmie Azyańskim. Rzecz to co najmniéj bardzo niepewna. Był wprawdzie Stanisław Łaski w stosunkach bliskich z poetami i uczonymi: z Janickim, Fryczem Modrzewskim, z innymi; żeby jednak sam się miał literaturą łacińską czynnie zajmować, nie bardzo mi się to prawdopodobném wydaje. Ale Malinowski wykazał w sposób oczywisty, że Stanisław to Łaski jest autorem mylnie przypisywanych hetma-

nowi Tarnowskiemu ksiąg „o gotowości wojennéj“ i że prawdopodobnie spisał także wspomnienia swéj młodości, swoich wędrówek i bojów, które wnet najęty w tym celu niemiec Holtorp miał w łacińskich heksametrach opiewać. I w tém więc Łaski Stanisław pokazuje właściwą swéj rodzinie ambicyą. Opisywał Jarosław swe poselstwa i sprawy dyplomatyczne w relacyach, które mu rozgłos dawały; Jan młodszy niedługo potém z pismami religijnemi wystąpił: Stanisław, żołnierz, lecz który w wojnie nie zasłynął, bo nigdy nie stał na czele armii, nie tak jak bracia biegły w poprawnéj łacinie, przynajmniéj stara się usilnie, aby go sławili inni i dostarcza im do tego materyału; sam zaś po polsku przekazuje dla nauki potomnych, ale pewno i dla własnéj sławy, owoce swoich doświadczeń wojskowych, praktyczne rady i wskazówki dla hetmana i dla żołnierza. Pismo to dość bezładne, urywkowe, dorywcze, ale nader ciekawe; język piękny i jędrny. Zaleca nasz Stanisław — i w tém prawdziwy Łaski — walkę zaczepną, zachęca do wstępnego boju, gdzie tylko probować go można; szczególniéj zaczepnéj walki z Turkami jest zwolennikiem. Na każdym kroku pełno tu wspomnień z własnéj praktyki, pełno przykładów z bitw i oblężeń spółczesnych; czy i o ile Stanisław Łaski korzystał z pism spółczesnych teoretyków wojskowych, czy i o ile ma jego praca prócz historycznéj także i rzeczową wartość w ogólnéj literaturze wojskowéj: tylko fachowy znawca mógłby ocenić.

Nie wiadomo, czy ta praca dała mu rozgłos pożądany, czy go w kraju jako wojownika ceniono. Zdawałoby się, że celu upragnionego tém pismem nie osiągnął, skoro nie ogłoszone w jednym tylko rękopiśmie i to pod cudzem imieniem się przechowało. Nie miał téż—jak się zdaje—żadnéj sposobności, żeby się w wojnie odznaczyć, odkąd do kraju powrócił: przynajmniéj nie słychać nic zgoła o polskich Łaskiego bojach, nie wspominają nic o zasługach jego wojennych te nadania, jakiemi w ostatnich latach swego panowania Zygmunt Stary go obdarzył. W rok po śmierci starszego brata został po nim Stanisław Łaski, jak niegdy brat po ojcu, wojewodą sieradzkim (w maju lub czerwcu 1543 r.); w trzy lata późniéj otrzymuje ekspektatywę na starostwo łęczyckie. Nie brakło także łask i nadań drobniejszych. Tylko do posług dyplomatycznych długo nieużywano go prawie wcale (1); raz tylko posłował (1539) do zięcia królewskiego elektora Joachima II Brandeburskiego. Wtedy niepotrzeba było wielkiéj zręczności, żeby grzeczną ale odmowną odpowiedź

---

(1) Istnieje wprawdzie wiadomość o poselstwie do Danii i do książąt Meklemburskich, ale bardzo niejasna i niepewna.

powieść elektorowi, który pragnął przyznania ewentualnéj sukcesyi w Prusach książęcych dla swego syna a wnuka Zygmuntowego (przypuszczenie linii elektorsko-brandeburskiéj do sukcesyi w Prusiech, jak wiadomo nastąpiło dopiero przez Zygmunta Augusta). Zdawałoby się, iż dlatego nie posługiwano nim się w poselstwach, że nie ufano jego dyplomatycznym zdolnościom. Jakoż istotnie gdy przyszło mu wreszcie sprawować urząd poselski w sprawie ważnéj i wielkiéj doniosłości, okazał właściwe Łaskim cechy, ambicyą i samowolność, ale nieokazał podobnéj jak brat starszy zręczności.

Prawda, że o tém poselstwie mamy wiadomość tylko od niechętnych Łaskiemu, przeważnie od Hozyusza, który jechał poprawiać co Łaski miał źle zrobić, który był może nazbyt skłonny przypisywać mu winę i w tém także, o co niezależne od posła okoliczności winić by należało.

Chodziło to znowu o sprawę pruską. Jak wiadomo, po sekularyzacyi Prus pozwał był Zakon ks. Albrechta; a że Zakon był członkiem Rzeszy i Albrecht, póki był W. Mistrzem, także za członka Rzeszy uchodził i na sejmach Rzeszy zasiadał, pozwał go więc przed najwyższy sąd Rzeszy (Reichskammergericht), dla rozstrzygania procesów między członkami Rzeszy ustanowiony. Ks. Albrecht się przed sądem nie stawił, zaocznie wyrzeczono na niego banicyę. Uciekł się książę pruski oczywiście pod opiekę swego zwierzchnika lennego; król Zygmunt słał odtąd wielokrotnie do Rzeszy i cesarza i dopominał się zniesienia banicyi jako bezprawnéj. Przeczono ze strony polskiéj, żeby Prusy kiedy bądź do Rzeszy prawnie należały, odmawiano sądowi Rzeszy wszelkiéj w sprawach pruskich kompetencyi, żądano, aby każdy, ktokolwiek ma do Prus lub do księcia jakie pretensye, przed króla polskiego jako jedynego Prus pana skargę swoją wytoczył. Ofiarowywano się wreszcie, żeby komisarzom, których obie strony, Rzesza i Polska, naznaczą, rozpatrzenie téj sprawy powierzyć i zdać się na ich wyrok polubowny. Sprawa się wlokła: banicyi nie usunięto, nie zniesiono, tylko raz poraz zawieszano jéj moc, powstrzymywano jéj egzekucyą do czasu. Rozstrzygnąć sprawę było rzeczą istotnie trudną, bo pod tą formą procesu sądowego pomiędzy Zakonem a księciem pruskim ukrywał się spór polityczny, do kogo Prusy z prawa należą: do Polski czy do Rzeszy.

Nierozstrzygnięty spór mógł łatwo groźną przybrać postać, kiedy cesarz Karol V zwyciężył związek szmalkaldzki książąt protestanckich i gotował się 1547 r. do uporządkowania na sejmie Rzeszy wszystkich jéj spraw według swéj woli i swego interesu. Ks. Albrecht ze związkiem szmalkaldzkim utrzymywał stosunki; teraz pe-

łen był trwogi, że może egzekucya banicyi nastąpić, o co się administrator W. Mistrzowstwa usilnie starał u cesarza. I w Polsce budziły się obawy przed cesarza potęgą w obecnéj chwili; dla zażegnania możliwego niebezpieczeństwa umyślono nowych posłów na przyszły sejm do Augsburga wyprawić. Dla czego naczelnikiem poselstwa miał być Stanisław Łaski—nie wiemy; dosyć, że go wysłano najprzód do ks. Albrechta po informacye, jak go ma bronić, a gdy powrócił, w senacie podczas sejmu roztrząsano pilnie instrukcyą, któréj się w swém poselstwie miał trzymać.

Nie chciał Łaski miéć żadnego kolegi (pospolicie w ważnych sprawach dwóch posłów razem wyprawiano). Zgodzono się na to i sam pojechał, oczywiście z sekretarzami (w tych liczbie był i Frycz) i z orszakiem. Z drogi pisał, że nie będzie się trzymał niewolniczo swojéj instrukcyi; przyzwolono i na to, byle jéj treści nie zmieniał. Ale za to, gdy po długiem milczeniu posła nadeszły od niego z Augsburga wcale niewesołe wiadomości, z kancelaryi królewskiéj podniosły się skargi, że on winien wszystkiemu. Donosił poseł, że na jego przemowę do cesarza i stanów Rzeszy odpowiedział Zakon długim wywodem swoich praw do ziem Pruskich; wywód ten przysyłał z upomnieniem, że wojna o Prusy prawie pewna, jeśli cesarza spory z papieżem lub zatargi z Francyą nie zaprzątną gdzieś w innéj stronie. Z kancelaryi odpowiadano, że wywody prawne Zakonu sam Łaski tém spowodował, że wdał się na początku przemowy swojéj także w długi wywód historyczny praw polskich do Prus posiadania, chociaż instrukcya ledwo w końcu i krótko o tém nadmienić mu zalecała, a natomiast przepisywała cały nacisk na bezprawność banicyi położyć. Po długich zwłokach i oczekiwaniu, cesarz ze stanami Rzeszy zatwierdził prawność wyroku banicyi, a tych, którzyby chcieli bezprawności jego dowodzić, na drogę sądową odesłał, a więc właśnie przed ten sąd Rzeszy, któremu ze strony polskiéj kompetencyi w sprawie pruskiéj odmawiano; dla rozpoznania zaś sporu między Polską a Rzeszą naznaczył brata swego, króla rzymskiego Ferdynanda, komisarzem. Taką odpowiedź przyjął poseł króla Zygmunta: być bardzo może, iż żaden inny poseł nie byłby od cesarza w téj chwili lepszéj otrzymał odpowiedzi, bo jak wiadomo, Karol V był wtedy, podczas sejmu w Augsburgu, na szczycie swéj potęgi. Ale naturalną było téż rzeczą, że niezomieszkano z różnych stron w Polsce zarzucać Łaskiemu tak niepomyślny téj legacyi jego rezultat. Upoważniała go wprawdzie instrukcya do tego, żeby się starał o wyznaczenie znów komisarzy dla rozpoznania sprawy, jeśli ani zniesienia banicyi nie da się uzyskać, ani nakłonić cesarza do obietnicy, iż przeszkodzi każdemu, ktoby chciał tę banicyę egzekwować.

W tém jednak, że cesarz bannicyę wyraźnie potwierdził, a szczególniéj w tém, że naznaczył komisarza jedynego, zamiast zostawić obok niego miejsce na drugiego, którego król polski wskaże, upatrywano nie bez słuszności ujmę godności króla, poddanie go poniekąd pod zwierzchność cesarską.

Może być, że tak niekorzystne wywiązanie się z téj misyi byłoby w innych warunkach sprowadziło jakie znaki niełaski królewskiéj. Ale kiedy nasz Stanisław do Polski wracał, już Zygmunt Stary nie żył, a Zygmunt August musiał sobie na wszystkie strony ujmować senatorów przy powszechnem wzburzeniu z powodu małżeństwa z Barbarą. I wojewoda sieradzki, któremu do Augsburga jeszcze za życia ojca doniósł młody król o swém małżeństwie, zamiast nagany spotkał nowe dowody przechylności królewskiéj; otrzymał teraz w dożywocie wolne od wszelkich opłat do skarbu to starostwo łęczyckie, na które już miał ekspektatywę od zmarłego króla. Czy go tém Zygmunt August zjednał? czy Łaski powiększył szczupłą garstkę tych panów, którzy nie opierali się małżeństwu z Barbarą?—nie wiemy; parę słów jego przemówienia na burzliwym sejmie piotrkowskim w końcu 1548 r., które nam dyaryusz sejmowy przechował, (1) nie pozwala rozpoznać, po któréj stał stronie w tym zatargu pomiędzy królem a większością stanów. Po sejmie zaś niedługo, 13 kwietnia 1549 r., zakończył życie, nie stary jeszcze, ledwo 50 letni. Mniemano, nie wiedzieć z jakiéj przyczyny ani z jaką słusznością, że i on umarł, jak brat starszy śmiercią nienaturalną. „W tém zamieszaniu—mówi współczesna zapiska—był otrut, różno powiadają, przecz i od kogo: to sam Bóg ukaże czasu swego, gdyż był takiéj stateczności, iż wiedząc to sam dobrze, okrom małżonki swéj nikomu tego niepowiedział.“

Z trzech prymasa synowców żył już tylko jeden, średni, Jan Łaski młodszy, a i ten żył zdala od Polski już od lat dziesięciu. Ale właśnie teraz, właśnie z powodu niepomyślnego skutku legacyi Stanisława Łaskiego i z powodu zmiany na tronie polskim, zdawały się ukazywać widoki, że będzie mógł Jan Łaski do kraju powrócić.

Jan Łaski młodszy—to niewątpliwie najczystsza w całéj rodzinie Łaskich osobistość, największéj wartości moralnéj. Z różnych stron i w różnych czasach ludzie różnych stanowisk odzywają się o nim z jednakiem uwielbieniem. Czy to skromny domownik prymasa, Jan Branicki, mówi o kilkunastoletnim studencie bolońskim, którego stryj opiece jego powierzył, czy chluba uczonéj Europy Erazm

(1) Nie ma ich w wydanym przez Szujskiego dyaryuszu, który w tém miejscu ma lukę, ale się znajdują w rękopiśmiennym fragmencie dyaryusza w Tekach Naruszewicza; słowa poniżéj przytoczone zob. w Szujskiego Script. rer Polon. I, 275.

z Rotterdamu wspomina dwudziestokilkoletniego gościa swego i ucznia, czy zawzięty później przeciwnik Stanisław Hozyusz pisze o dojrzałym już blisko 40 letnim człowieku:—wszyscy zarówno nie mogą się dość nachwalić cnoty, zacności, prawości, czystości obyczajów Jana Łaskiego. Cały téż jego żywot pokazuje rzadką podówczas w Polsce, obcą zgoła innym członkom rodziny Łaskich, bezinteresowność i poświęcenie, które uznać i uszanować należy, choćby nawet kto potępiał tę sprawę, na której usługi Jan Łaski oddał się w późniejszych latach swego życia.

Sprawą tą, jak wiadomo, celem całéj działalności Jana Łaskiego, całego jego żywota, było zreformowanie kościoła. Nie odrazu jednak ku celowi się temu zwrócił. Wogóle Jan Łaski rozwijał się dużo powolniéj niźli starszy Hieronim; nie tak łatwo jak ten brat przez niego ukochany przyswajał sobie wiedzę, korzystał z nauk w Bolonii (1). Za to brał wszystko gruntowniéj, bardziéj do serca. Wytrwałość i powagę imponującą najbliższemu otoczeniu wychwala w nim już wtedy brat starszy, kochający go nawzajem serdecznie. Ta to gruntowność zapewne, ku żalowi wielkiemu brata, ku niezadowolnieniu stryja prymasa, powiodła go z Bolonii do Niemiec, niewiedzieć dokąd ani na jak długo, zkąd dopiero po jakimś czasie znów powrócił, niemałą zdaniem brata odniósłszy korzyść. Z niechęcią tylko daje się oderwać od ukochanych nauk, od świata klasycznego; z niechęcią lecz ulegając potężnéj woli stryja powraca do kraju objąć te godności duchowne, które mu wedle stryja zamiarów miały utorować drogę do najwyższych dostojeństw kościelnych. A kiedy Jarosław ledwo że z Włoch i wędrówki jerozolimskiéj powrócił, rzuca się w wir życia publicznego, żeby już odtąd ani na chwilę nie spocząć; Jan tymczasem marzy tylko o tém, jakby mógł do Włoch, do przerwanych studyów powrócić, jakby się mógł daléj kształcić i doskonalić, chociaż stryj prymas i jego chciałby już ujrzeć czynnym w życiu praktyczném, chociaż go do kancelaryi królewskiéj jako sekretarza wprowadza, chociaż się usilnie o to krząta, żeby mu biskupstwo pozyskać.

Do Włoch jednak dla studyów nie pojechał, stryj przemógł i nakłonił go do pierwszych kroków na drodze dyplomatycznéj. W inną podróż wybrał się Jan Łaski jako towarzysz brata posła do Francyi. Prawdopodobnie Jarosław nakłonił go do tego obietnicą, że po drodze wstąpią do Bazylei, do mistrza nauk humanistycz-

(1) To co Dalton o jego pierwiastkowych studyach pod okiem prymasa w Krakowie powiada, już dla tego nie ma żadnéj podstawy, że prymas jak wiadomo, nie w Krakowie miał swoję rezydencyę; księgi też uniwersyteckie o Janie Ł. milczą.

nych, Erazma z Rotterdamu, którego on sam, Jarosław, poznał w czasie swojéj pierwszéj legacyi na koronacyą cesarza Karola V. Dla Jarosława Łaskiego była znajomość z Erazmem nęcącą, bo utrzymywać stosunki z tak znakomitym mężem dawało rozgłos i sławę; ale zetknięcie się z nim kilkodniowe, parę rozmów, zwiedzenie jego biblioteki, zaspokoiły pewno i ciekawość i próżność młodego dyplomaty, wykształconego bardzo, lecz niesklonnego do naukowych dociekań. Dla Jana Łaskiego całkiem inny miała urok osobistość wielkiego humanisty, jemu nie wystarczało krótkie spotkanie. Więc choć się teraz niebawem rozstać z nim musiał śpiesząc z bratem do celu poselstwa, po paru miesiącach (w końcu 1524 r.) znów do Bazylei powraca, osiada w domu Erazma, codziennie z nim obcuje, poznaje się z całém jego uczoném otoczeniem, radby najdłużéj tu pozostać, gdzie mu się nowe całkiem otwierają horyzonty. Pozostać jednak długo nie może; listy od księżnéj Alençon Małgorzaty siostry Franciska I, przypominają mu, że to tylko chwilowe wytchnienie, że i on ma obok brata czy po bracie jakieś sprawy polityczne do załatwienia, że go czekają jakieś nowe dyplomatyczne posługi, może znowu do Francyi, może aż do Hiszpanii. Po kilku następnych miesiącach trzeba się wyrwać z uczonego schronienia; cała pociecha, że dalszych zleceń swego króla ma oczekiwać w północnych Włoszech, dokąd mu Erazm daje listy, dokąd śle z nim razem swojego sekretarza. Pewno podówczas poznał w Padwie i w Wenecyi co znakomitszych humanistów tamecznych; prawdopodobnie zetknął się także i z tym rówieśnikiem swoim rodu królewskiego, Reginaldem Pole, późniejszym kardynałem prymasem Anglii i nieomal papieżem, z którym go zestawiają dla podobieństwa przymiotów, cnót i nauki wspólni obu przyjaciele humanistyczni, Erazm i Hozyusz.

Zamiast dalekich wędrówek wypadło wracać do Polski. Jan Łaski i teraz czynił to nie nazbyt chętnie, bo towarzyszy nauki nie spodziewał się zastać tam wielu. I w Polsce była już spora garstka humanistów pokrewnych mu studyami, dzielących jego upodobania literackie i naukowe, ale nie było ich koło stryja prymasa, garnęli ich ku sobie prymasa przeciwnicy. Więc przynajmniéj z obczyzny wiezie z sobą młodego humanistę o poetycznych zdolnościach, Francuza Aniana; z bazylejskimi towarzyszami utrzymuje korespondencyą, interesuje się ich zajęciami naukowémi. I oni przechowują po nim miłe wspomnienie, donoszą mu o swoich pracach, nawet mu z nich niektóre poświęcają. Beatus Rhenanus dedykuje mu (1526 r.) cenne uwagi krytyczne do historyi naturalnéj Pliniusza, Henryk Glareanus przypisuje mu swoją geografią (1529 r.). Ku nim z tęsknotą zwraca Łaski swe oko; przejęty pokojowemi mistrza Erazma dążnościami

żali się z westchnieniem: „tu wojny, straszliwe wojny, nic prócz tego.“ Radby którego z tych towarzyszy bazylejskich sprowadzić do Polski; czyni im tak korzystne propozycye, że jeden przynajmniéj, uczony prawnik Bonifacy Amerbach, przez chwilę się nad tém zastanawia, czyby nie podjąć wędrówki w dalekie na wschód strony. Samego Erazma pragnąłby Łaski ujrzéć w Polsce; gdy wielki uczony ogląda się za bezpieczném na starość schronieniem, skoro pierwsze ruchy reformacyjne w Bazylei zaczynają ukochany mu spokój tam zakłócać, Łaski nalega na niego nieustannie, aby do króla Zygmunta się odezwał; nagli naczelnika polskich humanistów, biskupa płockiego Krzyckiego, aby się zakrzątał około powołania do Polski Erazma. Erazm napisał istotnie długi list do Zygmunta, w odpowiedzi otrzymał istotnie powołanie pochlebne, aby do Polski przybył; w końcu wolał jednak przenieść się do bliskiego Freiburga.

Z pewnością nie tylko dla tego celu zbliżał się Łaski do Krzyckiego, zapominał o antagonizmie dzielącym stryja prymasa z wujem Krzyckiego Tomickim, o Krzyckiego na prymasa napaściach. Spłacał swój dług w téj literackiéj walce i nasz Łaski, jego Anian odpowiedział na epigramaty Krzyckiego; ale wspólne upodobanie w literaturze klasycznéj pociągało go ku Krzyckiemu. Przecież już w Bazylei rad opowiadał Erazmowi o Krzyckim, zachwalał jego talent poetycki, okazywał jego utwory. Teraz zapominał chętnie o waśniach i sporach politycznych obu rodzin, chętnie się z Krzyckim stykał, nawet dłuższy czas przy nim przebywał. I z młodszymi humanistami polskimi wchodził w stosunki, choć w przeciwnym stali obozie; Hozyusza, choć w usługach Tomickiego zostawał, polecał względom Erazma (1).

Pobyt w Bazylei u Erazma wywarł na Jana Łaskiego wpływ wielki. Dotąd jednę miał tylko ambicyą: poznać i zgłębić literaturę klasyczną, stać się humanistą doskonałym na sposób włoski, takim jakich widział w Bolonii. Erazm w nim wzbudził ambicyą nową; on to wlał w duszę młodego prałata chęć gorącą, żeby się do reformy kościoła mógł przyczynić. Sam Łaski powiada, że Erazm pierwszy zwrócił jego uwagę na kościół, na potrzebę jego reformy. Dlatego, chcąc nie tylko autorów klasycznych, ale i pismo święte głębiéj studyować, zaczął się uczyć w Bazylei od Konrada Pelikana hebrajszczyzny, w któréj nie wiele jednak jeszcze postąpił, gdy mu wyjeżdżać już przyszło. Nie podało to bynajmniéj wracającego do kraju

---

(1) Hosio lubens bene faxim, si quid queam, nunc tamen non erat scribendi ocium, pisze Erazm do Jana Ł. 1527 r. Erasmi Opp. III, 1657 (ed. Leyd).

w podejrzenie, jakoby miał sprzyjać nowatorstwu religijnemu, naukom Lutra; nikt w Polsce go o to nie posądzał, przed nikim się przy swym powrocie niepotrzebował związków z herezyą wyprzysięgać. Myli się najnowszy Jana Łaskiego biograf dr. Dalton, który to utrzymuje, jak pomylił się wydawca dzieł Łaskiego Kuyper, który znalazłszy przysięgę taką Łaskiego bez daty, dodał jéj datę r. 1526 (1).

Że się dr. Dalton pomylił, to podobno skutek nie tylko błędnéj daty, ale i fałszywego wyobrażenia o Erazmie i o jego stosunku do reformacyi Lutrowéj. Prawda, że to wyobrażenie fałszywe przeważało i dziś jeszcze przeważa wśród historyków owéj epoki. Chociaż już bardzo wiele pisano o Erazmie, choć kilka o nim książek w ostatnich latach powstało, niedoczekał się jednak dotąd wielki ten uczony biografii wyczerpującéj, jasnego przedstawienia nie tylko jego działalności, ale i wszystkich jego dążeń, ostatecznego jego celu. Pierwszy to raz podobno Maurenbrecher naszkicował niedawno wierny Erazma wizerunek w téj książce (Geschichte der Katholischen Reformation Tom I, Nördlingen 1880), którą bezprzecznie do najznakomitszych utworów współczesnéj historyografii niemieckiéj zaliczyć należy.

Maurenbrecher nam pokazuje, że Erazm raz sobie cel wytknąwszy, przez całe życie do niego zmierzał wytrwale i konsekwentnie. Przedewszystkiem wielki uczony, ale zarazem człowiek prawdziwie pobożny, pragnął reformy w kościele i przez kościół, lecz nie zburzenia kościoła historycznego. Szydził ze scholastyki i scholastyków, bo scholastyka była w zupełnym upadku i rozkładzie; bo ją pragnął zastąpić studyowaniem prawdziwie naukowém pisma św. i dzieł ojców kościoła: dla tego je wydawał, komentował, greckich ojców kościoła przekładał. Przeciwko mnichom, ich ciemnocie i ich zepsuciu walczył ostrą bronią gryzącéj satyry, bo chiał odrodzenia się uczucia religijnego, lekceważąc praktyki niepowstrzymujące bynajmniej upadku moralności. Dlatego wskazywał na osobę i na żywot Chrystusa, dla tego kładł nacisk główny na moralną chrześciaństwa stronę w swych budujących podręcznikach, które w klasycznéj for-

---

(1) Świeżo powtórzył jeszcze raz *tę* pomyłkę X. Korytkowski, chociaż znając nowe wydanie korespondencyi Hozyusza wiedział, do którego czasu należy odnieść przysięgę Jana Ł. Bez najmniejszéj do tego podstawy X. K. każe Łaskiemu dwukrotnie taką przysięgę składać; prawda, że krótka jego biografia, którą X. K. podaje w swém dziele „Prałaci i kanonicy kapituły Gnieznień.“ zawiera obok paru nieznanych szczegółów mnóstwo błędów faktycznych i świadczy o zupełnéj nieznajomości stosunków i ludzi owego czasu. Naturalnie, sama postać Jana Ł. wychodzi tu na zupełną karykaturę.

mie ogłaszał. O dogmatyczną stronę nauki kościelnej nie troszczył się Erazm zbyt wiele, ale jéj nigdzie nie zaczepiał; a reformę, którą za zbawienną uważał chciał widzieć przeprowadzoną powoli, stopniowo, bez wstrząśnień i zaburzenia, przez powołane do tego czynniki, przez biskupów i papieża, z pomocą i za sprawą monarchów i książąt.

Takiéj reformy pragnęli wszyscy co światlejsi i zacniejsi wśród duchowieństwa, pragnęli królowie i książęta. Z téj strony cieszył się Erazm najzupełniejszém uznaniem, nawet i wtedy, gdy Luter wystąpił, gdy się zaczęły szerzyć niepokoje religijne, gdy Erazma wielu oskarżało, że on to Lutrowi drogę utorował i grunt przygotował dla niego. Bo istotnie zrazu Erazm widział w Lutrze pożyteczne narzędzie reformy, dopóki Luter reformy tylko żądał; odwodził od użycia przeciwko niemu środków gwałtownych, bo lękał się zwycięstwa reakcyi; ale odkąd Luter zaczął wywracać naukę kościelną i na jéj miejsce swoje stawiać dogmaty, odkąd się poczęły nieporządki i reformowanie przemocą, Erazm był tylko konsekwentnym z sobą samym że się od tego odwrócił, że ze wstrętem na to spoglądał i w końcu do literackiéj z Lutrem walki o wolną wolę wystąpił. Nie przestał jednak nigdy do reformy zachęcać, w niéj najskuteczniejszy środek do przywrócenia jedności w rozerwanym kościele upatrywał; kwestye sporne dogmatyczne chciał zachować do decyzyi soboru powszechnego, reformy praktycznéj w obyczajach, w urządzeniach kościelnych dopominał się zaraz i po niéj się najlepszych spodziewał skutków.

Można powątpiewać, czy środki wskazywane przez Erazma byłyby skutek osiągnęły, czy teraz nie przyszły by już za późno; Erazm, prawdziwy uczony, może się łudził, za mało brał w rachubę namiętności ludzkie, które w grę także tu wchodziły. Ale podobnemu złudzeniu ulegali współcześni najwyżéj nawet stojący i nieprzestali Erazma swą przychylnością obdarzać. Papież Hadrian VI powoływał go do Rzymu, aby z jego światłéj rady dla zażegnania rozdziału kościoła korzystać; do jego rady odwoływali się legaci zjeżdżający do Niemiec, w Hiszpanii całe zgromadzenie znakomitych teologów zabroniło wszelkich na pisma Erazmowe napaści. Więc Łaski przyjeżdżający od Erazma, nie popadł w podejrzenie co do prawowierności, zwłaszcza że Erazm i w Polsce liczył już wśród duchowieństwa sporo wielbicieli gorących, a liczba ich się wzmagała, odkąd przeciw Lutrowi wystąpił. Łaski właśnie podówczas bawił u Erazma, kiedy ten pisał o wolnéj woli; pragnął téż reformy kościelnéj w myśl Erazma, nie zaś na sposób Lutra. Jeszcze w lat parę potém z przekąsem odzywa się o protestantach, że chcą od Ferdynanda, aby im ubezpieczył ich wiarę „ewangielicką, jak ją zwą sami.“

Takiéj reformy jak Erazm pragnęli i światlejsi między biskupami polskimi. Już 1525 r. słano do Rzymu z usilną prożbą, aby papież zwołał sobór dla usunięcia rozdziału kościelnego; a synod prowincyonalny w Łęczycy 1527 r. powziął uchwały, którym Erazm przyklasnąłby z całego serca, jeżeli o nich posłyszał. Postanowiono tam bowiem, że każdy biskup ma się postarać o biegłych teologów i dobrych kaznodziejów dla pouczania wiernych, że kaznodzieje mają wykładać ludowi w swych naukach ewangelią w zdrowy i prawowierny sposób, że powinni unikać przytém kwestyi scholastycznych i bajecznych przykładów; zalecano kaznodziejom posiadać w tym celu pismo św. ojców kościoła i inne podobne księgi, a więc te właśnie, których znajomość rozpowszechnić Erazm się zawsze starał.

Podobno nasz Jan Łaski brał w tym synodzie udział; niepodlega najmniejszéj wątpliwości, że pochwalał, co tu postanowiono, bardzo być może nawet, że on to wpłynął na synód, aby się takich środków a nie gołéj represyi chwycono. Przecież przed rokiem skarżył się gorzko przyjacielowi bazylejskiemu, że w Polsce nic się nie dzieje dla poprawy kościoła. Łaski w tym czasie otrzymał wyższe dostojeństwa kościelne: dotąd dziekan gnieznieński i kanonik krakowski, teraz został proboszczem gnieznieńskim i łęczyckim tudzież kustoszem płockim. Żeby jednak samemu módz do reformy kościoła przyłożyć czynnie ręki, potrzeba było samoistnego zakresu działania, a więc katedry biskupiéj. Starał się o to dla niego już dawniéj stryj prymas: teraz i synowiec dawniéj obcy takiéj ambicyi, czynny w zabiegach stryja bierze udział, to z Krzyckim to z Latalskim się chce układać o następstwo po nich (prymas im za to ofiarowywał następstwo po sobie: o koadjutoryą tymczasem chodziło), konferuje potajemnie z królem Zygmuntem, posyła zaufanego krewnego do królowéj Bony, która już zagarnęła szafunek dostojeństwami.

Nietylko o reformie kościoła i potrzebném mu w tym celu biskupstwie myślał i starał się o nie nasz Jan Łaski podówczas; równocześnie, może mniéj chętnie, bierze jednak czynny udział w politycznych zabiegach i usiłowaniach swojéj rodziny, w jéj stosunkach z Janem Zapolyą. Utrzymuje więc korespondencyą z posłem francuskim do Zapolyi, z Rinconem; z radością mu donosi o przymierzu tureckiem, o tureckich posiłkach, o powrocie Zapolyi z Polski na Węgry; śpieszącego tam Rincona podejmuje w Łowiczu i podróżnych mu przyborów dostarcza, może nawet (choć to wątpliwe) sam się za nim do Zapolyi udaje. Bo niebawem, w lutym 1530 r., jako poseł Zapolyi stawał przed królem Zygmuntem i przed senatem na sejmie piotrkowskim, na którym dokonano elekcyi Zygmunta Augusta. Składał więc imieniem króla węgierskiego powinszowania téj elekcyi a prze-

dewszystkiém upraszał o pomoc polską przeciw Ferdynandowi i usprawiedliwiał króla Jana, że wszedł w związki z Turkami, i swego brata Jarosława, że z nimi rozejm imieniem Polski zawarł. Za życzenia podziękowano od króla, usprawiedliwienia uznano za zbyteczne, ale pomocy odmówiono; a Jarosław Łaski tak bardzo gniewu królewskiego się lękał, że nie inaczéj jak za glejtem chciał przybyć do Polski, gdy na zjeździe w Poznaniu miał się układać o pokój w imieniu Zapolyi z wysłańcami Ferdynandowymi. Na tym zjeździe (we wrześniu i październiku 1530 r.) i nasz Jan obok brata figuruje znowu jako jeden z posłów węgierskich, a występuje wtedy jako biskup elekt Weszprimski, oczywiście przez Zapolyę nominowany. Nie postał jednak nigdy, jak się zdaje, w tém węgierskiem biskupstwie swojem, może dla tego, że leżało w téj Węgier części, którą wojska Ferdynanda miały w swéj mocy. Nie przestał téż się starać o biskupstwo polskie, tém bardziéj, że spadku ojczystego zrzekł się już dawniéj na rzecz braci i zrzeczenie to teraz właśnie ponowił kiedy po śmierci stryja prymasa bracia Łascy ostateczne działy pomiędzy sobą robili. Ale właśnie Łaskich polityczne stosunki utrudniały Janowi dojście do pożądanego biskupstwa. Śmierć prymasa nie wzmocniła oczywiście ich stanowiska w Polsce. Przyrzekał wprawdzie podkanclerzy Tomicki Jarosławowi Łaskiemu, który mu brata polecał, że jego sprawę u króla będzie popierać; wątpić trzeba, żeby ta obietnica była szczera; skutku téż nie było widać (1).

Wybrany administratorem opróżnionego Arcybiskupstwa, zarazem egzekutor testamentu zmarłego stryja, miał czas jakiś nasz Jan Łaski niezmiernie wiele pracy, bo rozwikłać zagmatwane bardzo interesa pieniężne nieboszczyka prymasa było rzeczą kłopotliwą w najwyższym stopniu. Zapraszał imieniem kapituły nowego prymasa do objęcia godności, zawarł z nim niezbędne układy co do spadku po stryju; ostatni raz widzimy go w Krakowie, jesienią 1531 r., gdzie przebywał chory, zapewne ze znużenia—w ogóle był bardzo słabowity od młodości i często chorobom podlegał;—odtąd jednak znika nam zupełnie z oczu, dosyć długo o nim nic prawie nie słychać. Odtąd raz tylko występuje czynnie, gdy o uwolnienie uwięzionego przez Zapolyę brata chodziło. Wtedy i u senatu polskiego i u króla

(1) Według rękopiśmiennych Acta Tom., z których znaczne wypisy podaje X Korytkowski; ale myli się X. K. przypisując prymasowi zamiar ustąpienia Arcybiskupstwa synowcowi, bo prymas chciał tylko w ten sposób swojem ustąpieniem do wyniesienia synowca się przyczynić, żeby ten z biskupów (Drzewiecki, Latalski lub Krzycki), którego sobie za koadjutora przybierze, natomiast Jana Ł. sobie wziął za koadjutora i następcę w biskupstwie.

Zygmunta (a więcéj jeszcze u Bony) robił gorące starania, sam nawet podobno udał się na Węgry, choć go i wtedy ciężka choroba trapiła. Niebawem znowu o Janie Łaskim głucho zupełnie. Dowiadujemy się, że „tak bardzo sobie spoczynek i ciszę upodobał, że się usunął od zgiełku dworskiego, zawarł w jednym ze swoich zamków“ (bodaj czy to nie w Kiezmarku u starszego brata), „od rozmowy nawet z domownikami prawie się powstrzymuje, aby przy umyśle spokojnym i wolnym od trosk wszelkich mógł pochłaniać te nauki, ku którym od najwcześniejszéj młodości zawsze uczuwał niezmierne zamiłowanie.“

Widocznie więc Jan Łaski nie mogąc się doczekać upragnionego biskupstwa, nie mogąc pracować nad reformą kościoła samoistnie, w życiu praktyczném odegrać roli znacznéj, któréj jak każdy Łaski pożądał, a wreszcie widząc, że dla reformy kościelnéj nic się w Polsce nie robi (owe chwalebne uchwały synodalne z 1527 r. nie weszły w wykonanie)—zniechęcony usunął się od życia praktycznego i wrócił do dawnych upodobań, żeby przynajmniéj nad sobą samym pracować, oświecać się i wewnętrznie doskonalić.

Chciał jednak mieć w téj pracy towarzyszy usposobieniem pokrewnych, wzywał Hozyusza, żeby w jego studyach wziął udział. Przyszły kardynał i pogromca protestantyzmu w Polsce niczego więcéj nie pożądał, jak połączyć się z przyszłym naczelnikiem kalwinów polskich. Osierocony świeżo po stracie ojca, a więcéj jeszcze po śmierci Tomickiego, swojego opiekuna i dobroczyńcy, znużony mozolną pracą w kancelaryi królewskiéj, do któréj go, gdy z Włoch powrócił, zaprzągł ksiądz biskup podkanclerzy, prawdziwe upatrywał w tém dla siebie szczęście, żeby się mógł „na wolność“ w taki sposób wydostać, do ukochanych studyów powrócić, do których go Łaski i przez wysłańców i sam osobiście zapraszał i przyzywał. Już przed włoską Hozyusza podróżą znali się ci dwaj ludzie i nieraz o potrzebie reformy w kościele rozprawiali, a jeszcze i teraz nie mógł się Hozyusz dosyć nachwalić Łaskiego, „w którym zacność z nauką tak ściśle się łączą, że trudno powiedzieć, czy jest uczeńszym czyli téż lepszym“. Krewni jednak Hozyusza przeszkodzili mu, że powziętego już stanowczo zamiaru nie mógł wykonać. Na dworze, żądano od niego, świetniejszéj niechaj karyery powoli się dosługuje; na dworze i krewnym swoim i sobie może być bardziéj pożytecznym. Z westchnieniem, ze słowami poety: „widzę co lepsze i pochwalam, a jednak czynię co gorsze“, Hozyusz wyrzekał się ulubionéj myśli (1).

(1) Hozyusz do Bonamica 12 lutego 1536, Hosii Epp. I, 16 (ed. 1879); z tego listu pochodzą przytoczone powyżéj słowa o Ł.

Rozstali się obadwaj przyjaciele, żeby dopiero po latach wielu stanąć znów naprzeciw siebie jako wrogi.

Nie należy bynajmniéj z tego wnosić, jakoby Hozyusz podówczas żywił jaki bądź ku reformacyi pociąg. Obadwaj z Łaskim stali na wspólnym gruncie reformy kościelnéj wedle myśli Erazma. I Łaski jeszcze podówczas gruntu tego nie był porzucił: kiedy się dla dalszych studyów zamykał przed światem, jeszcze nieprzewidywał, dokąd go te studya poprowadzą. Zetknął się był wprawdzie już w Szwajcaryi z reformatorami protestanckimi, z Zwinglim, Farelem, Ekolampadiusem; były to jednak przemijające chwilowe tylko stosunki; ci zaś wszyscy z przyjaciół bazylejskich, z którymi dłużéj utrzymywał związki, Beatus Rhenanus, Glareanus, Amerbach, wszyscy jak Erazm pragnęli reformy w kościele, ale jak Erazm potępiali protestantyzm jako rewolucyą kościelną. Zostawał Łaski już wtedy, kiedy Hozyusza do siebie przyzywał, w stosunkach korespondencyi z Melanchtonem, ale zapewne jeszcze cenił w nim raczéj uczonego humanistę, z którym i Erazm korespondował do końca, niż reformatora i współpracownika Lutrowego. Pisząc już po raz drugi do Łaskiego zapewniał go Melanchton (1), że go kocha dla jego cnót i nauki; że nie mówił nic o jego pobożności ani jéj nie wychwalał, to podobno dowód najlepszy, że jeszcze Łaski żadnych nie okazywał wyraźnych sympatyi dla przekonań religijnych Melanchtona. A przecież bawił już od dłuższego czasu w Wittemberdze przy Melanchtonie ów Anianus, niedawny towarzysz Łaskiego; z jego to powodu korespondencya ta między nimi się zawiązała, o jego to śmierci przedwczesnéj donosił Łaskiemu Melanchton z wielkiem strapieniem, pobożność i gorliwość religijną zmarłego wychwalał i w tym liście i publicznie. Przez Aniana niewątpliwie był Melanchton dokładnie poinformowany o stanie przekonań religijnych Łaskiego.

Sam fakt jednak, że Łaski nieprzeszkodził udać się do Wittembergi Anianowi, którego do końca opieką i miłością otaczał, że może go nawet tam wysłał, jest sam przez się wymowny; pokazuje, że chociaż jeszcze nie protestant, Łaski przecież mniejszą niż przedtem żywi niechęć ku protestantyzmowi, że mu się już nieco uczuwał bliższym i przynajmniéj pośrednio wchodził z nim w zetknięcie przez Aniana, może i przez Andrzeja Frycza. W tych właśnie latach zamknięcia się przed światem odbywał się w Janie Łaskim proces duchowego przeobrażenia, który go miał do obozu protestantów poprowadzić. W jaki odbywał się sposób, jakie przechodził on stadya roz-

---

(1) List ten z 2 lutego 1535, przeoczony przez Daltona, w Corpus Reform. II, 838.

woju—nie mamy ku temu dostatecznych wskazówek; ale że sam proces dokonywał się bardzo powoli, że i teraz Łaski powoli bardzo się rozwijał, to najmniejszéj niepodlega wątpliwości. Nie był też jeszcze ów proces dokonanym zupełnie, kiedy Łaski Polskę znowu opuszczał (1538 czy 1539 r.), choć znacznie przedtem rozchodziły się tu i owdzie pogłoski, że już do Wittembergi, do Lutra i Melanchtona, pojechał.

W przeszło 20 lat potém nad trumną Jana Łaskiego wielbił minister kalwiński Statorius jego stałość religijną; opowiadał ku zbudowaniu swych protestanckich słuchaczów, że Zygmunt Stary już nominował Łaskiego biskupem kujawskim, ale on udał się do króla, i wyłożył mu otwarcie powody, dla czego biskupstwa przyjąć nie może; król łaskawy nie tylko się tém nie uraził, ale nawet dał mu listy polecające od siebie do różnych obcych monarchów. Że tak było w istocie, to przyjmuje jako fakt bez żadnych zastrzeżeń najnowszy Łaskiego biograf Dr. Dalton (1) i powiada, że Łaski wyjeżdża zdecydowany zerwać ostatecznie z kościołem; natomiast ze strony katolickiéj po dziś dzień bywa powtarzano, że Łaski wyjechał z Polski i został protestantem dla tego, że mu biskupstwa kujawskiego odmówiono. Nie myślę przeczyć stałości religijnéj Łaskiego, dał jéj potém dosyć dowodów; ale w tém co nad grobem dla pochwały zmarłego bywa mówione, nie należy, jak wiadomo, szukać bezwzględnéj prawdy. W tym wypadku mamy świadectwa nie dające się z ową wiadomością pogodzić. Czy istotnie myślał król lub kto inny o mianowaniu Łaskiego biskupem kujawskim, zkąd inąd nie wiemy wcale ale wiemy, że w r. 1539 wyliczano go pomiędzy kandydatami na biskupstwo poznańskie (zawakowało ono przez śmierć Oleśnickiego w maju 1539, biskup zaś kujawski Karnkowski umarł parę miesięcy wcześniéj, w grudniu 1538 r.), że więc wtedy czy on sam, czy też jego krewni musieli się starać u króla, aby to biskupstwo otrzymał. Mojem zdaniem jest coś prawdy w mniemaniu, jakoby odmowa biskupstwa popchnęła Łaskiego do podróży za granicę, a tém samém do rzucenia się w objęcia protestantyzmu.

Nie ma to znaczyć wcale, że Łaski stał się odstępcą od kościoła katolickiego jedynie z obrażonéj ambicyi. Bynajmniéj. Ale Łaski jeszcze dotąd nie był zdecydowany wewnętrznie rozstać się z kościo-

---

(1) Argument Daltona, że nie śmiał by tego mówić Statorius, gdyby niebyło prawdą, bo niejeden ze słuchaczów jego mógłby temu zaprzeczyć, nie przekonywa mnie wcale; przy pogrzebie Ł. byli tylko sami protestanci, nieskłonni powątpiewać o tém, co na jego pochwałę mówiono, a nie było nikogo, coby mógł znać dokładnie stosunek Zygmunta Starego do Ł.

łem katolickim, chociaż już miał wiele wątpliwości, chociaż już był na drodze do porzucenia go wiodącéj. Gdyby choć teraz był znalazł pole działania, sposobność do reformy praktycznéj—o tę mu zawsze przedewszystkiém chodziło—to jąwszy się pracy i teraz jeszcze zaprzestałby jak mniemam, zagłębiać się w dalsze studya kwestyi religijnych, byłby—może nieprzekroczył ostatnich zapór, które dzieliły go od protestantów. Że i teraz biskupstwo go ominęło, to go popchnęło do dalszéj nad sobą samym tylko pracy, do tego że postanowił przypatrzéć się z bliska, co się téż w innych dzieje krajach; tak samo jak przed kilku laty zawiedzione nadzieje biskupstwa go spowodowały, że się od zgiełku dworskiego był usunął.

Wyjeżdżał Jan Łaski z Polski, bo nie było dla niego tu miejsca do samoistnéj pracy, a na podrzędném stanowisku,—prawdziwy w tém Łaski—pracować on nie umiał. Wyjeżdżał opowiedziawszy się królowi—nikt ze znaczniejszych ludzi nie wyjeżdżał podówczas na czas dłuższy bez pozwolenia królewskiego, a Łaski był nadto i sekretarzem królewskim;—opatrzony w listy polecające królewskie do różnych książąt—tych król nie odmawiał na żądanie nikomu ze swych dostojników: był to jakby rodzaj paszportu. Że jeszcze nie był zdecydowanym protestantem, najlepiéj pokazuje jego droga. Nie zwracał się ku żadnéj z głównych siedzib protestantyzmu, ani do Wittembergi ani do Szwajcaryi ani gdzie indziéj. Jechał najprzód do Frankfurtu nad Menem, gdzie na jarmarku można było się zaopatrzéć w księgi wszelakie, potém do Moguncyi, gdzie rządził nie nazbyt gorliwy, ale przecież katolik i kardynał, Arcybiskup elektor Albrecht Brandeburski, wreszcie się udał do Belgii, do Lowanium, słynnego uniwersytetem będącym zawsze jedną z głównych warowni prawowierności katolickiéj. Nie przewidywał pewno z góry, że tu właśnie przyjdzie mu uczynić krok ostatni w dotychczasowym wewnętrznym rozwoju, krok pierwszy wyprowadzający go po za obręb kościoła i jego urządzeń.

Tu bowiem żyjąc zupełnie na ustroniu, poznał się niebawem, niewiedzieć w jaki sposób, z pobożném kółkiem skromnych mieszczan, drobnych kupców i rzemieślników, którzy w cichości się gromadząc (w Lowanium jak wszędzie w krajach cesarza prześladowano każdy cień reformacyi) rozczytywali się w piśmie św. wykładali je po kolei, budowali się tym wykładem i lekturą różnych książek pobożnych. Uczestnicy tych tajemnych zgromadzeń wspierali się nawzajem w życiu praktyczném, codzienném, okazując i w czynach wszystkich miłość chrześciańską, współczucie, miłosierdzie.

W tém kółku Łaski sobie wkrótce upodobał, w tém kółku ujrzał idealną jakoby gminę chrześciańską. Ztąd gdzie się zgroma-

działy obok matron poważnych i młode także a pobożne dziewice, wybrać sobie postanowił towarzyszkę życia; bo uważał teraz i głosił, że „słowem Bożem dozwolone jest małżeństwo wszystkim, którzy się powstrzymać nie mogą,“ że przestrzegać bezżeństwa duchownych znaczy to „wyraźnie sprzeciwiać się rozkazowi Bożemu i chcieć, aby podlegał wyroczni ustaw ludzkich.“ Ożenił się więc z jakąś córą mieszczan lowańskich: kto ona była, jakie było jéj imię i stanowisko — najskrzętniejszym poszukiwaniom Dr. Daltona nie udało się tego wykryć.

Niedługo jednak pozostał Łaski w Lowanium. Wzmogła się czujność duchowieństwa miejscowego, poszukiwano za podejrzanymi o sprzyjanie herezyi. Obcy prałat, który tu pojął żonę, mógł łatwo uledz prześladowaniu: w sąsiedniéj niderlandzkim krajom cesarskim Fryzyi Wschodniéj poszukał wkrótce chwilowego, jak się zdawało, schronienia. Do Polski nie miał po co powracać. Późniéj nieraz, jak wiadomo, księża się w Polsce żenili, a chociaż ich o to pozywali biskupi, choć zapadały wyroki potępiające, niejeden umiał ujść kary, gdy władza świecka duchowieństwu niechętna nie kwapiła się z udzieleniem pomocy swego ramienia. Teraz jednak jeszcze król Zygmunt Stary ściśle juryzdykcyi duchownéj przestrzegał, teraz stał na czele kościoła w Polsce Piotr Gamrat, nie zbyt wzorowych, jak wiadomo, obyczajów, ale tém surowiéj pilnujący prawowierności i wypełniania wszystkich przepisów kościelnych. Niedawna śmierć na stosie staréj Waiglowéj pokazała odstępcom, czego się od niego spodziewać im należy. A Gamrat był w nieprzyjaźni z Łaskimi, miał zaś za sobą bezwględne poparcie Bony.

Łaski wiedział téż o tém doskonale, że nie minęłaby go w Polsce surowa kara. „Ciężko mi było zaprawdę, przyznaję szczerze— pisze w rok potém w liście do biskupa poznańskiego Łukasza z Górki (28 września 1541) (1) — porzucić ojczyznę najdroższą, przyjaciół najukochańszych, wreszcie wszystko co mam; ciężko téż było samemu się wprost narazić na niebezpieczeństwa nędzy i znoszenie krzyża. Ale Bogu niech będą dzięki, który mi dał męstwo, żem to uczynił i który niedozwolił, aby mdłą była we mnie jego łaska. . . . I tém się przedewszystkiem szczycę, że jestem pierwszym wśród naszych, na którym Bóg raczył okazać niewysłowione miłosierdzie swoje, że uznał mnie godnym, abym był wzgardzony, wyśmiany, zniewagami przez wszystkich ścigany, a nakoniec abym był odarty ze wszyst-

---

(1) List ten niewydany dotychczas znajduje się w Tekach Naruszewicza; z niego pochodzą i przywiedzione już przedtem słowa.

kiego co miałem, a to dla świętego imienia Tego, który i sam gdy tu żył, był wzgardzony, wyśmiany, potępiony, nakoniec do krzyża przybity, teraz zaś niezwyciężony króluje w chwale po prawicy ojca swojego na niebiesiech.“

Kiedy Łaski pisał te słowa, już istotnie był ze wszystkiego odarty. Wiadomość o jego małżeństwie dobiegła rychło do kraju i tu wywołała wielką wrzawę i straszne oburzenie, zwłaszcza że Łascy mieli wielu nieprzyjaciół. Już téż przed końcem r. 1540, w listopadzie, kapituła krakowska oddała komu innemu kanonią „wakującą wskutek małżeństwa Jana Łaskiego,“ a w kilka dni późniéj stało się to samo z probostwem gnieznieńskiém; zapewne i gdzieindziéj podobnie postąpiono z innemi jego beneficyami (1). Dla rodziny Łaskich, dla wszystkich krewnych, był to i wstyd i klęska. Nie tracono jednak jeszcze nadziei, że się zbłąkanego uda krajowi i kościołowi przywrócić. Starszy brat, Jarosław, wracając chory z ostatniéj swéj do Stambułu legacyi, wzywał go do siebie do Kezmarku. Jan pośpieszył niezwłocznie, tajemnie przejechał przez Kraków. I oto w parę tygodni po śmierci Jarosława, 6 lutego 1542 r. stawił się Jan Łaski przed Arcybiskupem gnieznieńskim i zarazem biskupem krakowskim Gamratem i w jego ręce, w obecności, prócz innych świadków, biskupa chełmskiego (późniejszego prymasa także) Dzierzgowskiego, złożył uroczyste wyznanie wiary. Zeznawał w niém, że czytał wiele pism takich ludzi, którzy od kościoła rzymskiego odpadli, ale oświadczał zarazem, że nigdy nie przyjął żadnego dogmatu, o którymby wiedział, iż się kościołowi rzymsko-katolickiemu sprzeciwia. „A jeśli—brzmią daléj słowa własnoręcznie przez Jana Łaskiego napisanéj i podpisanéj formuły — bezwiednie przypadkiem gdziekolwiek popadłem w jaki błąd, to teraz takowego zupełnie i wyraźnie się wyrzekam i wyznaję szczerze, iż nie chcę się trzymać żadnych sekt ani doktryn... owszem to tylko chcę wyznawać, co przyjmuje i aprobuje święty kościół rzymski katolicki i apostolski, a jego stolicy świętéj tudzież przełożonym moim i biskupom dopóki życia będę posłuszny we wszystkiém co dozwolone i uczciwe. To przysięgam, tak mi Panie Boże dopomóż i święta jego ewangelia.“

---

(1) Wyraźnego jednak odsądzenia przez Gamrata od beneficyów nie było, jak to X. Korytkowski p. 507 powiada. Sam przecież zaraz potém (p. 508) mówi, że w Aktach Kapit. Gnieznień. znajduje się tylko krótka wzmianka o zawakowaniu probostwa propter contractum matrimonium Łaskiego, a w tych samych słowach zapisano i w aktach krakow. Widocznie przez wzgląd na rodzinę wybrano najdelikatniejszą formę pozbawienia Ł. jego prebend.

Natychmiast, tegoż samego dnia, uznał go Gamrat zdolnym do posiadania wszelkich beneficyów duchownych, a do tych wszystkich, które dawniéj posiadał, go przywrócił; w cztery tygodnie zaś późniéj, 3 marca, kapituła krakowska wyraźnie go napowrót jako kanonika do swego grona przyjęła. Wtedy téż stawał Jan Łaski w pośrodku zgromadzonéj na sesyą kapituły; najprzód wspomniał o pogłoskach, które się zaczęły rozchodzić, kiedy tymczasem do Kezmarku się udał (zapewne pojechał tam na pogrzeb bratowéj zmarłéj — jak już wiemy—wnet po mężu) jakoby oddalił się z kraju z zamiarem niewrócenia i jakoby wszystko tu porzucał; zaprzeczając pogłoskom owym, uroczyście oświadczał, że przy wyznaniu wiary złożoném prymasowi chce „wieczyście stać i wytrwać, ani na włos od niego nie odstąpić.“ A czynił to dlatego, żeby nie podać się w nowe podejrzenia, gdy do Niemiec pojedzie; dlatego tłómaczył, jakie to powody go do téj podróży zmuszają: interesa sierot po bracie (Jarosław umarł będąc w służbie króla Rzymskiego), potrzeba sprowadzenia swoich rzeczy, które na obczyźnie zostawił. Ale oznajmiał, że zaraz gdy się z tém wszystkiém załatwi, powróci niezwłocznie i odtąd stale będzie w ojczyznie przebywał, „chyba gdyby znowu nowemi krzywdami, nowemi gwałtami, nowemi zniesławieniami przez ten czas, zanim wróci, był uciskany.“ Upraszał kapitułę, żeby go krzywdzić nie dozwoliła (1).

Gdy czytamy to wszystko, najprzód list do Górki a potém przysięgę Jana Łaskiego, ze zdziwieniem zapytać się musimy, cóż to się tak zmieniło w ciągu 4-ch miesięcy? Tenże to sam człowiek w końcu września zaznaczał z takim naciskiém, że pierwszy wśród Polaków znosi podobne jak Chrystus prześladowanie dla słowa Bożego, a w początku lutego już się tegoż „słowa Bożego“ wyrzekał i pod wszystkie potępiane „ustawy ludzkie“ poddawał? Więc zaparł się swoich przekonań religijnych dla odzyskania beneficyów, dla ich dochodów? on, który list do Górki podpisał pokornie niby ale z wyraźną chlubą: „Jan Łaski, niegdy wieloma tytułami znakomity, teraz nagi nagiego Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego sługa.“

---

(1) Hosii Epp. I, App. 9; przysięgę podał już Kuyper II, 547, z ową błędną datą 1526; że ją Łaski złożył 6 lutego 1542 i tegoż dnia został restytuowany, okazuje się z plenipotencyi wtedy wystawionéj przez Ł. w obecności prymasa 4 przyjaciołom, mającym odzyskać jego beneficya (w Aktach Kapit. Krak., Libri archivi IV, 252). Pomiędzy pełnomocnikami wymieniony tu *Andrzéj Frycz, proboszcz brzeziński*; ta wiadomość o probostwie Frycza jest nieznanym podobno przyczynkiem do wiadomości naszych o życiu sławnego publicysty.

Byłoby niesprawiedliwością, zdaje mi się, względem Łaskiego, gdybyśmy w taki sposób chcieli postępek jego pojmować. Nie ma w jego wyznaniu wiary żadnego objawu skruchy czy żalu, nie przyznaje się nawet do żadnéj winy, wyrzeka się tylko sekt i dogmatów nauce kościoła rzymskiego przeciwnych, których — jak twierdzi — nigdy świadomie nie przyjmował. O małżeństwie jego nie ma tu żadnéj wzmianki (bezżeństwo księży, jak wiadomo, nigdy nie było i nie jest rzeczą dogmatu ani nauki kościelnéj), zkąd inąd wiemy, że go się nie zapierał (1); w słowach zaś jego przysięgi, że będzie posłuszny biskupom „we wszystkiem co dozwolone i uczciwe“ (in omnibus licitis et honestis), kryje się—mojém zdaniem—niejakie na korzyść jego małżeństwa zastrzeżenie.

Nie było w tém więc żadnego fałszu ani żadnego odstępstwa; taką przysięgę mógł wykonać Jan Łaski, którego prócz małżeństwa nic jeszcze wyraźnie i otwarcie od kościoła rzymskiego nie dzieliło; tylko składał ją nie Jan Łaski apostoł, choćby wyznawca protestantyzmu, ale Jan Łaski dyplomata politykujący, wdający się na czas w kompromisy, układy, przemilczenia, żeby dla swéj ambicyi reformatora kościoła zyskać w przyszłości tém rozleglejsze pole działania.

Dziwniejsza, że na takiéj przysiędze poprzestano. Ale w téj chwili politykowanie z protestantami było na porządku dziennym w sąsiednich Niemczech. Świeżo właśnie 1541 r. odbywały się tam owe „rozmowy religijne“ w Wormacyi, w Ratyzbonie. Za cenę uznania przez protestantów zwierzchności papieskiéj, juryzdykcyi duchownéj, ofiarowywano im znaczne ustępstwa. Artykuły, na których podstawie odbywała się rozmowa ratyzbońska, które jako taką podstawę przyjął wyraźnie legat papieski kardynał Contareni, dopuszczały wyraźnie, prócz innych, małżeństwo księży. Układy jak wiadomo nie sprowadziły porozumienia, ale jeszcze wierzono w jego możebność. Cokolwiekby zaś uznano za dopuszczalne w Niemczech, to byłoby niezwłocznie i w Polsce znalazło zastosowanie. Ztąd poszło, że Gamrat nie stawiał Janowi Łaskiemu warunków nazbyt ciężkich, nie żądał od niego nic takiego, czegoby nie mógł przyjąć i zaprzysiądz. Byli przecież i wśród biskupów polskich ludzie do reform w kościelnych urządzeniach skłonni; przynajmniéj Łaski pisząc swój list do Górki, biskupa poznańskiego, nie przypuszcza, aby on, Górka, miał odmianę „rodzaju życia“ Łaskiego (t. j. jego małżeństwo) potępiać.

---

(1) Hosii Epp. I, 100.

Nie ma téż najmniejszéj wątpliwości, kto przywiódł do skutku kompromis między biskupami polskimi a Janem Łaskim. „Miałem brata starszego — pisze on w lat parę potém (Kuyper II, 587—8) — człowieka pobożnego, który mnie kochał najmocniéj. Ten gdy się dowiedział, żem zawarł małżeństwo, nie chciał, dopóki żył, żebym przystał do kogokolwiek, bo się spodziewał, że mnie jeszcze moi powołają i że moim będę mógł służyć. Po jego śmierci ofiarowałem moim pracę swoję.“ Możemy się łatwo domyślić, w jaki sposób Jarosław Łaski wpływał na brata. Wskazywał na niemieckie rozmowy religijne, na możliwe pojednanie protestantów z kościołem katolickim za cenę reform w całym kościele. Wtedy, gdy do reformy przyjdzie powszechnéj, tém wyżéj będzie ceniony, im kto dawniéj wołał reformy, im wcześniéj sam dał jéj przykład. A choćby nie przyszło teraz do pojednania i reformy, to długoż na nią potrzeba w Polsce czekać? długoż pożyje zgrzybiały starzec na tronie? nie zasiędzież po nim ten syn młodociany, który tak wielce pragnie reformy w kościele, że to aż w Rzymie niepokój już wywołało? W jednym jak w drugim razie rola naczelna Jana Łaskiego nie może minąć; jako dostojny biskup, zapewne jako stryja następca, będzie mógł wtedy wszędzie w Polsce reformę przeprowadzić. Do osiągnięcia celu nie potrzeba przecież niczego, coby sumienie jego potępiało; nie potrzebuje się wypierać małżeństwa, tylko z ogłoszeniem jego publicznem czekać do czasu, tylko zatwierdzić swą łączność z kościołem katolickim, tylko się wyrzec sekt, z których do żadnéj przecież jeszcze nie przystąpił. Pokazywał też pewno na swój przykład, jak niestałą i niepewną bywa najświetniejsza na pozór karyera, kiedy się zerwie z własnym krajem, z przyrodzoném w nim stanowiskiem, kiedy się szuka losu na obczyznie; straszył brata tą nędzą po wygnaniu go z beneficyów duchownych, któréj obawa już przedtem Jana Łaskiego niepokoiła, któréj uniknąć po jego, Jarosława, śmierci niedalekiéj jeszcze mniéj będzie miał sposobu.

Tak niewątpliwie Jarosław Łaski budząc i drażniąc ambicyę brata w tém, na co była najbardziéj czułą, z drugiéj znów strony zwalczając jego wątpliwości i skrupuły nagiął go do swoich i całéj rodziny zamiarów. Żeby mu pojednanie z kościołem ułatwić, udał się chociaż chory do Krakowa, pogodził się sam z Gamratem, odkrył mu ważne tajemnice i tém go przyjaźnie i dla Jana Łaskiego usposobił. A Jan, pod świeżem wrażeniem zgonu ukochanego brata, spełnił jego wolę ostatnią i — mówiąc własnemi Jana Łaskiego słowami — ofiarował swoim swą pracę t. j. złożył przed Gamratem swoje wyznanie wiary.

Nie czynił tego lekkiém sercem, czuł owszem w duszy niepokój, pojmował, że w téj chwili nie jest bohaterem ani męczennikiem swoich przekonań. Ztąd owo zastrzeżenie, że nie powróci do Polski, jeśli go znów jak przedtém będą zniesławiać podczas nieobecności. Ztąd téż i rychłe jego otrzeźwienie.

Ledwo wyjechał z Polski, prysnął czar, pod którego władzą dotąd zostawał. W cichém schronieniu w Emden we Fryzyi, dokąd wracał, przy téj żonie, któréj się nie zaparł, lecz któréj się miał wyrzec przynajmniéj do czasu — w Polsce nieścierpianoby wtedy żonatego prałata—zrozumiał że to co uczynił, było—nie zdradą, nie odstępstwem, ale chwilą słabości, może złudzenia. Zaniepokojony w sumieniu, wyraźnie starał się nadrabiać fantazyą i wytłómaczyć sobie i innym, że to tylko było komiczne. „Będziesz się śmiał, jeśli usłyszysz, com robił w ojczyźnie z naszymi biskupami“ — pisze już w 2 miesiące po przysiędze krakowskiéj do przyjaciela, który jeszcze jako zakonnik przebywał w klasztorze, a który on odtąd nieustannie i coraz mocniéj nagli, żeby zrzucił habit i sam się żenił. Bo teraz skończyły się dla Jana Łaskiego wszystkie wahania i wątpliwości, skończył się w nim ów długi, mozolny i powolny proces wewnętrznego rozwoju. Pod wpływem przejść ostatnich, przez naturalną po nich reakcyą, skrystalizowały się wreszcie jego przekonania religijne. Teraz czuje się już zupełnym protestantem, pewnym swéj drogi, przeciwnym wszelkim ustępstwom i ociąganiom się, chcącym pracować dla chwały „słowa Bożego,“ gdzie mu dane będzie do tego pole. Teraz poczyna się czas działania Jana Łaskiego.

Pragnął Łaski działać w pierwszym rzędzie we własnym kraju, ale tylko jako apostoł protestantyzmu ofiarował usługi swoje królowi Zygmuntowi. Zrzekał się dobrowolnie swoich godności kościelnych, na które go niedawno Gamrat restytuował; donosząc krewnym i przyjaciołom w Polsce, że przybędzie tam, jeśli go król „dla służby ewangelii“ powoła, równocześnie obejmował we Fryzyi wschodniéj jako superintendent kierunek organizującego się dopiero tam po protestancku kościoła, do czego podobno już poprzednio go zapraszano. Krewni Łaskiego, pamiętni jego wyznania wiary w Krakowie przed Gamratem, nie mogli odrazu go teraz zrozumieć; obiecywali mu, że wrychle może się dostatniego w Polsce biskupstwa doczekać, byleby tylko powracał; wyjednali nawet u króla, że go wezwał umyślnym listem, aby przyjeżdżał objąć swoje dotychczasowe beneficya. Musiał więc Łaski w odpowiedzi wytłómaczyć się wyraźniéj i zrozumieléj, niedwuznacznie; ale téż wskutek tego nastąpiło zerwanie z nim rodziny. „Moi w ojczyznie — pisze niebawem—

już mi wypowiedzieli wszelką przyjaźń i obcowanie, tak, iż niczego już się ztamtąd spodziewać nie mogę.“ Biskupi zaś polscy zgromadzeni na synod, uznali go formalnie kacerzem (1). To mu stanowczo powrót do kraju zamykało, przynajmniéj na tak długo, dopókiby panował Zygmunt Stary, prawowierny i biskupom uległy.

---

(1) Kuyper II, 588, 575. Gdy późniéj za Zygmunta Augusta Łaski do Polski powracał, biskupi polscy starali się go niedopuścić do króla, ponieważ jest maximus hereticus ac talis hic olim pronuntiatus esset, na co król im odrzekł: verum quidem est, ipsum olim a vobis in vestris synodis hereticum fuisse pronuntiatum i t. d. Wobec tych słów listu Utenhova (towarzysza Łaskiego) do Kalwina (Calvini Opp. XVI, 2599 w Corp. Reform.) nie można wątpić o samym fakcie; stało się to zapewne na synodzie r. 1544. Z beneficyów zaś swoich rezygnował J. Łaski w marcu 1543 r. (Hosii Epp. I App. 9, nota.

Wincenty Zakrzewski.

OKRUSZYNY ROMANTYZMU.

Souvenirs littéraires par Maxime Du Camp, de l'Academie Française. T. I. 1882.

Wspomnienia czy pamiętniki o tyle tylko przedstawiają szerszy interes o ile piszący je miał na celu prawdę nie zaś artystyczno-literacki efekt swojego dzieła. Maksym Du Camp jest literatem i to literatem, któremu zawsze zbywało na szczerości. Nic dziwnego zatém, że jego *Wspomnienia literackie*—pomimo że odnoszą się do najciekawszéj epoki politycznych, socyalnych i literackich walk — nie zawierają w sobie tego, co zawierać-by powinny i mogły. Autor ani na chwilę nie zapomina, że jest członkiem Akademii, któréj podwoje otworzyło mu dzieło sumiennéj kompilacyi: *Paris, ses organes, ses fonctions et sa vie*, że przemawia do publiczności, która lubuje się w formach pięknych, i nareszcie, że bądź co bądź sądzi ludzi, którzy nauką, talentem i sławą o całe niebo go przewyższają. Ztąd ciągłe miarkowanie się w sądach, ciągła wstrzemięźliwość w przytaczaniu szczegółów, któreby mogły obrazić żyjących a narazić piszącego. Jest-to zresztą zwyczajny niedostatek wszystkich wspomnień, wszystkich pamiętników i dzienników wydanych za życia autorów, którym tysiące względów i okoliczności zamyka usta na prawdę, na treść, a otwiera na łatwe efekty. Maksym Du Camp, jako literat, starał się przytém zarówno o nagromadzenie materyału jak i o obrobienie go artystyczne. To zatém, co mogłoby w jakikolwiek bądź sposób zniszczyć literacką piękność jego dzieła, ostrą nutą nagiéj prawdy zakłócić spokój i przyjemną potoczystość jego stylu, ze *Wspomnień* starannie zostało usuniętém, tembardziéj i tém chętniéj, że autor należy do tego właśnie rzędu umysłów i talentów, które podobają sobie tytko w *juste milieu* sądów i wyrażeń. Pod jego piórem krajobrazy Bretanii równie są piękne i dla oka przyjemne jak i krajobrazy Afryki lub Azyi mniejszéj, a uwagi nad politycznym, socyalnym i umysłowym stanem Francyi przy zmianie

imion własnych francuskich na arabskie lub greckie z łatwością zastosować-by się dały do Arabii lub Grecyi.

Pomimo to, dzieło jego ma swoje znaczenie, ponieważ obejmuje najciekawszą i najpłodniejszą w wypadki epokę otwierającą się około 1830 roku a zamykającą dopiero z dniem dzisiejszym. Autor „od zapału dla średnich wieków aż do pojawienia się naturalizmu, widział wiele form sztuki i literatury; żadna nie była mu obojętną i może o wszystkich mówić bez uprzedzenia, ponieważ nigdy nie przystawał na przewagę jednéj nad drugą. W walce literackiéj, jakiéj był obecnym, brał tylko udział jako partyzant *à l'aventure*, stosownie do temperamentu. Nie rozumiejąc wyłączności w rzeczach sztuki, uwielbia zarówno Rafaela jak i Tycyana, oklaskuje, nie analizując wrażenia, tak dobrze Rossiniego jak i Meyerbera.“ Rzecz prosta, że przy takim temperamencie, przy takiém wycofaniu się z szeregów walki za jakąkolwiekbądź ideę, jedną, niepodzielną, a tryumfującą nad innemi, autorowi „nietrudno być sprawiedliwym w swych sądach,“ ponieważ, właściwie mówiąc, nie sądzi ani usprawiedliwia, ale tylko nagromadza wrażenia, jeżeli je kiedykolwiek odebrał i notuje w takiéj formie, któraby go nie skompromitowała tak w jednym jak i w drugim obozie. Że jednak autor „mówi tylko o umarłych i to o umarłych których znał osobiście,“ że przed jego oczami odgrywały się dramaty polityczne i społeczne, które na losy ludzkości wpłynęły bezsprzecznie, i że nareszcie tych ludzi i te dramaty wywołuje z grobu z prawdziwie artystycznym wdziękiem, a „bez pretensyi do stawiania gmachu, kiedy może przynieść tylko kamień, kamień skromny i osobistego tylko znaczenia, do pomnika jaki potomność późniéj dopiero im zbuduje“— przeto dzieło jego, tak ubogie nawet w jakieś szersze i śmielsze sądy, tak ograniczone do ram szczegółów drobnych, powszednich i umyślnie pozbawionych wszelkiéj krzykliwszéj barwy, wszelkiego drażliwego elementu z życia, czyta się z zajęciem i albo to co wielkie przywodzi jeszcze raz na pamięć albo je téż wystawia w nowém oświetleniu. Jakkolwiek autor starał się nie wychodzić po za *Wspomnienia* czysto literackie to jest takie, w których przeważną rolę grają literaci i literatura, artyści i sztuka, i jakkolwiek nie starał się nawet o usprawiedliwienie charakteru sztuki i literatury przez polityczno-społeczny charakter epoki, to jednak książka jego, jak zresztą inaczéj być nie mogło, daje nam w zarysie, w formie epizodycznéj wprawdzie ale niezmiernie żywéj, całkowity niemal obraz tych krwawych wypadków walki, które wydały literaturę i sztukę francuską pomimowolnie i jak gdyby naprzekór opatrznościowym kierownikom społeczeństwa.

I.

Opowiadanie rozpoczyna się od wspomnienia o *łańcuchu.*

„Ludzie bez krawata, w wełnianych szlafmycach, odziani w kurtki i spodnie szarego koloru, szli po dwu liniach równoległych, przywiązani łańcuchem wychodzącym od ich szyj do długiego łańcucha, który ich wiązał razem, jak pacierzowa ość ryby wiąże pomiędzy sobą ości poboczne i z nich tworzy całość. Łańcuch w istocie był całością. Z istot jakie łączył robił istotę zbiorową, wieloraką lecz jedną, która mogła mieć tylko inicyatywę *ensemble'u*, a któréj inicyatywa indywidualna była materyalnie, mechanicznie wzbronioną. Straszny to był widok. Zewnątrz linii galerników, którzy wlokąc nogi kroczyli zwolna, szło kilku ludzi swobodnie. Ubrani byli w mundur jasno-niebieski z żółtemi wypustkami, i w czapki policyantów z żółtemi gałkami, trzymając w ręku pałki, które zdawały się być ich bronią ulubioną. Za kilkoma z tych ludzi szły wielkie psy buldogi. Galernicy, przechodząc koło naszego powozu, śmieli się głośno; jeden z nich zwrócił się do mojéj matki z jakimś niewczesnym żartem. Strażnik podniósłszy pałkę, przybiegł i bił po plecach tego nieszczęśliwca, który krzyczał z bólu, zdawało się, że łańcuch się zrywa; ludzie przyspieszyli kroku, a żelazo odezwało się ze szczękiem. Nasze matki, zdjęte litością, rzuciły na drogę po garści drobnych pieniędzy. Galernicy porwali się do zbierania ich, ciągnąc jedni drugich, upadając, oplątując się łańcuchami. Strażnicy więzienni wpadli na nich z pałkami, krzycząc: „Do szeregu! Do szeregu!“ Jeden z żandarmów podszedł i zawołał: „Nie bijcie tak mocno!“ Potém grzecznie, z ręką u kapelusza rzekł do pani Cormenin: „Nie wolno nic dawać.“ Galernicy uszykowali się w szeregi i orszak oddalił się wśród tumanów kurzu. Kiedy *łańcuch* dostał się do pierwszych domów *Villeneuve-Saint-Georges*, możnaby powiedzieć że trwoga weszła do wioski. Podpierano okiennice i zamykano sklepy; kobiéty uciekały z dziećmi, mężczyzni opierali się plecami o mury z pięściami zamkniętemi, jak gdyby gotując się do obrony. Kiedyśmy przyjechali do domu służba była na nogach: za kratami, w przedsionku u wszystkich wejść, stali ludzie z bronią myśliwską. Przez całą tę noc w *Villeneuve-Saint-Georges* czuwano.

Tak-to w 1827 roku za panowania arcy-chrześciańskiego króla, więźniowie szli na galery. Trzeba było czekać dopiero rozporządzenia królewskiego z 9 grudnia 1839 roku, aby ustała ta podróż demoralizująca, która trwała od trzydziestu do czterdziestu dni. *Łańcuch* zastąpiony został przez wozy celkowe. Dziś na każdéj linii kolei żelaznéj zarząd więzień posiada wagony urządzone do przewo-

żenia zbrodniarzy. Lecz ile to czasu potrzeba było aby uznać, że społeczeństwo się broni nie zaś mści! Że jeżeli ma prawo karania, to ma także obowiązek poprawiania i że wszelkie bezużyteczne zwiększenie kary staje się okrucieństwem, które osłabia uszanowanie należne prawu. Nie doszliśmy jeszcze do tego abyśmy mogli ogłaszać, że więzienie nie może i nie powinno być czémś inném, jak tylko szpitalem moralnym; lecz to przyjdzie może, gdyż w naszym kraju (francuskim) nie należy w nic tracić nadziei!"

Od więzienia do szkoły droga niedaleka. Szkoda tylko że autor, tak jasno widząc wadliwy system nauczania we Francyi, ograniczył się na charakterystyce życia w szkole z zupełném pominięciem programu i tym sposobem w rozdziale *Le Collège* nie doszedł do tego świetnego uogólnienia kwestyi, jakiém już przedtém oświecił ponurą instytucyą więzień.

Nie będąc marzycielem, Maksym Du Camp wbrew poetom, wbrew westchnieniom Alfreda Musset'a „za owemi szczęśliwemi czasy w kolegium," z téj epoki swojego życia „ma tylko wspomnienia obmierzłe.

Czyż to może praca była mi wstrętną do tego stopnia? — Bynajmniéj; miałem ochotę do nauki i uczenie się było zawsze dla mnie przyjemnością najżywszą; nie byłem nygusem, jak to mówią nasi nauczyciele. Byłem buntownikiem. Nie mogłem znosić karności i nie mogłem do niéj nagiąć mojéj natury. Reguła brutalna i jednakowa dla pięciuset charakterów różnych, smutek podwórz otoczonych wysokiemi murami, grubiaństwo, jeżeli nie co gorszego jeszcze, lokai, którzy nas obsługiwali, brud oddziałów i klas, obrzydliwy widok miejsc gdzie nie można było nie chodzić, smród w refektarzach, surowość drobiazgowa, jeżeli nie zawistna guwernerów, szyderstwo dzieci, które starają się kpić z wszelkich uczuć, brak swobody, przygnębienie indywidualności, które powstają przeciwko systematycznemu panowaniu, zamieniły dla mnie kolegium w rodzaj piekła, w którém ciągle walczyłem i w którém ciągle byłem zwyciężany. Mówią, że kolegium kształci charaktery; nie spostrzegłem tego, ale za to widziałem, że się tam zostaje swarliwym, kłamcą i ukrytym. W tym małym świecie wady rozwijają się drogą zarazy lub sympatyi z szybkością nadzwyczajną.... Zdaje mi się nawet że zmysł buntu, jaki podzielałem z wieloma kolegami, w niczém nie szkodzi przymiotom. A mówię to do rodziców, którzy się martwią kiedy ich dzieci są karane, pokazując im w przyszłości szafot. Mogę tu zacytować trzech uczniów z kolegium *Louis-le-Grand*, którzy zostali wydaleni za niekarność i złe prowadzenie się. Pierwszy, którego nazywano sybarytą, był jednym z bohaterów, jednym z naj-

lepiéj zasłużonych w szarży kirasyerów pod Reichshoffen, a dziś jednym z najlepszych generałów jazdy. To Cezar Corot „mój stary wspólnik.“ Drugi jest uczonym, który zaszczyt przynosi Francyi. Kiedy mówi, Akademija nauk milczy; przywodzi pracom w Obserwatoryum: to kontradmirał Mouchez. Trzeci miał skromniejsze przeznaczenie, lecz zdziwiłbym bardzo moich dawnych nauczycieli, gdybym im powiedział, że jest on (Maksym Du Camp) w Akademii francuskiéj.

Czyżby to miało znaczyć, że dochodzi się do czegoś tylko wtenczas, kiedy się było złym uczniem? Broń Boże, abym miał głosić podobną herezyą! lecz można utrzymywać, że wszelka indywidualność ruchliwa, hałaśliwa, instynktownie powstająca przeciwko nadużyciom władzy i otrząsająca się z pod jarzma śmiesznéj karności, daje dowód siły oporu, która późniéj znajdzie swoje zastosowanie w walkach życia i w wytrwałości. I dodam, że ktokolwiekby nie umiał lub nie mógł sam uzupełnić swojego wykształcenia, będzie zawsze człowiekiem niższym, przeznaczonym do egzystencyi miernéj. . . .

Koza w kolegium jest prawdziwém więzieniem. Celki w *Mazas*, w więzieniu *de la Santé* i *de la Conciergerie*, które są widne i ciepłe, w porównaniu z kozą w kolegium *Louis-le-Grand* możnaby nazwać buduarami. Rewolucye otwierające bramy więzień nie otwierają jednak kozy. I ja tam byłem, samotny, zamknięty jak złoczyńca, zmuszony do skopiowania tysiąca pięciuset lub tysiąca ośmiuset wierszy łacińskich. Nauczyciele, którzy wymierzają tak ogłupiające kary, ani przypuszczają nawet, że w dzieciach budzą wstręt do poematów zamiast uwielbienia. Gustaw Flaubert w 1846 roku pisał, że „wczoraj po południu przeczytał całą pieśń z *Enejdy*. I powiedzieć, że kopiował ją sto razy za karę. Cóż to za hańba! co za zniewaga! co za nędza! Pluł na to kiedyś ze wstrętu, a to piękne, piękne!“ Koza miała okno na północ; w zimie więc było tam tak zimno, że nie można było pisać. Wszystko to, mógłby ktoś powiedzieć, należy już do historyi starożytnéj; jakiegoż bo to postępu nie zrobiono od lat pięćdziesięciu! Złagodzenie obyczajów, ulepszenia codzień wprowadzane do szkoły, z pewnością oświeciły nauczycieli; potępili oni, porzucili na zawsze te zamknięcia barbarzyńskie w miejscu smrodliwém, szkodliwém, zgubném dla inteligencyi i dla zdrowia dzieci. Trzeba temu jednak zaprzeczyć! Opatrzony listem ministeryalnym, udałem się do kolegium *Louis-de-Grand* 8-go lutego 1873 r., i to udałem się się prosto do kóz. Znalazłem je takiemi jakiemi je znałem kiedyś. Nic się tam nie zmieniło i zmienić nie mogło, gdyż głupota ludzka jest niewzruszoną. Nawet dziś, jak o tém mogłem

się przekonać 16 maja 1881 roku, areszty w *Louis-le-Grand* pozostały tém czém były za moich czasów," tak samo jak i program nauk, o którym jednak autor w swojém dziele nie wspomina.

Zanim przejdziemy do wrażeń z literatury i sztuki, czyli do prawdziwych *wspomnień literackich*, przypatrzmy się choć pobieżnie epoce, która zrodziła romantyzm. „W téj epoce pewien człowiek poruszał tłumy we Francyi i stał się rodzajem popularnego bóstwa, którego nie uwielbiać uważało się za zbrodnię. Był-to Béranger. Ponieważ wtedy serca roznamiętniały się do oswobodzenia Grecyi nazywano go nowoczesnym Tyrteuszem. Żaden poeta prawdopodobnie nie przyszedł bardziéj w porę, żaden nie umiał zręczniéj wyzyskać faktu lub wypadku, który na chwilę poruszał umysły, żaden nie umiał go lepiéj uogólnić, ująć w formę łatwą do zapamiętania, wrazić go w pamięć rytmem przejętym z jakiejś znanéj aryi. Gdyby zamiast pisania piosnek, Béranger był pisał poemata, imię jego byłoby zostało nieznaném. Można powiedzieć, że pomiędzy jego kupletami znajdują się często wiersze wybornie opracowane (haute facture); lecz ich jest mało i nie są wstanie wywołać zachwytu dla jego dzieła wśród *fond bourgeois*, który mu zapewnił powodzenie. Był on człowiekiem swojego i tylko swojego czasu; spostrzeżono to po jego śmierci: mierność jego śpiewek pośmiertnych zadziwiła najzapaleńszych nawet wielbicieli. Lecz w owym czasie nie wolno było krytykować Bérangera; widziano i głoszono w nim geniusza wyjątkowego, a o jego piosnkach mówiono, że *To są ody!* Przedstawiał on dobrze zresztą usposobienie przyganiające paryżanina, który sobie drwi ze wszystkiego. A przytém cześć oddawał sławie i ożywiał żale i nadzieje, jakie drżały w sercach młodych jeszcze oficerów, służalców i wielbicieli Cesarstwa, których Restauracya wyłączyła ze służby wojskowéj. Po za tém chętnie podkpiwał sobie z religii i Bogu nieco zazdrosnemu, jakiego chciano ożywić, przeciwstawiał Boga ludzi dobrodusznych, który był najmierniejszą koncepcyę filozoficzną jaką sobie tylko wyobrazić można. Béranger celował w ucieleśnianiu przelotnych wrażeń tłumu; każdą aluzyą jego kupletów podchwytywano z pośpiechem. Czy to sławił cesarstwo czy też wywoływał wolność, był zawsze rozumiany, zawsze chwalonym przez młodych ludzi swojéj epoki, a nawet przez tych, którzy szczerze przywiązani do rodziny Burbonów, spodziewali się jednak, że rząd parlamentarny sprowadzi ulepszenia do jakich ludy mają prawo.

„Było to pod koniec 1829 roku. Moi stryjowie sprowadzili na obiad jednego ze swoich przyjaciół France'a de Caen, syna generała de Caen, któremu Napoleon I kazał sekretnie przygotować zbrojne wylądowanie w Indyach angielskich. W czasie obiadu rozmawiano

o Bérangerze, właśnie niedawno skazanym na kilka miesięcy więzienia i 10,000 franków kary za napaść „na tron i ołtarz.“ France de Caen wyjął tajemniczo papier z kieszeni i rzekł: „Mam coś nowego.“ Wskazując na służących, dano mu znak mrugnięciem oka aby milczał. Po obiedzie „kiedy ludzie jedli i nie było żadnéj obawy,“ zamknięto drzwi na klucz. France de Caen powiedział wtedy że posiada dwie piosnki Béranger'a w rękopisie, nieznane jeszcze przez nikogo. Było to szczęściem je mieć, tak samo jak było niebezpieczném je nosić. France śpiewał; moi wujowie w końcowéj zwrotce wtórowali mu chórem. Jedna piosnka nazywała się: *Stary kapral*, a druga: *14 Lipca*. Przy ostatnim kuplecie popchnięto mnie gwałtownie. „Na kolana! mały; to pieśń święta!“ Głos France'a drżał; wznoszono ręce do nieba, jak gdyby ta biédna poezya dzwoniła godzinę oswobodzenia. Upijano się rytmem. „Tak nie może trwać dłużéj — wołał France — trzeba sprowadzić króla rzymskiego (Roi de Rome).“ Każdy krzyknął z oburzeniem, gdyż z wyjątkiem France'a de Caen, który był partyzantem rządu cesarskiego, moja matka, babka i obaj wujowie z tradycyi rodzinnéj i przekonania byli legitymistami. „To dziecko—zawołała moja babka—będzie miało białe włosy i umrze pierwéj stuletnim starcem, zanim zobaczy nową rewolucyą! Niestety! to dziecko nie ma jeszcze stu lat, a jednak nie może już doliczyć się tych rewolucyj, których było świadkiem.“

Mówiono o Rewolucyi lipcowéj, że nie było nigdy bardziéj prawéj jak ta; przystaję na to, lecz trzeba przyznać, że nie było nigdy bardziéj niepolitycznéj. Rzuciła ona Francyą na drogę awantur, na któréj można, co prawda, znaleść zbawienie, ale jeszcze łatwiéj zgubę. Z upadkiem ministeryum Polignac'a i przy upokorzeniu się starego króla, Francya mogłaby była spokojnie kontynuować przyuczanie się do swobód, tak trudne, tak niebezpieczne w naszym kraju i bylibyśmy bezwątpienia doszli już dziś do regularnego działania w systemie konstytucyjnym. Zamiast tego jednak wahaliśmy się pomiędzy despotyzmem i swawolą, przenosząc się po kilka razy gwałtownie z jednego bieguna polityki na drugi... Rewolucya lipcowa miała przyczynę determinującą bardzo dziwną a dziś nie wiele jeszcze znaną. Zamach stanu, który się nie udał w lipcu 1830 roku, był przyjęty w zasadzie przez króla, księcia Polignac i marszałka Bourmont przed wyprawą do Algieru; postanowiono, że „ordonanse“ nie będą wydane wpierwéj, zanim Barbareskowie nie zostaną pobici. W tym dopiéro wypadku marszałek Bourmont, przywołany do Paryża z częścią zwycięskiéj armii, miał wykonać operacye militarne, jakich prawdopodobny bunt ludu mógł wymagać. Nie mniej jednak przeto, pomimo wzajemnych zobowiązań nie cze-

kano powrotu marszałka i przyśpieszono rozwiązanie, którego rezultat jest wiadomym. Jedynym człowiekiem seryo w ministerium był d'Haussez, minister marynarki; nie odrzucał on „ordonansów", które jedynie według niego mogły ocalić prerogatywy królewskie zaatakowane przez parlamentarną opozycyą; lecz pytał tylko, czy była możność narzucenia ich ludowi paryzkiemu, w razie gdyby ten odmówił posłuszeństwa. Książe Polignac odpowiedział, że jest pewnym powodzenia. Minister D'Haussez zażądał zakomunikowania mu stanu armii. Liczba garnizonu, według tej listy, wynosiła jedenaście tysięcy ludzi, od których wypadało odjąć trzy tysiące pięćset ludzi nieobecnych z powodu urlopów, choroby lub użytych przez administracyą. Pozostawało 7.500, z których trzy tysiące wzbudzało zaledwie ograniczone zaufanie. Minister d'Haussez oznajmił z krzykiem, że rzucać się na awanturę z siłami tak niewystarczającemi byłoby szaleństwem. Książę Polignac odpowiedział, że dla motywów, których nie mógł wyjawić, a które król znał, nie było mu wolno mieć wątpliwości o rezultacie przedsięwzięcia, i że postanowił działać, choćby nie było nawet jednego żołnierza w Paryżu, dodając, że jego postanowienie jest niewzruszone i ugruntowane na wypadku wyższym nad wszelkie ludzkie rozumowania. Karol X-ty potwierdził głową, mówiąc: „To prawda!" Słowo to było rozkazem.

Lecz cóż to był za wypadek tak nadzwyczajny, że niszczył obliczenia rozumu?

W pierwszych dniach lipca Najświętsza Panna objawiła się we śnie księciu Polignac i powiedziała mu: „Idź! twoja sprawa jest dobrą!" Minister podzielił się z Karolem X-ym tą nadnaturalną interwencyą, i obydwa dopatrzyli się w niej pewności powodzenia. Ten zadziwiający fakt, który możnaby uważać za fantazyą wymyśloną po zamachu przez jakiegoś przeciwnika domu Burbonów, był mi zakomunikowanym przez wielkiego mówcę, legitymistę Berryer'a. W 1846 roku sam Polignac zresztą mówił jeszcze przed śmiercią: „Wobec tego przenajświętszego objawienia wszelkie wahanie się byłoby było zbrodnią!" Zwycięstwo za to paryzkiego ludu było zupełném i włożyło koronę na głowę Ludwika-Filipa."

Zastąpienie jednak białej chorągwi przez trójkolorową obudziło dawne wspomnienia i ożywiło nadzieje. Cesarz w postaci pół-boga ukazywał się w oddalonej aureoli. Zapomniano o surowości rządu i błędach politycznych, i widziano tylko chwałę, ową chwałę olśniewającą: W salonach kobiety ze łzami w oczach słuchały walca księcia Reichstadtzkiego. „Rodzaj spisku na rzecz Napoleona II-go był ukartowany w tej epoce. Trochę pieniędzy dostarczyła królowa Hortensya, zapewniwszy sobie współudział kilku pułkowni-

ków z armii czynnéj. Głównym agentem w Paryżu był Polak nazwiskiem Żaba. Następstwem spisku, nieostrożnie prowadzonego, było śledztwo sądowe w listopadzie 1831 r.“ Rząd patrzył na to przez szpary, rozumiejąc dobrze że wyidealizowane wspomnienia cesarstwa były dlań dogodne, ponieważ sprzeciwiały się monarchii ze starszą linią Burbonów. Rodzajem sekretnéj umowy i jak gdyby wszyscy chcieli objawiać swoje tendencye polityczne nazewnątrz, każdy człowiek wówczas strzygł sobie brodę odpowiednio do opinii do jakiéj należał. Zwolennicy rządu wprowadzonego po Rewolucyi lipcowéj, a takich było najwięcéj, nosili tylko faworyty; bonapartyści mieli wąsy i hiszpankę (l'impériale); republikanie zapuszczali całą brodę, mięszając się tym sposobem z artystami i literatami, których nazywano ogólnie *Młodą Francyą*. Legitymiści, rozpadający się na karlistów i henrykwinkwistów, mieli zarost na około twarzy. Przedmieście *Saint-Germain* dąsało się; tam nazywano króla po prostu Filipem albo najczęściéj „Panem z Palais-Royal;“ wielkie pałace były zamknięte, a arystokracya żyła na wsi. Błędem jednak byłoby mniemanie jakoby Paryż miał się nudzić: nigdy, przeciwnie, *dzwoneczki szału* nie brzmiały głośniéj. Nawet cholera z 1832 roku nie była w stanie powstrzymać wybuchów młodości. Jeżeli przedmieście *Saint-Germain* zamknęło okiennice, to za to *Chaussée-d'Antin* (bankierzy, kupcy i przemysłowcy) otworzyło podwoje, w które wpadano w takt galopki podówczas w modzie. Jak za czasów Dyrektoryatu tańczono wszędzie i urządzano koncerty publiczne pod gołem niebem. Odtąd datują koncerty: Musard, Valentino i Ogród Turecki, gdzie Jullien grał *Marsyliankę* przy strzałach z moździerzy. Była to wielka chwila balów maskowych. Na balu *des Vendanges de Bourgogne* pozwalano sobie ekscentryczności, jeżeli nie czegoś więcéj, o których matki rodzin mówiły zasłaniając sobie oczy; bal *des Variétés*, gdzie wesołość przeradzała się w orgią, przyciągał synów znakomitych rodzin—lwów Paryża. Łobuzy zarogatkowi chodzili pod rękę z paniczami. Na ostatki, w Niedzielę i Wtorek, wesołość wychodziła z zamkniętych miejsc na ulicę gdzie z frenezyą przyjemności i hałasu oddawała się szałowi. Zdawało się, że taniec ś-go Wita zawładnął ludem! Lord Seymour i La Battu zdołali nawet pozyskać sławę w tym kierunku. „Coś nadzwyczajnego, ile siły, młodości i zapału zmarnowano w pierwszych latach (1831—1835) panowania Ludwika-Filipa, kilku z tych waryatów przyszło do rozsądku i oddało nawet usługi Francyi, udając się do Algieru. W téj epoce Paryż wyglądał złowrogo. Była to godzina cholery. Wszyscy wierzyli w otrucia. Bez przyczyny widocznéj rzucano się na ludzi całkiem niewinnych, rozrywano ich i rzucano do rzeki. Wskutek niepojętéj

jakiéjś aberracyi umysłowéj Gisquet, prefekt policyi, rozesłał poufny cyrkularz do komisarzów nakazując im pilnowanie republikanów, którzy jakoby mieli zamiar rozrzucania materyi zatrutych po jatkach rzeźniczych celem szkodzenia rządowi orleańskiemu. Równocześnie z Gisquet'em, Cadet Gassicourt, mer czwartéj dzielnicy, za pomocą plakat głosił, że „trucicielami są legitymiści.“ Wierzono we wszelkie głupstwa i chwytano się wszelkich środków zaradczych. Były to dobre czasy na handlarzy flanelą i *orviétan*'em.

Kiedy jednak cholera ustała, unosząc z sobą postrach, miasto zaczęło napowrót żyć życiem gorączkowém. Młodzież była wówczas romantyczną i „średniowiekową,“ jak ją nazywał Teofil Gautier. Zabronienie przedstawień dramatu Wiktora Hugo *Le roi s'amuse* przewróciło wszystkim w głowach. Kiedy jednak „peruki“ radowały się z tego kroku, wywołanego jedynie przez zgiełk na pierwszém przedstawieniu, *Młoda Francya* protestowała zapuszczając coraz dłuższe włosy. Bunt przeciwko zwyczajom i ubiorom przyjętym był tak powszechny, że młodzież nie wiedziała już co wymyśléć byle tylko nie być podobną do *gładkiego bourgeois.* Teodozyusz Burette, profesor historyi w kolegium *Stanislas*, przychodził na lekcye w kostiumie dziwacznym: sztylpy u butów miał czerwone, spodnie skórzane, obcisłe,—kamizelkę *à la Robespiere*, frak zielony ze złotemi guzikami, podszyty atłasem, a na wierzchu togę uniwersytecką otwartą i długą. Z powodu swoich zwyczajów i stosunków Burette należał do grupy artystów dziś już sławnych, którzy żyli wówczas jakimś rodzajem nieustającego szału. Często trzydziestu lub czterdziestu młodzieńców dziwacznie ubranych, z Burette'm na czele przebiegało gęsiego przez Paryż. Burette wywijał laską a młodzież głośno i rytmicznie śpiewała: „Une, deux! Une, deux! le coléra! le coléra!“ Przybywszy na koniec mostu zatrzymywali się nagle i pytali: „Czy znacie termometr inżyniera Chevalier?“ Poczém ustawiwszy się w rząd odchodzili, rachując: „Une, deux! Une, deux! le coléra! le coléra!“

Było to hałaśliwe, niewinne i głupie, lecz bawiło próżniaków, którzy nie wiedzieli jak i czém się odznaczyć. Grupy artystów, literatów, giełdowiczów drobniejszych i urzędników z ministerium wyprawiały sobie składowe obiady i pijatyki, wyróżniając się nazwami istotnie szynkownianemi. „Jeżeli na obrazach z téj epoki znajduje się w dalszym ciągu nazwiska malarza liczba 45, znaczy to, że artysta należał do *Towarzystwa czterdziestu pięciu małych świnek*, którego prezydentem był jeden z wielkich artystów romantyzmu.“ Jaki? Maksym du Camp, nie chcąc się narazić nikomu, milczy w tym względzie. Za to wspomina o Henryku Monnier, jednocześnie znakomitym rysowniku, karykaturzyście, aktorze i literacie, który należał

do tych wycieczek, podbudzając swoich towarzyszów do głupstw kompromitujących; kiedy jednak żarty przybierały zły obrót Monnier uciekał z placu boju.

Przy placu *Saint-Germain-des-Prés* stał niezmiernie stary, żółty dom, o niezmiernéj ilości okien, który się nazywał *Childeberta.* Od czterdziestu lat mieszkali tam artyści: wpuszczano takich tylko, którzy obmyślili jakąś nową farsę. Mieszkańcy dzielnicy żegnali się przechodząc koło domu, a policya z trwogą się od niego oddalała. Wszyscy malarze rewolucyjni tam żyli: Géricault, Paweł Delaroche i Johannet zapisali swoje nazwiska na jego murach. Pewnego razu, za pomocą kotleta zwabiono do pracowni wielkiego psa żółtego od rzeźnika z przeciwka. Postanowiono przebrać go za tygrysa; wymalowano mu pręgi po bokach a pysk w centki. Przywiązano mu następnie rondel do ogona, wypuszczono go na plac *Saint-Garmain-des-Prés* w chwili właśnie, kiedy wierni wychodzili po nabożeństwie z kościoła. W każdym oknie *Childeberty* siedział artysta to udrapowany w kołdrę, to ustrojony w pióropusz, to znowu palący cygaro w wielkim trzonku od miotły, co miało przedstawiać Beduina. Na placu zgiełk był przerażający: uwierzono w prawdziwość tygrysa i każdy uciekał jeden przed drugim. Kilku *mieszczuchów* poniosło skargę. Tym razem siła została przy prawie, gdyż rzeźnik, właściciel psa, skazany został na grzywny. Jak wieść niesie, niebyło wypadku aby którykolwiek z lokatorów *Childeberty* zapłacił kiedy swoje kwartalne.

W 1840 roku Francya została zaniepokojoną. Podmuch wojny przeleciał nad Europą. Pan Thiers palił karty dyplomatyczne, Mehemet-Ali groził tronowi sułtana Mahmuda; francuski szowinizm się budził; dorzucano frazesy wojownicze do sztuk granych w teatrze, ponieważ wszelka aluzya była oklaskiwaną; w salach koncertowych orkiestry grywały arye patryotyczne; Lamartine śpiewał *Marsyliankę Pokoju.* Alfred de Musset odpowiadał Becker'owi strofami *Renu Niemieckiego*, a Wiktor Hugo wołał wielkim głosem „czy pomiędzy naszemi książkami, blizko Homera, nie ma gdzie staréj, ojcowskiéj szabli?“ Rozum Ludwika-Filipa zagasił ten ogień słomiany pierwéj, nim powstał wielki pożar. Krzyczano na zdradę, na upadek kraju, którego „chorągiew powiewała nad wszystkiemi stolicami Europy;“ lecz wkrótce przestano o tém myśléć, ponieważ cała uwaga publiczności była zwróconą na proces pani Lafarge, którego jednak autor „wspomnień“ nie rozbiera wcale.

W tymże samym czasie, kiedy książę Ludwik-Napoleon Bonaparte słuchał z cynizmem wyroku skazującego go na wieczne więzienie, nad brzegi Sekwany sprowadzono zwłoki jego stryja. Poeci wiel-

cy i mali sławili ten wypadek. Lud Paryski wychowany na retoryce, wynalazł od razu wyraz pompatyczny: „popioły“ cesarza, i wyległ na ulicę. Kiedy lud krzyczał: „Niech żyje cesarz!“ wojsko liniowe: „Niech żyje król!“ gwardya narodowa: „Precz z Guizot’em!“ w deputacyi polskiéj, generał Dembiński, niecierpliwiąc się, krzyczał: „Ale krzyczcie przecież: Niech żyje Francya!“ I tak wśród téj ogólnéj namiętności do agitacyj politycznych, potrzeba było głosu cudzoziemca aby przypomniał Francuzom, że po za Bonaparte’m, po za Orleanami, po za Guizot’em, jest Francya, z któréj oni robili i robią sobie tylko arenę dla swoich ambicyj.

II.

Tu miejsce do zacytowania pewnego szczegółu z życia znakomitego orientalisty, Amadeusza Jaubert. Nie mając jeszcze dwudziestu lat młody Jaubert pojechał z Bonaparte’m do Egiptu jako tłómacz języków wschodnich. W ciągu wyprawy nie opuszczał generała, który marzył wtedy o zawojowaniu Wschodu i ustanowieniu środka swoich cesarstw w Konstantynopolu. Dżezzar-Pasza i sir Sidney Smith zniszczyli to marzenie. Kawaler Jaubert był z nim pod Piramidami, w buncie w Kairze, w Jaffie, na górze Tabor, i nareszcie przy jego zamachu stanu w Paryżu. Pewnego dnia Maksym Du Camp spytał go: „Czem téż to był Bonaparte w téj epoce?“ Kawaler Jaubert odpowiedział: „Był-to Iskender Doulkernein, był to Aleksander o dwu rogach; Aleksander legendowy taki, jakiego śpiewają poeci perscy. Był-to bóg wojny; jego pomysły przechodziły granice świata; dusił się w Egipcie, dusił się we Francyi, dusił się w Europie i byłby się dusił we wszechświecie. Pomimo zwycięztw, pomimo zaborów, patrzył ciągle w stronę Wschodu, jak gdyby tam było coś tajemniczego i niezgłębionego co go pociągało. Miał agentów, którzy mówili o nim plemionom barbarzyńskim; Druzowie uważali go za wcielenie Alego i chcieli mu się oddać; górale z kaukazu wzywali go, a cztery miliony Beduinów żyjących swobodnie, bez pana, z tamtej strony Dżebel-Hauran’u pomiędzy Jordanem i Eufratem, było gotowych do posłuszeństwa mu, gdyż oddawna już porozumiewał się z nimi niejaki Lascaris, który był jego narzędziem, jego posłem sekretnym. Byłby chciał, zgromadzając pod swoją ręką wszystkie te plemiona rozbite stanąć na ich czele, przejść przez Persyą i rzucić się na Indostan. Eh! Dlaczego by nie? Wszakże Aleksander to zrobił! Ja sam miałem poleconą sobię poufną misyą u Feth-Ali-Szacha, który był królem Persyi.“ Celem misyi był alians z „królem królów“

któryby zapewnił Francyi współdziałanie wojsk perskich w razie wojny z Rosyą.

Taka polityka i takie wojny, jakie prowadziło cesarstwo znużyły i wyczerpały siły narodów. Dzieci odziedziczyły słabowitość i pewną chorobliwą kompleksyą po ojcach: ztąd, ubóztwo krwi, przewaga nerwów; popadnięcie człowieka w smutek i melancholią. To spleen, *taedium vitae*, niechęć do życia, a teatralność w postawie, pragnienie śmierci; częstokroć coś więcéj jeszcze, bo częściowe delirium." Wyborna przegrywka do opery która się nazywa: Romantyzm.

Wiktor Hugo, podówczas (1837 r.) z punktu widzenia literatury był nieprzyjacielem publicznym. Młodzież kochała go i uwielbiała: ludzie zaś dojrzali, wychowani w dawniejszych tradycyach, uśmiechali się z politowaniem, kiedy im mówiono o nim. Była to walka bez wytchnienia. Kler nie wyklinał go dla tego tylko, że autor w *Notre-Dame de Paris* dał dowód znajomości archeologii i pokazał piękność kościołów gotyckich. Tym sposobem tylko nie kazano o nim z ambon, jak późniéj o Renan'ie i Flaubert'cie. Lecz Uniwersytet powstał cały i pokazywał go palcami, mówiąc: Co stanie się z literaturą francuzką jeżeli ten człowiek narzuci się publiczności. Nazywano go barbarzyńcem cytując przy każdéj sposobności zdanie Hipolita Rolle, krytyka z *National*: „Nie, panie Hugo, pan jesteś tylko poetą z czasów upadku jak Silius Italicus." Jakiś profesor jego *Feuilles d'Automne* nazwał „książką obrzydliwą." Potępiano w nim sztuczność wiersza, która doprowadziła do takich figlów, jak poniższy jednosylabowy wiersz Juliusza Rességuier:

Blonde
Nuit!
L'onde
Fuit!
Une
Brune
Lune,
Luit.

Elle et son page étaient sur la tour à minuit!

Do świątyni w któréj błyszczeli: Lamartine, Wiktor Hugo, Aleksander Dumas, Alfred de Vigny, Teofil Gautier i Alfred de Musset, wcisnęły się talenta pośledniejszego gatunku, zarzucając publiczność taką masą utworów, że wkrótce literatura romantyczna się przejadła. Podniosłość często wpradzie napuszoną Wiktora Hugo i ruchliwość żywotną aż do zbytku Dumas'a, zastąpiono inwencyami dziwacznemi i pomysłami nie podobnemi do przyjęcia. W powieściach nagroma-

dzono niepodobieństwo na niepodobieństwo i tak przeskakiwano z wzruszenia do wzruszenia, że czytelnik tracił ostatecznie wiarę w zdrowy rozum piszącego. „Manią i celem wszystkich René'ów i wszystkich Chattertonów naszego czasu—jak mówi Sainte-Beuve—było zostać wielkim poetą i umrzeć.“ Nigdy śmierć nie była bardziéj ulubioną. Ulrych Guttinguer opowiada że zaprowadziwszy Musset'a, wówczas dwudziestoletniego młodzieńca, do swojego majątku położonego w lesie w Trouville, zkąd rozciągał się widok na ujście Sekwany i morze aż po skały *de la Hève*, pieśniarz *Powiastek z Hiszpanii i Włoch* zawołał przedewszystkiém: „Ach! cóż za piękne miejsce do zabicia się!“

„Nie było to modą—mówi Maksym Du Camp—lecz rodzajem niemocy ogólnéj, która napełniała serca smutkiem, okrywała myśli ciemną pomroką i kazała się domyślać oswobodzenia w śmierci. Zdawałoby się że życie skuwało łańcuchami dusze, które przewidywały coś wyższego nad istność ziemską. Nie wzdychano bynajmniéj do szczęśliwości rajskich: lecz marzono o wzięciu w posiadanie nieskończoności i dręczono się jakimś nieokreślonym panteizmem, którego jednak formuła nie została nigdy znalezioną. Spirytualizm miał taką przewagę, że chciano się pozbyć wszelkiéj materyi. Artystyczne i literackie pokolenie, które mnie poprzedziło, i to do którego należałem, miało młodość pełną żałośnego smutku, smutku bez przyczyny i bez przedmiotu, smutku abstrakcyjnego a nierozłącznego od istoty lub epoki. Nie było wolno mieć duszy zrozumiałéj. Było się nieszczęsnym i przeklętym. Dzieci osiemnastoletnie powtarzały frazes z jakiejś powieści: „Mam serce zużyte jak schody w domu dziewczyny wesołości,“ a jeden z bohaterów Petrusa Borel szedł do kata oznajmiając mu, że: „Pragnąłby być zgilotynowanym!“ To nie przeszkadzało jednak śmiać się, śpiewać, robić głupstw niewinnych, ponieważ było-to także rodzajem rozpaczy; każdy wyobrażał sobie że ma uśmiech szatański. Śmieszne-to, co prawda! lecz wtenczas były uwielbienia, które unosiły od ziemi; nikt nie zazdrościł nikomu, ani cierpiał z powodu szczęścia drugiego, ani marzył o wytępieniu ogólném dla tém pewniejszego dostania się na jakieś stanowisko polityczne.“ Co najwyżéj każdy chciał być wielkim poetą i umrzeć pięknie na swoję rękę. Komu natura nie pozwoliła wylewać na papier oceanu, ten zadawalniał się kilkoma kroplami, byle pohańbić powszedniość istnienia, byle wołać o swobodę dla duszy. W albumie każdéj panny znajdował się czterowiersz sławny na cały świat:

On entre, on crie
Et c'est la vie!

On baille, on sort,
Et c'est la mort!

Lecz i wtenczas już nie brakło ludzi, którzy ostrzegali przed niebezpieczeństwami i dziecińshwem téj manii zarówno zgubnéj jak i śmiesznéj. „Ci mistrze—mówił de Chancel do Maksyma Du Camp—nauczą cię jak się rozpuszcza myśl w słowach bezużytecznych, kiedy rzeczowniki tańcują wpośród farandoli epitetów; czytaj *Candide'a* i *Zadig'a*, czytaj La Bruyéra, czytaj Monteskiusza, i jeżeli rozumiesz po łacinie, czytaj Tacyta. Dowiedz się, mój chłopcze, że jeżeli się nie rozróżnia diamentów od kamyczków reńskich, nie jest się dobrym jubilerem." „Wszystkie jeremijady, gwałty i nieprawdopodobieństwa romantyzmu—mówił Jaubert nie są warte prostego dwuwiersza Sadi'ego, zatytułowanego prozaicznie *wielbląd*.

„Tak blizko ciebie, a jednak tak daleko
„Jak wielbląd, który niesie łagwie i mrze z pragnienia."

„To prawdziwa poezya Wschodu, nie zaś *Orientales* Wiktora Hugo! przy czém dodał złośliwie: „Pisać poezye wschodnie nie znając Wschodu, to robić potrawkę z królika bez królika."

Romantyzm był tak wszechwładnym że ludzie entuzyazmowali się dźwiękiem wyrazów i harmonią słów. Flaubert, dwudziestokilkoletni naówczas młodzieniec, dostawał bicia serca na widok litery *g* w nazwisku Wiktora Hugo i za nic w świecie nie chciał słyszéć o jakimś realizmie, którego późniéj stał się głową. Według jego teoryi „wyraz harmonijny jest zawsze właściwy; harmonii frazesów można poświęcić wszystko, nawet gramatykę. To co się mówi jest niczém: sposób tylko w jaki się mówi jest wszystkiém; dzieło sztuki, które stara się czegoś dowieść, już przez to samo jest żadném; piękny wiersz, który nic nie znaczy, jest wyższy nad wiersz mniéj piękny, który znaczy coś; po za formą nie ma zbawienia; cokolwiekbądź byłoby przedmiotem książki jest ona już dobrą, jeżeli można w niéj mówić pięknym językiem." Był-to wpływ Chateaubriand'a i Edgara Quinet, a zwłaszcza dwu ich dzieł: *René* i *Aashvérus*, które umiał na pamięć. W pierwszéj jego powieści pod tytułem *Listopad*, która jednak została się w koszu, co chwila napotykają się frazesy najkomiczniejszego liryzmu: „Powiedz mi, dziecię, o czem myślała twoja matka poczynając cię? Marzyła o lwach dzikich, które chodzą po pustyni? czy téż marzyła o palmach, które swe wiotkie łodygi kąpią w wielkich rzekach Afryki?" Bohater znużony cywilizacyą, wzdycha do podróży: „W łodzi wydłużonéj, w łodzi z drzewa cedrowego, pod żaglem z bambusów plecionych, przy dźwięku fletów i tambury-

nów, pójdę do kraju żółtego, który nazywają Chinami.“ Nie zrealizowawszy jednak marzenia, umiera czy też się zabija. „Z obawy, aby go nie pochowano żywcem, kazał się dyssekować, zabraniając jednak się zabalsamować.“ Po *Listopadzie* poszły *Pokusy św. Antoniego*. Były to najstraszniejsze chwile w życiu Flaubert'a. Ataki nerwowe, które miały kiedyś zwalić tego olbrzyma do grobu w jedném mgnieniu oka, wówczas (1843 r.) targały jego jestestwem całemi dniami. Niestety! ojciec Flaubert'a, należący do sławnéj szkoły Broussais'go, wierzył w jeden tylko środek: puszczanie krwi do ostatka,—środek, który powiększał jeszcze przewagę nerwów. Ta choroba, to „trzęsienie ziemi człowieka“—jak ją nazywał Paracels miała niezmiernie zgubny wpływ na działalność literacką Flaubert'a. Przedewszystkiém musiał on pędzić życie w zamknięciu i bezczynności. W dwudziestym roku miał zadziwiającą pamięć i wyjątkową inteligencyą; pracował z łatwością i przyswajał sobie wiedzę z szybkością nadzwyczajną. Z chwilą jednak stracenia równowagi w systemie nerwowym, nagle wszystko się w nim zatrzymało. Pamięć jego, dawniéj tak dokładna i wierna, podpadała osłabieniom, które sam przyznawał, przypisując je nadużyciu chininy; stał się obojętnym na te nawet osobliwości, które go pociągały za dni młodzieńczych; częstokroć, przez całe miesiące nie zaglądał do dzienników, i tak mało się interesował światem zewnętrznym, że nie znosił ludzi, którzy mu mówili o tém co go nie obchodziło bezpośrednio. Przy najmniejszym wypadku, który zakłócał mu zewnętrzny spokój jego życia, tracił głowę. „Widziałem, jak z krzykiem biegał po całym apartamencie, ponieważ scyzoryk nie znajdował się na zwykłym miejscu. Od téj-to chwili datuje się ta niepojęta trudność jakiéj doznawał w pracy, trudność, z któréj ostatecznie nauczył się nawet chełpić. Lubił pokazywać kartki pokryte przekreśleniami, w których często sam nie umiał się zorientować. Pochodziło-to ztąd, że same pomysły jego były zagmatwane i że do rozjaśnienia ich dochodził tylko wykonaniem. Napisanie dwudziestu stronnic było dlań ogromem, i nic dziwnego gdyż te dwadzieścia stronnic reprezentowało sto pięćdziesiąt przerobionych. Pracując jęczał, rzucał się i sapał. Nierzadko po napisaniu jednego frazesu był tak zmęczony i złamany, że rzuciwszy się na kanapę zasypiał. W dwudziestym roku miał już wszystkie pomysły, potrzeba mu jednak było całego życia do nadania im ciała. A przy tém marzenie zadawalniało go więcéj niż rzeczywistość. Pożądał rzeczy z zapałem, który dochodził aż do cierpień, rozpaczał jeżeli nie mógł ich posiąść, przeklinał losy i wzywał wszystkich na świadków swojego nieszczęścia; z chwilą jednak kiedy przedmiot miał w ręku nic zajmował się nim wcale i czuł się zawiedzionym.

W umyśle miał jakąś siłę soczewkowatą, która powiększała przedmioty widziane z daleka. Często powtarzał za Micheletem: „Tylko niepodobieństwo jest tentującém.“ Śnił na jawie jak palacz opium uniesiony widzeniami, żyjąc po za obłokami i w złotych marzeniach, co było jedną z przyczyn także, dla których pracował z takim trudem, gdyż musiał ciągle umysł swój przyprowadzać do stanu trzeźwości. Zdawało się że jest nienasyconym, lecz osiągnąwszy coś, miał zawsze apetyt na to czego osiągnąć nie mógł. Od chwili kiedy matka pozwoliła mu nareszcie na podróż do Afryki i Azyi Mniejszéj, uczuł się napowrót nieszczęśliwym. Przed wyjazdem odczytał przyjaciołom swoje *Pokusy Ś-go Antoniego.* Powieść ta w pierwotnéj redakcyi była rodzajem misteryi, dyalogiem w dwu tomach, przypominającym a raczéj egzagerującym *Aswerusa* Quinet'a. „Jeżeli nie będziecie wyć z entuzyazmu — mówił Flaubert przed zaczęciem czytania—to widoczna, że nic was nie jest w stanie wzruszyć.“ Na nic jednak nie zdał się zapał w czytaniu, gdyż słuchacze przez całe cztery dni nie przestali być lodowato zimnymi. „Frazesy, frazesy piękne i zręcznie zbudowane, harmonijne, często napuszone, zrobione z obrazów wspaniałych i metafor niespodzianych, lecz nic po za frazesami, które można było mięszać i przestawiać bez uszkodzenia całości. Rozliczne osobistości grały wciąż jedną i tę samę scenę bez końca. Liryzm który był gruntem jego natury tak go uniósł, że mu usunął ziemię z pod nóg. Nie podobna było odgadnąć dokąd chce dojść, gdyż w rzeczywistości nigdzie nie doszedł. Trzy lata pracy zwalały się bez rezultatu: dzieło rozwiewało się z dymem.

Pod pretekstem posunięcia romantyzmu do ostatnich granic, Flaubert popadł w rozległość patosu. Należało go powstrzymać na téj drodze, na zapytanie: „co o tém myślicie?“ Bouillhet odpowiedział: „Myślimy że trzeba całą robotę rzucić w ogień i nigdy o niéj nie mówić.“ Po długiéj dyskusyi o zaletach stylu, Flaubert przyznał, że „może macie racyą; zabsorbowany przedmiotem rozszalałem się i przestałem widzieć jasno.“ Nie przeszkodziło mu to jednak oburzać się na ich obserwacye i cierpieć. Cios był silny, ale uzdrawiający, gdyż po kilku latach autor *Pani Bovary* przypominając Maksymowi Du Camp owo czytanie i ową krytykę koleżeńską powiedział: „Byłem owładnięty rakiem liryzmu; wyście zrobili na mnie operacyą. Był już czas po temu, ale jakże krzyczałem z bólu!“ Później, po wielkiém powodzeniu *Pani Bovary* i *Salammbo*, wziął się napowrót do *Pokus*, zmełł je, jeżeli tak można powiedzieć, lecz nie będąc jeszcze zadowolonym, schował do szuflady. Za trzecim razem dopiero udało mu się przyprowadzić do porządku to ukochane dzieło młodości, które przekładał nad wszystkie. Tym sposobem

romantyzm stracił podporę w jednym z najartystyczniejszych talentów, który nietylko porzucił „świat wewnętrzny,“ nietylko wziął się do studyów świata rzeczywistego, ale nadto jednocześnie stworzył „literaturę absolutnie przedmiotową, każde dzieło, w któremby autor pozwolił się odgadnąć, byłoby godnem nagany. Pierwszą zasadą sztuki powinna być nieosobowość,“ i téj-to ostatecznie zasadzie Flaubert pozostał najzupełniéj wiernym aż do końca życia.

Ze wszystkich zresztą ludzi z owéj wojowniczéj epoki, on może jeden tylko był prawdziwym i szczerym rzecznikiem „sztuki dla sztuki.“ Po za literaturą, po za namiętnością do tworzenia rzeczy pięknych, po za „koncepcyą estetyczną sztuki nieosobowéj,“ nic go nie obchodziło: ani własne interesa, ani interesa kraju. Ojciec Flaubert'a, nie chętnie zgadzając się na jego karyerę literacką, powiedział: „Pisanie jest rozrywką, która nie ma w sobie nic złego: lepsze to aniżeli chodzenie po kawiarniach lub tracenie pieniędzy na grę; ale czegóż potrzeba do pisania? Pióra, atramentu i papieru: nic więcéj! i ktokolwiekbądź, kto tylko ma czas, może robić romanse jak pan Hugo lub jak pan Balzac. Literatura, poezya, do czego to służy? Nikt nic o tém nigdy nie wiedział.“ Na to Flaubert odparł: „Słuchaj-no, doktorze! czy możesz mi wytłómaczyć do czego służy śledziona? Ani ja ani ty nie wiemy nic o tém, a jednak nieodzowne to dla ciała ludzkiego, jak poezya dla duszy.“ Był-to zarazem początek jego zwątpienia w namiętność ludzi do sztuk pięknych, i odtąd słyszano go ciągle jak powtarzał, że „wszyscy mają nienawiść do literatury.“ Nienawiści—nie: ale to pewna jednak, że takiéj namiętności, czystéj i bezinteresownéj, jak Flaubert—mało kto, tembardziéj, że wówczas (1847—1851) wszystkie umysły odwróciły się w stronę polityki.

„Rewolucya lutowa była niespodzianką, ponieważ prowadząc Francyą do Cesarstwa, chybiła celu i stała się śmieszną. Paryż był w takiém zamięszaniu, jakiego nigdy nie widziałem; wyraz: rzeczpospolita był postrachem; wierzono w konfiskacye, gilotynę, wojnę powszechną i bredzono wobec rządu tymczasowego, złożonego z ludzi, których dobrotliwość powinna była uspokoić najbardziéj nawet bojaźliwych. Było-to zarazem smutne i komiczne. Często ja i Ludwik Cormenin, śmieliśmy się z tego przerażenia, które miotało tyloma biednémi mózgami. Wszystkie ambicye były poruszone: miano przystąpić do wyborów do Zgromadzenia narodowego; wszyscy wpisywali się na listę kandydatów, gdyż każdy chciał być reprezentantem ludu. Doznałem w tym względzie zawodu i poznałem, że nie należy wierzyć bez żadnych zastrzeżeń w owe oświadczenia miłości wyłącznéj dla literatury, których moi przyjaciele nie skąpili

Każdy czuł krew Tymona w swoich żyłach. Bouillhet, ten poeta pogardzający prozą ponieważ brakuje jéj formy dość podniosłéj, Bouillhet który pragnął mówić tylko wierszami i mieć za sobą flecistę rytmizującego spadki jego ód, ów Bouillhet wcisnął się do nie wiem jakiego już komitetu elekcyjnego i został wybrany na zasadzie swoich kwalifikacyj nauczycielskich. „A muza?“ spytałem go. „Będziemy sporządzać— odpowiedział — dekrety wierszami i to będzie bardzo piękne!“ Nawet Flaubert nie uszedł epidemii. „Zdaje mi się — pisał mi — że powinniśmy być nominowani sekretarzami ambasady i wysłani do Rzymu, Konstantynopola lub Aten.“ Między innémi dałem mu taką odpowiedź: „Nie ma większego szczęścia dla literata, uczciwego człowieka, który zgodził się na dźwiganie ciężaru urzędów publicznych, jak odnaleść się z temi samemi środkami egzystencyi przez pracę, straconemi w urzędowaniu, jakie miał przedtém.“ — „Masz racyą—odpowiedział Flaubert—jestem nikczemnikiem; bądź wspaniałomyślnym i przebacz mi ten paroksyzm szału.“

Przykład zresztą dany był z góry; Lamartine trzymał władzę w swych rękach, a Wiktor Hugo, wielki kapłan poezyi i nasze bożyszcze, kazał się zanominować merem swojego uczątku i przedstawił się na wyborach do Ciała Prawodawczego. Czas potwierdził moje przekonanie, że poeci maleją przy zetknięciu się z polityką. „W naszych ciężkich rasach tegoczesnych — jak mówi Renan — dla wytworzenia wielkiego poety, geniusza pierwszego rzędu, potrzeba co najmniéj *wydrenować* trzydzieści albo czterdzieści milionów ludzi.“ I to prawda. Ci, których natura obdarzyła przymiotami wyjątkowemi dla poezyi, nauki lub sztuki, nie powinni nigdy schodzić na pole ambicyi, gdzie spierają się miernoty. Porzucając wyżyny, na których geniusz ich postawił, mięszając się z tłumem poruszanym tylko przez interesa pospolite, dają dowód większéj próżności niż dumy. Największe umysły nie są pozbawione tego dziwactwa, które im nie przynosi żadnéj korzyści wobec potomności. Kto pamięta, że Chateaubriand był ambasadorem i ministrem spraw zagranicznych? Ktoby pomyślał dziś, że Shakespeare był członkiem Izby Niższéj?... Piękny wiersz daje pewniejszą nieśmiertelność niż sprawowanie władzy. Lecz ażeby się zadowolnić tytułem człowieka genialnego, potrzeba wysokiéj skromności i rozumienia, że najprzedniejsze dary więdną przy spełnianiu pewnych funkcyj.

Kiedy armaty grzmiały w Paryżu, kiedy Zgromadzenie chciało skończyć z klubami a kluby ze Zgromadzeniem, Chateaubriand konał. Przygnieciony ciężarem osiemdziesięciu lat, prawie sam jeden z całego swego pokolenia, dawny żołnierz armii Kondeusza, ojciec romantyzmu, patryarcha—jak go nazywano — literatury francuskiéj,

opuszczał nas wśród wrzawy powstania, znienawidzony przez orleanistów, któremi pogardzał i zapoznany przez legitymistów, którym dawał przykład stałości przekonań politycznych i religijnych. Przez całe swoje życie raz tylko złożył przysięgę: fakt rzadki i godzien zaznaczenia w człowieku współczesnym księciu Tallyerand. Ludzie „dobrze wychowani“ z epoki pomiędzy 1830 rokiem, w którym się wycofał z życia publicznego a 1848, w którym umarł, tę jego „wierność wierze zaprzysiężonéj“ nazywali „pozowaniem.“

Lamartine, który po wypadkach lutowych mógł wziąść Francyą w swoje ręce, gdyby, zamiast poetą, był mężem stanu, Lamartine, którego rok przedtém dziesięć departamentów wybrało na swego przedstawiciela, Lamartine, któremu Paryż dał 259,800 głosów, w 1849 roku przepadł wszędzie. Nie było zgromadzenia wyborców, które by chciało go przyjąć. Lamartine stracił popularność dzięki Ledru-Rollin'owi. „Był-to wnuk sławnego w swoim czasie Comus'a, prestidigitatora, którego prawdziwe nazwisko było Ledru. Z oddalenia i po przez wspomnienie niepodobna zrozumiéć wpływu jaki wywierał Ledru Rollin. Był-to rodzaj pięknisia, uczesanego w rozwiane włosy, który trzymał głowę bokiem (en trois-quarts). Był pusty i głośny; jego mowy napuszone czuć było retoryką: nic delikatnego, nic zręcznego, nic wielkiego. Nie starał się o poprawność frazesów, a jego mowy o tyle były wymową o ile hałas wielkiego bębna jest muzyką. Żadnéj w nim dystynkcyi rasy, żadnéj dystynkcyi nabytéj. Po 1848 roku o mało nie został dyktatorem; dreszcz przejmuje na myśl co by się było stało z Francyą pod tym biednym człowiekiem. Ażeby być silnym nie dosyć jest być grubym; Ledru-Rollin był słaby pod każdym względem, jako umysł, jako talent, jako charakter.“ I Maksym Du Camp, skonstatowawszy raz jeszcze, że wszystkie talenta w polityce, w zetknięciu się z powszedniémi interesami narodu na polu nizkich ambicyj, maleją i ulegają w walce z ludźmi pospolitych zdolności, na Ledru-Rollin'ie sprawdza gorzkie dla demokracyi słowa Stuarta Mill'a, że „Tendencya rządu reprezentacyjnego skłania się ku mierności.

Z NAD BRZEGÓW NEWY.

27 (15) września 1882.

Z pewną licencyą użyje dziś petersburgski korespondent „Ateneum „wypisanego powyżéj tytułu, bo chociaż pisze z Petersburga, ale o rzeczach wcale niepetersburgskich i z północną stolicą równie jak i z Warszawą w pośrednim tylko związku zostających. Znęciły mię ku sobie ciemne szafiry „Jadrańskiego morza“ czyli Adryatyku, zatęskniłem do jaskrawych kolorów i gorących promieni słońca na południu, a ponieważ wolę drogi mniéj utarte i rzeczy a widoki mniéj znane, za cel podróży obrałem austryackie „hinterlandy“ Dalmacyą, Hercegowinę i Bośnią. W ciągu pięciu tygodni przypatrywałem się austryackiéj wystawie w Tryeście, turbowanéj przez włoskie bomby nadziane dynamitem, zwiedziłem odbudowany po trzęsieniu ziemi Zagrzeb, byłem w Zarze, splądrowałem wszystkie zakątki „Duklanowa dvora“ czyli po naszém pałacu Dioklecyana w Spalato, wszystkie uliczki owdowiałéj po kniaziu-dożu przed niespełna 80 laty Raguzy - Dubrownika, podziwiałem najcudniejsze cacko architektury ówczesnéj renesansowéj, całe z marmuru i drogich kamieni, o wzniosłéj kopule i sklepionym stropie—katedrę w Szybeniku, niewysiadając z wygodnego powozu po krętach zygzakowych niedawno zbudowanéj pysznéj drogi z Kotoru wjeżdżałem do Cetynii; przez perspektywę w Prylipie o parę wiorst od Cetynii dopatrywałem się murów tureckiego Skodru czyli Skutari po za jeziorem; byłem na jarmarku w Trebinii, z Adryatyku na statku przez niesłychanie płodne i bujną, prawie tropikową, roślinnością pokryte żuławy rzeki Narenty trafiłem do pogranicznéj austryacko-dalmackiéj osady Metkowicz, zaczynającéj się przerabiać na wielkie miasto. Tu ustawały sposoby podróżowania używane w najbardziéj ucywilizowanych krajach: parostatek i koléj żelazna; na pocztę rządową trudno było rachować, bo poczta jeździ na lekkich wózkach pod mocną wojskową eskortą

i odmawia przyjęcia podróżnych mających chociażby najlżejszy drewniany kuferek. Trzeba było najmować konie, wstawać rano, przed wschodem słońca, na nocleg stawać przed zmrokiem i w ten sposób posuwać się przez Mostar, do Serajewa i z Serajewa do Zernicy skąd już gotowa żelazna droga przewozi podróżnych do Bosańskiego Brodu nad Sawą w nędznych wagonikach podobnych do omnibusów tramwayowych. Po drugiéj stronie Sawy inny Brod słowiański już jest połączony z całą siecią kolei węgro-austr yackich. W ciągu podróży mało słyszałem o tém co się dzieje w Serbii, a z Bulgaryi to już jak z zaściany żaden głos niedochodził, natomiast co chwila rodziły się kombinacye opierające się rzadko o Carogród ale często gęsto o Wiedeń i Petersburg. Kiedyś podobno Kolar porównywał słowiańszczyznę do arfy, na któréj każda strona wyobraża pewną narodowość. W rzeczywistości związek i oddziaływanie jednych plemion wielkiego szczepu na drugie są o wiele znaczniejsze aniżeli w najśmielszych przypuszczeniach poetów. Wszystkie języki, narzecza i gwary stanowią, jeden spojny organizm, co w jednéj jego cząstce zajdzie—to da się odczuwać i sprawia odruchy w najodleglejszych; wypadki, w jakimkolwiek Trawniku, Dulcigno albo Risano, mogą wpływać na działalność i politykę rządów austryackiego i rosyjskiego, na usposobienia ludów słowiańskich, a przez to pośrednio i na politykę europejską.

Kraje, które zwiedzałem tak mało są znane a jednak tak ciekawe, ludność tak oryginalna i stosunki tak dziwne, że nie od rzeczy byłby dzienniczek podróży notujący dzień po dniu każden krok i każde spostrzeżenie. Na nieszczęście korespondent „Ateneum" przyznaje się do braku uzdolnienia, w notowaniu wszystkich wrażeń na razie i do braku pilności. Po dniach kilku już się zacierają drobne szczegóły w pamięci, wspomnienia zlewają się w masy i tworzą tylko ogólne wrażenia, niby rezultaty z całéj podróży skończonéj przed dwoma tygodniami. Każden podaje tylko to co podać może i wybiera po temu najwłaściwszą wedle swoich usposobień formę. Niech mi więc wolno będzie, nie trzymając się ściśle ani chronologii ani marszruty, oznaczyć najpobieżniéj jak mi się przedstawił we wrześniu i sierpniu spory kawałek ziemi, na którym Austro-Węgierska monarchia rozwija w obecnéj chwili najgłówniejszą swoję akcyą polityczną, kolonizacyjną i asymilującą, swoję wielką próbę sprowadzania różnych ziem południowo słowiańskich, na federacyjnym niby podmurowaniu, do jednego mianownika.

Przedewszystkiém uderza, czaruje i pociąga nadzwyczajna niewypowiedziana piękność obrazów natury. Już brzegi Sawy są bardzo ładne od Steinbrücku aż do Zagrzebia i malowniczo wygląda kraj

oglądany z zamiejskiego Tuszkanacu, z widokiem na rozległe tak zwane Kroackie Zagórze (Zagorije). Widoki stają się jeszcze rozleglejsze i wspanialsze w kierunku z Zagrzebia w górę po Sawie ku Lublanie, i wielkie było wrażenie gdy, wskazując na zarysowujące się przez mgłę w oddali poważne ostroszczyty, jeden z towarzyszów podróży oznajmił że to Trygław skąd bierze w Karyntii swoje źródło Sawa, Trygław tak rozsławiony przez chorwackich poetów. Właśnie przed chwilą czytałem liriki Stanka Vraza, w których Trygław rozmawia z piorunami i nosi trzy korony, jedną złotą od słońca, drugą srebrną od śniegów, a trzecią poetycką splataną przez czarodziejki Wile:

Slavan si, Triglave
care groma i trjeska!
Na glavi ti krune
tri od divna bljeska:
Kruna sunčnog zlata,
Kruna srebra snejžnog,
I dar Vilâ—kruna
od nevena njeżnog.

Objechawszy szerokim zakołem lejkowatą kotłowinę, śród któréj wznosi się Lublana, kolej żelazna przecina potém ponury, dziki, nagi bezludny Karst, okropną pustynię z białawych wapiennych kamieni, śród których porastają tylko drobne krzaki i srebrny, pachnący szałwiéj, kraj grot podziemnych, zwisających z ich sklepień sopli stalaktytowych, rzek dość znacznych, które w biegu swoim giną, wsiąkając w zwir piaszczystego łożyska, jak naprzykład Trebisznica pod miastem Trebinie o kilka mil od Raguzy i innych rzek, które bez źródła niewiedzieć skąd się biorą i zdążają do morza krótkim biegiem—ale szerokiém i przepelnionem wodami korytem, jako naprzykład sławiona w dubrownickiéj literaturze Ombla o kilka wiorst od Raguzy i Grawozy, stanowiąca prawdopodobnie dojście do morza niknącéj w piaskach Trebisznicy. U podnóża bardzo wysokich skał prawie prostopadłych stoją młyny; przestrzeń między skałami i groblą od młynów stanowi niby olbrzymią studnię pełną wody tak przejrzystéj, że widać w najdrobniejszych szczegółach wodorosty, na kilkanaście sążni głęboko. Powierzchnia wody gładka jak szkło, ale rzucony kamień spotyka tak silny opór od pędu wody z dna ku powierzchni, że spada na dół kręcąc się, wirując i potrzebuje dwudziestu sekund zanim w oczach patrzącego osiędzie. Na trzy wiorsty poniżéj już rzeka płynąca spokojnie, leniwo gubi się w wodach Grawozkiéj zatoki. Ów nagi, białawy, wypłukiwany deszczem i wydrążony wapiennik, na którym nawet gdy wietrzeje i rozsypuje się nic

prawie nie porasta, stanowi główne tło dalmackiego pejzażu od Udiny i Triestu aż do Czarnogórza. Zciemniałe te od słońca i wpływów atmosfery wapienne kolosy przybierają kolor brudno szary, tak że właściwszém byłoby dla staréj, sławnéj i niepodległéj Zety miano Szarogórza a nie Czarnogórza. Dziwna jest gra kolorów na tych nagich masach, zrzadka trądem chudéj roślinności centkowanych. Z pamięci mi nieschodzi Spalato. Nad wodami najpiękniejszéj w świecie zatoki ulepiło się miasto z ruin Dioklecyanowego pałacu; którego czworobok oprawiony w łańcuch z grubych baszt weneckiéj struktury. Po za miastem daleko, za Saloną w ruinach i za Klissą—uskoczém gniazdem, na wysokiéj skale zbudowaném, rozwieszone szare góry jak wielkie prześcieradła, które o zachodzie czerwienieją, a w końcu stroją się w najaskrawsze fiolety. Z niezmierną pracą na téj kamienistéj puszczy człowiek zdobywa dla uprawy każdą piędź ziemi, oczyszcza ją od kamieni, otacza murami bez cementu, osłaniając te drobne ogródki od ostrych *bory* podmuchów. Warunki uprawy zmieniają się na lepsze u samych brzegów morza, jest tu więcéj strumieni, zdarza się i piaskowiec, który się prędzéj rozkłada i tworzy humus rdzawego mocno bistrowego koloru. Jeśliby oczyścić grunt od kamieni zruszyć go rydlami i łomem, a dodać wodorostów, które morze wyrzuca i pomiotu od bydła, które tu skrzętnie zbierają dzieci do koszyków, ziemia ta rodziłaby śliczny, słodki, czarny winograd nie potrzebujący polewania i kapustę, która się polewa. Pracują koło tych ogrodów ludzie i osiołki. Zboża nie produkują—przywożą je z Odesy albo Rumunii, rośnie tylko trochę dość nędznéj kukurydzy. Wino najwięcéj popłaca zwłaszcza, że z racyi grasującéj we Francyi filoksery, ogromne dostawy czarnego wina zakontraktowane są do portów francuzkich. Rozcieńczone i przerobione będziemy potém spijali pod nazwą win stołowych francuzkich burgundzkich albo bordoskich (tak mię przynajmniéj zapewniali handlarze win w okolicach Spalato). Proszę sobie wystawić taki ciągły pas najzieleńszych ogrodów, winnic, sadków fruktowych, pomiędzy morską falą z jednéj, a nagiemi bokami podnoszących się skał, z drugiéj strony. Takiemi nieprzerywającemi się ogrodami jechałem od Spalato drogą wynoszącą 25 kilometrów do Trau czyli dawniejszego Troghiru, droga tak cudna, że nosi miano *raju*—paradiso dei cinque castelli. Tak się téż przedstawiają brzegi głębokiéj Bokki Kotorskiéj i nieustępująca w piękności słynnéj genueńskiéj riviera di ponente część drogi z Raguzy do hercegowińskiego pogranicza. Najwięcéj czaru i oryginalności dalmackiemu krajobrazowi daje sam Adryatyk, o wiele tu piękniejszy niż nietylko u płaskich wschodnich ale i u tyle sławionych zachodnich brzegów Italii. Brzeg dalmacki to najfantastyczniejsza w świecie

frenzelka z wysp i półwyspów rozrzuconych w najszczególniejszym bezładzie. Z pokładu okrętowego wygląda to najczęściéj jak jedno z wielkich jezior włoskich Maggiore albo Como, ale z wyżyn nadbrzeżnych dokładnie uwydatniają się zatoki i niezliczona moc ustawionych w szeregi błękitnawych ostrokręgów, sterczących niby widma i pogrążających się w jeszcze błękitniejszéj topieli. Dwa z tych nadmorskich krajobrazów przezemnie widziane należą niezaprzeczenie do najpiękniejszych w świecie: jeden w okolicach Raguzy, a drugi w drodze z Kotoru do Czarnogórza. Miasto Dubrownik czyli Raguza tyłami swemi opiera się ze wschodu o stromą wysoką górę, na któréj zbudowana strażnicza warownia *fort Imperial*. Na górę tę prowadzi dostępna tylko dla pieszych kuta w skale zygzakami ścieszka; (jazda kołowa wymaga kilka mil drogi od strony Hercegowiny). Z góry téj widz ma przed sobą niezmierzone obszary morza, o parę wiorst od murów Raguzy szmaragdową, całkowicie sosniną włoską (pinie) odzianą, wysepkę *Lacromę*. Ta wyspa o miękich okrągłych formach, jak najpiękniejsza poduszka z aksamitu, należała do arcyksięcia Maksa niefortunnego cesarza Meksyku. Po jego śmierci sprzedano ją na licytacyi za 22 tysięcy reńskich z całą ruchomością, podobno nawet z papierami i korespondencyą nieboszczyka. Odkupił ją rząd austryacki za 79.000 reńskich. Dla następcy tronu Rudolfa. Ta wyspa pamięta króla Ryszarda Lwie Serce, który tu wylądował wracając z krucyaty (1192) ku niéj wysuwa się na cyplu Dubrownik—miasto-rzeczpospolita, w mury i baszty tak misternie ujęty, jak ciało rycerza odzianego w pancerz, bezwodnemi dzisiaj fosami od lądu opasany, a taki mikroskopijny; że z całą misterną robotą swych bram, baszt i murów wygląda jak łupina od orzecha, jak słowiańska kontrefakcya w drobnéj miniaturce większego oryginału, to jest Mletu (Wenecyi). W dziesięć minut można przejść całe miasto od Porta Pille do Porta Pioce po pięknym corso zwanym tu Stradore, brukowanym płytami marmuru, po których nikt nie jeździ. Komora celna—dogana jak w Wenecyi; pałac książęcy—kopia pałacu dożów, jak sam knez (kniaź) rektor rzeczypospolitéj był tylko kopią doży weneckiego; rady miejskie podobne do rad weneckich, nawet patron święty Włach (Błażej) biskup, na każdéj baszcie i placu w posągu przytomny, wygląda jako zdwojony św. Marek wenecki. A cóż dopiero scena, sztuka, poezya—to takież naśladowanie literatury włoskiéj, jakiém nasza klasyczna literatura wieku Stanisława Augusta była odnośnie do francuzkiéj, o tyle jednak słabsza i pośledniejsza dubrownicka od polskiéj z końca XVIII w., że stanowiła tylko piękną rozrywkę, szlachetną zabawę, a nie miała wcale znaczenia wewnętrznéj walki i pracy nad sobą i nie służyła za potężną dźwignię do naprawy

i reformy. Bawiły się w słowiańską, swojską literaturę patrycyat i kupiectwo bardzo małego, porządnie zagospodarowanego miasteczka. Dramatyzowano całą historyą Bośnii i Serbii, sławiono Obylicza i wszystkich junaków z Kosowego pola, ale tylko wierszami, i opiewano (*Osman* Gundulicza) przewagi krzyża w sławnéj naszéj potrzebie Chocimskiéj, co nie przeszkadzało rządowi sprzymierzać się z Turkami i za pomocą cudów dyplomatycznéj ekwilibrystyki przedłużyć o lat 9 swój żywot po upadku Wenecyi (aż do 1806). Skon nastąpił w jednym momencie, odbył się bez tragizmu i nie pociągnął za sobą nawet téj wielkiéj i dojmującéj żałoby, która tchnęła na przechodnia z weneckich pałaców i kanałów pod panowaniem austryackiém.

— Czy uwierzysz pan — mówił do mnie sędziwy Jan August Kaznaczycz, sam literat chorwacki i syn jednego z ostatnich poetów wyłącznie dubrownickich — że my nie mamy tradycyi, że mało przechowało się wspomnień z czasów tak niedawnych, patryotyzm raguzański wsiąkł i odrodził się w illiryzmie, zaledwie to lub owo wydobywamy z archiwów. Zatoż ów zmarły Dubrownik, gdzie się wypielęgnowała chorwacka mowa w dostatku i zbytku, świeci dziś w literaturze chorwacko-serbskiéj jako „slowinski raj,“ jako perełka, jako świecąca góra Sinai, albo gwiazda poranna.

Ta Dubrovnik! taj biser sineg mora,
Gde sokolovi savlše si gnjezda;
Sred mrke noci sjajna Sinaj-gora,
Sred mutrog neba predhodnica zviezda.... (*Szenoa*).

Jużciż został tu jeszcze mocny zapach zanikłéj a wiekowéj cywilizacyi, jeżeli nie w tradycyach to w bycie, sposobie życia i obyczajach mieszkańców, jest to perełka Adryatyku, ale perełka strasznie mała. W tym porcie ciasno byłoby czterem wielkim parostatkom; sam port ten opuszczony. O dwie wiorsty od porta Pille po za wązkim przesmykiem rozsiadła się Gravosa-Gruż, nad inną obszerniejszą zatoką; łączący ją z Raguzą gościniec to dziś ulica z will, ogrodów i pałacyków. Cała przyszłość Raguzy w tém, żeby się zlać z Grawozą, żeby się przenieść do Grawozy. Z wyżyn fortu Imperial cała zatoka Grawozy jak na dłoni i nietylko zatoka ale w oddali za nią całe szeregi, nieprzejrzane zastępy sterczących z fal morskich wysp archipelagu.

Z Raguzy przenieśmy się do Boki Kotorskiéj; jest to wąska a kręta i długa wrzynająca się w góry morska zatoka, w kształcie ogromnego *M*, wejście do zatoki w Punto d'Ostro, po brzegach Castelnuovo, Perasto, Risano, po nad którym wyludnione dzisiaj ze szczętem krwawéj pamięci Kriwoszije, nakoniec Catarro. Już zaraz

po wejściu do zatoki po za pomniejszemi górami stojącemi na pierwszym planie zarysowują się ciemne ponure ściany Czarnogórza, a na nich bieleje wąziutkiemi, jaśniejszemi, podłużnemi w ostre ząbki liniami droga wykuta w skale z Catarro przez Niegorz i Cetynje aż do Rieki (60 kilometrów, a z nich z Cataro do Cetinje 42 kilo.).

U spodu, nad najdalszym od otwartego morza punktem zatoki, przyczaił się Kotor i wysunął wysoko w górę po stoku swoję fortecę. Jest-to najniezdrowsza i najniedogodniejsza osada, na dnie ciemnéj szczeliny, brudna, cuchnąca, bez najmniejszego przeciągu wiatru, ze wszystkich stron obwarowana i zaciśnięta; słońce tu o godzinę późniéj niż gdzieindziéj wschodzi i o godzinę wcześniéj zachodzi. Miasto handlowe i wojskowe, na poły czarnogórskie. Tu znoszą górale produkta swojéj chudéj ziemi: warzywo i owoce, tu zbywają kokosze i bydełko. A odbywają dotąd tę podróż po stromych starych ścieżkach, nawet pocztarz codzienny kniazia z Czarnéj Góry wędruje na przełaj a nie po łamanych zygzakach wykutych dla bezpiecznéj jazdy w wygodnych powozach. Droga ta świeżo zbudowana na zasadzie układu i wspólnym kosztem Czarnéj góry i Austryi, któréj granica sięga prawie aż do ostatniéj najwyższéj linii, dochodzącéj do saméj przełęczy. Po za przełęczą droga spuszcza się do ogromnego wygasłego krateru, w którym siedzi wieś Niegorz, potém znów się podnosi i przez straszliwe puszcze kamienne dobiega do ładnéj płaszczyzny, na któréj pobudowano Cetinje. Żadne wyrazy nie są zdolne oddać olbrzymiéj wielkości widoku jaki się otwiera przy zjeździe z przełęczy ku Kotorowi. W górę pną się kolosy skał poprzedzielane wężowémi skrętami zatoki, droga z Kotoru łączy się na podgórzu z drogą od Budui, przecinającéj śliczne i najwyborniéj uprawne płaszczyzny nad skrajem morza, tło obrazu stanowią dwa błękity: morza i nieba. Linia horyzontu od morza sięga tak daleko, że pod nią płyną pasma chmur białych, niby stada kąpiących się w morzu łabędzi.

Żegnając Czarnogórze jużem się nie spodziewał oglądać rzeczy piękniejszych, owszem oczekiwałem nużącéj jednostajności zwłaszcza przy jeździe powolnéj kołowéj. Jednak dzień drogi z Metkowicz do Mostara, dwa dni do Serajewa z noclegiem w Konicy były dniami rozkoszy, lubowania się w coraz zmieniających się widokach, podziwiania natury górskiéj w okazach jéj najwspanialszych, które iść mogą o lepsze z Alpami szwajcarskiemi i tyrolskiemi i z Tatrami. Często szumią wodospady, aż do końca droga idzie brzegami Narenty, przerzucając się z jednego brzegu na drugi; w Mostarze z pędem rwie się ta rzeka bardzo szara po szarym łożysku z nagich kamieni, a po obu stronach wyciągnęło się miasto o licznych minare-

tach ścieśnione przez góry. Od Konicy znacznie bogatsza roślinność. Ogromne lasy czyli po serbsku *szumy*, gęstém płaszczem odziewają barki gór, lasy z dębów, kasztanów, platanów, aż do samego wierzchołka Iwan Planiny (4,000 stóp). Od tego punktu zaczyna się spad z kraju gór do kraju mniejszych już pagórków, kończy się Hercegowina, zaczyna się Bośnia, daje się we znaki wilgoć, czuć wielką odmianę w temperaturze dnia i nocy, roślinność zbliża się do północnéj, zewnętrzna postać kraju jest téż do naszéj ziemi bardziéj zbliżona, miasta tylko najeżone minaretami, przecięte smętarzami, tonące w zieleni mają bardzo muzułmański charakter, ale i ten się ścierać będzie szybko, całe Serajewo przebudowuje się ze wschodniego na pospolite europejskie. Po latach dziesięciu będzie tu sporo kolei żelaznych, zasłyną wody mineralne, w które obfituje już dzisiaj Bośnia (Ilidże koło Serajewa, Kiselak po drodze z Serajewa do Zenicy), staną jakie takie gospody i we wszystkich kierunkach popłyną tłumy turystów.

Niemniéj niż te skały, wody i ziemie, ciekawym przedmiotem jest lud tutejszy, z pozoru i przy pierwszém tylko zetknięciu się niby turecki albo włoski, ale przy poznaniu się z nim tak nam pokrewny, tak serdecznie słowiański, że dziwić się należy jak mało wpłynęły zewnętrzne wypadki, ucisk, wynarodowianie, niewola na zmodyfikowanie pierwotnego materyału, na starcie cech etnograficznych, i jak szybko ten pierwotny podkład etnografii występuje przy cokolwiek pomyślniejszych dlań okolicznościach i warunkach i przebija się przez wszelkie nawarstwienia zwierzchnie i przykrycia. Najbardziéj w obecnéj chwili uderzającym wypadkiem jest postępujące wywłoszenie się i kroacenie się Dalmackiego wybrzeża. Dotychczas po większéj części to pobrzeże uważano za całkiem włoskie, ogniskami włoskiéj kultury były miasta, znaczna ich część dotąd na bramach i kolumnach znaczona jest weneckim lwem św. Marka, pobudowano tu wspaniałe włoskie marmurowe kościoły, potężnym czynnikiem kultury było duchowieństwo katolickie i język włoski był urzędowym językiem sejmu dalmackiego.

Odkąd jednak ruch narodowy włoski po 1859 r. zerwał stanowczo z kościołem, zmieniły się stosunki i zachwiał się włoski pierwiastek na pobrzeżu. Dziś szamotania się stronnictwa „Italia irredente“ po prostu straszą bogatsze mieszczaństwo ludzi porządku i duchowieństwo i zniewalają wielu, którzy się od dziada i pradziada wychowali we włoskim obyczaju i dotąd najchętniéj-by używali włoskiego języka, do przechodzenia ze wszystkiemi bagażami do chorwackiego obozu. Skoro dopuszczono na sejmie dalmackim w Zarze przemawiać po chorwacku, język ten odrazu zawładnął

sejmem, tak, że włoskim się posługują bardzo nieliczni członkowie sejmu italianissimi. Dokonywa się ze strony rewolucyonistów włoskich rodzaj politycznego samobójstwa nad rodakami tego stronnictwa w Dalmacyi. Odwłoszeni dalmaci trzymają z chorwatami w Zagrzebie, nie lubią Madyarów, dlatego niechcą przyłączenia się do korony węgierskiéj i obstają przy wiedeńskim reichsracie.

Walka drobna, gazetowa, pełna jadu i złości prowadzi się pomiędzy organami włoskiemi i chorwackiemi, walka, w któréj serbskie kirylicą drukowane czasopisma nieprzyjazne chorwatom, zajmują pośrednie stanowisko. Avvenire w Spalato, Dalmata w Zarze i Srbski List w Zarze, ujadają się z „Narodnim Listem“ w Zarze, redagowanym przez Bianchiniego. Wieś bierze górę nad miastem. Przy wyborach w Spalato wybrano deputata Chorwata. Czytałem wydrukowany z téj racyi w „Narodnym Liście“ zadorskim napuszony wierszowany dytyramb, w którym poeta winszuje białemu Spletowi-łabędziowi, że się pozbył „italskiego kału“ i że się spłukał w fali chorwackiego morza, poczém autor zapowiada wypędzenie włoskiego języka ze szkoły, sądu i urzędu, w końcu biały Splet i Duklanow dwór, powiązane są z rzeczą o koronowaniu w Splecie króla Zvonimira (wspomnijmy nawiasem, że ten ostatni szczegół jest błędem historycznym, bo król Zwonimir koronował się w 1076 r. w Salonie a nie w Splecie).

Najmniéj możnaby się spodziewać zakorzenienia słowiańskiego żywiołu w Tryeście. Od 1382 jest to miasto austryackie, a od ogłoszenia go w 1719 porto franco i od rozwielmożnienia się kupców tryesteńskich na szkodę podupadłéj Wenecyi, arcyprzywiązane do rządu; niemiec z włochem mogą tu chyba walczyć o to, kto mocniejszy. W miasteczkach pobliskich istryjskich pierwiastek włoski do takiego stopnia przemaga, że za mojéj w Tryeście bytności odbyła się w Pirano uroczystość publiczna municypalna i ciągnienie loteryi-tomboli. Ciągnęły ją dzieci, ogłaszał numera podesta z balkonu municipio, a woźni wnet po całym mieście ogłaszali i otrąbywali wypadek losowania dla wiadomości szczęśliwych właścicieli wygrywających biletów. W tym samym Tryeście w każdym sklepie mówią po chorwacku, pierwszy lepszy wioślarz który zachwala swoję barkę z iście włoską natarczywością i wielomównością, po kilku słowach rozmowy przyznaje, że jest bratem słowianinem, największy z kościołów w mieście nad canal grande jest serbski, greckiego wyznania, jest druga wielka cerkiew S. Spiridjona unicka, są szkoły serbskie i jedna z gór okolicznych nosi słowiańską nazwę *Obszczyna*.

Im daléj od Triestu, tym wybitniéj występuje typ słowiański w swéj sprzeczności z włoskim nawet w budowie ciała i cechach

czysto fizycznych. Szczególniéj wyróżniają się mężczyzni. Są to zwyczajnie ludzie kolosalnéj statury, o szerokich piersiach i kościach, szczupli w pasie, muszkularni, jakby z bronzu odlani, zachudli, rodzaj wielkoludów, o których pisze Szenoa:

Tu velikane rodi zemlja mala,
I veličini divio se sviet.

Kobiéty tylko małe, szczupłe i od wczesnéj ciężkiéj pracy zawiędłe, tak, że aż dziwno, że rodzą takich olbrzymów. Do piękności atletycznéj budowy trzeba jeszcze dodać zręczność, sprężystość i zwinność właściwe góralom, a wreszcie sam ubiór stosunkowo nawet u najuboższych drogi, jaskrawy, strojny i bogaty. Z kształtów czapeczki, spodni, kurtki, z rękawów koszuli, haftów, wprawne oko odróżni każdą miejscowość, mieszkańca okolic Zadaru to jest Zary, albo Szybeniku, Troghiru czy Raguzy. Na nogach opanki— chodaki z jednéj sztuki skóry sznurami ściągniętéj— obcisłe spodnie, na które spada koszula zwisająca z pod pasa. Pasów co niemiara z drogich pstrych tkanin, u ludzi bogatszych bywa ich od 5 do 7, na tych tkaninach jeszcze jeden pas skórzany, a w nim pieniądze i broń wszelaka wetknięta, handzary, pistolety; rękawy od koszuli wiszące, z nich wyglądają ręce nagie, na grzbiecie spenser haftowany, na głowie czerwona czapeczka u Dalmatów, fez u Hercegowińców, najczęściéj turban czerwony z kręconéj mocno wełny u Bośniaków. Nawet u chrześcian Bośniaków kobiéty noszą się po turecku, wprawdzie z odsłoniętą twarzą, ale w niezmiernie szerokich szarawarach. Ten strój przyniesiony ze wschodu, a w Bośni i Hercegowinie wymuszony na mieszkańcach, u tych ostatnich jest on skutkiem i piętném wiekowéj niewoli. Kiedy w 1877 r. powstała Bulgarya podczas ostatniéj wojny wschodniéj, umówionóm i wszędzie przyjętém godłem powstania było zrzucenie czerwonych fezów tureckich i wdziwanie czarnego na głowę okrycia. Dziś jeszcze w Hercegowinie zdarza się widziéć coś podobnego. Wielu Hercegowińczyków ubiera się w czarne na otoku, czapki czarnogórskie z czerwonym wierzchem haftowanym złotem, a na zapytanie czemu to czynią odpowiadają, że byli *ustaszami* to jest powstańcami, że się tułali, że znaleźli schronienie w Czarnogórzu więc na pamiątkę, przez wdzięczność. przejęli ubiór sławnych i niepodległych junaków. Ogółem jednak biorąc są to wyjątki, i wyznawcę islamu nie odróżnisz od chrześcianina ani z feza albo turbanu, ani nawet z golenia całéj czaszki, oprócz jednego kosmyka na tyle głowy.

Chrześcianie w Bośni wybiwszy się na wolność po 1876 roku, w inny sposób zaznaczają swoje wyznanie, stawią dzwonice, na

dachach domostw osadzają drewniane krzyżyki, albo malują wielkie krzyże na ścianach domów zewnętrznych. Ani oryentalna powierzchowność ani nawet wyznanie muzułkańskie nie zmieniły cech zasadniczych rasowego typu. Widziałem na parostatku wysiedlające się całe rodziny bośniackich begów, część pokładu od brzegu statku przykryta płótnem stanowiła harem, z pod płótna wyłaziły często do starszych chłopięta-momaki. O pewnych godzinach mężczyzni po kolei wstawali i po obrzędowych obmyciach się rozścielali dywaniki, modlili się i bili czołem o podłogę. Po modlitwach rozkładali się na pokładzie i starsi i dziatwa. Śpiewano pieśni chórem „o górze zielonéj“ i o „sinym morzu“ i o „dąbrowie.“ Gdybym na chwilę zapomniał gdzie jestem, wahałbym się powiedzieć czy to śpiewka litewska, ruska, czy z Donu i Wołgi, tak są zbliżone do znanych nam i nuta pieśni i jéj słowa. W całéj Bośni nie znaleść prawdziwych Osmanlisów; bośniacki wieśniak albo nawet beg nie rozumie mowy Koranu, jak jego rodak rzymski katolik nie rozumie łacińskich słów ewangelii i rytuału, a umie może tylko kilka sakramentalnych frazesów. Zetknięcia się moje z poturczonymi tubylcami były zbyt pobieżne i krótkie, ale z chrześcianami znajomości i stosunki zabierały się prosto, serdecznie, odrazu.

Przyjęcie tu uprzejme, patryarchalne, gościnność wielka, przy najmniejszéj znajomości konieczne ugaszczanie jadłem, napojem, wszystkiém co chata ma—kawą i rakiją. Rody żyją liczne, skupione, niedzielące się; między członkami panuje wielkie wzajemne przywiązanie, serdeczne bez granic oddanie się każdego swojéj *kuczy* czyli domowi, swojéj *domowinie* czyli ojczyznie, usposobienie tak religijne, że cię każdy i wita i żegna nieinaczéj jak imieniem Boga (*fala Bogu*, z *Bogom*); nic świętszego nad prastary „*zaviczaj*“ to jest obyczaj, a już za wiarę, to każdy żywot odda. Żaden z narodów europejskich nie był w piekielniejszéj niewoli, żaden nie nosi tak świeżych, tak niezabliźnionych stygmatów krwawego ucisku, żaden nie przebył takiéj próby męczeństwa, żaden tak bardzo się nie sprzeniewierzył i nie uszczuplił w téj próbie przez apostazyą swoich moralnych wodzów szlachty i części ludu, która wyparła się krzyża. Takiego wstydu, takiéj hańby odszczepienia się z musu więcéj niż trzeciéj części narodu od wiary chrześciańskiéj, żaden jeszcze naród europejski na siebie nie ściągnął. Wszakże są to rzeczy zrobione, a zrobionych rzeczy historya nie odrabia, zwłaszcza że państwo nowożytne europejskie zatraciło tradycye krwawego apostolstwa i nawracania musem. Z tych muzułmanów, którzy nigdy nie przestaną być muzułmanami, bo i Koran ma sekret fanatycznie przywiązywać do siebie wyznawców, z tych rzymskich katolików i tych

greckich katolików, którzy niewyszli jeszcze z pojęć średnich wieków, trzeba kleić jedno cywilne społeczeństwo, trzeba stawić ojczyznę jeżeli nie w miejsce to przynajmniéj obok wiary, i tworzyć jedność narodową tam, gdzie istniały tylko religijne całostki, odpychające się wzajem i powinowacące się chętniéj z cudzoziemcami byle jednowiercami, niż z rodakami ale różnowiercami.

Takie jest niesłychanie trudne zadanie, które spadło na organizatorkę kraju — Austryą, wraz z okupacyą Bośni-Hercegowiny z mocy art. 25 berlińskiego traktatu. Okupacya austryacka była logicznym wynikiem upadku Turcyi i całkowitéj niemożności utrzymania w kraju wyniszczonym przez wojnę domową jakiegokolwiek bądź znośnego porządku materyalnego. Okupacya miała prowadzić do anneksyi consensu tacito państw uczestniczących w berlińskim traktacie. Tak rzecz tę pojęły i ludy austryackie oświadczając się bardzo zgodnie za okupacyą i dając na nią sporo i ludzi i pieniędzy. Było prawie uznanie, że poczyna się próba stosowania nowéj teoryi wszechsłowiańsko-austryackiéj. Austrya miała po swojéj stronie najkorzystniejsze warunki: wielkie środki materyalne mimo niedoprowadzone dotąd do porządku finanse, czas do działania długi bez komplikacyi odrywających od roboty, wpływ na otoczenie, na Serbią, Czarnogórę, nawet na Bulgaryą bardzo wielki i bezpośredni, nie równoważony innym wpływem ze wschodu wskutek zajęcia się Rosyi prawie wyłącznie interesami polityki wewnętrznéj. Cóż zrobiono w cztery lata? czy przyszło do wyrobienia chociażby zarysów organizacyi? kiedy może nastąpić albo czy kiedykolwiek nastąpi anneksya? Czytelnik nie może wymagać od turysty, ażeby wyczerpująco i głęboko tę rzecz traktował na mocy dokumentów. Turysta może podzielić się tylko bezpośredniém ogólném wrażeniem, jakie w nim zrodziła całość oglądanych pobieżnie stosunków, nie motywując szeroko i ściśle jak doszedł do swojéj dedukcyi. Otóż waszemu korespondentowi zdało się, że anneksya jest jeszcze rzeczą daleką i dość nieprawdopodobną, że nawet gdyby ją wyrzeczono, przyłączony kęsek bodaj nie jest do przyswojenia i strawienia; wina w tém wielkiéj trudności zadania, więc i środków niewłaściwie użytych, wina i braku innych środków, któremiby asymilujące państwo mogło dokonać twardego przedsięwzięcia. Jak mogę tak postaram się wytłómaczyć dla czego w obecnéj chwili całe przedsięwzięcie możnaby mojém zdaniem uważać za chybione.

Do bośniackiéj ludności okupacya austryacka, prócz wojskowego pierwiastku, wprowadziła dwa prądy osiedleńców i kolonistów: przemysłowców u spodu, urzędników u góry. Wpływają masami koloniści niemcy czyli jak tu ich nazywają *szwabi*. Pracują na

żeleźnicach czyli drogach żelaznych, osiadają po wsiach i miastach, szynkują; w ich ręku kram i gospoda, w nędznych dziurach śród rumowisk w Serajewie, są do kupienia najdroższe i najrozmaitsze wiedeńskie i peszteńskie towary. Kiedyś w drugim i trzecim pokoleniu ten żywioł się zbośniaczy, dziś wygląda niemile, pełno tu szwindlu i zdzierstwa, w lichych chałupach za jeszcze lichsze posłanie płaciłem niemcom drożéj aniżeli w pierwszych hotelach stolic austro-węgierskich. Zjeżdżają urzędnicy, niemców, madyarów pomiędzy niemi mało, najwięcéj zaś w składzie osób liczy się słowian: czechów, chorwatów, polaków galicyjskich. Przypuśćmy, że pod względem przymiotów osobistych i uczciwości, są to wszystko ludzie wzorowi i bez zarzutu, wszakże są to cywilizatorowie wprowadzający do obcego kraju obce tubylcom porządki, do których sami się nałożyli z profesyi, skłonni do przeprowadzenia rządowych zamiarów z bezwzględną energią i z przełamaniem wielkiego oporu. Rząd któren myśli o tém jakby się opierać nie na zbrojnéj tylko sile, musi szukać punktów oparcia się w miejscowéj ludności. Tu przedewszystkiém mają pierwszorzędne znaczenie wyznaniowe różnice i ściśle z niemi powiązane: podział stanów i organizacya własności ziemskiéj. Wedle urzędowych sprawozdań w 1881 r. ministra Szlawy w delegacyach austro-węgierskich, w liczbie całego zaludnienia Bośnio-Hercegowiny 1,158,000 mieści się 43% chrześcian wschodniego obrządku, 39% mahometan, 17% rzymskich katolików i 1% innych wyznań. Z trzech głównych wyznań Austrya może liczyć na poparcie tylko najmniéj licznego to jest rzymskich katolików. Jeżeliby po anneksyi do Bośnii i Hercegowiny wcieloną została Dalmacya, ten wązki pasek dzielący Bośnio-Hercegowinę od morza ze swoją przeszło półmilową przeważnie rzymsko-katolicką ludnością, zwiększyłyby się nieco odsetki przypadające na to wyznanie, ale zwiększenie byłoby drobne, małoznaczące.

Rzymscy katolicy mniéj byli uciskani za tureckich rządów od greków, ich kościelna hierarchia była więcéj poważana aniżeli grecka, którą wyzyskiwał pieniężnie Carogrodzki patryarcha; braciszkowie franciszkanie, których tu sporo, są nadzwyczaj lubieni i popularni, rząd austryacki buduje po wszystkich większych miastach kościoły, równie piękne jak te cerkwie, które dla greckiego wyznania pobudowane zostały środkami rządu rosyjskiego, za panowania Aleksandra II naprzykład cerkwie w Mostarze i Serajewie. W 1881 r. w czasie pielgrzymki do Rzymu na uroczystość ŚS. Cyrylla i Metodego była nawet podjęta przez katolików myśl unii kościelnéj z Rzymem, która jednak upadła dla braku spółczucia nie dochodząc do początku wykonania. Nasza dzisiejsza polityka nie posiada zagi-

nionego stanowczo sekretu osiągania znacznych zmian w narodzie za pomocą propagandy religijnéj; wyznanie rzymskie stanowi zbyt wązką podstawę dla działań rządu austryackiego w Bośni, konieczność zmusza oprzéć się na innych wyznaniach i szukać zawiązków austryackiéj partyi albo śród mahometan, albo śród wyznawców greckiego chrześciaństwa, to jest albo śród krajowéj zapostazyowanéj inteligencyi albo śród pospólstwa.

Zrenegacenie się téj arystokracyi stanowi czarną plamę na dziejach Bośni w przeszłości i ciąży jak kamień na teraźniejszości. Wszystkie współczesne narodowości polityczne Europy były niegdyś poczęte w jedności religijnéj, która każdą z nich wychowała; z kolei każden wychowaniec się usamowolniał, gruntem społecznéj budowy stało się pojęcie nie wspólnego religijnego wyznania lecz współobywatelstwa, między wyznaniami pośredniczy rząd niby Themis bezwyznaniowa z szalkami w ręku dozierająca, aby się ludzie za wiarę nie prześladowali. W Bośni było inaczéj; różnice wiar nie dały się sformować jedności narodowéj i przygotowały panowanie islamu. Odwieczny, nierozwiązalny spór dwóch wyznań, rzymskiego i greckiego, skomplikowany został wczesném pojawieniem się protestantyzmu w sekcie patarenów. Rozkład moralny był okropny, królowie i szlachta zmieniali pokilkakrotnie wyznanie wedle rachub polityki, frymarczyli wiarą bezczelnie i otwarcie, tylko lud prosty był szczerze religii oddany. Nadeszli Turcy i przycisnęli naród, wtedy ta zepsuta szlachta, by zostać w posiadaniu majątków i ziemi, pod pierwszym naciskiem przeszła na islamizm, tym razem zaprzedała nietylko wiarę ale i duszę, bo islamizm miał straszną potęgę nad umysłami, poturczeniec był zwykle gorszym fanatykiem i ciemiężcą niż ze krwi Turek. Ta butna szlachta przechowała całą ruchawość i niesforność swoich przodków, buntowała się i dawała się nieraz we znaki Stambułowi, ostatnie krwawe poskromienie jéj miało miejsce w 1850 r. przez Omera paszę. Pobita bawiła się w opozycyą i niby liberalizm, chociaż główną pobudką do buntu były reformy Reszyd paszy i ogłoszenie, biorącego rajasów chrześcian w opiekę, hatti szerifu z Gülhane. Dziś mała część téj arystokracyi niepoprawionéj i drapieżnéj wysiedla się na Wschód, dla tych co pozostaną, interes islamu będzie zawsze droższym nad interes własnego kraju, a teraźniejszość zdawać się będzie o wiele gorszą od utraconego raju, to jest od przeszłości, od ich panowania niedzielonego z nikim nad podeptanemi niewolnikami rajasami.

Po kilku wiekach wpływ wychowania i zmienionych instytucyj społecznych może odmienić bośniaków mahometan i przerobić ich na pożytecznych obywateli kraju, dziś jednak jeszcze zda się spraw-

dzać na nich to przysłowie, że natura wilka ciągnie do lasu. Należy się im tylko ścisła sprawiedliwość, słusznem jest aby ich mierzono tąż miarą co chrześcian. Wszelkie jednak do nich zaloty byłyby w chwili obecnéj z krzywdą dla chrześcian, zwłaszcza że na samym wstępie do jakiejkolwiek bądź organizacyi stoi niezbędna, nie cierpiąca zwłoki wielka kwestya agrarna, bo kraj ten przez tyle wieków muzułmański nie może przestać być takowym, dopóki nie zostanie zmieniona, na Koranie oparta, całkiem muzułmańska organizacya własności ziemskiéj.

Wedle idei właściwéj muzułmańskiemu, prawodawstwu ziemia cała jest przedewszystkiém sułtańską, część jéj zostaje w sułtańskiém posiadaniu, część jéj znaczna oddana meczetom, szkołom, instytutom publicznym (tak zwane wakufy), reszta nadana rodzajem prawa lennego begom i innym uprzywilejowanym posiadaczom gruntów. Kmieć, z własności wyzuty, opodatkowany i obłożony na rzecz swego bega byłego spahi albo janczara i dziesięciną i opłatami i robotą pańszczyznową stracił stopniowo wolność przenoszenia się od jednego bega do drugiego i stał się po prostu niewolnikiem. Całe powstanie bośniacko-hercegowińskie z 1875 r. wywołane było przez ucisk tak religijny jako i ekonomiczny. Z wielu miejsc begowie wynieśli się, daniny i roboty ustały. Rząd austryacki po okupacyi raz obiecywał reformę agrarną i dekretował niezwłoczne ulgi w ciężarach, to znów przystępował do środków egzekucyi na korzyść właścicieli ziemskich, albo zaprzęgał przymusowo lud do naprawy dróg i do robót publicznych. W Jabłonicy, między Mostarem i Konicą tłómaczył mi przedsiębierca robót na drogach szosowych sekret prędkiego budowania tych dróg, któremi dziś kraj po okupacyi przecięty; oto mówił: żandarmi poszli spędzać kmieci do roboty, bez nich i bez pracujących żołnierzy dróg by tych nie było; płacimy robotnikom co łaska, po 30 centów za dzień. Niepodobna ani restaurować władz i praw begów, zwiększając je przez przywrócenie im tytułu prywatnéj własności ziemskiéj, którego nie mieli za panowania tureckiego, władali bowiem ziemią tylko na prawie lennem, ani pozostawić nadal lud w niewoli ekonomicznéj pod ciężarem podwójnym: należności państwu i należności begom i bez pewności wyjścia z nieistniejącego już nigdzie na ziemiach austryackich stosunku. Bośniacki raja nigdy nie godził się z następstwami podboju: wywłaszczeniem i niewolą, nigdy nie uznawał praw zdobywców, jest-to niezałatwiony proces przychodzący obecnie przed trybunał historyi.

Przeciąwszy ten węzeł stanowczo i doraźnie, rząd austryacki stanąłby mocną nogą na zajętym gruncie, bo miałby za sobą na długie czasy całą chrześciańską ludność tak greckiego jako i rzymskie-

go wyznania to jest większość ludności absolutną. Czemu ta paląca kwestya nie przychodzi na stół? czemu zapowiedziana prawodawcza robota odkłada się na czas nieograniczony? czemu plączą się rozporządzenia wręcz jedne drugim przeciwne? — Na te pytania otrzymywałem od urzędników austryackich następującą, bardzo otwartą, ale zarazem naiwną odpowiedź: o begów nam nie chodzi, ale na cóżbyśmy robili cudzą robotę, nacóżbyśmy pracowali dla Serbii, Czarnogórza albo Rosyi? Toć przecie cała ta ludność patrzy w inną stronę i marzy tylko jakby od Austryi odpadła. Przy takich poglądach możebném jest tylko kręcenie się na jednem miejscu. Wszystkie, przez gazety przedrukowane, plany organizacyi Kallaya są takiém kręceniem się na miejscu bez zrobienia kroku naprzód.

Uproszczenie mechanizmu administracyi, przez wzgląd na stan społeczeństwa jeszcze bardzo pierwotny, znaczy tyleż co zmniejszenie do minimum rękojmi, jakiemi w normalném społeczeństwie cieszyć się powinna osobistość. Współudział *miejscowéj ludności* w administracyi znaczy toż samo co słuchanie rad zrenegaconéj inteligencyi kraju, to jest tych właśnie klas, które najbardziéj są niezadowolnione z obecnego stanu rzeczy i które muszą być w przyszłości i zredukowane i obcięte, klas, które za zachowawcze żywioły w obecnym stanie rzeczy żadną miarą uchodzić nie mogą. Czyby w późniejszym czasie, w znacznie dalszéj przyszłości, sprawdziły się obawy względem wyznania greckiego, o tém nikt w świecie zawyrokować nie może, niepodobna jednak zaprzeczyć, żeby na razie nie zostały dla rządu pozyskane niższe warstwy społeczeństwa, cała klasa rolników. Ich przychylenie się rozwiązałoby ręce rządowi i zapewniłoby lat kilkadziesiąt wolnego działania siły na materyą. W polityce czas znaczy wszystko, materyalne straty dadzą się powetować, zmarnotrawienie czasu nigdy. Jeżelibyśmy nadanie gruntów chłopom w Bośni i Hercegowinie uważali nawet za środek ryzykowny, z powodu niepewności jego następstw w czasach późniejszych, to natomiast nienadawanie i odkładanie rozwiązania kwestyi agrarnéj prowadzi niezawodnie do następstw bardzo pewnych, ale też najsmutniejszych, do niezawodnéj i przytém nie tak odległéj przegranéj.

Współudział kraju w samorządzie jest do obecnéj chwili najjałowszą mrzonką, wcisnęłyby się do administracyi żywioły, albo muzułmańskie albo chrześciańskie, na porządkach tureckich wyrosłe i na nich wytuczone, które można neutralizować ale niepodobna do rządów wprowadzać, bo ich obecność byłaby przyczyną zepsucia i plagą. Jeżeli spełznąć muszą na niczém wszelkie czcze zamiary rządzenia krajem przy pomocy krajowców, sposób administrowania

pozostanie czém dziś jest— to jest prostym biórokratyzmem opartym na ostrzu bagneta, mechaniką czerpiącą tradycye z przedkonstytucyjnéj epoki, stanem rzeczy, w którym samowola rządzących idzie w parze z rutyną, a do pół barbarzyńskiego dzikiego jeszcze kraju wprowadzają się nowe skarbowe pobory i drobiazgowe policyjne formy, do których się nałożyły jako tako i nie bez trudności, po całych wiekach tresowania, ludy na znacznie wyższém stopniu umysłowego i moralnego wykształcenia zostające, ale które n jest nie do zniesienia dla wpół dzikich. Jak niebezpieczne są próby takiego cywilizowania, dowiodła niespodzianka — powstanie w Hercegowinie i południowéj Dalmacyi, zaledwo przed kilku miesiącami uśmierzone. Godném zastanowienia faktem jest, że w powstaniu nie brali udziału tylko rzymscy katolicy, ale uczestniczyli i muzułmanie i prawosławni. Niemcy w Konicy opowiadali mi, w jakim okropnym byli strachu, gdy na górach nad miastem zjawili się ustasze, którzy gdyby się do miasta dostali, rznęliby obcych bez miłosierdzia. Od żołnierzy austryackich słyszałem jak nad rannemi i umarłemi ich kolegami pastwili się Krywoszyjanie, jak obrzynali zabitym uszy, nosy, wargi i członki. Kilka tysięcy ustaszów wprawia w ruch przeszło sto tysięcy wojska austryackiego i zmusza do czuwania i przedsiębrania niesłychanych ostrożności. Już dziś niby niema powstańców, a tylko gdzie niegdzie i to w odludnych miejscowościach błąkają się włóczęgi, którzy zeszli na rozbójników—*hajduków*; ale z tą góralską ludnością nigdy nie można być pewnym swego. — Wkrótce zbiorą kukurudzę—mówił do mnie mój gospodarz w Konicy — a zobaczylibyście potém jak wielu z tych bośniaków wezmą *puszki* (rusznice) i pójdą w góry, a będą *pukać* (strzelać). Wié o tém rząd, dla tego poczta jeździ pod mocną eskortą, dla tego roi się żołnierzy co niemiara w każdém miasteczku, dlatego pozakładane w większych miastach ogromne niby przedmieścia, stałe obozy z murowanych koszar, dlatego chodzą gęste patrole i koczują z miejsca na miejsce oddziały żandarmeryi. W tych oddziałach zwykle na jeden mundur wojskowy przypadało zawsze trzy albo cztery razy tyleż ubiorów bośniackich z brązowemi tylko blachami o orłach dwugłowych austryackich na turbanach albo fezach; byli to po większéj części zawerbowani do służby dawniejsi zaptyowie albo pandurowie.

Wskutek téj bezwzględnéj konieczności obwarowywania tak pobrzeża i wysp Dalmacyi od morza, jako i całego wnętrza Hercegowiny, oraz pogranicza tego kraju i Bośni i trzymania na stopie wojennéj ogromu siły zbrojnéj całkiem nieodpowiedniego do przestrzeni zajmowanego kraju, kwestya polityczna wikła się w najdrażliwszy dla Austryi sposób z inną daleko trudniejszą finansową. Zajęte

kraje są jako przepaść pochłaniająca bez widocznego śladu wszystkie kredyty uchwalane przez delegacye austro-węgierskie. Z dwóch połów państwa, Węgrom najbardziéj cięży niepewność: co to wszystko może nadal kosztować? prawdopodobnie opozycya to Węgrów postawi prędzéj czy późniéj ostrzem wniosek: czy nie lepiéj wyrzec się całkiem anneksyi i ustąpić z tego rodzaju Kaukazu, zwłaszcza że zadanie tu jest trudniejsze aniżeli zadanie Rosyi na Kaukazie, bo kaukazkich górali można było całkiem izolować, a Bośnia i Hercegowina oparte są tyłami o drgających przy każdém poruszeniu się ich pobratymców, o Czarnogórze, o Serbią, skąd ruch sięga daléj, odczuwa się w Rosyi i może wcale niespodzianie nabyć znaczenia komplikacyi europejskiéj. Przed okupacyą, na kongresie berlińskim, Austrya już miała gotowy rachuneczek kosztów za utrzymanie na swojéj ziemi zbiegłych Bośniaków i Hercegowińców (3,200,000 reńskich). Dziś rachunek o wiele większy od setki milionów, z racyi okupacyi i z racyi kosztów poskromienia powstania. W razie dobrowolnego ustąpienia Austryi z zajętych krajów ktośby musiał ten rachunek zapłacić. Bardzo być może, iż Austrya zdobędzie się na stanowczość i z zamrużonemi oczyma przejdzie przez Rubikon dekretując anneksyą, poczém ustąpienie stanie się niepodobieństwem. Bardzo być może, że Austrya będzie się przez czas długi wahała pomiędzy ustąpieniem i anneksyą. Najszczęśliwszym sposobem rozwiązania trudnego zadania byłoby przechowanie Bośni dla Bośniaków, wychowanie nowéj jednostki narodowéj, którą możnaby i należałoby z czasem powołać do samorządu spółrzędnie ze wszystkiemi ludami austryackiemi. Na nieszczęście jest to dziś lud bez głowy, kilkuset lat by potrzeba aby wyrobić w nim literaturę, świadomość i poczucie jedności narodowéj, łącząc nienawidzące się i odpychające się religijne wyznania.

W obecnym stanie rzeczy część zajętego kraju — Hercegowińska, skoro się wzmoże ruch odśrodkowy od Austryi ciążyć będzie ku Czarnéj górze, a tembardziéj, że Hercegowina głównie jest zaludniona wychodźcami z Czarnéj gory, zaś część bośniacka będzie ciążyć ku królestwu Serbskiemu. Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że ten ruch odśrodkowy anti-austryacki się wzmaga, i że spotęgowanie się jego pociąga za sobą niesłychanie ważne następstwa i sprawia wielkie zmiany, tak w stosunkach wewnętrznych pomiędzy narodowościami słowiańskiemi w Austryi, jako i w stosunkach między państwowych na dorzeczu Dunaju i na półwyspie Bałkańskim.

Odrodzenie się w XIX wieku chorwacko-serbskiéj narodowości datuje od 1833 r., to jest od pierwszego wystąpienia Ludwika Gaja (1809 †1872). Wzięto za podstawę jednoczenia się — język; okazało

się, że na półwyspie bałkańskim są tylko dwie mowy: jedna bułgarska, druga serbsko-chorwacka, że w Serbii, Bośnii, Czarnogórzu, Dalmacyi, Slawonii nawet Karyntii, Styryi i Krainie używany jest jeden tylko język, dla którego odgrzebano stare imie chrzestne *ilirskiego*; nie utrzymało się ono jednak, zamieniono je na mało znaczące *jugo-sławiańsitwo*. Ta narodowość powstająca szybko, raźnym ruchem od razu zajęła względem Węgrów takież stanowisko jakie zajmuje śpiżowy posąg Iellaczyca odlany przez Fernkorna, postawiony na rynku w Zagrzebie, wielki ban kroacki jedzie na północ na Węgry i ku nim ostrze krzywéj szabli wymierzył. Odrodzenie się było początkowo objawem literackim, nosiło wszystkie cechy romantyzmu i było arcyeklektyczne, to jest garnęło do siebie i bratało wszystkie wspomnienia wschodu i zachodu, Rzymu, Wenecyi i Bizancyum, króla Zvonimira i Cara Stefana Duszana. Jeszcze dożywa ostatka dni swoich jeden z przywódzców tego ruchu Jan Kukuliewicz Sachciński. W marcu roku bieżącego pochowano w Dubrowniku drugiego z ludzi tegoż pokolenia, poetę dubrowczanina hrabiego Orsato Pozza Zagórskiego, który na swoich książkach pisał się Med Pucicz, był natchnionym lirykiem i w wierszach pisanych kirylicą unosił się jako słowianin arcyekletycznie nad tém co oglądal w Piotrogrodzie w 1852 i składał dań uwielbień Adamowi Mickiewiczowi (1848) i opiewał dwa czarne kamienie w Szwajcaryi i czarny pamiątkowy słup na jeziorze Zurich około Rapersswylu i czarny ciężki głaz około Konstancyi na miejscu spalenia Husa. Wspomnę jeszcze przelotem, że przed samym moim przyjazdem do Raguzy, odbył się wspaniały pogrzeb sprawiony 80letniemu Wukowi Wrezeticzowi któren wraz z Wukiem Karadziczem zbierał pieśni ludowe i pisał ludowe serbskie powieści.

Aczkolwiek za podwalinę zjednoczenia przy odrodzeniu się służył język; a pobratanie się zaczynało się od literatury z jednakiém poszanowaniem dla odsuwanych w głąb' historyi różnic religijnych i podziałów politycznych; jednak, ponieważ ruch ten poczynał się w Austryi aześrodkowywał się głównie w Zagrzebiu, ponieważ wszyscy jego inicyatorowie otrzymali zachodnio-europejskie wykształcenie, przez ich zbiorową działalność szerzył się duch kultury zachodnio europejskiéj, nam zachodnim słowianom pokrewnéj, już nie ściśle rzymskiéj lecz przez łacinę wyrobionéj i wychowanéj. Do dziś dnia Zagrzeb świeci promiennym blaskiem jako ognisko cywilizacyi, tu powstały oświatę narodową zasilające instytucye, patryotycznemi składkami Chorwatów, wspaniałą ofiarnością Diakowarskiego biskupa Józefa Strosmayera, którego jak sam słyszałem nazywano w 1873 r. na posiedzeniu sejmu Zagrzebskiego „prvi syn Serbii“

(tj. narodu serbo-chorwackiego). Tu już we własnym domu na placu Zrinyego pomieszczona południowo-słowiańska akademia czeka na galeryą ze 150 obrazów podarowanych jéj przez Strosmayera. Na promenadzie przed akademią w klombach z kwiatów stoją dwa marmurowe popiersia dwóch sławnych we włoskiéj sztuce renesansu kroatów artystów: Jerzego Glowicza miniaturzysty (1498—1578) który pod imieniem Clovio zasłynął jako „Rafael miniatury" i kunszt swój aż do najwyższego stopnia doskonałości doprowadził i malarza szkoły weneckiéj Andrzeja Medulicza zwanego Schiavone.

Tu od 1874 istnieje uniwersytet chorwacki imienia Franciszka Józefa, jest teatr narodowy i opera, któréj orkiestrą dyryguje słynny kompozytor Zaic. Kiedym porównał jednak Zagrzeb, jakim go pamiętam w 1873 r., gdy niektóre instytucye dziś rozwinięte były tylko w zawiązku albo w projektach, a dochodził do skutku na sejmie prezydowanym przez poetę Mazuranicza kompromis chorwacko-węgierski, z Zagrzebem teraźniejszym, porównanie to wypadło stanowczo na niekorzyść chwili dzisiejszéj. Tomaszem niewiernym na owym sejmie 1873 był tylko jeden mówca, adwokat doktór Makaniec, który nie dał się przekonać o szczerości intencyj pojednawczych ze strony Madyarów. Zbijali go zwycięzko młodzi i początkujący jeszcze szermierze w liczbie ich Żywkowicz i Derenczyn. Za doprowadzenie do skutku kompromisu, mocą którego sejm kroacki wysyła na sejm węgierski 36 posłów, Kroacya ma w Zagrzebie 3 samodzielne ministerstwa: sprawiedliwości, spraw wewnętrznych i oświecenia a wyznań, Mazuranicz został Banem, ale na tém stanowisku się nie utrzymał. Żywkowicz i Derenczyn cieszą się największém powodzeniem, jeden jest ministrem spraw wewnętrznych, drugi sprawiedliwości, Makaniec całkiem się usunął z zawodu politycznego i zajmuje się praktyką sądową—nic więcéj. Z dawniejszych jednak nadziei na dobre skutki i szczere wykonanie kompromisu nie pozostało nic a nic, a nad całą sytuacyą zawisła ciężka chmura niezadowolenia z Madyarów za konstytucyjną hipokryzyą, za używanie w walce z narodowemi aspiracyami Chorwatów, wcale nie konstytucyjnych środków, za gwałcenie względem Chorwatów na każdym kroku wolności mowy i druku. Należéć do opozycyi sejmowéj nie jest bezpieczném, teraźniejszy ban Peiačewicz, ze krwi Chorwata ale całkiem zmadyaryzowany, wydali z administracyi każdego urzędnika, któryby śmiał przeciwko wnioskom rządu głosować. Przed rokiem ban zawiesił w pełnieniu obowiązków profesora uniwersytetu hrabiego Konstantego Wojnowicza, li tylko za mowę na posiedzeniu sejmowém i to za mowę umiarkowaną i co do formy bez żadnego zarzutu. Tylko wskutek wstawienia się całego uniwersytetu i starań w Wiedniu udało się to zawieszenie

usunąć. Arcybiskupem Zagrzebskim jest dzisiaj z rodu Madyar Michałowicz, a ponieważ i Zeng czyli Seni stolica biskupia zajęta przez madyara, po zejściu Strossmayera cała wyższa hierarchia kościelna może być osadzoną przez madyarów. Ponieważ całe duchowieństwo rzymsko-katolickie na sejmie krom biskupów jest zwykle w opozycyi z rządem, arcybiskup zaś prześladuje duchownych za ich zachowanie się na sejmie, stąd skargi na arcybiskupa, które nieraz do samego Rzymu dochodziły. Kodeksy postępowania sądowego działają tu jeszcze odwieczne, stare; kiedym chciał wejść na posiedzenie sądu cywilnego, niepuszczono mię, ponieważ zasady jawności proces niedopuszcza i wprowadzenie spraw odbywa się przy drzwiach zamkniętych. Ustawa procedury karnéj z d. 23 maja 1873 nie została wprowadzona, więc z przysięgłymi odbywaćby się mogly tylko sprawy o przestępstwa druku, jakoż gazety pomieszczają spisy takich specyalnych, dla pomienionych przestępstw *porotitelów* czyli przysięgłych, ale mieszczą bez skutku, władza mało ufa takiemu sądowi i woli załatwiać się z czasopismami drogą postępowania tak zwanego *objektywnego*, to jest poprostu woli przyaresztować numera pisma nietykając i nie sądząc autora. Cotydzień kilka gazet pojawia się z niezadrukowanémi z tego powodu calkiem białémi łamami. Zaiste nie wszystko idzie jak najlepiéj w tym nienajlepszym świecie, zaiste Austrya nie jest jeszcze wzorową krainą konstytucyonalizmu i w niektórych jéj częściach istnieje więcéj dekoracyi niżeli prawdziwych form konstytucyjnych. Rozjątrzenie przeciwko madyarom jest wielkie, i coraz bardziéj zaogniające się. Słyszałem z ust jednego bardzo poważnego kanonika i członka akademii, takie określenie: „madyarowie są to ciż sami Turcy, ale tylko ochrzczeni, lubią wolność ale tylko dla siebie nie zaś i dla innych narodów.“

Stosunek z madyarami, aczkolwiek przykry, dał by się na korzyść chorwato-serbów odmienić i wyprostować, za pomocą cierpliwości, wytrwałości i zaprowadzenia większéj spójności i dyscypliny w szeregach narodowych, gdyby ich usiłowania nie natrafiały na opór jeszcze z innéj strony, gdyby w samym łonie narodu nie istniała scysya, gdyby nie zarysowała się szczelina, wskutek tego że jedność na podstawie rasowéj i językowéj zaczyna się rozpadać na dwa składowe pierwiastki: na specyalnie chorwacki i specyalnie serbski. Pierwiastek serbski w koronie węgierskiéj S. Szczepana jest stosunkowo do Chorwatów przybyszem świeżéj daty, powiększéj części uskoczego pochodzenia, podobnego do kozaków. Największy téj ludności kontyngens przywiódł z sobą wedle układu z cesarzem 1690 r. serbski patryarcha Arseni Czernojewicz, któren z 37.000 rodzin serbskich przeniósł się do Syrmii i Banatu, poczém opuszczona stolica

patryarchatu Pecz, klasztor Deczany i najhistoryczniejsze miejsca staréj Serbii dostały się Albańczykom. Serbowie zawsze stali przy swojéj odrębności, przy tradycyach patryarchatu i serbskim wojewodzie. Po odrodzeniu się i po rozkwicie samoistnéj literatury swojskiéj, ześrodkowującéj się z Zagrzebie, nigdy nie poddały się i nieuległy temu prądowi dwa ogniska umysłowe separatystyczne: Belgrad w księstwie Serbskiém i Nowy Sad na gruncie austryackiém. Nie przestano mimo spólność językową i rasową obstawać przy dwoistości odrębnych literatur i narodowości. W życiu sejmowém i publiczném, serbowie odznaczali się trzymaniem stale przy rządzie to jest z madyarskiém stronnictwem, nawet w kwestyach najbardziéj obchodzących chorwato-serbów jako naród, mniejszą dbałością o konstytucyjne rękojmie dla narodowości i osoby. „To są nasi Rusini,“ mówili do mnie charakteryzując ich moi zagrzebscy znajomi, odnośnie do stosunków polsko rusińskich galicyjskich i do ostatniego politycznego procesu (Olga Hrabar, Naumowicz, Dobriański). Jest nieco prawdy w tém powiedzeniu. Dla pojednania się i zgody potrzebne są dwa warunki: szczera chęć pojednania się z obu stron i uznawana też z obu stron pewna polityczna norma jako podstawa godziwego kompromisu, pewien krajowy ustrój, uważany jako grunt z którego już schodzić nie wolno. Pierwszy z tych warunków nie da się sprawdzić ale drugi bardzo podaje się sprawdzeniu. Jeżeli jeden z kontrahentów zamiast politycznéj, wysuwa naprzód religijną podstawę porozumienia, się to jest przenosi interes z realnego gruntu na chimeryczny, bo w obecnym czasie marzyć o masowych przejściach z jednéj religii na drugą niepodobna, albo jeżeli lekceważąc dobrodziejstwa pewnego ustroju konstytucyjnego, nie dba o nie i znosi je tylko do czasu jako zło konieczne, a przekłada absolutyzm zaś ma swój ideał gdzieś pozagranicami normy politycznéj, i ku niemu wyciąga ręce przy pierwszéj lepszéj sposobności, na ten czas żadne próby kompromisu nie doprowadzą do skutku, a wiernokonstytucyjnemu stronnictwu, od którego żądają tylko ustępstw bez określenia jak daleko mogą sięgać te ustępstwa pozostaje tylko wdzięczna rola, starać się być bezstronném, sprawiedliwém, nienadużywać przewagi, zgoła w każdéj chwili pamiętać: nie rób innemu, co tobie nie miło. Nieporozumienia domowe z Serbami zaostrzają się i rosną w miarę niepowodzeń polityki Austryackiéj w Bośnio-Hercegowinie; okupacya jest praktyczném zastosowaniem téj saméj zachodnio europejskiéj idei, która stanowi treść całéj chorwacko-serbskiéj kultury, mającéj ognisko w Zagrzebie; błędy polityki każą wnioskować o fałszach i wadach saméj idei. Idea ta nigdy nie panowała niepodzielnie, dziś więcéj niż kiedy zachwiana. Dziś jeszcze

wprawdzie tylko w wyobraźni a nie w czynie, podnosi się i zaczyna wywierać coraz czynniejszy wpływ na umysły, widmo zamierzchłych czasów, idea wielkoserbska, w postaci cara Stefana Duszana z połowy XIV wieku, ideał mocno bizantyjski na bardzo jaskrawym podkładzie religijnym, wschodniego wyznania kupiącego się, by dać odpór pochodowi na wschód łacińskiéj kultury przedstawianéj przez państwo austryacko-węgierskie. Sędziwi dziś rycerze odrodzenia w pierwszéj jego dobie to jest tak zwanego *iliryzmu* (naprz. Kaznaczycz) wyznawali ze smutkiem, że widzą jak schodzi na nic cała ich robota, jak się rozłamuje i kruszy od samego tego punktu skąd wyszli i budować zaczęli. Godnem jest zastanowienia, że na dalekim północno wschodzie, z całkiem odmiennych przyczyn, objawia się takiż zwrót ku archaizmowi, takież szukanie podwalin w czasach przed Piotrem W., takaż predylekcya do rzeczy bizantyjskich i religijnych.

Dotychczas nie bywało przykładów powodzenia w zastosowaniach archeologii do polityki, nie ma téż możności w naszym wieku budować państwo na ściśle kościelnéj podstawie. Skoro jednak myśli kierują się w tę stronę, istnieje już niebezpieczeństwo, któremu jeżeli się w czas nie zapobieży, i to nie za pomocą zastraszania własnych teraźniejszych albo przyszłych poddanych, albo słabszych sąsiadów, lecz przez naprawienie własnych omyłek, mogą stąd wyniknąć tysiączne kłopoty, a nawet komplikacye nietylko miejscowe, lecz i europejskie; bo Bałkański półwysep podobny do wielkiego składu najrozmaitszych materyj palnych, do którego gdy wpadnie malutka iskierka może straszliwy pożar rozniecić. Niespodzianki możebne są całkiem niezależnie od polityki rządów w państewkach półwyspu. W sierpniu 1882 puściły peszteńskie gazety w obieg wiadomość, powtórzoną potém przez wiedeńskie, o ważnych papierach jakoby znalezionych przypadkowo w Kalinowiku w Bośnii i konstatujących popieranie powstańców w Bośnii i Hercegowinie przez tajne towarzystwa wielkoserbskie rozgałęzione w Serbii i Czarnogórzu i przez komitety słowiańskie w Rosyi. Wiadomość ta nie stwierdziła się potém, bardzo być może że była zmyśloną, wszakże możebność istnienia czegoś podobnego nie ulega wątpliwości, współczucie dla rodaków i współwyznawców jednéj wiary nie może nie istnieć w Serbii i Czarnogórzu. Wbrew wszelkim usiłowaniom obecnego serbskiego, mocno oddanego Austryi, ministerstwa, mogą zajść okoliczności, w których ujęcie się za rodakami powszechnie w Serbii będzie tak wielkie, że zwali ministrów i sforsuje rękę panującemu.

Co się tycze Czarnogórza jest ono dotąd najwyższą na półwyspie, a wyborną obserwacyjną placówką, skąd bitna i karna załoga

doglądа pilnie co się naokoło dzieje, gotowa w każdą stronę wedle potrzeby się obrócić; wygląda zaś niecierpliwie, bo jéj tu za ciasno, bo ziemia macierz skąpi pożywienia dla swoich dzieci. Dwa dni spędzonych w Cetinii były najprzyjemniejszémi w całéj mojéj podróży; nie mogłem dość się nasycić tém zdrowém górskiem powietrzem i tą swobodą większą niż gdzieindziéj, a taką że równéj chybaby w Szwajcaryi poszukać. Żegnając tych chrobrych rycerzy, którzy tak butnie i przez tyle wieków wytrzymali pod krzyżem na swoich nagich kamieniach nie ugiąwszy ni razu czoła i urągając księżycowi podczas gdy wszyscy pobratymce ich byli pod jarzmem, pomyślałem: Boże szczęść i pomagaj, mnóżcie się i rozrastajcie, ze wszystkich południowych słowian wyście może najwyżéj wyrobieni politycznie, powodzenie wasze niech będzie jak największe wedle waszych zasług. Kilku faktami zanotowanemi w Czarnogórzu, kilku wspomnieniami o niém zakończę zadługą może relacyą z mojéj wędrówki.

W połowie tego wieku liczono w nieprzytykającém wcale do morza Czarnogórzu zaledwo 150.000 mieszkańców, dzisiaj w granicach berlińskiego traktatu, gdy przybyły do państewka z północy Nikszycz i Piwa z górą Dormitorem, a z południa Gusinie, Podhorica, pół jeziora Skutari z portem Antivari i z wolną nawigacyą po rzece Bojanie, od jeziora przez samo Skutari do morza,—liczba mieszkańców podwoiła się. Część południowa granicy nie jest dotąd wedle traktatu uregulowana, a sąsiedzi tu najgorsi Albańczycy czy jak ich Czarnogórcy nazywają Arbaneszti. Co chwila słychać o najściach, o zajętych gruntach, o zagrabionych stadach. Czarnogórcy nie znoszą, aby ich krzywdzono i gdy im dyplomacya europejska nie pomaga, biorą się do broni, nic więc nie będzie dziwnego, gdy około Antivari i nad Bojaną zagrzmią topy (działa) i puszki (rusznice). Z całém zwiększeniem się ludności i przez przyrost i przez nabycie ziem nowych, Czarnogórze nie liczy dziś więcéj nad 300.000 ludności to jest tyleż co średniéj wielkości miasto w zachodniéj Europie. Regularnego wojska kraj ten dotąd nieposiada żadnego, wszyscy mężczyzni muszą służyć wojskowo. Zwyczajna siła zbrojna zciągana z nachii, na które kraj podzielony, składa się z 5 brygad; w brygadzie od 5 do 7 batalionów, czyli *czet*, w batalionie od 600 do 800 ludzi, ogółem przeszło 3.000 zbrojnych; pospolite ruszenie całej ludności, dałoby nie więcéj nad 30 do 40 tysięcy ludzi pod bronią. W Cetynii obok książęcego konaku jest wielki budynek zwany *biliarda*, któren służył za pomieszkanie księciu Władyce czyli biskupowi Piotrowi II; w tym budynku mieszczą się wszystkie ministerya, nieliczne co do składu, bo minister i sekretarz oto i całe ministerstwo. Tu kwaterują *pereniki* stanowiący straż przyboczną księcia, w ministeryum wojny

na ścianach rozwieszone wszystkie od dawnych czasów narodowe trofea, i w osobnym magazynie na kozłach spoczywa, 20.000 wybornych rusznic odtylcówek, bijących jak mi powiadano na 3 kilometry. Broń ta rozdaje się przed pochodem i zwraca się po potrzebie, a wystarcza na tyle, że można się obejść bez artyleryi. Jest nieco działek polowych ale bardzo niewiele. Zdziwisz się Pan, powiadał sekretarz ministra wojny oprowadzając mię po trofealnym muzeum, dla czego prócz okrwawionych szmat i zdjętych z nieprzyjaciół orderów, broni zdobytéj tak mało. To się u nas nigdy nie zależy na składzie, zaraz idzie na podział i każden Czarnogórzec posiada uzbrojenie własne nie uciekając się do skarbu. Uzbrojeni są wszyscy nawet i duchowieństwo. W monasterze w Czetinie, gdzie w cerkwi spoczywają zwłoki zamordowanego w 1857 r. kięcia Daniły i Mirka ojca teraźniejszego księcia Mikołaja, przyjmował nas archimandryta Mitrofan słynny junak, któren w pewnéj potrzebie rozstrzygnął los bitwy z Albańczykami, rzucając się na nich z szablą i krzyżem, i pociągając za sobą Czarnogórców. Nietylko brakiem regularnego wojska uderza kraj, odznacza się on jeszcze brakiem wszystkiego, czém rząd w Europie, zwykle ujawnia swoję wszechobecność. Kupa kamieni przy drodze oznacza państwową granicę, żadnego strażnika na granicy, żadnéj komory celnéj, co więcéj—żadnéj nigdzie policyi, chociaż przez nikogo o pasport niepytany, może podróżny pieszo czy konno zwiedzić najbezpieczniéj cały kraj od końca do końca. Kniaź skąpi kosztów na własną mennicę i kursują tu wszędzie papierki austryackie. Porządek materyalny i bezpieczeństwo panują pełne, w każdéj nachii przedstawicielem rządu jest kapitan, przez księcia mianowany. Jest on administratorem i sędzią w drobniejszych sprawach cywilnych i karnych; sprawy ważniejsze należą do kompetencyi najwyższego (verchowni) sądu w Cetinii. Bardzo często prawujące się strony udają się do samego księcia jako do arbitra. Granica pomiędzy prawem cywilném i kryminalném nie bardzo wyraźna i ścisła. W prawie karném stopniowo i prawie niepostrzeżenie zaszła ta wielka odmiana, że straszna krwawa zemsta czarnogórska, która sprawiała, że się wyrzynały wzajem całe rody, i że wojnę wydawały wzajem nachie, a równała się vendecie korsykańskiéj, dziś jako zwyczaj już nie istnieje; ustała ze swojemi satelitami nawiązką i główszczyzną. Zamiast krwawego odwetu wprowadzone są kary publiczne, śmierć przez rozstrzelanie, więzienie. Projekt kodeksu karnego redagował profesor Bogiszycz; przejrzany przez sąd najwyższy i radę derżawną i poprawiony projekt ten jeszcze nie otrzymał sankcyi. Jednocześnie z wyjściem z użycia odwetu odbywała się szybko metamorfoza społeczna jeszcze większéj doniosłości: przejście z bytu wojennego do

bytu przemysłowo rolniczego. Wojna przestała być stanem normalnym, praca około roli i gospodarstwa już nie cięży wyłącznie na płci niewieściéj.

Ziemia z niesłychanym trudem, rękami ludzi rydlem poruszona, daje ogrodowiny, kukurudzę nawet winograd w niektórych częściach naprzykład w Czernicy; chów bydła a szczególniéj owiec robi postępy. Czarnogórzec jest zawziętym i stanowczym stronnikiem własności ziemskiéj li tylko prywatnéj, i najdziksze puszcze i skały mają swoich właścicieli chociażby nie dopuszczały żadnéj uprawy. Godne zastanowienia, że to państewko przed czterdziestu laty, całkiem teokratyczne bo przez Władyków biskupów rządzone, tak bardzo jest dziś świeckie, że metropolita nawet do Rady księcia nie należy. Do duchowieństwa należą tylko sprawy rozwodowe. Rząd z zasady jest samodzierżczy, co mu nadaje wielką szybkość działania i sprężystość. W istocie zaś niema może żadnego innego rządu, któryby się tak jak czarnogórski rachował z wolą i usposobieniem ludności. O każdéj ważniejszéj rzeczy radzi księciu jego *derżawny sowiet*, czyli rada państwowa z ministrów i wojewodów, każdą zawilszą sprawę, potrącającą kwestye prawne, książę wzbrania się sądzić i odsyła strony do najwyższego sądu. Oprócz starszyzny książę jest w ciągłém obcowaniu z całym swoim ludem, w najpatryarchalniejszy w świecie sposób.

Wyobraźmy w myśli otoczenie jego dworca czyli konaku w stołecznym grodzie czyli varošu Cetinji, mającéj nie więcéj nad 1.300 mieszkańców. Dość obszerna polanka, na któréj pobudowane miasto, okolona wysokiemi górami, pomiędzy któremi góruje Łowczyn (Na szczycie téj góry kazał się pochować ostatni duchowny władzca Czarnogórza Piotr II, ksiądz, wojak i poeta). Same miasto niema ani opasujących je murów, ani bram ani warowni, jest to po prostu długa ulica przecięta kilku mniejszemi poprzecznemi i kilku placami nie całkiem zabudowanémi. Na jednym z takich placów widne stare rumowiska, szczątki smętarza i szczątki kościoła. Cerkiew tu pobudował w 1484 Jan Cernoevich którego Wenecyanie tytułowali swoim wojewodą i panem na górnéj Ksencie czyli Zecie. Uchodząc w góry przed Turkami tu osiadł ten władzca, a osiadając założył w 1496 roku i drukarnię. Nie zliczyć prawie ile razy ta stolica przechodziła z rąk do rąk od Czarnogórców do Turków. Dzisiejszy konak, którego sad przytyka do zwalisk staréj cerkwi Czernojewicza, niezmiernie prosty dwupiętrowy. Nieco w głębi po za zwaliskami u stóp gór widać kształtny monaster o włoskich arkadach, a nad nim na podniesieniu wieżę o ostrołupowym dachu. Na téj wieży sterczały zwykle za czasów Władyków ścięte głowy tureckie. Dopiéro po wstąpieniu

na księstwo Daniły w 1850, żona jego kiężna Darinka wymogła, aby te straszne łupy uprzątnięto i w ziemi pochowano. Tuż obok książęcego konaku jest i *biliarda*, o któréj wspominałem, a z drugiéj strony konaku na placyku niewielkim szeroko rozpostarł gęstym liściem okryte gałęzie piękny wiąz okopany u spodu i ocembrowany. Ten mały placyk jest niby czarnogórskie *forum* czy *agora*, tu cały dzień ludno, schodzą się i rozmawiają urzędnicy o nowinach politycznych, zatrzymują się ludzie mający interesa w sądach albo ministerstwach, albo poprostu udający się na targ. Tu czekają na rozkazy siedząc na ławkach, albo bawiąc się ciskaniem ciężkich kul kamiennych, książęcy *perenicy*. Książę trzyma ich dwiestu, poznać ich można po świetniejszych strojach, i po blaszce na czapce, blaszka ta srebrna u prostych szeregowych i pozłacana u kapitanów. Tu bywa często sam książę, siada on pod tym wiązem na kamieniach i z podchodzącémi do niego rozmawia, albo sądzi sprawy, jedném słowem sprawuje się tak jak S. Ludwik pod historycznym dębem w Vincennes, albo jak któren z najlepszych dawnych królów Piastów. Nie było przykładu, aby książę jadąc za granicę, albo powracając, albo zdecydowawszy się na jaką akcyą polityczną, zamiarów swoich, albo rezultatów działań, w ten prosty sposób nie objawił ludowi otaczającemu go w takich razach tłumami. Pomiędzy perenikami widziałem jednego w czerwonym fezie. Okazało się że to pewien beg z nowonabytego Nikszycza, któren się wprosił na służbę do księcia, aczkolwiek muzułmanin. Zdziwiłem się potrosze ale mi odpowiedziano: nasz książę ma pod tym względem swoje pojęcia żadnéj pomiędzy wyznaniami nie czyni różnicy.

Niepodlega najmniejszéj wątpliwości, że największa część świetnych stosunkowo rezultatów i pięknych cech teraźniejszego Czarnogórza zawdzięcza ono uzdolnieniom, wytrwałéj energii i mądrości swojego teraźniejszego władzcy księcia Mikolaja. I książę i naród przebyli nieraz ogniową próbę doświadczenia, najcięższa z nich była gdy w 1862 w saméj Cetynii Omer Pasza dyktował upokorzonym góralom, warunki pokoju, prawie znoszące niepodległość Czarnogórza. Odtąd wszystkie stracone pozycye, nietylko zostały napowrót odzyskane, ale kraj się rozszerzył i zaokrąglił, a o morze się oparł. Trzeba zrujnowane do szczętu Antivari podźwignąć, w nowych nabytkach się zagospodarować, Albańczyków poskromić, a co trudniejsza—za pomocą zręcznéj dyplomacyi, utrzymać się w równowadze pomiędzy wpływami obcych mocarstw, niby na linie napiętéj, pomiędzy Wiedniem i Petersburgiem. Środki księcia są bardzo ograniczone, dotąd część znaczną skarbowych dochodów stanowią: zasiłki pieniężne z dawnych czasów płacone przez oba wielkie mocarstwa za

doświadczoną gotowość Czarnogórza do wojny z wrogiem chrześciaństwa. Ustanie tych zasiłków wprawiłoby kraj cały w bardzo wielki kłopot. Książę wychowuje córki w Petersburgu, a wychowywać synów będzie albo w Petersburgu albo w Wiedniu. Księcia niebyło w Cetynii podczas mego przejazdu, ale następcę tronu widziałem— piękne marzące delikatne dziecko o wyrazistych oczach. Od przemocy ze strony Austryi trudniéj się dziś obronić aniżeli dawniéj od Turcyi. Ciągłém źródłem nieporozumień jest przytomność wychodźców z Bośnii, Dalmacyi i Hercegowiny i to wspaniałe prawo schronienia, które dawało i daje Czarnogórze wszystkim takim wychodźcom, wedle odwiecznych swoich narodowych tradycyj, a które stawia je co chwila w drażliwe położenie względem Austryi. Czarnych chmur pełno na horyzoncie, a jednakże ten malutki mikroskopijny ludek patrzy śmiało i odważnie w przyszłość, ufając że jéj podoła.

W-z. S-z.

SERCE PROSTACZE

przez

GUSTAWA FLAUBERT'A.

I.

Przez pół wieku mieszczki z Pont-l'Evêque zazdrościły pani Aubain, że ma taką jak Felicya służącą.

Za sto franków rocznie gotowała ona i sprzątala, szyła, prała, prasowała, kiełznała konia, tuczyła drób', robiła masło i była wierną pani, która jednak wcale osobą przyjemną nazwać się nie mogła.

Pani ta poślubiła pięknego chłopca bez majątku, który zanim umarł na początku 1809 roku, zostawił jéj dwoje dzieci bardzo młodych i pokaźną ilość długów. Wskutek tego sprzedala wszystkie nieruchomości z wyjątkiem Toncques i fermy Geffosses, przynoszącéj dochodu około 5,000 franków co najwyżéj, opuściła dom w Saint-Melaine i zamieszkała w innym, mniéj kosztownym, należącym do jéj przodków, a położonym po za halami.

Dom ten, pokryty łupkiem, stał pomiędzy przesmykiem a uliczką wychodzącą nad rzekę, na gruncie o tak różnym poziomie, że wewnątrz trzeba było się potykać. Ciasny przedsionek oddzielał kuchnię od *sali*, w któréj pani Aubain siedząc przy oknie w fotelu wyplatanym słomą, zostawała przez cały dzień. Po pod futrowaniem, umalowaném na biało, stało osiem krzeseł mahoniowych. Stary fortepian, pod barometrem, podtrzymywał piramidalny stos pudełek drewnianych i tekturowych. Dwie berżerki z robótkami kanwowemi stały po bokach kominka z żółtego marmuru w stylu Ludwika XV. Zégar ścienny po środku przedstawiał świątynię Westy. Całe mieszkanie czuć było cokolwiek stęchlizną, ponieważ podłoga była niżéj jak ogród.

Na pierwszém piętrze znajdował się przedewszystkiém pokój „pani,“ bardzo duży, wyklejony papiérem w blade kwiaty i zawie-

rający portret „pana“ w kostiumie elegancika. Ztąd wychodziło się do pokoju mniejszego, w którym stały dwa łóżeczka dziecinne bez materaców. Potém znajdował się salon, zawsze zamknięty i zapełniony meblami pokrytémi suknem. Następnie korytarz prowadził do kancelaryi: książki i szpargały zalegały na półkach biblioteki, która trzema bokami otaczała szerokie biurko z czarnego drzewa. Dwie ściany przeciwległe ginęły pod rysunkami piórkiem, krajobrazami gwaszowemi i sztychami: były-to wspomnienia lepszych czasów i zagasłego zbytku. Przez okno w dachu na drugiém piętrze wpadało światło do pokoju Felicyi z widokiem na łąki.

Felicya wstawała o świcie, ażeby nie opuścić mszy i pracowała aż do wieczora bez przerwy; następnie po ukończeniu obiadu, kiedy naczynia stołowe były w porządku a drzwi dobrze zamknięte, przysypywała głownię popiołem i zasypiała przed ogniskiem z różańcem w ręku. Nikt przy targowaniu się nie okazywał więcéj uporu. Co do czystości, to połysk jéj rądli przyprowadzał do rozpaczy inne służące. Oszczędna, jadła powoli i zbierała palcem ze stołu okruchy chleba — chleba dwunasto-funtowego, pieczonego osobno dla niéj, który jéj starczył na dwadzieścia dni.

W każdéj porze roku nosiła chustkę bawełnianą, przypinaną do pleców szpilką, czépek zakrywający jéj włosy, pończochy szare, spódnicę czerwoną i na półkoszulku fartuch ze śliniakiem jak zakonnice ze szpitala.

Miała twarz chudą a głos cienki. W dwudziestym piątym roku można jéj było dać czterdzieści. Od pięćdziesięciu straciła wszelkie ślady wieku—i, zawsze milcząca, wyprostowana i w miarowych ruchach, zdawała się być kobiétą z drzewa działającą automatycznie.

II.

Miała ona także, jak każda inna, swoję historyą miłośną.

Ojciec jéj, mularz, zabił się spadając z rusztowania. Następnie, kiedy matka umarła a siostry się rozbiegły, zabrał ją jakiś *fermier* i jako małe dziecko użył do pilnowania krów w polu. Drżała w łachmanach, piła leżąc na brzuchu wodę z kałuż, za lada co była bitą, i ostatecznie za kradzież trzydziestu soldów, któréj nie popełniła, została wypędzoną. Dostała się do innéj fermy: tam została dziewczyną przy podwórzu, lecz ponieważ podobała się swoim gospodarzom, towarzyszki zazdrościły jéj.

Pewnego wieczoru w miesiącu sierpniu (a miała wtedy osiemnaście lat) gospodarz wziął ją z sobą na zabawę w Colleville. Hałas

skrzypków, światła pomiędzy drzewami, pstrocizna ubiorów, koronki, krzyże ze złota i ta masa ludzi skaczących naraz, odurzyły ją i wprawiły w osłupienie. Trzymała się skromnie na boku, kiedy pewien młody człowiek, zamożny z powierzchowności i który oparłszy się obydwoma łokciami na pałąku od koszyka aż dotąd palił fajkę, przyszedł zaprosić ją do tańca. Kupił jéj cydru, kawy, placek, chustkę fularową, i nadto przypuszczając, że odgadła jego myśli, zaofiarował się z odprowadzeniem jéj do domu. Na skraju pola zasianego owsem przewrócił ją po grubijańsku. Ona ze strachu zaczęła krzyczeć. On oddalił się.

Innym razem, wieczorem, na drodze do Beaumont, chciała minąć wielki wóz z sianem, który posuwał się zwolna; zrównawszy się z kołami, poznała Teodora.

On zaczepił ją z miną spokojną, mówiąc że trzebaby wszystko przebaczyć, ponieważ było-to „winą napitku.“

Ona nie wiedząc co odpowiedzieć, miała ochotę uciec.

Tymczasem Teodor zaczął mówić o plonach i matadorach gminy, gdyż jego ojciec porzucił Colleville dla fermy Ecots: tym sposobem więc są teraz sąsiadami. — „Ach!“ odpowiedziała. On dodał przytém, że rodzice chcieli go ożenić. Nie było mu pilno zresztą, ponieważ czekał na kobiétę według swego gustu. Spuściła głowę. Wtedy-to zapytał jéj czy myślała o małżeństwie. Z uśmiechem na ustach odparła, że to nie ładnie żartować sobie z drugich.

— „Ależ nie; klnę się na sumienie!“ i lewą ręką objął ją wpół; podtrzymywana tym uściskiem szła obok niego: oboje zwolnili kroku. Wiatr był cichy, gwiazdy błyszczały, a olbrzymi wóz z sianem kołysał się przed nimi; cztery konie, powlekając za sobą kopytami, podnosiły kurz z ziemi. Potém, bez zawołania, zwróciły się same na prawo. On pocałował ją jeszcze raz. Ona znikła w nocnéj pomroce.

W następnym tygodniu Teodor zdołał wyjednać sobie schadzki.

Spotykali się w głębi podwórza, za murem, pod drzewem stojącém osobno. Felicya nie była niewinną na podobieństwo panien, nauczyły ją zwierzęta; rozum jednak i instynkt nie pozwoliły jéj upaść. Ten opór doprowadzał miłość Teodora do rozpaczy tak dalece, że dla zaspokojenia jéj (a nawet być może naiwnie) sam zaprojektował małżeństwo. Przysięgał uroczyście.

Wkrótce przyznał się do czegoś bardzo niemiłego: rodzice w przeszłym roku dali za niego zastępcę; każdego jednak dnia mógł być wziętym; myśl służenia w wojsku przerażała go. To tchórzostwo dla Felicyi było dowodem czułości: podwoiła swoję. Wymykała się z domu nocą i przychodziła na schadzki, gdzie Teodor dręczył ją swojemi niepokojami i żądaniami

Nakoniec oznajmił jéj, że sam pójdzie do Prefektury dla zasięgnięcia informacyi i w następną niedzielę przyniesie je pomiędzy jedenastą a dwunastą w nocy.

Z nadejściem chwili pobiegła do kochanka.

Zamiast niego zastała tam jednego z jego przyjaciół.

Ten powiedział jéj, że tamtego nie zobaczy już nigdy.

Dla zabezpieczenia się przed konskrypcyą, Teodor ożenił się ze starą kobiétą bardzo bogatą, panią Lehoussais z Toucques.

Ztąd smutek bez miary. Rzucała się o ziemię, wydawała krzyki, wzywała Boga i jęczała na polu sama aż do wschodu słońca. Następnie powróciła do fermy, objawiła swój zamiar odejścia i z końcem miesiąca, otrzymawszy zapłatę, związała wszystkie swoje manatki w chustkę i udała się do Pont-l'Evêque.

Przed oberżą zaczepiła jakąś mieszczkę w kapeluszu wdowieńskim, która właśnie szukała kucharki. Młoda dziewczyna nie umiała wielkich rzeczy; że jednak pokazywała tyle dobrych chęci a tak mało wymagań, pani Aubain powiedziała ostatecznie:

„— Niech i tak będzie, przyjmuję cię!"

W kwadrans potém Felicya była już u niéj zainstalowaną.

Z początku żyła tam w rodzaju trwogi, jaką w niéj wywoływał „tryb domu" i wspomnienie „Pana" unoszące się po nad wszystkiém. Paweł i Wirginia, jedno w wieku lat siedmiu a drugie czterech zaledwie, zdawali się jéj być z jakiejś kosztownéj materyi: nosiła je na plecach jak koń, lecz że pani Aubain zabraniała całować je co chwila, to ją gryzło. Czuła się jednak szczęśliwą. Smutek jéj roztopił się w łagodności otoczenia.

Co czwartek zwykli goście przychodzili na partyą bostona. Felicya przygotowywała zawczasu karty i fajerki z ogniem dla ogrzewania nóg. Przychodzili oni punkt o ósméj, a wychodzili zanim wybiła jedenasta.

W każdą niedzielę rano, tandeciarz, który mieszkał w alei, rozkładał na ziemi żelastwo. Potém miasto napełniało się głuchym dźwiękiem głosów, w którym się mięszały: beczenie owiec, rżenie koni i kwiczenie świń z suchym turkotem wozów w ulicy. Koło południa, w czasie najsilniejszego wrzenia targu, na progu zjawiał się stary chłop wysokiego wzrostu, w czapce zasuniętéj na tył głowy i z nosem zakrzywionym; był-to Robelin, fermier z Geffosses. Cokolwiek późniéj przychodził Liébard, fermier z Toucques, mały, czerwony, otyły, ubrany w szarą kurtkę i w butach z ostrogami.

Obydwa przynosili właścicielce kury i sér. Felicya zawsze odkrywała ich chytrość, co wzbudzało w nich wielkie dla niéj uszanowanie.

W epokach ściśle nieoznaczonych, pani Aubain przyjmowała wizyty jednego ze swych stryjów, markiza de Gremanville, zrujnowanego przez pijaństwo, który żył w Falaise na ostatnim okrawku swoich dawnych włości. Przychodził zawsze w czasie śniadania w towarzystwie okropnego pudla, który łapami walał wszystkie meble. Pomimo wysiłków ażeby się pokazać człowiekiem dobrze wychowanym; co to za każdym razem podnosi kapelusz, kiedy mówi: „Nieboszczyk mój ojciec“ nie mógł się oprzéć nałogowi i nalewał sobie kieliszek raz po raz, rzucając tłuste słówka. Felicya wypychała go za drzwi grzecznie: „Już pan ma dosyć panie de Gremanville! Na inny raz!“ I zamykała za nim drzwi.

Z przyjemnością jednak otwierała je przed panem Bourais, byłym adwokatem. Jego biały krawat i łysina, jego żaboty u koszuli, szeroki brunatny surdut, jego sposób zażywania tabaki z zaokrąglaniem ręki, cała zresztą jego istota wywoływała w niéj ów niepokój, w jaki nas rzuca widok ludzi nadzwyczajnych.

Ponieważ zawiadywał majątkami „Pani,“ zamykał się więc z nią całemi godzinami w pokoju „Pana,“ i obawiał się ciągle skompromitowania się, szanował niezmiernie sądownictwo, miał pretensye do łaciny.

Dla uczenia dzieci w sposób przyjemny, podarował im geografią z rycinami. Przedstawiała ona rozmaite sceny świata, ludożerców ustrojonych w pióra, małpę porywającą pannę, beduinów w pustyni, wieloryba zaczepionego na hak i t. d.

Paweł objaśniał ryciny Felicyi. Było-to nawet całe jéj wychowanie literackie.

Wychowaniem dzieci zajmował się Guyot, chudy pachołek z merostwa, sławny z pięknych rąk, czyszczący scyzoryk o cholewy.

Kiedy była pogoda, wszyscy szli wcześnie do fermy Geffosses.

Dziedziniec tam znajduje się na stoku góry, dom zaś pośrodku; morze zdala widnieje jak szara plama.

Felicya wyjmowała plasterki zimnego mięsa z koszyka i jedzono śniadanie w mieszkaniu przytykającém do mleczarni. Była-to jedyna resztka z dawnego wesołego domku, który dziś już zniknął. Porozrywany papier na murach drżał za każdym przeciągiem powietrza. Pani Aubain przygnieciona wspomnieniami, pochylała czoło; dzieci nie śmiały rozmawiać. „Bawcie się przecie!“ mówiła do nich; lecz one zmykały.

Paweł chodził na strych, łapał ptaki, zbijał „kaczki“ na sadzawce, lub uderzał kijem o wielkie beczki, które wydawały odgłos bębnów.

Wirginia dawała jeść królikom, biegała zbierać bławatki, pokazując haftowane majteczki wskutek zbyt szybkiego przebierania nogami.

Pewnego wieczora, jesienią, wracano do domu przez pastwiska. Księżyc w pierwszéj kwadrze oświecał część nieba, a mgła jak wstęga pływała nad pochyłościami Toucqes. Woły, leżąc pośrodku trawnika, patrzyły spokojnie na te cztery przechodzące osoby. W trzecim pastewniku, kilka z nich podniosło się i otoczyło je. „Nie bójcie się niczego“—mówiła Felicya — i mrucząc coś w rodzaju wymówek głaskała po grzbiecie tego, który się znajdował najbliżéj; wół się odwrócił a inne poszły za nim. Kiedy jednak minięto pastwisko następne, podniósł się przerażający ryk. Był-to byk, skryty aż dotąd we mgle, a posuwający się w kierunku dwu kobiét. Pani Aubain chciała biedz. — „Nie nie! nie tak prędko!“ Przyśpieszyły jednak kroku i usłyszały tuż za sobą oddech wyraźny. Racice, jak młoty, tłoczyły trawę łąki; teraz już galopował. Felicya odwróciła się i porywając obiema rękami bryły ziemi rzucała mu je w oczy. Byk spuściwszy pysk, trząsł rogami i drżał z wściekłości rycząc przeraźliwie. Pani Aubain na skraju pastwiska z obojgiem dzieci, straciwszy głowę nie wiedziała jak przedrzéć się przez wysoki wał. Felicya wciąż się cofała przed bykiem i bezustanku rzucała nań bryłami, które go oślepiały i krzyczała: „Śpieszcie się! śpieszcie się!

Pani Aubain zeszła do rowu, popchnęła Pawła a następnie Wirginię, upadła kilka razy przy wspinaniu się na pochyłość, lecz ostatecznie wdrapała się odważnie na wał.

Byk przyparł Felicyą do płotu; jego ślina rozpryskiwała się na jéj twarzy, chwilę jeszcze a byłby ją przeszył rogiem. Szczęściem że miała czas przemknąć się pomiędzy dwoma kołkami i wielkie zwierzę, niezmiernie zdumione, zatrzymało się.

Wypadek ten przez wiele lat był przedmiotem rozmów w Pont-l'Evêque. Felicya ani przypuszczając nawet żeby miała coś dokonać bohatérskiego, nie była z tego dumną.

Zajmowała ją wyłącznie Wirginia, która wskutek przestrachu dostała ataków nerwowych; doktór Poupart zalecił kąpiele morskie w Trouville.

W owym czasie kąpiele te nie były uczęszczane. Pani Aubain zasięgnęła wiadomości, radziła się Bourais'go i robiła przygotowania jak gdyby do wielkiéj podróży.

Tłomoki odeszły w wilią na wozie Liébard'a. Nazajutrz Liébard przyprowadził dwa konie, z których jeden był pod siodłem damskiém z oparciem aksamitném; na grzbiecie drugiego płaszcz zwinięty w trąbkę stanowił rodzaj siedzenia. Pani Aubain wsiadła

na konia, a z tyłu za nią Felicya z Wirginią; Paweł okraczył osła pana Lechaptois, który pożyczył go pod warunkiem, że nie będzie mu zbywać na wielkiéj pieczołowitości.

Droga była tak zła, że te osiem kilometrów zabrały dwie godziny czasu. Konie grzęzły w błocie po pęciny i dla wydostania nóg szarpały biodrami; czasem trafiały na tór, innym razem musiały przeskakiwać. Klacz Liebarda w pewnych miejscach zatrzymywała się nagle. Liebard czekał cierpliwie aż ona sama ruszy w drogę; mówił o osobach, których majątki leżały przy drodze, dodając do ich historyi uwagi moralne. Tak na śroku Toucques, kiedy przebywano po pod oknami przyozdobionemi w nasturcye, rzekł wzruszając ramionami: „I oto pewna pani Lehoussais, która zamiast wziąść młodego człowieka....“ Felicya nie słuchała reszty; konie kłusowały a osioł galopował; wszyscy puścili się ścieżką — i wkrótce zatrzymano się przed chatą, prawie na samym progu.

Matka Liébard spostrzegłszy swoję panią, nie skąpiła oznak radości. Przygotowała śniadanie, na którém była polędwica, flaki, kiszka, potrawka z kurczęcia, cydr musujący, komput w cieście i śliwki na wódce — i uprzyjemniała to wszystko grzecznościami dla Pani, która zdawała się być w najlepszém zdrowiu, dla panny, która wyrosła „wspaniale“ i dla pana Pawła szczególnie „zmężniałego,“ nie zapominając przytém nieboszczyków przodków, których Liébardowie znali, ponieważ byli na służbie u téj rodziny od wielu pokoleń. Ferma jak i oni, miała charakter starożytny. Belki w pułapie były spróchniałe, mury zczerniałe od dymu, szyby szare od kurzu. W kredensie dębowym mieściły się wszelkiego rodzaju sprzęty, konwie, talérze, miski cynowe, samotrzaski na wilki, nożyce do strzyżenia owiec; ogromna serenga pobudziła dzieci do śmiechu. Ani jednego nie było drzewa na podwórzu, któreby nie miało grzybów u podstawy lub pęków jemioły pomiędzy gałęziami. Kilka z nich wiatr przewrócił na ziemię. Dachy słomiane, podobne do zielonego aksamitu a nierównéj grubości, stawiały opór najsilniejszym wichurom. Wozownia jednak waliła się ze starości. Pani Aubain powiedziawszy że temu zaradzi, kazała osiodłać napowrót konie.

Było jeszcze pół godziny drogi do Trouville. Mała karawana minęła *les Ecores* na piechotę; była-to skała urwista, wisząca po nad statkami; w trzy minuty późniéj, na końcu ulicy, zajechano na podwórze pod *Złotym Barankiem* do pani David.

Wirginia od pierwszego dnia uczuła się mniéj słabą, tak zmiana powietrza i działanie kąpieli poskutkowały. W braku kostiumu kąpała się w koszuli, a służąca ubierała ją w bódce celnika, która służyła dla kąpiących się.

Po południu wychodzono z osłem po za *Czarne skały* od strony Hennequeville. Ścieżka wspinała się najpierw pomiędzy gruntami płaskiemi jak trawniki w parku, a następnie doprowadzała do płaskowzgórza, na którém pola uprawne mięszały się z pastwiskami. Po brzegu drogi z kęp jerzyn wznosiły się ostrokrzewy; tu i owdzie uschnięte drzewo swojemi konarami rysowało się w zygzaki na lazurze nieba.

Prawie zawsze odpoczywano na łące, mając Deauville na lewo, Havre na prawo a pełne morze z przodu. Morze było błyszczące od słońca, gładkie jak zwierciadło, i tak łagodne, że jego szmer słyszéć zaledwie było można; wróble w ukryciu świergotały, a olbrzymie sklepienie niebios pokrywało to wszystko. Pani Aubain, siedząc, pracowała nad robótką: Wirginia przy niéj splatała sitowie. Felicya zrywała kwiaty lawendy; Paweł, który się nudził, chciał koniecznie odjechać.

Innym razem, minąwszy Toucques na łodzi, szukali muszli. Odchodzące morze zostawiało za sobą ślimaki i meduzy; dzieci biegały chwytając bańki piany, które wiatr unosił. Fale uśpione, spadając na piasek rozlewały się po całym wybrzeżu; morze rozciągało się jak okiem sięgnąć, ale od strony lądu miało granicę w piaszczystych wzgórzach, które je oddzielało od *Marais*, szerokiéj łąki w formie hipodromu. Kiedy powracali tamtędy, Trouville, w głębi na pochyłości wzgórza, powiększało się z każdym krokiem, i ze wszystkiémi swojemi domami zdawało się weselić w jakimś wesołym nieporządku.

W dnie, kiedy było gorąco, nie wychodzili wcale z pokoju. Oślepiająca jasność z zewnątrz wykładała listwy żaluzyi smugami światła. Żadnego hałasu we wsi. Na dole, na chodniku nikogo. To milczenie rozprzestrzenione powiększało spokój rzeczy. W dali, młoty robotników szpuntowały szpary w dnach okrętów, a ciężki powiew morza przynosił woń smoły.

Główną rozrywką był powrót łodzi rybackich, które zaczynały lawirować z chwilą minięcia znaków ostrzegających. Żagle spuszczały się do dwu-trzecich masztów; i, z żaglem przednim wydętym jak balon, łodzie postępowały, prześlizgiwały w plusku fal aż do środka portu, gdzie kotwice upadały nagle. Następnie statek podsuwał się pod bulwar. Majtkowie po przez burty rzucali ryby drgające życiem; rzęd wozów czekał na nie, a kobiéty w bawełnianych czepkach pędziły po koszyki i dla uściśnienia mężów.

Jedna z nich zaczepiła Felicyą, która nieco późniéj weszła do pokoju z uradowaniem. Odnalazła siostrę; i Anastazya Barette, z męża Leroux, ukazała się, trzymając niemowlę u piersi, prawą ręką in-

ne dziecko, a z lewéj mając małego chłopca okrętowego z pięściami opartemi na biodrach i czapką na ucho.

Po upływie kwadransa pani Aubain pożegnała ją.

Spotykano ją zawsze przy wejściu do kuchni, albo na przechadzkach. Mąż nie pokazywał się nigdy.

Felicya poczuła dla nich takie przywiązanie, że kupiła im kołdrę, koszule i piecyk; widocznie ją wyzyskiwali. Ta słabość drażniła panią Aubain, która zresztą nie lubiła poufałości jéj siostrzeńca— gdyż tykał jéj synowi;—i ponieważ Wirginia kaszlała a sezon się pogorszył, powróciła do Pont—l'Evêque.

Pan Bourais oświecił ją co do wyboru kolegium. Kolegium w Caen uchodziło za najlepsze. Odesłano tam Pawła, który pożegnał się zuchowato, zadowolony, że będzie żyć w domu, w którym będzie miał towarzyszów.

Pani Aubain zdecydowała się na rozłączenie z synem, ponieważ było-to nieodzownem. Wirginia co raz to mniéj o tém myślała. Felicya tęskniła za jego hałaśliwością. Lecz za to inne zajęcie miało ją rozerwać; począwszy od Bożego Narodzenia prowadziła co dzień małą na katechizm.

III.

Po uklęknięciu u drzwi kościoła, postępowała daléj pod wysokiém sklepieniem pomiędzy dwoma rzędami krzeseł, otwierała ławkę pani Aubain, siadała i wodziła oczyma naokoło siebie.

Chłopcy z prawéj, dziewczyny z lewéj napełniały stalle chóru, proboszcz stał przy pulpicie; na szybie okna Duch Ś-ty unosił się nad Najśw. Panną; na innéj ukazywała się ona na kolanach przed Dzieciątkiem Jezus, a z tyłu cymboryum w grupie z drzewa, św. Michał powalał na ziemię smoka.

Ksiądz najpierw opowiedział w skróceniu Pismo Święte. Felicyi zdawało się że widzi raj, potop, wieżę Babel, miasta w płomieniach, narody które umierały, bałwany wywrócone; i z tego olśnienia zostało jéj się tylko uszanowanie dla Najwyższego i obawa przed jego gniewem. Następnie płakała słuchając o Pasyi. Dlaczego oni go ukrzyżowali, jego który miłował dzieci, żywił tłumy, leczył ślepych, i raczył, w swéj łaskawości, urodzić się wpośród biednych, na gnoju w stajni? Siewy, żniwa, tłokarnie, wszystkie te rzeczy zwyczajne, o których mówi Ewangelia, znajdowały się w jéj życiu; przejście Boga uświęciło je; i ona czuléj polubiła baranki przez miłość Baranka, a gołąbki z powodu Ducha Ś-go.

Trudno jéj było wyobrazić sobie jego osobę; gdyż nie tylko był on ptakiem, ale jeszcze i ogniem, a tu znowu tchnieniem. Być może że jego-to światło unosi się w nocy po brzegach bagien, jego-to oddech pędzi obłoki, jego głos tak harmonijnie dźwięczy w dzwonkach; i pozostawała w uwielbieniu rozkoszując się w świeżości murów i w spokoju kościoła.

Co do dogmatów, to nic nie rozumiała i nie starała się nawet zrozumiéć. Ksiądz prawił, dzieci powtarzały, a ona ostatecznie zasypiała, i budziła się nagle, kiedy dzieci odchodząc klapały sabotami o tafle podłogi.

Tym-to sposobem, słuchając, nauczyła się katechizmu, ponieważ wychowanie religijne było w niéj zaniedbane za młodu; i odtąd naśladowała wszystkie praktyki Wirginii, pościła jak ona i chodziła z nią do spowiedzi. Na Boże Ciało urządziły razem ołtarz.

Pierwsza komunia Wirginii dręczyła ją zawczasu. Troszczyła się o trzewiki, o różańce, o książkę, o rękawiczki z jakiém-że to drżeniem pomagała matce ją ubierać!

Przez cały czas mszy doznawała trwogi. Pan Bourais zakrywał jéj jeden bok chóru; lecz akurat na przeciwko, gromada dziewic w białych wieńcach po nad woalami spuszczonemi, formowała jakby pole śnieżne; i ona poznawała zdaleka tę kochaną dziewczynkę po jéj szyi drobniejszéj, po jéj postawie pokornéj. Dzwonek zabrzmiał. Głowy się pochyliły; było milczenie. Przy odgłosie organów śpiewacy i tłum zaintonowali *Agnus Dei*; potém rozpoczął się pochód chłopców; następnie dopiéro dziewczynki się podniosły. Krok za krokiem, z rękami złożonemi, szły do ołtarza całkowicie oświetlonego, klękały na pierwszym stopniu, przyjmowały hostyą jedna po drugiéj i w tym samym porządku powracały do swoich klęczników. Kiedy kolej przyszła na Wirginią, Felicya dla zobaczenia jéj wychyliła się; i przez imaginacyą, jaką wytwarzają prawdziwe uczucia, zdawało się jéj że ona sama była tém dzieckiem; twarz tamtéj stawała się jéj twarzą, tamtéj suknia ją ubierała, tamtéj serce biło w jéj piersi; w chwili otwierania ust, przymykając powieki o mało że nie zemdlała.

Nazajutrz zrana przedstawiła się w zakrystyi prosząc proboszcza żeby jéj dał komunią. Przyjęła ją z nabożeństwem, nie kosztując już jednak tych samych rozkoszy.

Pani Aubain pragnęła zrobić ze swéj córki osobę skończoną; i, ponieważ Guyot nie umiał jéj nauczyć ani angielskiego ani muzyki, postanowiła oddać ją na pensyą do Urszulinek w Honfleur.

Dziecko nie sprzeciwiało się wcale. Felicya wzdychała, uważając panią za nieczułą. Potém pomyślała, że pani może ma i racyą. Te rzeczy przechodziły jéj kompetencyą.

Nakoniec, pewnego dnia wóz kryty zatrzymał się przededrzwiami i z niego wysiadła zakonnica, która przyjechała zabrać Pannę.

Felicya włożyła tłomoki na górę, wydała polecenia furmanowi, i wstawiła do kufra sześć garnuszków z konfiturami, tuzin gruszek i bukiet fiołków.

Wirginia w ostatniéj chwili wybuchła wielkim płaczem; ściskała matkę, która ją całowała w czoło powtarzając: „Daléj! odważnie, odważnie!“ Stopień się podniósł i wóz odjechał.

Wtedy-to pani Aubain opadła z sił; wieczorem, wszyscy jéj przyjaciele, państwo Lormeau, pani Lechaptois, *te* panny Rochefeuille, pan do Houppeville i Bourais przyszli ją pocieszyć.

Nieobecność córki była dla niéj z początku wielką boleścią. Lecz trzy razy na tydzień odbierała od niéj listy, przez trzy inne odpisywała, przechadzała się po ogrodzie, czytała trochę, i tym sposobem wypełniała próżnię godzin.

Rano, z przyzwyczajenia, Felicya wchodziła do pokoju Wirginii i opatrywała mury. Nudziło ją, że nie miała kogo czesać, komu trzewików zasznurowywać, otulić w łóżku,—i że nie mogła ustawicznie widzićć jéj ślicznéj twarzyczki, ni trzymać ją za rękę kiedy wychodziły razem. Z bezczynności sprobowała robić koronki. Za ciężkie jéj palce rwały nici; nie rozumiała się na niczém, straciła sen i mówiąc jéj słowy była „podkopaną.“

Dla „rozerwania się“ wyprosiła sobie pozwolenie przyjmowania swego siostrzeńca, Wiktora.

Przychodził w niedzielę po mszy, z policzkami różowémi, piersią otwartą i zapachem pól, jakie musiał przebywać. Felicya natychmiast nakrywała mu do stołu.

Spożywali śniadanie jedno naprzeciwko drugiego; ona, jedząc jak można najmniéj dla oszczędności, opychała go do tego stopnia, że ostatecznie zasypiał. Z pierwszém uderzeniem dzwonka na nieszpory budziła go, czyściła mu spodnie, zawiązywała krawat, i oparta na jego ramieniu z dumą macierzyńską, szła do kościoła.

Rodzice namawiali go zawsze, żeby coś wyciągnął ztamtąd, choćby paczkę cukru, mydła, wódki, a nawet pieniędzy. Przynosił swoje manatki do reperacyi; ona zgadzała się na tę robotę, szczęśliwa, że ta sposobność zmusi go do przyjścia znów do niéj.

W miesiącu sierpniu ojciec wziął go z sobą na morze.

Był to czas wakacyjny. Przybycie dzieci sprawiło jéj pociechę. Ale Paweł stawał się kapryśnym, a Wirginia, wyszła już z wieku, w którym można mówić sobie ty, co tworzyło pewien przymus, pewną zaporę między niemi.

Wiktor wyjeżdżał do Morlaix, do Dunkierki, do Brightan; za powrotem z każdéj podróży, przywoził jéj podarek. Pierwszym razem—pudełeczko z muszli, za drugim—filiżankę do kawy; za trzecim—chłopiec z piernika. Stawał się pięknym; miał zgrabną figurę, małe wąsiki, piękne i wyraziste oczy. Kapelusik skórzany, umieszczony z tyłu głowy jak u sternika. Zabawiał ją opowiadaniem historyjek naszpikowanych wyrażeniami marynarskiemi.

Pewnego poniedziałku, dnia 14 lipca 1819 r. (nie zapomniała ona téj daty). Wiktor zawiadomił, że się zaciągnął do dalekiéj wyprawy, i że trzeciéj nocy, na pakebocie z Honfleur, uda się na galiotkę, która wkrótce ma podnieść kotwicę i wypłynąć z Hawru. Nieobecność jego może potrwać ze dwa lata.

Przewidywanie tak długiéj nieobecności zmartwiło Felicyą: i chcąc go jeszcze raz pożegnać, we środę wieczorem, po obiedzie, włożyła kalosze, i przebiegła cztery mile rozdzielające Pont-l'Evêque od Honfleur.

Doszedłszy do krzyża, zamiast zwrócić się na lewo, poszła na prawo; zabłądziła pomiędzy stosami drzewa i powróciła w to samo miejsce: ludzie których się pytała radzili jéj pośpiech. Okrążyła basen zawalony statkami, potykała się o kołki, do których były przywiązane; potém grunt się obniżył, światła się krzyżowały, i zdawało się jéj, że oszalała, skoro spostrzegła konie na niebie.

Inne rżały przy końcu wybrzeża, przestraszone widokiem morza. Winda je podnosiła i spuszczała na statek w którym podróżni popychali się pomiędzy beczkami jabłeczniku, koszami séra, workami zboża: Kury gdakały, kapitan klął: jakiś chłopiec okrętowy stał oparty o beczkę utrzymującą kotwicę, obojętnie patrząc na to wszystko. Felicya, która go nie poznała krzyczała: „Wiktor!“ On podniósł głowę; rzuciła się ku niemu kiedy usuwano pomost.

Pakbot, holowany przez kobiety, które śpiewały, wypłynął z portu. Wiązania jego trzeszczały; ciężkie bałwany rozbijały się o jego przód. Żagiel się zwrócił; już niebyło widać nikogo;—i na morzu usrebrzoném promieniami księżyca pakebot, stanowił czarną plamę, która bledniała bezustannie, zagłębiała się, niknęła.

Felicya, przechodząc koło krzyża chciała polecić Bogu to, co najwięcéj kochała, modliła się długo, stojąc z twarzą zroszoną łzami, z oczami wzniesionemi ku niebu. Miasto było w uśpieniu, celnicy się przechadzali: woda spadała bezustannie otworami szluzy z odgłosem potoku. Wybiła druga godzina.

Nie mogłaby pomówić z siostrzeńcem przededniem. Spóźnienie się z pewnością niepodobałoby się pani; więc pomimo wielkiéj chęci

uściśnienia dziecka, powróciła do domu. Służące z oberży budziły się, kiedy wchodziła do Pont-l'Evêque.

A więc biedny chłopiec przez miesiące przesuwać się będzie po bałwanach morskich! Poprzednio odbyte podróże nie przestraszały jéj. Z Anglii i z Bretanii ludzie powracali; ale Ameryka, kolonie, wyspy, wszystko to ginęło w mglistych przestrzeniach, na drugim końcu świata.

Od téj chwili Felicya wyłącznie myślała o swoim siostrzeńcu. W dni skwarne dręczyła się myślą, że mu dokucza pragnienie. Podczas srożącéj się burzy obawiała się piorunu. Słuchając wiatru który jęczał w kominie i zrywał dachówki, widziała, jak nim miota ta sama burza, na wierzchołku masztu zdruzgotanego, przechylonego w tył, okrytego pianą: albo też—co było wspomnieniem geografii z obrazkami—jak zjadali go dzicy, chwytały go małpy w lesie,—lub umierał na wybrzeżu bezludném. Ale nigdy nie mówiła o swoich niepokojach.

Pani Aubain również niepokoiła się o córkę. Zakonnice przyznawały, że była serdeczną ale delikatną. Najmniejsze wzruszenie ją drażniło. Trzeba było wyrzec się nauki fortepianu.

Matka wymagała regularnéj korespondencyi z klasztoru, Pewnego rana kiedy listonosz nie przyszedł, niecierpliwiła się; chodziła po pokoju od krzesła do okna. W istocie była to rzecz nadzwyczajna, od czterech dni ani jednéj litery!

Felicya chcąc ją pocieszyć swoim przykładem, mówiła do niéj:

— A ja już od sześciu miesięcy nie odebrałam ani jednego listu!...

— Od kogóż-to?

Służąca odpowiedziała łagodnie:

— ...Ależ od mojego siostrzeńca!

— Ah! od twojego siostrzeńca! I wzruszając ramionami, pani Aubain przechadzała się daléj, co miało znaczyć: „Nie myślałam o tém... A co więcéj, żartuję sobie z tego! chłopiec okrętowy, obszarpaniec, piękna mi sprawa... gdy tym czasem moja córka... Pomyśl tylko..."

Felicya, chociaż nawykła do cierpkości zrazu oburzyła się na panią; lecz potém zapomniała.

Zdawało się dla niéj rzeczą zupełnie prostą, że ktoś traci głowę dla małéj.

Dwoje tych dzieci miało równe znaczenie; łączyły się one w jéj sercu, a losy ich musiały być jednakie.

Od aptekarza dowiedziała się, że okręt na którym Wiktor się znajdował przybył do Hawany. Wiadomość o tém wyczytał w dzien-

niku. Z powodu cygar wyobrażała sobie, że w Hawanie nic robią nic innego a tylko palą i Wiktor krążył pomiędzy murzynami w tytoniowych obłokach. Czy można też „w razie potrzeby „powrócić lądem? Jak to daleko od Pont-l'Evêque? Chcąc się dowiedzićć zapytała p. Bourais.

Rozłożył atlas, zaczął od wykładu o długości geograficznéj; i uśmiechał się grubiańsko z powodu osłupienia Felicyi. Nakonicc obsadką od ołówka wskazał na karcie owalnéj, punkcik czarny, z trudnością dostrzedz się dający, i dodał: „Oto tu.“ Felicya pochyliła się nad mapą: ta plątanina linij różnobarwnych męczyła jéj wzrok, niczego nie ucząc; a ponieważ Bourais zachęcał ją do powiedzenia co ją w kłopot wprowadza, prosiła go, żeby jéj wskazał dom, w którym Wiktor zamieszkuje. Bourais podniósł rękę, kichnął, rozśmiał się ogromnie. Naiwność ta pobudziła go do wesołości: Felicya nie rozumiała przyczyny: toż ona spodziewała się, że może zobaczy portret twojego siostrzeńca, tak jéj umysł był ograniczony.

We dwa tygodnie potém Liébard, w godzinie targowéj wszedł według zwyczaju do kuchni i doręczył jéj list przysłany przez jéj szwagra. Ponieważ oboje czytać nie umieli, uciekła się do swojéj pani.

Pani Aubain, która liczyła oczko jakiejś roboty na drutach, położyła ją przy sobie, odpieczętowała list; zadrżała i głosem cichym, z głębokiem spojrzeniem, rzekła:

— O nieszczęściu ci donoszą... Twój siostrzeniec!.. Umarł!..

Więcéj nic w liście niepowiedziano.

Felicya padła na krzesło, opierając głowę o ścianę i zamknęła powieki, które nagle się zaczerwieniły. Potém ze spuszczoną głową, z obwisłemi rękami, ze wzrokiem osłupiałym, powtarzała od czasu do czasu.

— Biedny chłopak! biedny chłopak!

Liébard spoglądał na nią wydając westchnienia, pani Aubain drżała cokolwiek.

Doradziła jéj żeby poszła odwiedzić siostrę w Trouville.

Felicya ruchem ręki odpowiedziała, że tego niepotrzebuje.

Nastąpiła chwila milczenia. Poczciwy Liébard uznał za właściwe oddalić się.

Wtedy Felicya rzekła.

— To ich nic nie obchodzi!

Głowę opuściła na piersi, bezwiednie podnosiła od czasu do czasu długie druty ze stolika do roboty.

Kobiety przechodziły przez podwórze z noszami, na których ociekała bielizna.

Spostrzegłszy je przez okno, przypomniała sobie o praniu; bieliznę zaparzoną w dniu poprzednim, należało wyżąć—wyszła więc z pokoju.

Deska i beczka znajdowały się na brzegu rzeczki Toucques. Rzuciła na brzeg kupę koszul, zawinęła rękawy i wzięła kijankę, odgłos silnych uderzeń dawał się słyszéć w innych ogrodach. Na łąkach nie było nikogo, wiatr poruszał rzekę: w głębi wysokie trawy kołysały się, jakby włosy trupów płynących w wodzie. Powstrzymywała wybuchy boleści i aż do wieczora była bardzo odważną, ale w swoim pokoju, oddała się jéj zupełnie, rzuciwszy się na materac, z twarzą zatopioną w poduszkę i ściskając pięściami skronie.

Znacznie później dowiedziała się od kapitana o okolicznościach towarzyszących śmierci Wiktora. Zanadto krwi upuszczono mu w szpitalu kiedy zapadł na żółtą febrę. Czterech lekarzy go przytrzymywało. Umarł na ich rękach, a lekarz naczelny zawołał:

— Masz tobie! jeszcze jeden!

Rodzice zawsze okrutnie się z nim obchodzili. Wolała ich nie widziéć; oni téż nie zrobili żadnego kroku, bądź to przez zapomnienie, bądź téż przez zatwardziałość właściwą nędzarzom.

Wirginia traciła siły.

Ściskanie w piersiach, kaszel, gorączka bezustanna, wypieki na policzkach zapowiadały jakąś ważną chorobę. P. Poupart doradził pobyt w Prowancyi. Pani Aubain na to przystała i byłaby natychmiast zabrała córkę do domu, gdyby nie klimat w Pont-l'Evêque.

Ułożyła się z wynajmującym powozy, który ją zawoził co wtorek do klasztoru. W ogrodzie znajduje się taras z którego widać Sekwanę. Wirginia przechadzała się z nią pod rękę po opadłych liściach winorośli. Niekiedy słońce przedzierające się przez chmury zmuszało ją do zmrużania powiek, kiedy przypatrywała się żaglom w dali i całemu widnokręgowi od zamku Tancarville aż do latarni morskich Hawru. Potém obie odpoczywały w altance. Pani Aubain postarała się o baryłkę wybornéj Malagi; i Wirginia śmiejąc się na myśl podchmielenia sobie wypiła zaledwie dwa naparstki, nie więcéj.

To powróciło jéj siły. Jesień przeszła spokojnie. Felicya uspokajała panią Aubain. Ale pewnego wieczoru, po powrocie z przechadzki na wieś, zastała kabryolet p. Poupart przededrzwiami; on zaś sam znajdował się już w przedsionku. Pani Aubain zawiązywała kapelusz.

— Podaj mi okrycie, woreczek, rękawiczki; prędzéj-że.

Wirginia dostała kataru płuc; może nawet była w stanie rozpaczliwym.

— Jeszcze nie! rzekł lekarz: i oboje wsiedli do powozu, wśród padających płatków śniegu. Noc nadchodziła. Było bardzo zimno.

Felicya wpadła do kościoła żeby zapalić świecę. Potém pobiegła za kabryoletem, który dopędziła w godzinę; wskoczyła lekko z tyłu i trzymała się frendzli, gdy w tém przyszła jéj myśl: „Dwór nie jest zamknięty; a gdyby się téż tam wdarli złodzieje?..“ Zeskoczyła...

Nazajutrz o świcie poszła do lekarza. Powrócił on wprawdzie— ale znów wyjechał na wieś. Potém udała się do oberży, spodziewając się że ktoś może przynieść list. Nakoniec o zmroku, dyliżansem udała się ku Lisieux.

Klasztor znajdował się w głębi uliczki spadzistéj. Kiedy znajdowala się w jéj połowie, usłyszała dziwne dźwięki, jakby dzwon pogrzebowy. „To dzwonią dla kogoś innego“ pomyślała: i gwałtownie zakołatała do bramy.

Po upływie kilku minut, trepki zastukały; otworzono furtę, i zakonnica się ukazała.

Zacna siostra z wyrazem namaszczenia, powiedziała, że „ona już przeniosła się do lepszego świata.“ W tymże samym czasie, dzwony św. Leonarda odezwały się z podwojoną siłą.

Felicya pobiegła na drugie piętro.

Zaraz z progu pokoju spostrzegła Wirginią rozciągniętą na grzbiecie z rękami złożonemi, z ustami otwartemi, i z głową rzuconą w tył, a nad nią pochylony krzyż, pomiędzy firankami, mniéj białemi aniżeli jéj twarz. Pani Aubain u stóp łóżka, które obejmowała rękami, łkała nawpół umarła. Przełożona stała na prawo. Trzy świeczniki stojące na komodzie rzucały plamy czerwone, a mgła białością pokrywała okna. Zakonnice wyniosły panią Aubain.

Przez dwie noce Felicya nieodstępowala umarłéj. Powtarzała ciągle téż same modlitwy, kropiła święconą wodą prześcieradła, siadała i przypatrywala się zmarłéj. Przy końcu pierwszego czuwania zauważyła, że twarz jéj pożółkła, wargi zsiniały, nos się wyciągnął oczy zapadły. Ucałowała je kilkakrotnie, i nie byłaby doznała wielkiego zdziwienia gdyby Wirginia je otworzyła; dla takich umysłów rzeczy nadprzyrodzone są zupełnie proste. Ubrała ją: okryła całunem ułożyła w trumnie, ustroiła w wieniec i rozpuściła włosy. Były one jasne i nadzwyczajnie na jéj wiek długie. Felicya ucięła duży kosmyk, którego połowę wsunęła w w zanadrze, postanawiając zatrzymać go na zawsze.

Ciało przeprowadzono do Pont-l'Evêque, stosownie do żądania pani Aubain, która jechala za karawanem w powozie zamkniętym.

Po mszy potrzeba jeszcze było trzech kwadransy żeby dotrzéć do cmentarza. Paweł szedł na czele łkając, za nim p. Bourais a następnie starsi mieszkańcy, kobiéty w czarnych okryciach i Felicya. Myślała ona o swoim siostrzeńcu, i ponieważ mu nie oddała ostatniéj posługi była nad wyraz smutną, tak jakby ją pogrzebiono razem z nim.

Rozpacz pani Aubain nie miała granic.

W początku sarkała przeciw Bogu, nazywając go niesprawiedliwym ponieważ jéj zabrał córkę,—jéj która nigdy nic złego nie uczyniła, i któréj sumienie było tak czystém. Ale nie! powinna była wywieźć ją na południe. Inni lekarze byliby ją ocalili. Oskarżała sama siebie, chciała pójść z nią się połączyć, wydawała krzyki w czasie sennych marzeń. Jedno zwłaszcza z nich powtarzało się uporczywie. Mąż jéj ubrany jak majtek powracał z odległéj podróży i mówił do niéj ze łzami, że otrzymał rozkaz zabrania Wirginii. Wtenczas umawiali się żeby wynaleźć gdzie jaką bezpieczną kryjówkę.

Pewnego razu powróciła z ogrodu wzburzona. Przed chwilą (wskazywała miejsce) ojciec i córka ukazali się jéj jedno po drugiem; nie robili nic, a tylko patrzyli na nią.

Bezwładna przez kilka miesięcy nie wychodziła z pokoju. Felicya łagodnie ją napominała; należało szanować się przez wzgląd na syna, i na coś innego, przez pamięć dla niéj.

— Dla niéj? zapytywała pani Aubain, jakby ze snu przebudzona. Ach! tak!.. tak!.. Ty o tém nie zapomnisz! Była to aluzya do cmentarza, na który zabroniono jéj uczęszczać.

Felicya chodziła tam codziennie.

O czwartéj punktualnie, przechodziła po pod domami, wchodziła na wzgórze, otwierała bramę i zatrzymywała się przy grobie Wirginii. Była to niewielka kolumna z marmuru różowego, z jednym stopniem przy podstawie: łańcuchy stanowiły ogrodzenie ziemi pokrytéj kobiercem z kwiatów. Polewała liście, odświeżała piasek i klękała dla dokładniejszego wzruszenia ziemi. Pani Aubain, jeżeli mogła przyjść na cmentarz doznawała tam ulgi i pewnego rodzaju pociechy.

Potém lata upłynęły, wszystko jednakie, bez innych epizodów oprócz Wielkiéj nocy, Wniebowzięcia, Wszystkich świętych. Wypadki miejscowe stanowiły epoki, do których odwoływano się późniéj. I tak, w r. 1825 mularze na nowo wytynkowali przedsionek; w r. 1827, część dachu zawaliła się na podwórzu i tylko co nie zabiła jakiegoś człowieka. W lecie 1828 pani przyjmowała na święcone: Bourais jakoś w tym czasie zniknął tajemniczo: a dawni znajomi

zwolna się powynosili: Guyot, Liébard, pani Lechaptais, Robelin, stryj Gremanville, sparaliżowany od dawna.

Pewnéj nocy, konduktor poczty wozowéj przywiózł do Pont-l'Evêque wieść o rewolucyi lipcowéj. Wkrótce mianowano nowego podprefekta, barona de Lorsonière byłego konsula w Ameryce, który, oprócz żony, miał przy sobie bratowę z trzema pannami, dość już dorosłemi. Widzieć je było można na trawniku, ubrane w rozpuszczone bluzy; miały murzyna i papugę. Pani Aubain, zadowolona z ich wizyty, bezwłocznie im ją oddała. Jak się tylko ukazywały, Felicya przybiegała z doniesieniem o ich przybyciu. Ale jedna tylko rzecz zdolną była ją poruszyć: to listy od syna.

Nie mógł on obrać sobie żadnego zawodu, gdyż kawiarnie pochłaniały mu wszystek czas. Matka płaciła za niego długi; zaciągał nowe: westchnienia, wydawane przez panią Aubain, dochodziły do Felicyi, która przędła na kołowrotku w kuchni.

Przechadzały się razem po szpalerze, i zawsze rozmawiały o Wirginii, zapytując się czyby to lub owo jéj się podobało, a w téj okoliczności coby prawdopodobnie powiedziała.

Wszystkie drobiazgi do niéj należące mieściły się w szafie wmurowanéj w ścianę pokoju o dwóch łóżkach. Pani Aubain przeglądała je jak można najrzadziéj. Pewnego dnia w lecie odważyła się na to; motylki wyleciały z szafy.

Jéj suknie, złożone jak bielizna, przyciśnięte były półką, na któréj leżały trzy lalki, koło do przeskakiwania, gospodarstwo dziecinne i miednica w któréj się myła. Wydobyły również spódniczki, pończochy, chustki i rozpostarły je na dwu łóżkach przed złożeniem. Słońce oświecało te smutne przedmioty, pozwalając dojrzéć plam, i zagięć utworzonych przez ruchy ciała. Powietrze było ciepłe i jasne; kos szczebiotał i wszystko zdawało się żyć w głębokiéj słodyczy. Odnalazły one kapelusik pluszowy, z długim włosem, koloru kasztanowatego; był jednak zupełnie zjedzony przez mole. Felicya przymówiła się oń dla siebie. Obydwie kobiéty utkwiły w siebie wzrok na wzajem; oczy ich napełniły się łzami; nakoniec, pani rozwarła ramiona, służąca w nie się rzuciła, i uścisnęły się, ulgi szukając w pocałowaniu, które je zrównało.

Było-to po raz pierwszy w ich życiu, ponieważ pani Aubain nie miała charakteru udzielającego się, Felicya była jéj za to wdzięczna jak za dobrodziejstwo; i od téj chwili kochała ją z poświęceniem zwierzęcem i z czcią religijną.

Dobroć jéj serca rozwinęła się.

Kiedy słyszała na ulicy bębny pułku przechodzącego, stawała przededrzwiami z dzbankiem jabłeczniku i dawała pić żołnierzom.

Pielęgnowała cholerycznych. Opiekowała się Polakami, a jeden z nich wymówił się nawet z chęcią zaślubienia jéj. Ale się pogniewali: gdyż pewnego poranka, powróciwszy z jutrzni, zastała go w kuchni, do któréj się wsunął i spokojnie zajadał przyrządzoną sałatę.

Po Polaku przyszła kolej na ojca Colmiche'a, starca, o którym mówiono, że straszne rzeczy wyrabiał w r. 1793. Mieszkał on nad brzegiem rzeki w starym rozwalonym chlewie. Ulicznicy przypatrywali mu się przez szczeliny w ścianach i rzucali nań kamieniami, które padały na jego tapczan, na którym leżał bezustannie, dręczony kaszlem, z włosami bardzo długiemi, z oczami zaczerwienionemi i z wrzodem na ramieniu większym od głowy. Felicya wystarała się dla niego o bieliznę, wyczyściła mu legowisko, i marzyła o tém, ażeby go umieścić w piekarni, nie narażając się jednak pani. Kiedy wrzód pękł, opatrywała go codziennie, niekiedy przynosiła mu ciastka, sadzała go w słońcu na pęku słomy; i biedny starzec śliniąc się i drżąc, dziękował jéj gasnącym głosem, obawiał się ją utracić, wyciągał ręce skoro tylko widział, że się oddalała. Kiedy umarł, zakupiła mszę za spokój jego duszy.

W tym dniu spotkało ją wielkie szczęście: przed samym obiadem murzyn pani de Lorsonnière przyszedł, trzymając w ręku klatkę z papugą, kij, łańcuch i kłótkę. Liścik pani baronowéj zawiadamiał panią Aubain, że ponieważ jéj mąż został wyniesiony do godności prefekta, wyjeżdżają więc tego jeszcze wieczoru; i prosiła ją przytém, ażeby przyjęła papugę, jako pamiątkę i dowód jéj szacunku.

Papuga oddawna zaprzątała wyobraźnię Felicyi, ponieważ pochodziła z Ameryki, a ta nazwa przypominała jéj Wiktora do tego stopnia, że wypytywała się o nią murzyna. Raz nawet powiedziała: „Jakże pani byłaby szczęśliwą, gdyby ją posiadała!“

Murzyn powtórzył to baronowéj, która nie mogąc zabrać z sobą papugi, pozbyła się jéj w ten sposób.

IV.

Papuga nazywała się Lulu. Była koloru zielonego, końce skrzydeł miała różowe, czoło niebieskie a szyję złocistą.

Ale miała nieprzyjemny nałóg gryzienia kija, wyrywania sobie pierzy, rozrzucania śmieci, rozlewania wody z wanienki. Pani Aubain, znudzona tém, oddała ją na własność Felicyi.

Felicya postanowiła ją uczyć: papuga wkrótce powtarzała: „Piękny chłopiec! Sługa pański!.. Dzień dobry, Marysiu!“ Klatka jéj

umieszczoną była przy drzwiach i wielu ludzi dziwiło się, że papuga nie nazywa się Kubuś skoro wszystkie papugi mają na imię Kubuś. Porównywano ją z indyczką, nazywano głupią: były to pchnięcia sztyletu dla Felicyi! Lulu była tak upartą, że nie chciała mówić kiedy na nią patrzano!

A jednak pragnęła towarzystwa, gdyż w niedzielę, kiedy *te* panny Rochefeuille, pan Houppeville i nowo zamieszkali: Onfroy aptekarz, pan Varin i kapitan Mathieu, grali w karty, tłukła szyby skrzydłami i wrzeszczała tak szalenie, że nie można było zrozumieć słowa z rozmowy.

Twarz pana Bourais wydawała się jéj bezwątpienia bardzo dziwną. Skoro tylko spostrzegła go, zaczynała się śmiać, ale to śmiać ze wszystkich sił. Dźwięki jéj głosu rozlegały się po podwórzu, echo je powtarzało, sąsiedzi ukazywali się w oknach śmiejąc się także i pan Bourais chroniąc się przed wzrokiem papugi, przesuwał się pod ścianą, zakrywając jednę stronę twarzy kapeluszem, szedł aż do rzeki i potém dopiero wchodził drzwiami od ogrodu: spojrzenia, jakie zasyłał ptakowi, nie były czułe.

Chłopiec od rzeźnika dał papudze szczutka, ponieważ pozwoliła sobie wsadzić głowę w jego koszyki; od téj pory starała się zawsze uszczypnąć go przez koszulę. Fabu zagroził, że jéj łeb ukręci, chociaż nie był okrutnym pomimo tatuowanych rąk i wielkich faworytów. Przeciwnie! miał raczéj pewien pociąg do papugi i to do tego stopnia, że z żartów chciał nauczyć ją kląć. Felicya, którą to postępowanie przerażało, umieściła ją w kuchni. Odjęto jéj łańcuszek od nogi i odtąd swobodnie chodziła sobie po domu.

Kiedy zstępowała ze schodów, opierała swój dziób zakrzywiony o stopnie, podnosiła prawą nogę, a potém lewą; Felicya obawiała się, żeby ta gimnastyka nie spowodowała jéj zawrotów głowy. Papuga tymczasem zachorowała; nie mogła ani mówić, ani jeść. Pod językiem zrobiło się jéj nabrzmienie, jak się to zdarza niekiedy u kur. Felicya ją wyleczyła, wyrwawszy skórkę paznokciami. P. Paweł był raz tak nierozważny, że jéj dmuchnął w nos dymem z cygara; innym razem, kiedy pani Lormeau podrażniła ją parasolką, pochwyciła dziobem kółko; nakoniec pewnego dnia przepadła.

Felicya posadziła ją na trawie, żeby się ochłodziła, lecz sama odeszła na chwilkę; kiedy powróciła, papugi już nie było! Z początku szukała jéj w krzakach, nad brzegiem rzeki i na dachach, nie słuchając pani, która za nią wołała: — „Ostrożnie! oszalałaś.“ Następnie przetrząsła wszystkie ogrody w Pont-l'Evêque, zatrzymywała przechodzących:— „Czy nie widzieliście przypadkiem mojéj papugi?“ Opisywała papugę tym, którzy jéj nie znali. Nagle zdało się jéj, że

za młynami ujrzała coś zielonego, co latało, ale skoro weszła na wzgórze, nie zobaczyła nic. Jakiś kramarz zapewniał ją, że spotkał papugę przed chwilą w Saint-Melaine, w sklepie matki Simon. Pobiegła tam. Nie wiedziano czego chce. Ostatecznie powróciła strudzona w trzewikach rozpadniętych, ze śmiercią w duszy, lecz kiedy siedząc na ławce obok pani, opowiadała jéj o swoich poszukiwaniach, nagle lekki ciężar spadł jéj na ramię: była to papuga! Co u dyabła robiła? czy może się przechadzała po okolicy?

Felicyi trudno było przyjść do siebie, a raczéj nigdy już nie przyszła.

Wskutek zaziębienia się dostała zapalenia gardła; wkrótce potém zachorowała na uszy. W trzy lata ogłuchła i mówiła bardzo głośno, nawet w kościele. Chociaż jéj grzechy mogły bez ujmy dla niéj i bez zgorszenia dla świata, być rozgłaszanemi po całéj dyecezyi, proboszcz uznał za właściwe słuchać jéj spowiedzi tylko w zakrystyi.

Ułudny szum w uszach dopełnił zamętu. Często pani mówiła do niéj: — „Mój Boże! jakże jesteś głupia!“ ona odpowiadała:—„Tak pani“ i szukała czegoś około siebie.

Mały i tak już zakres jéj myśli jeszcze się zmniejszył; odgłos dzwonów, ryczenie wołów, już przestały dla niéj istniéć. Wszystkie istoty działały w milczeniu jak widma. Jeden tylko dźwięk dochodził jéj uszu, a tym był głos papugi.

Jakby dla rozerwania jéj, papuga naśladowała odgłos obracającego się rożna, krzykliwe wołanie przekupnia ryb, rzężenie piły stolarza mieszkającego na przeciwko; i na odgłos dzwonka powtarzała za panią Aubain: — „Felicyo! do drzwi! do drzwi!“

Prowadziły z sobą rozmowy; papuga powtarzała aż do znudzenia trzy frazesy ze swojego repertuaru, a Felicya odpowiadała jéj słowami bez związku wprawdzie, ale w których całe jéj serce się wylewało. Lulu w jéj odosobnieniu, była dla niéj prawie synem, kochankiém. Skakała jéj po plecach, szczypała w usta, wdrapywała się na chustkę na głowie; a kiedy pochylała czoło kiwając głową jak piastunki, wielkie skrzydła jéj czépka drżały razem ze skrzydłami ptaka.

Kiedy chmury się gromadziły a grzmoty huczały, Lulu wydawała przeraźliwe krzyki, przypominając sobie może ulewy w swoich lasach rodzinnych. Szmer deszczu doprowadzał ją do szaleństwa latała bez pamięci, wspinała się na sufit, przewracała wszystko i uciekała przez okno brzechtać się w ogrodzie; powracała jednak prędko przez komin i, skacząc dla wysuszenia sobie piór, pokazywała wciąż to ogon to dziób.

W czasie okrutnéj zimy w 1837 roku, chociaż umieściła ją przed kominem z powodu zimna, pewnego jednak rana znalazła ją nieżywą w klatce, z głową na dół, a pazurami uczepionemi do drutów. Z pewnością zabiło ją uderzenie krwi do głowy! Felicya przypuszczala, że to może otrucie za pomocą pietruszki — i pomimo braku wszelkich dowodów podejrzywała chłopca od rzeźnika Fabu.

Płakała tak bardzo, że pani powiedziała jéj raz: „No, to każ ją wypchać!"

Poszła poradzić się aptekarza, który zawsze był łaskaw na papugę.

Napisał do Havre'u. Niejaki Fellacher podjął się roboty. Ponieważ tłómoczki zatracaly się często w dyliżansie, postanowiła zanieść ją sama aż do Honfleur.

Jabłonie bez liści stały jedne za drugiemi po brzegu drogi. Lód leżał w rowach. Psy szczekały naokoło ferm. Z rękami pod pelerynką, w małych sabotach, ze swoją kobiałką, szła szybko środkiem drogi.

Przeszła las, minęła *Wysoki Dąb* i dostała się do Saint-Gatien.

Za nią w obłoku z kurzu, pocztowa kuryerka, spadając z góry, jak uragan pędziła w wielkim galopie.

Widząc kobietę, która nie ustępowała z drogi, konduktor podniósłszy się po nad budę i pocztylion z kozła, krzyczeli z całych sił; tymczasem cztery konie, których wstrzymać nie było podobna, przyspieszały biegu; dwa pierwsze otarły się o nią; jednem szarpnięciem lejc pocztylion rzucił je w bok, lecz z wściekłości podniósł rękę i w pewnym zamachu ciął ją batem od brzuchu do głowy tak silnie, że padła na wznak.

Kiedy przyszła do zmysłów, pierwszym jéj ruchem było otworzenie koszyka. Lulowi nic się nie stało. Prawy policzek palił ją jak w ogniu; dotknąwszy się miała ręce czerwone. Krew ciekła.

Usiadła na kamieniu, przewiązała sobie twarz chustką zjadła skórkę chleba, którą włożyła do koszyka na wszelki przypadek i pocieszała się po swojéj ranie widokiem ptaka.

Dostawszy się na szczyt Ecquemanville, dostrzegła światła w Honfleur, które drżały w pośród nocy jak gwiazdy; morze, daléj, rozciągało się niewyraźnie. Wtedy osłabiona zatrzymała się; i nędza młodości, zawód pierwszéj miłości, odjazd siostrzeńca, śmierć Wirginii, jak bałwany przypływu, zbiegły się na raz i podnosząc się aż do gardła, dusiły ją.

Potém chciała mówić z kapitanem statku, i nie powiedziawszy co takiego odsyła, dała mu tylko zlecenie.

Fellacher długo trzymał papugę. Przyrzekał ją zawsze na następny tydzień; przy końcu szóstego miesiąca zaanonsował odejście paki i więcéj już o tém mowy nie było. Możnaby było myśléć, że Lulu już nie powróci. „Pewnie mi ją ukradli!“ pomyślała.

Nareszcie papuga nadeszła—i wspaniała, stojąc na gałęzi drzewa wszrubowanego w podstawkę z mahoniu, z jedną łapką w powietrzu, a głową na ukos, gryzła orzech, który Fellacher przez zamiłowanie do okazałości pozłocił.

Felicya zamknęła ją w swoim pokoju.

Miejsce to, do którego przystęp miało nie wiele tylko ludzi, przedstawiało pozór kaplicy i bazaru, tyle tam było przedmiotów religijnych i rzeczy różnorodnych.

Wielka szafa nie pozwala swobodnie otwierać drzwi. Naprzeciwko okna wystającego nad ogrodem, okrągły otwór wychodził na podwórze; na stołku, przy łóżku na pasach, znajdowały się dwa grzebienie, dzbanek z wodą i kawałek niebieskiego mydła w stłuczonym talerzu. Na ścianach widać było: różańce, szkaplerze, kilka obrazków Matki Bozkiéj, kropielnicę z orzecha kokosowego; na komodzie przykrytéj suknem jak ołtarz, pudełko z muszli, które dostała od Wiktora; następnie konewka do polewania i balon, kajety zapisane, geografia obrazkowa, para trzewików; na goździku od zwierciadła mały kapelusz pluszowy przyczepiony wstążkami! Felicya ten rodzaj uszanowania posuwała tak daleko, że chowała nawet tużurek pana. Wszelką starzyznę, któréj pani Aubain już nie potrzebowała. Felicya przenosiła do swojego pokoju. Tym to sposobem znalazły się tu kwiaty sztuczne na krawędzi komody i portret hrabiego d'Artois w zagłębieniu dymnika.

Z pomocą deszczułki, Lulu była umieszczoną na wystającym gzymsie kominka. Co rano budząc się, Felicya spostrzegała ją przy blasku świtania, i wtedy przychodziły jéj na pamięć bez smutku, w całym spokoju, dnie minione i wypadki nic nie znaczące z najdrobniejszemi ich szczegółami.

Nie mając stosunków z nikim, żyła w odrętwiałości lunatyków. Procesye Bożego Ciała ożywiały ją. Chodziła wtedy po sąsiadkach kwestować lichtarze i dywaniki na upiększenie ołtarzów, które stawiano na ulicy.

W kościele rozmyślała zawsze nad Duchem Świętym i zauważyła, że miał w sobie coś z papugi. To podobieństwo wydało się jéj jeszcze wyraźniejszém na obrazie z Epinal, przedstawiającym chrzest Pana Jezusa. Ze skrzydłami purpurowemi i z ciałem szmaragdowém, był-to doprawdy istny portret Lula.

Kupiwszy obraz, zawiesiła go na miejscu hrabiego d'Artois. i tym sposobem od jednego rzutu oka widziała obydwóch razem. Zjednoczyli się w jéj umyśle: Lulu zyskał na świętości przez stosunek z Duchem Świętym, a Duch Święty stał się dla niéj bardziéj żyjącym i zrozumiałym. Bóg dla wysławienia się nie mógł wybrać gołębicy, ponieważ te stworzenia nie mają głosu, ale chyba raczéj którego z przodków Lula. I Felicya modliła się patrząc na obraz, lecz od czasu do czasu odwracała się w stronę ptaka.

Miała nawet ochotę zapisać się do bractwa panien Najświętszéj Dziewicy. Pani Aubain odradziła jéj.

Tymczasem zaszedł ważny wypadek: małżeństwo Pawła.

Był on najpierw dependentem u regenta, potém w handlu, w urzędzie celnym, przy poborze podatków a nawet rozpoczął kroki celem dostania się do administracyi dóbr rządowych; w trzydziestym szóstym roku życia, nagle, przez natchnienie z nieba wszedł na swoją drogę: archiwum! i okazywał w tym kierunku zdolności tak wysokie, że kontroler, przyrzekając protekcyą, oddał mu swoją córkę.

Paweł spoważniawszy odrazu, przywiózł żonę do matki.

Młoda synowa znicowała zwyczaje w Pont-l'Evêque, udawała księżniczkę i obrazila Felicyą. Pani Aubain, po jéj odjeździe, uczuła ulgę.

Następnego tygodnia dowiedziano się o śmierci pana Bourais w jakiejś oberży w niższéj Bretanii. Wieść o samobójstwie potwierdziła się: powstała wątpliwość co do jego rzetelności. Pani Aubain przejrzała rachunki i zapoznała się wkrótce z litanią jego grzechów: krętaniny w zaległościach, sprzedaże lasów ukryte, pokwitowania fałszywe i t. d. Po za tém miał dziecko naturalne i „stosunki z pewną osobą z Dozulé."

Te bezeceństwa zasmuciły ją bardzo. W marcu 1853 roku uczuła ból w piersiach; język jéj był jakby pokryty dymem, pijawki nie pomogły na duszność, i dziewiątego wieczora, mając właśnie lat sześćdziesiąt dwa, wyzionęła ducha.

Wydawała się mniéj starą z powodu włosów ciemnych, których warkocze otaczały jéj twarz bladą i naznaczoną piętnami ospy. Mało przyjaciół ją żałowało: wyniosły sposób jéj postępowania oddalał wszystkich.

Felicya opłakiwała ją, ale nie tak jak się opłakuje swych panów. Że pani umarła przed nią, to mięszało jéj myśli, wydawało się przeciwném porządkowi rzeczy, nie do przypuszczenia, potworném.

W dziesięć dni późniéj (czas na przejazd z Besançon), spadkobiercy zjechali. Synowa przetrzęsła szuflady, wybrała meble i sprzedała pozostałe.

Fotel pani, gerydon, fajerka do grzania nóg, osiem krzeseł, już poszły! Miejsca po sztychach rysowały się żółtemi kwadratami na ścianach. Zabrali z sobą dwa łóżeczka z materacami, w szafach nie było już nic widać z dawnych rzeczy Wirginii! Felicya weszła na piętro pijana smutkiem.

Nazajutrz na drzwiach ukazała się karta; aptekarz krzyczał jéj w ucho, że dom był do sprzedania.

Zachwiała się i musiała usiąść.

Dręczyło ją głównie to, że trzeba będzie opuścić pokój, tak dogodny dla Lula. Obejmując go trwożném spojrzeniem, błagała Ducha Świętego, jakkolwiek z bałwochwalczego nałogu mówiła modlitwę na klęczkach przed papugą. Częstokroć słońce wschodzące przez okrągłe okno padało na szklane oko papugi; wtedy wytryskiwał zeń wielki promień świetlny, co wprowadzało Felicyą w ekstazę.

Posiadała resztę trzystu osiemdziesięciu franków, zapisaną jéj przez panią. Ogród dostarczał jéj warzywa. Co zaś do sukien, to miała w co się ubrać aż do końca życia; dla zaoszczędzenia świéc kładła się spać równo ze zmierzchem.

Nie chcąc widziéć sklepu kramarza, w którym wystawione były niektóre z dawnych mebli, nie wychodziła wcale. Od czasu ogłuchnięcia powlekała za sobą nogę, a ponieważ siły ją opuszczały, matka Simon, zrujnowana na sklepie korzennym, przychodziła do niéj co rano urąbać jéj drzewa i napompować wody.

Wzrok jéj osłabł. Okiennic nie otwierano nigdy. Tak przeszło kilka lat. I dom stał nie wynajęty i nie sprzedany.

Z obawy ażeby jéj nie wypędzono, Felicya nic nie wspominała o reparacyach. Krokwie pod dachem gniły: przez całą zimę wałek w jéj łóżku był mokry. Po Wielkiéj Nocy zaczęła pluć krwią.

Wtedy-to matka Simon uciekła się do doktora. Felicya chciała wiedziéć co jéj jest. Do jéj uszu nie mogących słyszéć, doszło jedno słowo: „Zapalenie.“ Słowo to było jéj znaném i odparła łagodnie: „Ah! to tak jak pani,“ uważając za rzecz naturalną iść za panią.

Uroczystość Bożego Ciała nadchodziła.

Pierwszy ołtarz był zawsze u podnóża pagórka, drugi przed pocztą, a trzeci na środku ulicy. O ten ostatni rywalizowano; parafianki wybrały ostatecznie podwórze pani Aubain.

Duszność i gorączka powiększały się ciągle. Felicya martwiła się, że nic nie zrobiła dla ołtarza. Żeby choć przynajmniéj mogła coś na nim położyć! Wtedy-to pomyślała o papudze. Toby nie było właściwém, odpowiedziały sąsiadki. Lecz proboszcz zgodził się; była tém tak uszczęśliwioną, że prosiła go o przyjęcie Lula, jedynego swego skarbu po jéj śmierci.

Od wtorku do soboty, w wigilią Bożego Ciała, kaszlała coraz częściéj. Wieczorem twarz jéj się skurczyła, wargi przylgnęły do dziąseł i pokazały się wymioty; nazajutrz, o brzasku, ponieważ czuła się już źle, kazała wezwać księdza.

Trzy babiny otaczały ją podczas ostatniego namaszczenia. Potém oświadczyła, że chciałaby mówić z Fabu chłopcem od rzeźnika.

Fabu przyszedł w świąteczném ubraniu, nieco zakłopotany tą atmosferą ponurą.

— „Przebacz mi“—zawołała, starając się z wysiłkiem wyciągnąć do niego ręce—„ale myślałam, że to ty ją zabiłeś!“

Co miały znaczyć głupstwa podobne? Podejrzywać go o zabójstwo, takiego człowieka jak on! i oburzał się, hałasując.

— Widzisz przecie, że ona straciła już głowę.

Felicya od czasu do czasu rozmawiała z cieniami. Kobieciny oddaliły się. Matka Simon wzięła się do śniadania.

Nieco późniéj zdjęła Lulu z nad kominka i przyniosła ją do Felicyi.

— „No, pożegnaj go już!“

Jakkolwiek nie był to trup, robaki go jadły; jedno skrzydło miał złamane, a pakuły wychodziły mu z brzucha. Lecz, ślepa już obecnie, pocałowała ją w czoło i przytuliła do policzka. Matka Simon odebrała ptaka z jéj rąk, ażeby go zanieść na ołtarz.

V.

Łąki przesyłały zapach lata, muchy brzęczały, słońce lśniło się na rzece i grzało dachówki. Matka Simon powróciwszy do pokoju, zasypiała spokojnie.

Głos dzwonu ją obudził; ludzie wychodzili z nieszporów. Szał Felicyi opadł. Myśląc o procesyi, widziała ją jak gdyby szła za nią.

Wszystkie dzieci ze szkoły, śpiewacy kościelni i strażacy szli po trotuarach; po środku zaś ulicy postępowali na czele: szwajcar uzbrojony w halabardę, zakrystyan z wielkim krzyżem, nauczyciel trzymający w porządku chłopców, zakonnica niespokojna o dziewczynki; trzy najmniejsze z nich, ufryzowane jak aniołki, rzucały w powietrze listki róży; dyakon z rozpostartemi rękami trzymał w ryzach muzykę; dwu chłopców z trybularzami odwracało się co krok ku Przenajświętszemu Sakramentowi, który pod baldachimem z pąsowego aksamitu podtrzymywanym przez czterech skarbników parafii niósł proboszcz w pięknym ornacie.

Potok ludzi cisnął się z tyłu pomiędzy białemi obrusami okrywającemi mury domów: dochodzono już do podnóża pagórka.

Zimny pot wystąpił na skronie Felicyi. Simonowa obcierała ją kawałkiem płótna, myśląc sobie, że i jéj także pewnego dnia trzeba będzie przejść przez to samo.

Wrzawa tłumu rosła, przez chwilę była bardzo silna, a potém się oddaliła.

Strzały wstrząsły szybami. Pocztylioni-to witali monstrancyę. Felicya zawróciła oczami i jak tylko było można najciszéj, spytała:

— „Czy jéj dobrze?“ dręczona myślą o papudze.

Konanie rozpoczęło się. Chrapanie coraz szybsze podnosiło jéj żebra. Bulki piany występowały jéj w kątach ust, a na całém ciele drżała.

Wkróce można było rozróżnić ryczący dźwięk ofiklejd, cienkie głosy chłopców a głębokie mężczyzn. Chwilami wszystko milkło, i stuk kroków tylko przygłuszających się na kwiatach, wyrywał się jak tętent stada idącego przez pastwisko.

Duchowni ukazali się na podwórzu. Simonowa weszła na krzesło i tym sposobem, dostawszy się do okrągłego okna, panowała nad ołtarzem.

Zielone girlandy wisiały na ołtarzu opiętym falbanami. W środku stały ramy zawierające relikwie, dwa drzewa pomarańczowe po bokach, a wzdłuż lichtarze srebrne i wazony porcelanowe, z których się wychylały słoneczniki, lilie, piwonie, naparstniki i pęki hortensyi. Ten stos kolorów oślepiających spuszczał się ukośnie, od pierwszego piętra aż na dywan, który się ciągnął jeszcze na kamieniach; rzeczy rzadkie pociągały oko. W cukierniczce z pozłacanego srebra był wieniec z fijołków; kolczyki z kamienia szlifowanego błyszczały na mchu; na dwu ekranach chińskich widać było krajobrazy. Z całéj Lulu, skrytéj w różach, można było dojrzeć tylko czoło niebieskie, podobne do odłamu kamienia lazurowego.

Skarbnicy, śpiewacy i dzieci ustawili się wzdłuż trzech boków podwórza. Ksiądz wstąpił powoli na stopnie i swoje wielkie słońce, które promieniowało, postawił na koronkach. Wszyscy uklękli. Nastąpiła chwila wielkiego milczenia. I trybularze, poruszając się w szerokich wzlotach, oślizgiwały się na łańcuszkach.

Obłok lazurowy wszedł do pokoju Felicyi. Wysunęła naprzód nozdrza, wdychając go z rozkoszą mistyczną; potém zamknęła powieki. Wargi miała złożone do uśmiechu. Ruchy jéj serca wolniały jeden za drugim, coraz bardziéj niepewne, coraz cichsze, jak kiedy fontanna się wyczerpuje, jak echo kiedy ginie, i wydając z siebie ostatnie tchnienie, zdawało się jéj, że w niebiesiech na wpół otwartych widzi olbrzymią papugę unoszącą się po nad jéj głową.

CZWARTY

MIĘDZYNARODOWY KONGRES HYGIENICZNY

w Genewie.

Ostatni kongres hygieniczny, czwarty z kolei, trwający od 4-go do 9-go września b. r. różnił się od poprzedniego Turyńskiego obszerniejszym programem i większą ilością członków. Podług pierwszéj listy drukowanéj w d. 4 września wszystkich członków było 493, przedstawiających 23 narodowości. Najliczniéj reprezentowaną była Szwajcarya—215 członków, następnie Francya 132, Włochy 42, Niemcy 24, Anglia 16, Hiszpania 12, Rosya 9. Belgia 8, Stany Zjednoczone 6, Holandya 4; Grecya, Rumunia, Portugalia i Węgry po 3 członków, Austrya, Bulgarya, Szwecya i Dania po 2, inne zaś jak Turcya, Serbia, Meksyk i Brazylia po 1. Delegatem Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego był dr. *Lubelski*.

Ogólne posiedzenia kongresu odbywały się w auli uniwersyteckiéj po południu, od godziny 2 do 4½. W pierwszym dniu oprócz przemówień prezydującego dr. *Lombard'a* z Genewy i delegatów od Rady federalnéj, Rady państwowéj i Rady municypalnéj, następnie profesora *Corradi'ego* z Padwy o związkach przyjaźni pomiędzy Włochami i Szwajcaryą, datujących się oddawna, i kilku innych jeszcze, tyczących się otwarcia kongresu, żadnych innych kwestyj nie rozbierano. Dnia następnego dopiéro rozpoczęły się właściwe posiedzenia.

Sekcye specyalne odbywały swe posiedzenia rano. Wszystkich sekcyj było pięć: pierwsza sekcya hygieny ogólnéj, druga—hygieny publicznéj, trzecia—hygieny w zastosowaniu do nauk, czwarta—hygieny szkolnéj i weterynarnéj i piąta—demografii.

Na posiedzeniach ogólnych następne rozbierano kwestye: *Pasteur* o osłabieniu zarazków, *Corradi*—kontagium suchót płucnych,

Varrentrapp z Frankfurtu nad Menem—kolonie wakacyjne dla dzieci, *Lombardi*, *Paweł Bert*—o wpływie wysokich miejscowości i *Dally* z Paryża—zboczenia organizmu w szkolnym wieku. Treść tych odczytów podaję tutaj w krótkości.

Liczne doświadczenia *Pasteur'a*, jakie czynił nad rozmaitemi zwierzętami i z rozmaitemi zarazkami, przyprowadziły go do tego ostatecznego wniosku, iż szczepienie pewnych zarazków zabezpiecza dany organizm od pewnych chorób zakaźnych. W tym celu używa on zarazków, tak zwanych, kultywowanych. Postępuje on w ten sposób, iż dane mikroby, wzięte z zakaźnego organizmu, umieszcza w warunkach sprzyjających ich rozwojowi, tj. w rosole cielęcym. Po pewnym czasie szczepi je, wywołując przez to odpowiednią chorobę, lecz już z mniéj uwydatniającemi się symptomatami. Nowy zarazek wzięty w przeddzień śmierci umieszcza znowu w takimże rosole i znowu go szczepi. Takie hodowanie danych mikrobów, zmniejsza ich energią i czyni je mniéj szkodliwemi, a więc zdatnemi do ochronnego szczepienia. Podobne doświadczenia powtarzał z tak odmiennemi mikrobami, jak mikroby cholery, wścieklizny, gorączki tyfoidalnéj i karbunkułu i zwykle do jednakowych dochodził rezultatów. W taki sposób zabezpieczone zwierzęta już się nie zarażają. W drugiéj części mowy swojéj wystąpił Pasteur z namiętną polemiką przeciwko tym, co wniosków jego nie podzielają w całości.

Prof. *Koch* z Berlina, znany ze swych prac w kwestyi mikrobów czyli bakteryj i głośny z odkrycia zarazka gruźlicy, wystąpił energicznie przeciw *Pasteur'owi*, zarzucając mu, iż tenże zachwycony swemi pracami zbyt ogólną stawia hypotezę i zbyt śmiałe wyprowadza z niéj wnioski. Daléj mówił, iż dla Pasteura jedynie przyjechał na kongres, chcąc coś nowego od niego usłyszéć, tymczasem *Pasteur* rzeczy już znane powtórzył.

Dr. *Sormani*, prof. hygieny w Padwie, potwierdza wnioski Pasteura. Toż samo czyni *Bolestrari* z Genui i *Layet* prof. hygieny w Bordeaux.

Pasteur żałuje, iż nie może objaśnić w danéj chwili *Koch'owi* tego, co dla niego jest niezrozumiałem w jego teoryi. Kończy zdaniem, że potrzeba i na drobne fakty zwracać uwagę, w taki tylko bowiem sposób dochodzi się do pewnych rezultatów.

Na następném posiedzeniu prof. *Corradi* mówił o zarazku suchot płucnych. W zaraźliwość suchot wierzono jeszcze w starożytności. W drugiéj połowie zeszłego stulecia wiara ta doszła do najwyższego punktu, prawdopodobnie wskutek częstszego przejawienia się téj choroby, niż poprzednio. W rozmaitych okolicach państwo

zmuszone było w interesie zdrowia publicznego wszelkie przedsiebrać środki przeciw szerzeniu się suchot.

W pierwszéj połowie bieżącego stulecia wiara w zaraźliwość utraciła wielu zwolenników. Etyologiczne kwestye musiały ustąpić miejsca anatomo-patologicznym badaniom. W ostatnich latach dopiéro patologia doświadczalna poszukiwać zaczęła zdolności zarażania, szczepiąc produkta gruźlicy, przypisując tę zaraźliwość mikroorganizmowi—bacillus'owi. Zadaniem patologii jest rozwiązać kwestye, jakie podnosi doktryna uznająca pasorzytną naturę gruźlicy, i wykazać zgodność téj doktryny z teoryą usposobienia i dziedziczności.

Wspólne mieszkanie, pokarmy, jak mięso i mleko zwierząt gruźlicznych, mogą być przyczyną zarazy. Przy szczepieniu ospy wielką pod tym względem potrzeba zachować ostrożność. Urządzenie szpitali wyłącznych, lub przynajmniéj oddzielnych pawilonów dla suchotników jest bardzo zalecaném. Wreszcie potrzeba się wystrzegać tego wszystkiego, co może sprzyjać rozwojowi suchot.

Następnie zabrał głos dr. *Varrentrapp*, dowodząc użyteczności kolonij wakacyjnych dla dzieci. Takie kolonie, oprócz Frankfurtu urządził Hamburg i inne większe miasta niemieckie, w Szwajcaryi kolonie takie spotykamy najprzód w okolicach Zurychu dzięki pewnemu pastorowi, który w 1876 r. powziął myśl założenia podobnych kolonij, a w 1877 i 78 r. myśl tę urzeczywistnił. Takież kolonie zaprowadziła następnie Bazylea w 1878 r., Bern i Genewa w 79 r. Neufchatel w 1880 r. itd. W Danii zaczynają się one także już rozprzestrzeniać z powodzeniem. Wszystkich dzieci z kolonij tych korzystających jest razem około 6.000—mianowicie w Niemczech 4.145, w Szwajcaryi 1760 i w Medyolanie—60. Zadaniem kolonii jest postawić dzieci w warunkach sprzyjających ich fizycznemu rozwojowi, jako to: zdrowe pokarmy, przechadzki, gimnastyka itd. Okazuje się, iż po czterech tygodniach pobytu dzieci zyskiwały po 2 funty na wadze i do 2 centimetrów na miarze.

Na czwartém posiedzeniu dr. *Lombard*, mówił o wpływie wysokich miejscowości na organizm. Podczas długiego pobytu na znacznéj wysokości (2.000 metrów) wskutek braku dostatecznéj ilości tlenu rozwija się niedokrewność (anemia). Z braku dostatecznéj ilości tlenu powstaje ból mięśni, kwas węglowy w mniejszéj wydziela się ilości. Na niższych wysokościach funkcye organiczne są przyśpieszone, stąd i wydzielenie kwasu węglowego jest znacznie większe. Takie tylko wysokości dobrze działają na zdrowie suchotników.

Po nim zabrał głos *Paweł Bert*, prof. fizyologii w Paryżu. Mówił on o zachowaniu się organizmu w rozrzedzoném powietrzu. Do-

świadczenia podobne robił on na sobie i na innych. Wrażliwość ogólna i specyalna, czyli zmysły, słabnie stopniowo, a następnie może nastąpić uduszenie. Wypadki podobne mogą mieć miejsce w balonach. Dwóch aeronautów wzniosło się do wysokości przeszło 7.000 m., poczuli oni już wtedy znaczne osłabienie, a na wysokości 10,840 m. jeden z nich umarł wskutek zaduszenia. Gimnastyka, jaką człowiek wykonywa wchodząc na góry i spotęgowane oddychanie zwiększające klatkę piersiową, przyczyniają się do tego, iż organizm więcéj zużywa tlenu niż w dolinach. Przy zmniejszoném ciśnieniu zwiększa się ilość hemoglobuliny we krwi, a wskutek tego organizm pochłania więcéj tlenu. Organizmy więc zaaklimatyzowane do znacznych wysokości więcéj pochłaniają tlenu a stąd szybciéj funkcyonują.

Na ostatniem posiedzeniu dr. *Dally*, prof. w szkole antropologicznéj w Paryżu, opowiedział o zboczeniach w rozwoju organizmu w szkolnym wieku. Wykazał on jak smutne następstwa pociąga za sobą zbyt ciasna odzież i modne obuwie. Pochyłe i nienormalne trzymanie się bywa przyczyną zboczeń w rozwoju slupa kręgowego, wywołujących z kolei nienormalny rozwój miednicy itd.

Z odczytów mianych w oddzielnych sekcyach specyalnych przytaczam w streszczeniu te tylko, które żywotniejszych dotyczą kwestyi.

Dr. *Juliusz Arnould* z Lille i dr. *Cerenville* z Lozanny rozbierali przyczyny gorączki tyfoidalnéj, jako choroby specyficznéj. Okoliczności naturalne, sprzyjające jéj powstawaniu, są następne: grunt, woda, powietrze, ludzie, przedmioty przez nich używane i pokarmy. Skłonność czyli łatwość przyjmowania od następnych zależy warunków: nieuleganie jeszcze téj chorobie, wiek od 16 do 40 lat, a głównie od 20 do 25 lat, nienawyknienie do warunków sprzyjających krzewieniu się téj choroby; wpływ nieczystego powietrza, wody itd.; pokarmy zgniłe, wreszcie rozmaite ekscesa i rozdrażnienia. Gorączka tyfoidalna rozprzestrzenia się epidemicznie wszędzie, we wszelkich rasach i klasach społecznych. Ażeby uniknąć téj choroby potrzeba wystrzegać się tego wszystkiego, co zwiększa skłonność ku niéj, i szerzeniu się jéj zapobiegać przez dezinfekcye i odosabnianie chorych.

Dr. *Proust* z Paryża, członek komitetu hygienicznego we Francyi i dr. *Ovilo*, wice-inspektor zdrowia w armii hiszpańskiéj i ex-lekarz rady sanitarnéj w Maroko wykazali jak znacznym jest wpłw pielgrzymek marokańskich do Mekki na krzewienie się cholery. Pierwszy z nich radzi, aby urządzono komitet sanitarny w Aleksandryi, któryby czuwał nad tém, aby nie przewożono zarazy; drugi żą-

da, ażeby wszystkie państwa zainteresowane w téj kwestyi zniewoliły cesarstwo Marokańskie do wprowadzenia ustaw sanitarnych zgodnych z wymaganiami nowoczesnéj hygieny.

Dr. A. L. *Roulet* z Neufchatel, rozpatrywał kwestyą alkoholizmu. Byłoby pożądaném, ażeby w każdém państwie oddzielnie następne punkta mogły być wyjaśnione: 1. ilość zużytkowanego alkoholu rocznie, 2. rodzaj rozmaitych napojów, 3. statystyka chorób wywoływanych przez alkohol, 4. statystyka przestępstw pod wpływem alkoholu dokonywanych, 5. statystyka zwolnionych od wojska wskutek alkoholizmu.

Najmniéj szkodliwym ze wszystkich alkoholów jest etyl-alkohol. Dobrzeby więc było wykluczyć wszystkie inne gatunki alkoholu ze sprzedaży, do tego jednak potrzebne są odpowiednie chemiczne reagencye, służące do prędkiego oznaczenia gatunku alkoholu. Wtedy i walka z alkoholizmem byłaby pomyślniejszą i poważne wydałaby rezultaty.

W tym celu każde państwo przedsięwziąć powinno następne środki: 1. podatki od produkcyi i sprzedaży alkoholu i tém większe im alkohol jest mniéj czysty; 2. podatki od cząstkowéj sprzedaży; 3. kary za sprzedaż fałszowanych napojów; 4. surowe ustawy dla zakładów konsumacyjnych i 5. karanie publicznego pijaństwa.

Wielką pomoc okazać mogą pod tym względem stowarzyszenia, zadaniem których być powinno: 1. propagowanie wstrzemięźliwości, 2. zakładanie stowarzyszeń oszczędności, 3. stowarzyszenia w celu dostarczania zdrowych pokarmów, urządzenia mieszkań odpowiednich wymaganiom hygieny itd. 4 popieranie fabrykacyi zdrowych i dobrych napojów, 5. rozprzestrzenienie broszur wykazujących szkodliwość alkoholu, wreszcie 6, zakładanie instytucyj, które by zastąpiły dzisiejsze szynki, mianowicie dla robotników.

Pierwsze stowarzyszenie wstrzemięźliwości było założone w Anglii w 1829 r. Wkrótce zaczęły zawiązywać się inne stowarzyszenia, których ilość wciąż wzrasta, w początkach nieliczne, dziś jednak liczące trzy miliony zwolenników. W Szwajcaryi rozmaite towarzystwa w rozmaitych zakładane epokach, na zasadach umiarkowania, żadnych prawie nie wydały rezultatów. Zupełna wstrzemięźliwość jest jedynym środkiem dla wyleczenia się z nałogu pijaństwa i dlatego powinna być zasadą wszystkich tego rodzaju stowarzyszeń. We wrześniu 1877 r. w rozmaitych częściach Szwajcaryi romańskiéj utworzyły się oddzielne sekcye stanowiące razem szwajcarskie stowarzyszenie wstrzemięźliwości. Stowarzyszenie urządza, tak zwane kawiarnie wstrzemięźliwości, których jest obecnie w Szwajcaryi 12, w téj liczbie 5 w kantonie Genewskim; ilość ich wkrótce znacz-

nie się ma powiększyć. Stowarzyszenie szwajcarskie wydaje czasopismo miesięczne w celu propagandy p. t. „La croix bleue“ (1).

Dr. *Ladame* z Neufchatel mówił o dzieciach nieprawych w Szwajcaryi. Wykazał, iż ilość takich dzieci w Szwajcaryi do znacznéj dochodzi cyfry. Statystyka wykazała, iż śmiertelność nieprawych dzieci większą jest, w pierwszym np. roku życia o połowę niż prawych, co się tém objaśnia, że pierwsze w mniéj przyjaznych niż drugie wychowywać się muszą w warunkach. Statystyka samobójstw ciekawe nam pod tym względem podaje cyfry. Z 309 kobiet-samobójczyń w wieku od 15 do 49 lat— 135 przypada na mające od 15 do 20 lat życia, wśród nich liczy się 25 mężatek, 106 niezamężnych i 3 wdowy. Tak znaczny procent niezamężnych samobójczyń jest następstwem rozdrażnienia psychicznego, pod wpływem którego znajdują się owe nieszczęśliwe tak w stanie brzemiennym jak i po porodzie. Statystyka dzieciobójstw także podobne przedstawia nam dane. Dwa razy więcéj dzieci nieprawych w stosunku do prawych taką ginie śmiercią.

Mówca zakończył swój odczyt następną konkluzyą: 1) państwo powinno ułatwić zawieranie małżeństw; 2) powinno wprowadzić prawo poszukiwania ojca i 3) ojca uczynić odpowiedzialnym wobec prawa za następstwa z jego przyczyny pochodzące.

Dr. *Ziegler* z Berna rozbierał następstwa złego obuwia. 5—6% rekrutów traci corocznie armia jedynie z powodu wadliwego rozwoju nóg, wywołanego przez używanie złego obuwia. Na wystawie hygienicznéj genewskiéj, jednocześnie z kongresem trwającéj, umieścił on okazy obuwia używanego w rozmaitych armiach Europy.

Dr. *H. Kuborn*, profesor i prezes Towarzystwa medycyny publicznéj w Seraing-Liège, dowodził szkodliwości wpływu dzisiejszego programu szkolnego na dzieci. Dla dzieci od 7 do 14 lat ogranicza on czas nauki od 4 do 6 godzin dziennie. Dziecko w tym wieku potrzebuje 9 godzin dziennie dla odpoczynku, prócz tego dwóch rekreacyj tygodniowo dla przechadzek i ćwiczeń gimnastycznych. Zadaniem szkoły winno być: uczyć dziecko myśleć, wzmacniać umysł i ćwiczyć rozsądek, a nie obciążać go zbyt wielką pracą umysłową, co ujemnie wpływa na rozwój jego organizmu.

Dr. *Gosse*, prof. medycyny sądowéj w Genewie, radzi następne wskazówki przy wyborze miejscowości na cmentarz:

---

(1) Dziwna rzecz, że polscy uczestnicy kongresu nie wspomnieli w Genewie o wstrzemięźliwości, utrzymującéj się dotąd między ludnością wiejską niektórych okolic kraju naszego, ani o gospodach chrześciańskich. (*Przyp. Red.*)

1. Cmentarze urządzone być winny na gruntach wapiennych lub też krzemiennych, w tym ostatnim jednak razie — pochyłych.

2. Grunt gliniany, posiadający pewną przesiąkliwość wskutek zmięszania się z piaskiem i kamieniami, wtedy tylko może być użytym, jeżeli nie ma innego odpowiedniego gruntu.

3. Grunt z grubym pokładem gliny nie powinien być w żadnym razie przeznaczany na cmentarz, jeżeli kilkakrotnie z kolei ma być używanym.

4. Szczątki trupów odgrzebanych jakotéż i resztki trumien spalone być winny.

Do bardzo ciekawych odczytów zaliczyć należy jeszcze odczyt D-ra G. *Pini*, członka rady sanitarnéj z Medyolanu, o paleniu ciał zmarłych. Najwięcéj zwolenników palenia ciał liczą Włochy i tu najpierw rozpoczęła się żywa agitacya. W Medyolanie istnieje pośród cmentarza zakład kremacyjny, w którym spalono dotąd 266 zwłok. W Niemczech agitacya celem palenia ciał datuje się od 1855 r. Hamburg, Bremen, Szczecin i kilka innych miast utworzyły związek w celu wydawnictwa czasopisma międzynarodowego dla propagandy. Od grudnia 1878 r. palenie ciał w Niemczech nie jest wzbronionem, a w Gotha istnieje nawet zakład kremacyjny. W Austryi od roku 1872 poczyna się agitacya, lecz mało znalazła zwolenników. W Szwajcaryi, w Zurychu, Rada kantonalna w 1877 r. zezwoliła na palenie ciał. W Anglii pierwszą kremacyą wykonano w Londynie w 1871 r. Obecnie istnieje tam t. zw. Towarzystwo Londyńskie. We Francyi ruch ten w 1849 r. znajdował już krzewicieli. Wcześniéj jeszcze bo w 5-tym roku Rzeczypospolitéj znajdujemy już przykłady palenia ciał. Ruch ten chwilowo przycichł, w 1856 r. jednak propaganda niemiecka znajduje odgłos i we Francyi. W 1870 roku liczne głosy przemawiały na korzyść kremacyi, głównym agitatorem był i jest *Koechlin-Schwartz* mer 8-go cyrkułu w Paryżu. W Holandyi Amsterdam, Utrecht, Rotterdam i inne miasta zawiązały stowarzyszenie celem krzewienia kremacyi, posiadające obecnie kapitał w ilości 16 milionów franków. Towarzystwo Brukselskie liczy 6,000 członków; w Hiszpanii, Portugalii, Rosyi i Rumunii poczyna się także rozwijać propaganda palenia ciał. Północna Ameryka liczy 7 stowarzyszeń zajętych propagandą. W roku 1879 w Waszyngtonie pierwsza odbyła się kremacya. W Japonii silna opozycya stoi na przeszkodzie jéj rozwojowi.

Z powyższego wynika, iż propaganda rozszerza się szybko. Palenie ciał nie sprzeciwia się bynajmniéj zasadom religii, ceremonie pogrzebowe i tutaj mogą miéć miejsce. Zmiany, jakim ulega trup gnijący, zacierają ślady mogące doprowadzić anatomo-patologa do

pewnych wniosków, kremacya zatém wcale nie utrudnia prowadzenia śledztwa sądowego w razach wątpliwości co do rodzaju śmierci. Za paleniem ciał przemawia jeszcze i to, że zakłady kremacyjne hygienicznie urządzone usuwają możliwość krzewienia zarazy.

Z innych odczytów wspomnę tylko: D-ra *Sikorskiego*, docenta psychiatryi w Petersburgu — o chorobach nerwowych w wieku szkolnym i o przyczynach utrudniających kształcenie dzieci — spostrzeżenia jakie czynił w zakładzie specyalnym dla słabo-rozwiniętych umysłowo dzieci w Wolsku, w guberni Saratowskiéj. Dr. *Lubelski* przedstawil plan kanalizacyi Warszawy.

Na ostatniem posiedzeniu Dr. *Haltenhoff*, prywat-docent okulistyki w Genewie mówił o ślepocie — nieszczęściu dotykającém 311,000 ludzi w saméj Europie. Następnie Dr. *Roth* z Londynu przedstawił jako temat dla przyszłego konkursu napisanie dzieła o ślepocie. Najlepsza praca w tym kierunku nagrodzona zostanie 2,000 franków na przyszłym kongresie hygienicznym, mającym się odbyć w Hadze w 1884 r. we wrześniu.

Nagrodę konkursową w ilości 2,500 fr. wyznaczoną na poprzednim kongresie w Turynie udzielono Dr. *Layet*, prof. hygieny w Bordeaux za jego dzieło: „Hygiène et maladies des paysans."

Kilka słów jeszcze o wystawie hygienicznéj. Z przedmiotów zasługujących na uwagę można wymienić rozmaite aparaty D-ra *V. Burq'a* mające zastosowanie w medycynie, jakoto dynamometr, pulmometr, metalo-terapeutyczne armatury i t. d. Następnie maszyny hydrauliczne *Fr. Pusiniego* z Brescia: maszyna dla pulweryzowania płynów, garnek hygieniczno-ekonomiczny, nowa maszyna do kawy i t. d. Daléj przyrząd kremacyjny z Medyolanu, rury kanalizacyjne z Paryża, plany szpitali systemu *Tollet*, plany zakladów kąpielowych, mapy i tablice statystyczne z Włoch, Francyi i t. d. Przyrządy do ogrzewania wagonów, tramwajów, omnibusów i powozów *A. Morel'a* z Paryża. Opał kosztuje 5 centymów w ciągu 15 godzin; przyrząd ten umieszcza się pod wagonem lub powozem, nie dokucza zatém żadną wonią. Ogrzewanie następuje za pomocą wody.

Dr. A. Złotnicki.

Kilka słów o „Satyrze" Kochanowskiego.

„Satyr," najwcześniejsze dzieło polskie większych rozmiarów Jana Kochanowskiego, o tyle pod względem czasu bliżéj da się określić, że treść jego w wielkiéj części odnosi się do spraw traktowanych na

walnych sejmach piotrkowskim i warszawskim. Pierwszy z nich zaczął się w listopadzie 1562 r. i trwał do marca 1563. Drugi otwarty w listopadzie 1563 r. obradował znowu do marca 1564 roku. Na egzemplarzu „Satyra" pierwszego wydania w Bibliotece Ossolińskich daty żadnéj niema. Aby tedy chwilę wydrukowania utworu tego ściśléj oznaczyć, należy się nam obejrzéć za innemi wskazówkami.

Ostateczny termin *ante quem* wypływa z samegoż dziełka Kochanowskiego. Nie chcąc się bowiem spierać o sprawy religijne wysyła on nowinkarza na sobór powszechny. „Jedź do Trydentu, a tam ukażesz co umiesz." Wiadomo zaś, że oficyalne zamknięcie Trydenckiego Konsylium nastąpiło 12 grudnia 1563 r. Ale dyaryusz sejmu warszawskiego, oddrukowany u Działyńskiego w Źródłopismach Unii, pozwala nam jeszcze głębiéj wniknąć w dzieje twórczości literackiéj Kochanowskiego. Na sejmie tym po raz pierwszy występował w roli podkanclerzego Piotr Myszkowski, przyjaciel i serdeczny opiekun naszego poety. 22 listopada 1563 r. po powitaniu króla przez posłów ziemskich zabrał on głos, aby w propozycyi sejmowéj wyłuszczyć życzenia i przedłożenia królewskie. Mowa ta znakomita, którą Myszkowski otwiérał swe urzędowanie, zawiera ciekawe poglądy na przeszłość i charakter Polaków; dotyka spraw bieżących, unii z Litwą, zamierzonéj reformy sądownictwa; wskazuje na licznych nieprzyjaciół, aby tém zagrzać posłów do powzięcia energicznych środków obrony. Jest to wspaniały pomnik naszego odrodzenia.

Jakież było moje zdziwienie, gdy się przekonałem, że „Satyr" Kochanowskiego jest w wielu ustępach wiernem jej odbiciem, niemal parafrazą, odzianą w szatę poetyczną i przybraną w poetyczne akcesorya.

Co się tyczy praktycznéj strony mowy Myszkowskiego, wtóruje Kochanowski jego myśli, mającéj na celu reformę sądownictwa. Do sądu sejmowego, który król sprawował „zbiegło się tak wiele spraw ludzkich, iż podobieństwo nie niosło aby J. K. M. odprawić je mógł" (zob. Dyaryusz Sejmu Piotrk. str. 49). Na sejmie piotrkowskim starano się temu zaradzić połowicznemi środkami, a mianowicie ustanowiono na jeden raz osobny sąd najwyższy celem załatwienia spraw zaległych (l. c. str. 138 i Bielski ks. V, str. 146 wyd. warsz.). Ale to nie mogło złemu zaradzić. Dla tego w początkach sejmu warszawskiego przemyśliwali Myszkowski i inni, jakby „prędszą sprawiedliwość" zarządzić, a pierwszy wystąpił z wnioskiem, aby „akcye drobne a rzeczy równiejsze" usunąć z przed form sądu Sejmowego. Kochanowski w myśl swego opiekuna potępia to zupełnie, że „każdy o najmniejszą rzecz zaraz na sejm ruszy" i woła do posłów: „Uczyńcież już i Statut czasom przystojniejszy."

Ale to tylko szczegół. Król i jego podkanclerzy przemyśliwali o powszechniejszéj, radykalniejszéj naprawie i reformie. Król — jak się Myszkowski wyraża — zamierzał „nie jeden członek ale wszystko to ciało R. P. leczyć, które i dawnym nałogiem swym i ciężkiemi a rozmaitemi chorobami jest... zemdlone.“ Myszkowski upatrywał przyczynę złego w upadku rycerskiego ducha i rzemiosła a zmateralizowaniu społeczeństwa. Ustęp odnośny jego mowy w głównych zarysach a niekiedy nawet tych samych słowach powtórzonym jest u Kochanowskiego, jak następne porównanie wykaże.

Myszkowski:

Przodkowie WM. którzy nam tę Rzeczposp. tak dobrze postanowioną zostawili, nigdy ani bogactwem ani czém innėm jedno czujnością, dzielnością, męztwem a gotowością przeciw każdemu nieprzyjacielowi u postronnych ludzi słynęli, gospodarstwem się nie bawili, bo je włodarzom a kmieciom swym zlecali; prawa nieumieli, bo się każdy z nich nie statutem ale swą cnotą sprawował.... innemi rzeczami mało się bawili ale prawemu szlachcicowi żadnéj przystojniejszéj zabawy nienajdowali nad rycerskie rzemiesło. I dla tego abo ustawicznie walczyli, abo jeźli kiedy pokój był, tedy go nie na swéj woli, nie na biesiadach, nie na zbytkach, ani na czém innėm trawili, jeno na gotowaniu ku drugiéj wojnie. Teraz kiedyśmy z pola zjechali, a miasto drewa i tarcze pługóweśmy się i czego innego jęli, wprawdzie więcéj złota, więcéj półmisków, więcéj majętności ma każdy z nas na swą stronę, ale R. P. mało nie do gruntu zginęła. Granice otworem stoją, ku potrzebie nietylko o Hetmana, nietylko o rotmistrza, albo o towarzysza, ale i statecznego pacholika trudno.

Kochanowski:

....Pomnię ja przed laty
Że w Polsce żaden nie był w pieniądze [bogaty,
Kmieca to rzecz naonczas patrzać roléj [była
A szlachta się rycerskiém rzemiesłem ba- [wiła.
. . . .
A jeśli ku pokoju kiedy myśl skłonili,
Nie już swoich żołnierskich zabaw od- [stąpili,
Ale jakoby jutro znowu wsiadać mieli.
. . . .
Dalekoście się od swych przodków od- [strzelili
A prawieście na nice Polskę wywrócili,
Skowaliście ojcowskie granaty na pługi,
A z drugiego już dawno w kuchni rożen [długi.
. . . .
Więc i łakomstwa nie niósł on wiek sta- [rodawny,
Ni był żaden prokurat między nimi sławny,
Bo nie statutem ale cnotą się rządzili.

Wady, tu wytknięte, musiały być głęboko zakorzenione naówczas w narodzie, skoro podobne skargi co chwila powracają w spółczesnéj literaturze. Gnuśny kwietyzm i chęć używania, tak wybitne w XVII wieku, już wtedy zaczęły się wkradać w dusze i łamać energią narodu. Chciwość tę w myśl Kochanowskiego piętnuje podobnie Górnicki w Dworzaninie (wydanie Tur. str. 56), a widok tego co się dzieje wyrwał z duszy Orzelskiego straszne słowa: „Nic dziw-

nego, że rycerstwo przy takiéj zgnuśniałości i wyłącznem zajęciu się gospodarstwem, jakich nie znano w Polsce za żadnego wieku jéj istnienia, stało się wielce tchórzliwém" (u Spasowicza, II, 164).

Następują u Myszkowskiego w dalszym ciągu wyrzekania na sromotę nowego pokolenia, którym wiernie wtóruje Kochanowski. „Te niesprawę naszę widząc nieprzyjaciel serce na nas bierze—dodaje pierwszy — lekce nas sobie waży, a za nikczemne ludzi ma," i wylicza następnie wszelkie najazdy i klęski, których Polska ostatniemi czasy doznała. Historyczny ten ustęp w zupełnie podobnych słowach, z zachowaniem prawie równego porządku odnajdujemy w „Satyrze." Szczegółów tu nie rozprowadzam, bo powyżéj przytoczona paralela wystarczy a podobieństwa są wszędzie w oczy bijące.

„Satyr" był więc rodzajem broszury politycznéj, którą Kochanowski między szlachtę puścił, aby propagować idee Myszkowskiego. A z tego, co się powiedziało, wypada, że autor go napisał w końcu listopada lub początku grudnia r. 1563. Zrozumimy teraz dla czego Kochanowski nazywa dziełko to w przedmowie rymowanéj do Zygmunta Augusta „kwapioną pracą."

Że zaś w druku, o czém dotychczas niekiedy wątpiono, zaraz się ukazał, tego dowód, znalazłem w rękopisach Biblioteki Czartoryskich w Krakowie, f. 1605. Najserdeczniejszy Kochanowskiego przyjaciel, wielki filolog, Andrzéj Patrycy Nidecki pisze 6-go lipca 1564 r. z Bielska do Hozyusza: Quoniam Ill. Dom. V. materna lingua conscriptos libros legere intellexi, mitto Ill. Dom. V. Satyrum, munus Polonicum Cochanovii mei. Quem ne forte Ill. Dom. V. in latinis nihil esse versatum existimet, scito velim, in latinis quoque pangendis versibus omnes illum ante se poëtas nostros longo intervallo, ut ego quidem iudico, superasse. Quid Janicium? inquiet Ill. Dom. V. Etiam Janicium mea quidem sententia. Dodaję tu wreszcie, że drugi poemat Kochanowskiego p. t. „Zgoda," zapewne czasem powstania bardzo do „Satyra" zbliżony, również na myślach wspomnianéj mowy Myszkowskiego w części jest osnuty i namacalne reminiscencye zawiera (por. np. ustęp o Grecyi z mową Myszkow. str. 198). I tu wzmianka o biskupach, którzy w Trydencie „zasiedli" zmusza nas do mniemania, że „Zgoda" w samym schyłku 1563 spisaną została.

Kochanowski był wtedy — jak wiadomo— sekretarzem królewskim. Szczegół tu podniesiony posłuży za dowód, że na tém stanowisku nie odgrywał roli politycznie tak biernéj, jaką mu pospolicie przypisują. Każdy służy krajowi jak umie. Inni sekretarze pisali listy i akta dyplomatyczne, Jan Kochanowski wyzyskiwał swą muzę dla dobra i pożytku Rzeczypospolitéj. *Kazimierz Morawski.*

Nowa hipoteza początku i siedliska burz.

Zjawiska atmosferyczne, pomimo swéj pospolitości i silnego wrażenia jakie nieraz na człowieka wywierają, należą dotąd do szeregu zjawisk pełnych tajemniczości. Od najdawniejszych czasów ludzie tworzyli sobie hipotezy co do ich natury i przyczyny, ale wnioski te, nie oparte na faktycznym materyale, nie wiele się przyczyniały do poznania zjawiska. Można powiedzieć, że dopiero od lat stu, od okrycia natury błyskawicy przez Franklina, datuje się początek głębszego w rzecz wnikania, i że dopiero badania czasów ostatnich weszły na drogę prowadzącą do celu. Stosunkowo do komplikacyi zjawiska i do ogromu przestrzeni, w któréj się odbywa i w któréj go badać należy, rezultaty badań ostatnich są bezwątpienia bardzo wielkie, ze względu jednak na ilość czynników i stosunków niepoznanych, ze względu na całość zjawiska, jesteśmy dopiero na progu badania. W szczególności stosuje się to do burz, o których podręczniki ciągle jedną i tę samę, z małemi zmianami, teoryą powtarzają, teoryą, która uderza już to niedostatecznością pozytywnych podstaw, już téż nieuwzględnieniem wielu faktów fizycznych a nawet czysto meteorologicznych, któreby znaleść można w dziełach rozmaitych podróżników.

Widząc te braki powszechnie odczuwane, p. W. Spring, profesor uniwersytetu w Liège, uczynił próbę wyjścia z dotychczasowego położenia i wziąwszy pod uwagę kilka faktów dotąd wcale albo mało uwzględnianych, a nadto opierając się na własnych doświadczeniach, poddaje pod sąd uczonych następującą hipotezę.

Pomijając milczeniem wszystkie dawniejsze tłómaczenia natury burz, mające tylko wartość historyczną, Spring przytacza hipotezę przyjętą dzisiaj powszechnie dla wykazania, że nie tłómaczy nam ona wcale faktów obserwowanych. Oto ta hipoteza.

Czy niebo jest pogodne czy pochmurne, atmosfera jest zawsze obciążona elektrycznością. Można to sprawdzić za pomocą jakiegokolwiek byle tylko czułego elektroskopu. Elektryczność ta pochodząca zapewne od zjawisk przemiany siły w cieczy jest źródłem burz. W chwili gdy tworzy się chmura, to jest w chwili gdy para wodna rozproszona w atmosferze przechodzi w stan kroplisty, powietrze naelektryzowane oddaje swą elektryczność kroplom wody i chmura pochłania całą ilość elektryczności zawartéj pierwotnie w téj objętości powietrza, którą chmura zajmuje, a prócz tego tę jéj ilość, która powstaje wskutek zgęszczenia się pary. Choć krople wody nie są doskonałemi przewodnikami elektryczności, jednakże przewodnictwo ich jest dość silne, aby umożliwić spłynięcie elektryczności z całéj masy chmury na jéj powierzchnię. Napięcie więc elektryczne chmury będzie o tyle znaczniejszém, o ile większym jest stosunek sumy powierzchni wszystkich kropel składających chmurę do powierzchni téj chmury. Gdy taka chmura obładowana elektrycznością przepływa obok drugiéj chmury różnoimienną elektrycznością naładowanéj, albo gdy taka chmura zbliży się do ziemi, wtedy następuje wyładowanie elektryczności, błyskawica i grom.

Hipoteza ta, ciągle w podręcznikach meteorologii powtarzana, nietylko że nie tłómaczy wszystkich zjawisk meteorologicznych, ale nadto sprzeczna jest z faktami fizycznemi powszechnie znanemi.

Jeżli każda kropla wody, składająca chmurę, otrzymała swą elektryczność od pewnéj objętości powietrza, to rzecz jasna, iż wszystkie krople chmury będą obciążane jedną i tą samą elektrycznością. Ponieważ zaś ciała, naelektryzowane jednoimiennie, odpychają się nawzajem, więc krople te powinny oddalać się od siebie coraz bardziéj, chmura powinna rzednieć i nareszcie rozproszyć się zupełnie. Tymczasem w czasie burzy widzimy rzecz zupełnie przeciwną: chmury bywają bardzo gęste a potoki deszczu spływające z nich doskonale wrażenie naszego wzroku stwierdzają.

Dla obrony powyższéj hipotezy możnaby postawić drugą, mianowicie, że elektryczność spływa na powierzchnię chmury zanim zdoła rozproszyć krople. Ale według Springa i to przypuszczenie nie wytrzymuje krytyki. Bo i cóż to jest powierzchnia chmury? Aby sobie o niéj wyrobić pojęcie, weźmy pod uwagę mgłę wobec nas się tworzącą, albowiem mgła nie jest niczem innem, jak chmurą leżącą na ziemi. Łatwiéj się jeszcze o tém przekonać można, patrząc wśród gór wysokich na tworzenie się chmury. W obu razach przekonamy się natychmiast, że ścisłych granic mgły lub chmury oznaczyć nie podobna, że to co nazywamy jéj powierzchnią jest

tylko stopniowém zmniejszaniem się jéj gęstości. I nie może być inaczéj. Miejsce zajęte przez chmurę, jest miejscem chłodniejszém od powietrza otaczającego, a w atmosferze temperatura nie może mieć nagłych przeskoków od jednego punktu do drugiego: przejście z saméj natury rzeczy musi być stopniowém. Zbliżając się więc do chmury, napotykamy coraz wilgotniejsze powietrze: najprzód wchodzimy w sferę małéj ilości rozproszonych kropel wody, stanowiących mgłę rzadką i przejrzystą na wielką odległość, następnie kropelki coraz bardziéj się skupiają i coraz większą staje się nieprzejrzystość mgły. Nie ma więc granicy, na któréj-by zaraz za warstwą powietrza suchego następowała „powierzchnia“ chmury. I dla tego téż— według Springa — niestosowném jest przypisywanie „powierzchni chmury“ takich własności fizycznych, jakie obserwujemy na metalicznych przewodnikach machin elektrycznych. Gdyby nawet chciano uważać za tę powierzchnię zewnętrzne warstwy chmury, to pogląd taki rzeczy nie zmieni, gdyż widocznie, na zasadzie tego, co wiemy o elektryczności, warstwy zewnętrzne chmury musiałyby się nagle rozproszyć.

Jest jeszcze drugi fakt okazujący, że dotychczasowa teorya burz nie ma żadnéj podstawy. Każdy fizyk, każdy człowiek, który się uczył w szkole fizyki, wié o tém, że machina elektryczna nie działa w powietrzu wilgotném. Od prostego elektroforu aż do machiny Holtza, niezbędnym warunkiem wytwarzania elektryczności o wysokiém napięciu, a szczególniéj jéj zatrzymania na powierzchni przewodnika metalicznego, jest możliwie największy stopień suchości powietrza. Niektórzy błędnie się na ten fakt elementarny zapatrują. Wiadomo, że rozpraszanie się elektryczności wytwarzanéj przez machinę w powietrzu wilgotném, przypisywaném raczéj bywa przewodnictwu zwilgotniałych wskutek tego szklannych podstaw machiny, aniżeli przewodnictwu otaczającego powietrza wilgotnego, czyli mówiąc inaczéj, fizycy przypuszczają, że ciało naelektryzowane i trzymane w powietrzu bez pomocy podstawek powinno zachować swą elektryczność tak długo jak i w powietrzu suchem. Jednakże liczne a dokładne doświadczenia wykazały, że powietrze wilgotne jest daleko gorszym izolatorem od suchego: dość jest dmuchnąć na laskę laku naelektryzowanego, aby w tém miejscu, gdzie wilgotny oddech dotknął powierzchni, laska utraciła elektryczność, zachowując ją jednak na reszcie powierzchni. Znając ten punkt, przypuszczano jednak, że w wilgotnéj atmosferze, w punkcie gdzie skrapla się para wodna, elektryczność nie rozpraszając się, może dosięgnąć napięcia dostatecznego do wyładowania się iskrą długą nieraz na kilka kilometrów! Kto tylko musiał walki staczać z wilgocią przy

doświadczeniach z elektrycznością, nie uzna podobnego przypuszczenia za możliwe.

Wiadomo też, że wielu fizyków i meteorologów uważa za możliwe wyprowadzenie początku burz z nagłego zgęszczania się pary wodnéj atmosfery—i rzeczywiście błyskawice nie zdarzają się nigdy podczas pogody, a przeciwnie dają się widzieć wtedy, gdy zimny prąd powietrza zgęszcza parę znajdującą się w atmosferze. Przypuszczenie to popierała jeszcze druga przyczyna. Szczególniéj w krajach gorących można być świadkiem burz nadzwyczaj gwałtownych: błyskawice następują po sobie ze zdumiewającą szybkością, a zapas elektryczności, zamiast wyczerpać się wskutek tych silnych a ponawianych wyładowań, zdaje się przeciwnie coraz bardziéj powiększać, przez cały czas trwania burzy. Chociaż prawdą jest, że przy obecnym stanie naszéj wiedzy nie możemy dokładnie ocenić liczby i wielkości błyskawic potrzebnych do zobojętnienia elektryczności, nagromadzonéj w chmurze, jednakże czujemy tu zupełny brak proporcyonalności pomiędzy przyczyną a skutkiem. Często bywamy świadkami burz, które bezwątpienia bezustanku odnawiają straty elektryczności, spowodowane przez ciągłe wyładowania. Otóż jeśli przyjmiemy, że sama atmosfera zawiera źródło elektryczności, to trudność tego tłómaczenia zniknie. Lecz gdzież szukać tego źródła jeśli nie w zgęszczaniu się wody towarzyszącém zawsze burzy? Na nieszczęście jednak, teorya ta, tak ponętna, nie została stwierdzoną przez doświadczenie. Pomimo wszelkich usiłowań, pomimo wszelkich ostrożności, nie zdołano stwierdzić choćby najmniejszego rozwoju elektryczności wskutek zgęszczania się pary wodnéj w mgłę lub krople: więc—powiada Spring—gdzieindziéj należy szukać źródła elektryczności burz, i przystępuje do obserwacyj dokonanych przez siebie roku zeszłego w Szwajcaryi. Sądzi on, że spostrzeżenia te wykazują siedlisko elektryczności podczas burz i że usuwają trudności wyżéj przytoczone. Wnioski swoje stwierdził Spring doświadczeniami.

19 sierpnia r. z. w towarzystwie swego przyjaciela Deliège'a i dwóch przewodników, wybrał się Spring na górę Ewigschneehorn, wyniesioną na 3331 metrów nad poziom morza. Pierwszego dnia doszli, według zwyczaju do Urnenalp, gdzie dla noclegu zaszli do chaty pasterza. Niebo było pogodne, jednakże dzień gorący a wilgotny kazał się spodziewać nocą burzy. Wybuchła ona około pierwszéj po północy a przynajmniéj obudziła o téj godzinie śpiących w szałasie. Wrzała z całą wściekłością i autor skonstatował fakt niespodziewany, że ani jedna kropla deszczu nie spadła na chatę, lecz, że uderzał w nią zupełnie suchy grad. Padał on na deski, dach stanowiące i odbijał się od nich z suchym dźwiękiem a raczéj ogłu-

szającym łoskotem na ziemię przyległą. Od czasu do czasu grad się nagle wzmagał, i w tejże chwili przelatywała błyskawica, po któréj grzmot następował. Łoskot gradu nie pozwalał zauważyć, czy grzmotowi towarzyszy turkot (roulement), czy też nie. Wydawał się on za każdym razem jakby straszny wystrzał działowy. Trwało to około półgodziny, ciągle z temi samemi cechami. Następnie uderzenia gradu stały się mniéj głośne, burza się oddalała. Zaczęły padać nieliczne krople deszczu, a w miarę, jak się ich liczba zwiększała, błyskawice i grzmoty stawały się rzadszemi, wreszcie ustały zupełnie, gdy grad deszczowi miejsca ustąpił.

Widocznie hałas znajdował się w samém sercu burzy. Ponieważ zaś grzmoty dawały się słyszéć zaraz po błyskawicach, więc obserwacya czyniona była jak można najbliżéj miejsca zobojętniania się elektryczności. Lecz w atmosferze ponad tą miejscowością nie było żadnéj kondensacyi pary na deszcz,—i burza ustąpiła natychmiast, skoro deszcz zaczął padać. Nie podobna więc przypuścić, iż siedlisko elektryczności znajdowało się na powierzchni chmury, ale wnieść należy, że się może znajdowało na suchéj powierzchni gradu, który utworzył się w temperaturze daleko niższéj od zera. Co się zaś tyczy pochodzenia téj elektryczności, to powstać ona mogła w większéj części wskutek zniszczenia powierzchni wolnéj (l'anéantissement de surfaces) towarzyszącego powstawaniu gradu, oraz wskutek tarcia się gradu o powietrze. Grad przyjmuje jednę elektryczność, powietrze, o które się on trze,—drugą. Jeśli szybkość tworzenia się gradu oraz szybkość spadku są dość znaczne, to może powstać rozkład elektryczności ciała tartego i trącego, tak samo jak w szkle i poduszce machiny Ramsdena. Fakta te stwierdził Spring doświadczalnie, o czém poniżéj będzie mowa. Tymczasem powróćmy jeszcze do burzy.

Ponieważ burza powstaje w części atmosfery o tyle zimnéj, że woda nie może pozostać w niéj w stanie płynnym, ani też w stanie mgły wilgotnéj, więc łatwo zrozumiéć, że napięcie elektryczności może tam dosięgnąć wysokiego stopnia. Poniżéj, gdzie temperatura jest wyższą, wilgotność znaczniejszą, pojawiają się chmury znanéj nam postaci. Podległe są one wpływowi elektryczności z zewnątrz i stanowią rodzaj nieprzejrzystéj zasłony, rozciągniętéj pomiędzy okiem obserwatora a miejscem, gdzie się rodzi elektryczność.

Grad spadając, spotyka warstwy coraz cieplejszego powietrza, i wskutek tego przy odpowiednich warunkach może się stopić, nie dosięgłszy ziemi. Być może, iż wielkie krople deszczu, które zrzadka padają na początku burzy, nie są niczém innem jak właśnie stopionemi ziarnami grubego gradu, które spadły wcześniéj z powodu

swéj wielkości. Po pewnym czasie spadek gradu i krupy może oziębić powietrze do tego stopnia, że lód może je przebyć bez stopienia: wtedy pada grad. Zresztą jest to faktem stałym, że czy w zimie czy w lecie wielkie grady spadają tylko podczas burzy. Ztąd Spring wnosi naodwrót, że grad jest przyczyną burzy.

Zastanówmy się nad jeszcze jednym ważnym faktem. Jeśli obserwujemy burzę z dołu, tak jak się to najczęściéj dzieje, spostrzegamy, że po błyskawicy,—przelatującéj w okolicy zenitalnéj nie zaś nad poziomem,—następuje nagle powiększenie się deszczu, który wyprzedza grzmoty albo następuje po nich po pewnéj liczbie sekund. Tłómaczenie tego faktu znajduje Spring w obserwacyach dokonanych na Urnenalp. Na téj wysokości wyładowania elektryczne towarzyszą zwiększonemu spadkowi gradu. Spotęgowanie gradu, błyskawica i grzmot są tu jednoczesnemi zjawiskami, lecz poniżéj, obserwator dostrzeże każde z tych zjawisk z osobna, według porządku czasu jakiego im potrzeba do dosięgnięcia ziemi.

W kilka dni po wejściu na Ewigschneehorn, Spring dokonał innéj obserwacyi potwierdzającéj pierwszą. 24 sierpnia udał się z Tosa do Airolo przez przełęcz San Giacomo. Dnia tego srożyła się nad Szwajcaryą straszna burza, któréj wynikiem były wylewy rzek i wielkie straty materyalne. Padał już silny deszcz wtedy, gdy opuszczał oberżę Tosa. Wznosząc się w górę, doświadczał coraz silniejszego działania deszczu, bardzo zimnego, zmieszanego z gradem. Z trudnością udało mu się schronić do szałasu pasterza. Ogromna burza srożyła się nad schroniskiem, czas upływający pomiędzy błyskawicą a grzmotem nigdy nie był mniejszy od dwóch sekund. Gdy już możliwém stało się wyjście z szałasu, przedstawił się widok wielce ciekawy. Chmury, prawie rozproszone, dozwalały widzieć wszystkie góry okoliczne, pokryte od wierzchołka warstwą gradu, dającą im pozór gór śnieżnych. Granica dolna téj warstwy wydawała się zupełnie poziomą, a pod nią widać było skałę nagą. I tu również burza miała siedlisko tylko w sferach suchego gradu. Tam, gdzie grad topniał, napięcie elektryczne nie było już dostatecznėm do spowodowania nagłéj neutralizacyi elektryczności.

Wreszcie w dziesięć dni późniéj w powrocie z Włoch przez Monte Moro, Springowi udało się zbliska być świadkiem tworzenia się gradu, a to, co widział, zgadza się zupełnie z doświadczeniami Osborne Reynolda nad powstawaniem gradu. Jak wiadomo fizyk ten tworzył grad sztucznie, puszczając strumień powietrza, obciążonego rospyloną wodą i eterem, przez rurkę szklanną; eter ulatniając się, oziębiał wodę a wskutek tego powstawała mgła lodowa; kawałek

drzewa, trzymany w téj mgle, pokrywał się warstwą lodu, zupełnie podobną do lodu gradowego.

Opuszczając wieś Macugnaga pod Monte Rosa, Spring zauważył, że deszcz, który padał w dolinie, mógł pochodzić tylko z topniejącego lodu. Wkrótce doszedł do chmury, będącéj granicą pomiędzy cieplejszą a zimniejszą warstwą atmosfery. Gęstość chmury była bardzo znaczna i ciągle padała mieszanina deszczu śniegu i gradu. Wreszcie o kilkaset metrów wyżéj, opuściwszy mgłę wilgotną, Spring znalazł się w pradziwéj mgle lodowéj albo raczéj w kaskadzie kryształków szronowych, których ścianki błyszczały, gdy spadając, odpowiednie do osi widzenia przybierały położenie. Ziemia pokryła się grubą skorupą lodu, coraz bardziéj wzrastającą i chód utrudniającą, oddzielne bryły skał, bezwątpienia więcéj na deszcz lodowy wystawione, pokryte były znaczną warstwą lodu. Jedném słowem, cała ziemia była niejako lepem, do którego przylegała każda cząstka, która się z nim zetknęła. Był to uderzający przykład t. z. przymarzania. Lód ten i wędrowców nie oszczędził i nadzwyczaj prędko pokrył ich włosy oraz odzież grubą skorupą. Po dwóch godzinach brody ich obciążone były bryłami lodu, których niepodobna było oderwać a które ważyły, każda około kilograma. Odzież, a szczególniéj kapelusze, pokryte były grubą nieprzezroczystą warstwą, mającą wszelkie cechy lodu gradowego.

Nawskroś téj mgły lodowéj, któréj temperatura była niższa zapewne od— 10° do — 15°, padały daleko grubsze cząstki lodu, które widocznie powiększały się kosztem wszystkich mniejszych spotkanych na drodze.

Każde więc ziarno gradu, czy to małe, czy duże, nie jest widocznie niczém inném, jak tylko zbiorem wielkiéj liczby kryształów lodu, zjednoczonych wskutek przymarzania. Możnaby o niém powiedzićć, że jest lawiną lodową, która spada przez mgłę lodową. Lecz wskutek przymarzania tych mikroskopijnych kryształów lodu, których miliardy składają się na jedno ziarno gradu, niszczy się ogromna powierzchnia tych pierwotnych części składowych i znika w ciele nieprzewodzącém elektryczności, *w lodzie*, wobec drugiego ciała nieprzewodzącego, *powietrza suchego*. Takiemu zaś nadzwyczajnemu pochłanianiu wolnéj powierzchni towarzyszy, jak to Spring i van der Mensbrugghe wykazali, znaczny rozwój elektryczności. Tarcie gradu o powietrze może jeszcze wzmódz tę elektryczność, jeśli wskutek niego rozwija się elektryczność jednoimienna. Czyż nie jest widocznem, pyta się Spring, że prawdziwe siedlisko elektryczności burz, prawdziwe ognisko jéj tworzenia się pod wysokiem napięciem, mieści się w częściach suchych i zimnych atmosfery, gdzie pa-

ra wodna zgęszcza się nie na kulki płynne, lecz na stałe kryształy?

Wniosek ten potwierdzają rozmaite fakta fizyczne. I tak Melsens zauważył, iż grad, padając na suche jeszcze podwórko, wybrukowane płaskiemi kamieniami, odskakiwał od nich w téj chwili, kiedy siła spadku zupełnie znikała, i grad powinien był już leżeć spokojnie. Obserwować to można na wielu ziarnach i trudno przypisać czemu innemu jak elektryczności.

Hirn wystawiając rękę na grad, słabo uderzający, uczuwał za każdym zetknięciem się gradu ze skórą niejakie podwyższenie temperatury, które według Springa także elektryczności przypisać można. Colladon spostrzegł podczas pewnéj burzy, iż ziarna gradu podskakiwały w sposób osobliwy, przypominający podskoki ziarek rdzenia bzowego przy zbliżeniu na elektryzowanéj pałeczki szklannéj. Jestto zresztą fakt powszechnie znany. Wreszcie Peltier obserwował na Faulhornie, że gdy obłok otaczający górę był białym, elektryczność jego byla silnie dodatnią i padał śnieg, gdy zaś chmura miała barwę szarą, padał grad, a elektryczność ujemna tak silne miała natężenie, że niepodobna jéj było zmierzyć żadnym instrumentem.

Co się tyczy kwestyi czy temperatura miejsca, gdzie się grad tworzy, jest tyle nizką, że wyłącza możliwość istnienia wody w stanie cieczy, to Boussingault zanurzył raz termometr w warstwie gradu już po przejściu burzy i znalazł temperaturę —13°, choć w powietrzu termometr wskazywał 26° nad zerem.

Wypada się tu zastanowić nad jeszcze jedną kwestyą. Jeśli siedlisko burzy znajduje się rzeczywiście w sferze gradu, tj. w sferze wyniosłéj, gdzie możliwą jest bardzo nizka stosunkowo temperatura, to rzadko powinna się zdarzać sposobność widzenia burzy z góry, jeżeli obserwator nie znajduje się na Mont Blanc lub Monte Rosa. Tymczasem wielu obserwatorów utrzymuje, iż widzieli burzę góry, na wysokości dość nieznacznéj, jak u wierzchołka Righi lub na Pilacie blisko Lucerny. Lecz prawdopodobnie obserwatorowie ci byli ofiarą złudzenia lub mirażu.

Nie można jednak utrzymywać, aby niebyło wierzchołków gór wynurzających się ze sfery burzy. Przemawia za tém obserwacya Boussingault'a, który podczas swéj podróży w Andy, schodząc z pewnéj góry zanurzył się w chmurę w któréj grzmiało, i w któréj padał grad tém większy, im niżéj uczony się znajdował; tak że nakoniec grad ten dosięgał, wielkości kuli karabinowéj. Grubość sfery gradowéj, mierzona barometrem, wynosiła 2.100 metrów. Poniżéj padał deszcz i słychać było burzę wrzącą w sferach wyższych.

Teorya wyżéj podana opiera się na dwóch zjawiskach, które wymagają poparcia doświadczalnego. Pierwszém z nich jest powstawanie elektryczności wskutek niszczenia wielkiéj powierzchni pojedynczych kryształów lodu, drugiem, tworzenie się jéj wskutek tarcia się gradu o suche powietrze.

Jakeśmy powiedzieli grad tworzy się przez przymarzanie wzajemne kryształków lodu. Według zaś specyalnych prac Springa i van der Mensbruggha których tu przytaczać niepodobna, zmiana wywołana w powierzchni zetknięcia ciałek z powietrzem, czyli pochłonięcie powierzchni, powinna wytworzyć elektryczność. Oprócz tego przymarzanie pozbawia spojone powierzchnie przylegającéj do nich jak w ogóle do każdego ciała stałego warstwy powietrza, czyli następuje tu prawdziwe wypędzenie powietrza z pomiędzy dwóch powierzchni przymarzających. Odbywa się więc tutaj jeszcze tarcie powietrza o ciało stałe, co także powinno być źródłem elektryczności. Jeśli więc pewna wielka objętość suchego powietrza jest siedliskiem powstawania ogromnéj ilości gradu, to według Springa powinna się w niéj utworzyć ilość elektryczności, dostateczna do wytłómaczenia zjawisk, jakie podczas burzy widzimy.

Zachodzi teraz pytanie: w jaki sposób rozdzieli się w podobnych okolicznościach elektryczność? Oba ciała, grad i powietrze, są suchemi, a więc złemi przewodnikami elektryczności. Następujące doświadczenie Faraday'a pozwoli nam wyprowadzić odpowiedni wniosek. Faraday połączywszy drutem koszyk metaliczny z elektroskopem, wpuszczał do koszyka na nitce jedwabnéj kulkę metalową naładowaną elektrycznością. Gdy kulka wchodziła do koszyka niedotykając się go wcale, elektroskop wykazywał obecność elektryczności w koszyku. Im głębiéj kula się pogrążała, tém bardziéj odchylały się listki elektroskopu. Doświadczenie to okazało, iż zewnętrzna powierzchnia koszyka otrzymuje przez wpływ elektryczność taką samą, jaką kulka jest obciążona. Włożywszy kilka koszyków podobnych jeden w drugi i oddzieliwszy je od siebie złym przewodnikiem np. siarką, Faraday otrzymał podobne rezultaty: powierzchnia zewnętrzna, zewnętrznego koszyka otrzymywała elektryczność tego samego co kulka imienia.

Ztąd wnieść możemy, że jeśli wielka liczba kulek naelektryzowanych znajduje się w sąsiedztwie, i jeśli jedna od drugiéj oddzielona jest środkiem izolującym, to, wskutek wpływu elektryczności jednéj kulki na drugą, ta warstwa kulek, która stanowi niejako powierzchnię przestrzeni zajętéj przez kulki, musi przyjąć ładunek elektryczności równy sumie naładowań kulek środkowych. Aby ułatwić sobie zrozumienie tego pojęcia, trzeba sobie wystawić, że chmu-

ra gradowa jest złożona z odrębnych warstw koncentrycznych, rozdzielonych powietrzem. W takim razie warstwy koncentryczne złożone z ziarn gradu, będą odpowiadały koszykom w poprzednim przykładzie, powietrze zaś siarce lub żywicy. Choć pojedyncze ziarna warstwy nie są połączone jak koszyk w jedną całość, nic to jednak nie wpływa na ostateczny rezultat. A więc okolice zewnętrzne chmury gradowéj, powinny przyjąć nadzwyczaj silne napięcie elektryczne. Najczęściéj pojedyncze kulki gradu z tych okolic zewnętrznych jako naelektryzowane jednoimiennie powinny się nawzajem odpychać, a ztąd bezwątpienia pochodzą owe ruchy nieuporządkowane, jakie nieraz obserwowano w chwili, gdy grad zdawał się opuszczać chmury.

Jeśli miejsce powstawania elektryczności jest dość oddalone od ziemi, nadewszystko zaś, jeśli różnica natężenia pomiędzy elektrycznością ziemi i gradu jest nieznaczną, wyładowania elektryczne odbywają się w atmosferze, pomiędzy gradem i powietrzem. Tak bywa najczęściéj. W przeciwnym zaś razie, daleko rzadszym, wyładowanie odbywa się pomiędzy chmurą gradową z jednéj, a wyniośléjszemi miejscami ziemi z drugiéj strony.

Teorya ta tłómaczy jeszcze zygzakowatą postać błyskawic. Ponieważ napięcie elektryczne gradu zależy od prędkości jego spadku, a więc zmienia się na każdém miejscu, więc wyładowanie nie może się dokonywać według linii prostéj, lecz musi przebiegać linię dowolną, naprzyklad zygzak.

Zestawiając to wszystko, powiada Spring, jeśli wnioski wyprowadzone z faktów przytoczonych są dokładne, przyjąć możemy, iż burze są skutkiem zgęszczania się pary wodnéj w atmosferze nie na mgłę, ale na suche kryształki lodowe. Według tego powstawanie elektryczności polegałoby na niszczeniu przylegania powietrza do cząstek lodu, a wpływ elektryczny przenosiłby elektryczność od środka na cząstki, stanowiące granicę chmury gradowéj. W lecie więc burze powinny mieć siedlisko w bardzo wyniosłych okolicach atmosfery, w zimie zaś bliżéj ziemi, a fakt ten tłómaczyłby dla czego w zimie burze są niebezpieczniejsze aniżeli podczas lata.

Oto jest hipoteza Springa, według jego własnego przedstawienia. Przyznać musimy, iż jakkolwiek zawiera wiele punktów niewytłómaczonych lub wątpliwych, jednakże nie podobna nie przyznać jéj cechy wysokiego prawdopodobieństwa, większego w każdym razie od tego, którym się szczycić moze hipoteza dotychczasowa.

FANTAZYE GEOGRAFICZNE
NA TEMAT ZIEMI LUBELSKIÉJ I PODLASKIÉJ.

(„Karta Russkawo Zabużja, sostawlena .... 1880 goda," z tekstem objaśniającym).

„Chociaż to życie idzie po grudzie, jak mi Bóg miły, nieźli są ludzie." Wolno pesymistom innego być pod tym względem zdania: my się w ich szeregi nie zapiszemy. Dość spojrzéć dokoła, aby się przekonać, że nie brak jest mężów, którzy zapominają o swoich bliższych kłopotach, o tém np. coby ich ziomkom rozwój moralny i materyalny ułatwić i zapewnić mogło, a natomiast poświęcają wiele czasu, trochę gotówki i cały zapas wiedzy, na jaką ich stać tylko,— a to wszystko dla naszego oświecenia i zabawienia, jeśli nie zbawienia. Przed półtorarokiem zapoznaliśmy czytelników naszych z pewnym profesorem pewnego uniwersytetu, ukrywającym się skromnie pod głoską *P.* oraz z panem Rittichem, autorem atlasu, z którego profesor P. czerpał swą mądrość, niby wodę ze studni (Ateneum, 1881 r. maj, 375—383); dzisiaj, mapa, któréj tytuł przywiedliśmy na czele, daje nam sposobność do pomnożenia liczby naszych dobrodziejów o jedną osobę i wkłada na nas obowiązek wdzięczności względem uczonego geografa. Niemało, bezwątpienia, podjąć musiał on trudów, zanim w r. 1880 ułożył swą mapę, a chociaż „dzieło dobre było," nie odpoczął po tym akcie stworzenia, lecz wziąwszy się na nowo do pracy, sporządził w ciągu dwóch lat następnych tekst objaśniający, zawarty w 58, wyraźnie w pięćdziesięciu ośmiu wierszach, licząc w to już tytuł i odsyłacze. I patrzał teraz na „wszystkie rzeczy, które był uczynił: i były bardzo dobre. I stał się wieczór," a zarankiem nowa mapa pojawiła się za szybą księgarską.

Już w samém nazwaniu mapy dostrzegamy oryginalną ideę, któraby Erazmowi z Roterdamu za temat do nowéj „Pochwały" po-

służyć mogła. Jakiś tam zapleśniały konserwatysta gotów może upierać się przytém, że przyimki *przed* i *za* powinny zachować stare swoje znaczenie; ten i ów pedant, patrząc na mapę ułożoną w Królestwie a litografowaną i wystawioną na sprzedaż w Warszawie, mógłby powiedzieć, że nazwa Zabuża właściwszą byłaby dla Wołynia i że gubernie Lubelską i Siedlecką chyba Przedbużem zwać by wypadało; tak bowiem zapatrywali się na te rzeczy starzy ludzie, którzy nazwali Zabużem wieś na *prawéj* stronie Buga (na południe Włodawy) leżącą. Ale zdaniami tego rodzaju niema potrzeby się krępować, i skoro prąd reformatorski w naszych czasach zapuszcza się w najrozmaitsze sfery i wszędzie swój pochód zwycięzki zaznacza podbojami, dlaczegóżby liche przyimki stanowić miały dla niego tamę? W téj mierze stajemy po stronie uczonego geografa i dokonaną reformę przyimkową aprobujemy w zupełności.

Mniéj atoli jest dla nas jasném, jakich się trzymał zasad autor, gdy do Zabuża wcielał ową wązką szyję augustowską, która południowy koniec gubernii Suwalskiéj stanowi. Wprawdzie kraina ta wcale do Buga nie dotyka i z tego właśnie względu rzeczywiście zasługiwała na tę anneksią; ale rozszerzywszy jéj granice na południe do Narwi pod Łomżą, a na północ do Niemna pod Kownem, miałoby się spory kawał ziemi, który w nowéj geografii mógłby figurować jako *Niebuże*, albo *niebożę*, w miarę tego czy uwzględnialibyśmy jego położenie z geograficznego, czy téż z innego stanowiska. „Jak się zwał, tak się zwał, byle się dobrze miał“ — powiada nasz praktyczny wieśniak; w myśl téj wskazówki przejdźmy od zagłówka do samego przedmiotu.

Jest-to duży arkusz ładnego bardzo papieru, przedstawiający krainę pomiędzy Wisłą, Bugiem i granicą galicyjską, krainę, nad którą w górze, trochę w prawo, unosi się w powietrzu, wisi, czy téż spada owa wyżéj wspomniana szyja augustowska. Cała ta kraina oprowadzona jest pięknemi barwami, wskazującemi zapewne jéj granice, nie tyle teraźniejsze, ile spodziewane w przyszłości, bo według mapy, cała część zachodnia, przylegająca do Wisły, jest jedną wielką pustką, na któréj stoi tylko dziewięć miast i kilka zaledwie osad wiejskich. Tę pustkę obrał sobie oczywiście autor za widownię zamierzonéj przez niego kolonizacyi. Wschodnia strona kraju, przylegająca do Bugu, inaczéj się przedstawia, zapisana jest bowiem gęsto licznemi nazwami miasteczek i wiosek. Tu reformy geograficzne dokonane zostały na wielką skalę, i warto im się przypatrzyć.

Ponieważ urzędników tranzlokują niekiedy „dla dobra służby“ z jednego miejsca na drugie, czemużby téj metody niemożna było spróbować w zastosowaniu do całych wiosek? Finansów to nie

obciąży, bo kosztów podróży nie potrzeba im wypłacać. Więc dalej w drogę! Wieś Bartatycze przenosi się z północy na południe, na miejsce wsi Siedlisk, gdzie przybiera nazwę *Bartatyczi*: na nowém miejscu łatwiéj będzie mogła o starem imieniu zapomnieć. Biedne Siedliska chronią się przed tym zajazdem na północ, na opróżnioną przez napastnika posadę. Radecznicę, znaną całemu ludowi lubelskiemu z pielgrzymek pobożnych, która dotąd leżała nad rzeką Porem, wpadającą do Wieprza, przetranzlokował autor daléj na zachód, nad rzekę Ładę, która wraz z Tanwią toczy swoje wody do Sanu. Wisła nie założy pewnie z tego powodu „opozycyi trzeciego,“ bo czy korytem Sanu, czy korytem Wieprza, zawsze woda z pod Radecznicy trafi na pewno do Wisły.

Wieś Pańków, siedząca przedtém u źródeł Wieprza, naraz poczuła, że jéj za ciasno między Tarnowatką a Szarowolą, przeniosła się więc przeszło o milę na zachód, ku Krasnobrodowi, na grunta wioski Szur, która znikła gdzieś bez wieści. Wieś Wożuczyn, leżąca na południo-wschód miasteczka Komarowa, bez względu na złe drogi, przejechała przez wzgórza i bagna na północ wspomnianego miasteczka i zasiadła na miejscu Wólki Sniatyckiéj, a Wólka musiała się puścić na włóczęgę, gdyż miejsca jéj pobytu wyśledzić się nie dało. Bliskość granicy austryackiéj stanowiła widać dla Poturzyna zbyt silną pokusę do kontrabandy; dla ocalenia więc swéj cnoty, odsunął się od granicy o całą milę na zachód. Przy téj sposobności wsie Radostów, Łykoszyn i Wiszniew także usiedzieć na swojém miescu nie mogły. Gródkowi-Nadbużnemu dano lokal na południe Czumowa, w zamian za dotychczasowe siedlisko z północnéj strony téj wsi będące. Kumów pojechał w sąsiedzkie odwiedziny do Sielca, ze wschodu na zachód, nie zastał jednak gospodarza w domu, bo Sielec właśnie rewizytował go wtedy nawzajem. Białopolu, leżącemu na północo zachód Strzelców, pozycya ta wobec wojowniczego sąsiada wydawała się nie zupełnie bezpieczną, zajęło więc stanowisko od południo-zachodu. Przeciwnie, Kułakowice przeniósł autor mapy z południo-zachodu Stepankowic na północ téj wsi. W okolicy Jarosławic, które mapa przezwała *Jarosławcem*, rumacya wsi dokonana została tak energicznie, że i dobrze obznajmiony z tamtą stroną wędrowiec łatwo dzisiaj zabłądzić może.

Oprócz reformy w rozsadzeniu wiosek, autor mapy nie mniéj się zasłużył przekształceniem nomenklatury geograficznéj. Pomysł to wprawdzie nie nowy, a nawet nie słowiański, gdyż zapożyczony ze „zgniłego zachodu.“ Istotnemi wynalazcami są, jak wiadomo,

Niemcy, którzy np. O s t r z e s z ó w przezwali *Schildbergiem* a zamiast G n i e w k o w a piszą *Argenau*. Nie należy jednak z tego powodu zmniejszać zasługi autora mapy. „Pająk szuka jadu, ale pszczoła miodu“ — jak mówi Fredro. I na zachodzie zdarzają się czasem dobre rzeczy i niegłupie pomysły: trzeba tylko umieć zrobić wybór. Skoro ztamtąd wzięto grę giełdową, skoro przeflancowane z zachodu szansonecistki wybornie się przyjęły na wschodzie; więc gdy minister Putkammer reformuje ortografię dla Niemiec, gdy jego podwładni fabrykują nową nomenklaturę geograficzną dla nas tak skutecznie, że dzisiaj ani Zulusy ani Maorysi nie wątpią już o niemieckim charakterze księstwa Poznańskiego,—czemuż-by na świeżo stworzoném „Zabużu“ nie chwycić się tak zbawiennego środka. Wielka biegłość autora w lingwistyce będzie przy téj robocie niezrównanym przewodnikiem. Oto mamy wieś R u s z k ó w: w gwarze mazurzącéj powinno to brzmieć Rusków, podwójmy jeszcze spółgłoskę *s*, a będzie *Russkow*, nazwa już nie polska, lecz rdzennie rosyjska, bo o ile język polski unika, jak wiadomo, takiéj duplikacyi spółgłoskowéj, o tyle język rosyjski bardzo ją lubi. W tym przypadku autor stanął w obronie wymowy mazurzącéj, z obawy jednak, aby go kto nie wziął przypadkiem za mazura, wnet się oświadcza przeciw mazurzeniu i nazwę wsi Ż a b c e przerabia na *Żabcze*. Niektóre zmiany podyktowała etymologia na zupełnie nowych zasadach oparta. Dotąd np. można się było spotkać z mniemaniem, że jak wieś M i ł o d r o ż nazwaną została od imienia ludzkiego Miłodrog, tak wieś W i t o r o ż poszła od Witoroga; prosty przesąd: nasz etymolog każe mówić W i t o r ż, zapewne dla stwierdzenia téj prawdy, że kto się targuje, to zawsze coś *„witarguje.“* Ł o p i e n n i k powinien się zwać *Łapiennikiem*, bo nazwany został nie od łopianu (lappa communis), lecz od łapania, prawdopodobnie wróbli na dachu. Nazwa Ł u k o w c e zanadto przypomina polski Ł u k ó w, a przytém mógłby kto przypuszczać, że ona pochodzi od łuków, łąk; dla uchronienia go od błędu, nazwijmy wieś *Łukowicami*: wszakże tam muszą sadzić cébulę. O s t r o m ę c z y n pod Łosicami także cierpianym być dłużéj nie powinien, bowiem przypomina wieś O s t r o m ę c k o nad Wisłą (w ziemi Chełmińskiéj), stał się więc *Ostromieczynem*, na pamiątkę ostrego miecza, który częściéj niszczy wioski, aniżeli je zakłada. Ł e p k i przemianowano na *Liepki* ze względów filantropijno-chirurgicznych, bo, mówiąc zprosta, choć komu we łbie trzaśnie, nie potrzebuje rozpaczać: pęknięcie da się zalepić, a i taką głowę można nakrywać kapeluszem.

Czasami chrzciny odbywają się jednocześnie z tranzlokacyą. Oto, przy miasteczku Jarczowie była zdawien-dawna wieś, którą

„Tabella miast i wsi“ zowie Wierzeżycą, mapa sztabu Wierszczycą, a „Catalogus universi cleri an. dni 1873“ Wieszczycą; autor mapy kazał jéj zamienić się na miejsca ze wsią Nedeżowem i dał jéj przy téj sposobności czwarte imię *Wereszczin*; ponieważ jest już jeden Wereszczyn na północo-wschód Łęczny, a drugi na wschód Tyszowiec, uzupełni się więc trójka, liczba święta, bo wedle dogmatu ludzi mnożących dochody akcyzne, „Bóg lubi trójcę.“

Częściéj jednak się zdarza, że wieś nie zmienia swéj posady, i tylko nową uzyskuje nazwę. Oto przykłady godniejsze uwagi: Mszanna będzie się odtąd zwała *Wisznice*, Starawieś—*Staroje Sieło*, Okninka—*Okuńki*, Puczyce—*Puczickoje*, Zdzanne—*Żdannoje*, Gęś—*Guś*, Międzyrzec—*Mieżirjeczje*, Klątwy—*Kliatwy*, Miączyn—*Mionczin*, a jeszcze lepiéj *Miaczin*, Żmudż—*Żmud*, Majdan Księżopolski—*Majdan Kniażepolskij*, Zwiarłów—*Zwierłow* (1).

Każdy bezstronny człowiek przyznać musi, że zmiany takie, jak powyższe, były pomyślane rozumnie, a wykonać je mógł tylko mąż prawdziwie i głęboko uczony. Trudno wszelako stłumić niejakie zdziwienie nad tém, że szanowny geograf przy wymiataniu z nad Buga nazw polskich, nie okazał większéj względności dla nazw miejscowych rusińskich. Żałujemy tedy, że Wierzchlis przekształcony został na *Wiercholiesje*, Dubica na *Dubiszcze*, Moratyn na *Mariatin* Łubcze na *Liubicze*, Wasylów na *Wasilew*, Bohutycze na *Bogatycze*, Husynne na *Gusinoje*, Werbkowice na *Wierbżkowice*, Biłgoraj na *Bielgoraj*, Sławatycze na *Słowatycze*, Czerniczyn na *Czernieczin*, Prehoryto na *Prigoriełoje*.

W ten sposób udało się szczęśliwie dokonać nowéj akwizycyi etnograficznéj... na papierze, i to bez żadnego rozlewu krwi, co dla cywilizacyi XIX wieku jest zaiste pochlebném nader świadectwem. Niestety, w dzisiejszym kapitalistycznym ustroju Europy, gdy najpotężniejsi ministrowie szczycą się mianem „uczciwego meklera,“ prawie nic darmo nie przychodzi. Historya ostatnich stu lat przekony-

---

(1) Jeszcze kilka przykładów: Zaczopki nazwano *Zaczepkami*, Kijowiec—*Kijewcem*, Przegaliny - *Progaliny*, Ortel Książęcy - *Ortiel Kniażskij*, Dąbrowica—*Dubrawica*, Mutwica—*Moltwica*, Krzywowierzba - *Kriwowierby*, Dębowa Kłoda—*Dubowaja Kołoda*, Wola Wereszczyńska — *Wolia Weriszczanskaja*, Stołpno —*Stołpino*, Święcica—*Swiecice*, Księżopól—*Kniażpol*, Łaziska—*Lazuska*, wieś Wieprzowe-Jezioro—*Wieprewoje Oziero*, Krzeszów—*Krieszow*, Konopno—*Konopki*, Wygnańce—*Wygnanje*, Klesztów—*Kleszczew*, Chyżowice—*Chyżowcy*, Kulemczyce—*Kolemczice*, Ubrodowice—*Ubrodowiec*, Luta—*Liutaja*, Międzyleś—*Mieżiliesje*, Zabłoć—*Zabolotje*, Gródek—*Gorodok* i t. d. i t. d.

wa, że trudno było robić w tych stronach nabytki, nie dzieląc się po bratersku z sąsiadami. I nasz przeto geograf musiał się poddać obowiązkom z téj tradycyi płynącym: wydzielił wprawdzie lwią część dla siebie (czego mu nikt rozsądny za złe brać nie będzie), ale i sąsiadom trzeba było dać odczepnego. Z jednéj więc strony, dla zadowolnienia domu Brandeburskiego, wieś Roztokę nazwał *Rostok* na cześć miasta *Rostock*, znajdującego się w zależnéj od Prusaków Meklemburgii; z drugiéj zaś strony nazwę wsi Czartowiec zmienił na *Czartowic*, idąc za przykładem Austryaków, którzy bukowińskie Czerniowce przekręcili na *Czernowitz*. Tylko takie wysoce dyplomatyczne pobudki mogły skłonić szanownego geografa do rzucenia kości szwabskiemu Molochowi.

Mapa nowego „Zabuża" wykazuje nadto zapomocą delikatnie narysowanéj linii granicę, mającą rozdzielać terytoryalne obszary języków polskiego i rusińskiego (1). Wiele w tém znajdujemy uderzającego podobieństwa ze znanemi wymysłami p. Ritticha; zachodzą jednak i wyraźne różnice. W roku 1880 nie dało się już odszukać Rusinów pod Żelechowem, których szczęśliwe niegdyś odkrycie postawiło imię p. Ritticha obok Kolumbów, Maghellanów, Cooków.

Noblesse oblige! Naszém zdaniém, powodzenie obowiązuje niemal tyle co gieniusz, a bez porównania więcéj aniżeli szlachectwo. Jakież dopiéro muszą być obowiązki naraz z tych trojga źródeł płynące! Tuszemy więc mocno, że autor mapy „Zabuża" nie spocznie na zasłużonych już laurach, ale po nowe sięgnie. W téj nadziei poważamy się rekomendować mu do dalszych anneksyj: odnogę Niemna zwaną *Russe*, daléj okolicę Grudziądza, gdzie mapy z początku bieżącego stulecia zaznaczają „der *Russen* Weg"; następnie księstwa *Reuss*-Greitz-Schleitz, obojga starszéj i młodszéj linii; wyspę Rugię, któréj mieszkańców autorowie średniowieczni zwali po łacinie *Ruthenami*; hrabstwo Rovergue nad rzeką Tarn, gdzie za czasów Juliusza Cezara mieszkali także *Ruteni*, a za jednym zachodem—Venetów w Armoryce, których nazwa przekonywa, że byli Wenedami, Antami, Słowianami; wreszcie pirenejskie *Roussillon* (starożytne *Ruscino*) znaczące oczywiście tyle co Ruś mała, Małoruś. Ziemi *Rutulów*, leżącéj między Tybrem a bagnami Pontyjskiemi, nie należałoby, jak

(1) Autor mapy, identyfikując stosunki wyznaniowe z etnograficznemi przytacza, że w guberniach Lubelskiéj i Siedleckiéj znajduje się 320.751 wyznawców obrządku Wschodniego; zapomniał jednak dodać, iż w owym wąskim pasie nadbrzeżnym, w których oni zamieszkują, jest oprócz nich: 273.171 katolików (Catalogus universi cleri dioec. Lubl. an. 1873), znaczna ilość wyznawców Mojżeszowych oraz mniejsze liczby protestantów i mahometanów.

się nam zdaje, zostawiać pod jarzmem włoskiem: bagna spokrewniają ich ziemię z Polesiem, ową kolebką starych Dregowiczów; wszakże przez tamtą krainę szła niegdyś *Via Severiana*, co się tłomaczy po słowiańsku „siewiernaja doroga.“ Co do południowo-italskiego *Bruttium*, wprawdzie trudność niejaką sprawia pierwsza litera, skoro jednak zważymy, że ztamtąd pochodzili słynni Mamertyni, że tu była ojczyzna pięknéj Scylli, to i na zawadzającą z pozoru głoskę *B* zgodzić się można, zwłaszcza gdy skutkiem jéj dodania nazwa staje się niejako bardziéj charakterystyczną. Prędzéj czy późniéj, annektować wymienione tu terytorya stanie się koniecznością historyczną, pocóż więc odkładać?

Kiedy patrzymy na niepospolity budynek, kiedy podziwiamy jego konstrukcyę, tak śmiałą, że ją raczéj prawami gimnastyki aniżeli mechaniki objaśniać trzeba,—mimowolnie rodzi się w umyśle pytanie: z jakiego on wzniesiony materyału, jakiemi środkami związano części składowe w jedną całość, na jakim budynek spoczywa gruncie? Przewidział te wszystkie pytania stwórca „Zabuża“ i dla tego wygotował ów 58-wierszowy komentarz, który go, jak już wiemy, dwa lata życia kosztował. Ale téż owoc przewyższył wszelkie oczekiwania.

„*Na zasadzie* badań specyalnych, znaczna część teraźniejszych gubernij Lubelskiéj i Siedleckiéj należała niegdyś do księstwa Włodzimiersko-Wołyńskiego.“ Temi słowy poczyna autor swój wykład (1). Że literatura i pseudo-naukowe badania oddają się niekiedy na usługi praktycznym celom polityki w pewnych chwilach, o tém wiemy aż nadto dobrze. Pomijając spółczesne tego przykłady, dość przytoczyć uczonych prusaków, którzy na żądanie Fryderyka II ogłosili wywód praw brandeburskich do Pomorza polskiego, usprawiedliwiony niby autentycznemi i podrobionemi dokumentami. Zabór jednak pruski nie na nich się oparł, ale na tém, co Fryderyk zwał *ultima ratio regum*—na sile. Analogicznie sądząc, trudno przypuszczać, iżby panowanie dawnych książąt Włodzimierskich na lewym brzegu Buga „*zasadzało* się na badaniach specyalnych,“ zwłaszcza wydanych w r. 1873; byli to, o ile wiadomo, wojownicy, ale nie prorocy. W r. 981 Włodzimierz zabrał Polakom „grody ich Przemysl, Czerwień i inne“ i to dało początek panowaniu książąt Włodzimierskich na lewym brzegu Buga, panowaniu, o które w XI, XIII i XIV wieku wielokrotnie toczono boje.

---

(1) „Na osnowanji specjalnych izsliedowanij, znaczytielnaja czast' nynieszních llublinskoj i siedlleckoj gubernij prinadlieżała niekohda Władimirsko-Wołynskomu kniażestwu.“

Tak więc, gdy chronologia sprzeciwia się dosłownemu rozumieniu przytoczonych wyżéj słów autora mapy, nie pozostaje nam nic innego, jak podziwiać oryginalną budowę frazesu pod względem gramatycznym, oraz troskliwie unikać takich i tym podobnych oryginalności, jeśli pragną otrzymać promocyę. Tylko uczonym fachowym są one do twarzy.

Komentator mapy czerpie swe materyały z wielokrotnie powoływanéj już pracy p. Ritticha, z badań prof. Barsowa i z własnego natchnienia. Wiadomość, że Polacy zbudowali Łuków w wieku XI, ma właśnie takie źródło; natchnieniu téż przypisać należy opowieści o tém, iż rzeka K r z n a zwie się *Trżena* i że stanowiła zachodnią granicę Rusi; genialnemu natchnieniu zawdzięczamy zastosowanie Newtonowego prawa grawitacyi do nieznanych nikomu dotąd faktów z historyi „Zabuża." Z fantazyj p. Ritticha zaczerpnął autor komentarza szczegóły o sympatyczném przyjęciu Chmielnickiego przez mieszkańców téj krainy, o co spierać się nie będziemy, ponieważ urzędowy ceremoniał tego przyjęcia nie dochował się do naszych czasów. Wreszcie od prof. Barsowa zapożyczył kilka wiadomości, które wszelako przerobił do tego stopnia, że słusznie je za swoje własne uważać ma prawo.

Z rozmaitych kombinacyj prof. Barsow doszedł do wniosku, „że pierwotne siedliska Jadźwingów aż do pierwszéj połowy XI wieku" bardzo daleko na wschód sięgały, mianowicie „że zajmowali oni przestrzeń nad Niemnem (górnym) i południowemi jego dopływami Mołczadzią, Szczarą, Zelwianką, Rosią i Swisłoczą;" dopiero w XI wieku plemię Dregowiczów odepchnęło Jadźwingów bardziéj na zachód ku rzece Narwi i pruskiéj Galindyi (1), gdzie ich jeszcze w XIII wieku widzimy. Dawniéj mniemano, że kto zasiada do czytania jakiéj książki, zamierzając zrobić z tego użytek, trzy prawidła winien mieć na pamięci: 1) czytać uważnie, 2) starać się rzecz zrozumieć, o ile na to siły jego umysłowe pozwalają, i 3) cytować czytanego autora wiernie. Lekceważenie tych starych prawideł uszłoby może jeszcze jakiemu pseudo-liberałowi, który gimnazyum klasycznego nie kończył. Ale ze strony poważnego konserwatysty, który z klasycyzmem sympatyzować musi, nie spodziewaliśmy się wcale niczego podobnego. Autor mapy „Zabuża" i komentarza do niéj wyprawił nam tę niespodziankę, gdy powołując się na dzieło prof. Barsowa, twierdzi, że Dregowicze już w epoce starożytnéj,

---

(1) Oczerki russkoj istoriczeskoj geografii, N. P. Barsowa. Warszawa, 1873 r., str. 34 i 107.

przy pierwszém rozsiedleniu plemion, słowiańskich „siedli między Bugiem a Niemnem i ztąd kolonizowali jak lewy brzeg Buga tak i przestrzeń między Niemnem a Narwią.“ Gdzież więc wtedy mieszkali Jadźwingowie? Drzémał wprawdzie czasami „dobry Homer,“ ależ opowiadał on muzykalnym heksametrem, a muzyka, jak wiadomo, działa na niektóre organizmy usypiająco. Widoczna jednak, że i zabierając się do prozy, nie zawadzi od czasu do czasu przecierać oczy.

Prof. Barsow wyraża domysł (świadectw bowiem pozytywnych brakuje mu), że przed wiekiem XII granica polsko-wołyńska szła „*albo* korytem Wieprza, *albo* działem wodnym między Wieprzem a Bystrzycą“ a ztąd ku północo wschodowi wzdłuż rzeki Włodawki do Bugu (str. 103). Komentator mapy „Zabuża“ twierdzi na téj podstawie stanowczo, że granicą były rzeki Bystrzyca i Włodawka. Nie bez pewnéj słuszności przeto rosyjski krytyk literacki, piszący pod pseudonimem „Don Miguela,“ przyrównywa autora mapy do Edgara Poe słynnego z bujności wyobraźni („Strana“ Nr. 109 z roku bież.). Mamy téż wielką wątpliwość, czy prof. Barsow pochwali taką stanowczość co do Włodawki; o Bystrzycy zaś, jako rzece granicznéj, daremnie mówić póty, póki nie wyjdzie rozporządzenie nadające podobną nazwę jakiemu strumieniowi na wschód Wieprza. W zeszłym wieku rzeka J a i k otrzymała słowiańską nazwę *Urał*: w wieku bieżącym może się autor postarać o analogiczną zmianę dla Bystrzycy.

Jest-to smutną stroną zawodu sprawozdawczego, że zmusza niekiedy do wytykania błędów w takich nawet pracach, które budzą w recenzencie najżywsze dla autora sympatye. Wtém właśnie znaleźliśmy się położeniu, pisząc o mapie „Zabuża“ i jéj szanownym autorze. Uczony geograf, występując sam czasami na arenę krytyczną, musiał z własnéj praktyki o tém się przekonać i nieraz podobnéj przykrości doświadczyć. Ta myśl dodaje nam otuchy i podsyca nadzieję, że gdyby niniejsza nieudolna ramota doznała tego zaszczytu, iżby na niéj przypadkiem oczy autora mapy spoczęły, będzie przez niego osądzona pobłażliwie. Usterki jéj niech będą przypisane nie innéj przyczynie, jéno trudności zadania i ubóstwu umysłowemu recenzenta, który, rzec można, z motyką porwał się na słońce. Ośmielił się on wytknąć, że i na słońcu są plany, wié przecież, że jest ono dla naszego padołu jedyném źródłem ciepła i światła; dla tego woła: *Pater, peccavi!*

Ten akt publicznéj skruchy, tak rzadko w dzisiejszych zepsutych czasach spotykany, mógłby nie jednego z czytelników „Ateneum“ zadziwić; musimy więc dodać jeszcze kilka słów wyjaśnienia.

Stwórca „Zabuża" jest zarazem pisarzem historycznym, krytykiem literackim i publicystą, cenionym w pewnych kołach wysoko — czego najlepszym dowodem, że pismo „Russkij Wiestnik" na oścież otwarło dla niego swe karty, — a w całéj Rosyi używającym zasłużonego rozgłosu. Świadkiem tego Nr. 109 „Strany," świadkiem drugim Nr. 251 „Gołosa" z roku bieżącego, gdzie poświęcono znaczne miejsce ocenie zasług obywatelskich słynnego geografa-publicysty. Tam czytelników naszych po obszerniejsze informacye odsyłamy.

M. U. R.

Poznań, 10 października 1882 r.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

1) Wypisy polskie. Ułożył Adolf Dygasiński. Część średnia (dla klasy II-éj i III-éj). Warszawa. Nakł. księgarni Lesmana i Świszczowskiego 1882 (str. V, 290). — 2) Wypisy polskie ułożył Antoni Bądzkiewicz. Część wyższa. Połowa pierwsza, zawierająca: opisy, listy, opowiadania i dyjalogi. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa 1882 (str. 302 i IV).

Rok temu zastanawialiśmy się dosyć szczegółowo nad pracami pedagogów naszych odnoszącemi się do nader ważnéj a niezbyt szczęśliwie opracowywanéj części dydaktyki tj. do wyboru i układu wyjątków z pisarzy wzorowych dla młodzieży. Do liczby pedagogów tam wspomnianych należeli także pp. Bądzkiewicz i Dygasiński, którzy obecnie podali ogółowi dalsze ciągi swéj pracy. Ta właśnie okoliczność, że są-to autorowie znani już czytelnikom „Ateneum“ na tém polu działania, uwalnia nas obecnie od uwag ogólnych, któreby charakteryzowały nastrój i metodę ich pracy, gdyż te nie zmieniły się w ciągu roku; ale nakazuje natomiast zwrócić baczność na niektóre szczegóły, a przedewszystkiém na dobór wyjątków.

P. Dygasiński w „części średniéj“ swych Wypisów widocznie rachując na dojrzalszy umysł czytelników (uczniów II i III-éj klasy) więcéj dbał o artykuły nauczające aniżeli bawiące; okazuje to sama ilość jednych i drugich. W dziale zatytułowanym: „Nauki przyrodnicze i ziemioznawstwo“ znajdujemy ustępów 35, w dziale p. n. „Historya i Biblia „ustępów 27; czyli razem 62, podczas gdy dział „Moralności i Obyczajów“ obejmuje wyjątków zazwyczaj bardzo krótkich zaledwie 14. Wprawdzie i w owych działach naukowych niejeden artykuł zawiera także bardzo obfitą karm dla wyobraźni („Puszcza litewska,“ „Wspomnienie z łowów na dziki,“ „Polowanie na lwa,“ „Walki zwierząt w Indyach wschodnich,“ „Zorza północna,“ „Opis wioski,“ „Podróż morzem“—a daléj: „Wesele w pogańskiéj Polsce,“

„Kopia husarska“ „Pawlik,“ i inne); ale też z drugiéj strony i w dziale belletrystycznym są ustępy wprost dydaktyczne; albo przynajmniéj refleksyą grubo nabrzmiałe („O godności człowieka,“ „Przysłowia i maksymy,“ „Gra w piłkę“). Pewną równowagę zaprowadzają poezye, któremi tak samo jak w „części niższéj“ przetykane są ustępy prozaiczne.

Wybór artykułów nazwać można wogólności trafnym. Mianowicie dział poezyi z rzeczy doborowych się składa. Zużytkował tu p. D. bajki Mickiewicza („Zając i żaba,“ „Lis i kozieł,“ „Pies i wilk“) a i z „Pana Tadeusza“ dał kilka przepysznych wyjątków. Obok Mickiewicza najczęściéj występuje naturalnie Krasicki, którego bajki tradycyjnie już od wieku blisko pedagogowie dla celów dydaktycznych wyzyskują. Po nich Lenartowicz i Franciszek Morawski najwięcéj stosunkowo dali materyału. Kochanowski, Niemcewicz, Witwicki, Górecki, Goszczyński, Garczyński, Gaszyński, Jaskowski Zaleski, Słowacki, Pol, Syrokomla i paru innych dostarczyli po trzy, dwa lub jednym utworze. Za mało wzięto z Brodzińskiego, bo jeden tylko wiersz p. n. „Dziadek,“ któremu trudno przyznać zaletę wielkiéj poetyczności.

Z prozą, jak zwykle, trudniejsza była sprawa, gdyż wielcy pisarze dość rzadko tworzą takie rzeczy, wszystkim wymaganiom pedagogicznym odpowiadające. Widocznem wszakże jest usiłowanie p. D., ażeby wprowadzić do Wypisów nazwiska pierwszorzędne zarówno dawniejszéj jak i najnowszéj daty. Mamy tedy wyjątki z pism Kraszewskiego i Rzewuskiego, a obok całą nowellę Sienkiewicza („Latarnik“). Dziwnym tylko wydaje się brak nazwiska Korzeniowskiego i Kaczkowskiego; a przecież utwory tych pisarzów zawierają niejeden ustęp i piękny i pedagogicznie odpowiedni dia młodzieży. Z historyków oprócz Szajnochy poznają młodzi czytelnicy pp. Kubalę, Korzona i Bobrzyńskiego. Najsłabsze są tak zwane powiastki moralne, które prawie wszystkie możnaby była do „części niższéj“ przenieść.

Nie wiemy, jakie szczególne przymioty upatrzył p. D. w „Klasztorze Surlańskim“ Rzewuskiego, że ten artykulik bezbarwnie, anegdotycznie opowiedziany przyjął do Wypisów. Niemniéj dziwi nas choć z innych względów, obecność życiorysiku Mickiewicza (str. 134—187). Że go napisał Julian Bartoszewicz, to jeszcze nie dostateczny powód, bo najprzód pod względem stylu artykuł ten wcale za wzór służyć nie może, powtóre mieści błędne wiadomości (np. urodzenie się Mickiewicza w Ossowcu albo zaliczenie *Czatów* i *Trzech Budrysów* do pierwocin jego twórczości, albo twierdzenie, że w Rzymie poeta nasz ani jednego wierszyka nie napisał), potrzecie zawiera

takie wyrażenia, które wymagają długich objaśnień (jak np. *prorokowanie* o narodowéj *przeszłości*), lub też wcale objaśnić się nie dają, jak np. owo zdanie o *Konradzie Wallenrodzie*: „Nie poeta opowiada tam dzieje Konrada i Aldony, lecz w poemacie *widzimy grzmot* potęgi i siły...“ Zdaje się, że tych trzech powodów dosyć, ażeby artykułowi zagrodzić przejście do Wypisów. Wreszcie ze zdziwieniem wyczytaliśmy w Wypisach p. D. opowiadanie o Głonce. Motywa naszego zdziwienia znajdzie czytelnik w przeszłorocznym artykule naszym, w którym pomieszczenie tego opowiadania wytknęliśmy p. Gargulskiemu (Ateneum 1881, tom IV, str. 163).

Wreszcie co do zewnętrznéj strony „część średnia“ ma wyższość nad niższą pod względem papieru. Korekta, jak zwykle, wiele pozostawia do życzenia.

Części średniéj Wypisów p. Bądzkiewicza zarzucaliśmy głównie surowy nastrój, uwydatniający się w wyborze artykułów, mogących dużo nauczyć ale nie zająć. W „części wyższéj,“ któréj pierwszą połowę mamy właśnie przed sobą, wada ta w znacznie zmniejszonym przedstawia się stopniu. Stało się to po części wskutek umieszczania dłuższych ustępów, w których obrazy mogły być dostatecznie rozwinięte, chociaż niezupełnie wykończone, a po części wskutek wprowadzenia rzeczywiście interesujących lub poetycznych opisów, i opowiadań. Takie np. listy Słowackiego z Neapolu, Bajrutu i Florencyi mogą w wysokim stopniu rozbudzić i zająć wyobraźnią. W dziale życiorysów znowu tak interesująco napisane artykuły jak p. Kaszewskiego o Salomonie Majmonie, a Lenartowicza o Ewaryście Estkowskim przykuwają uwagę młodego czytelnika i szlachetnémi uczuciami, pełnémi zapału postanowieniami przyjąć go zdolne. W obrazach historycznych piękne malowidła Sznajnochy i Kubali okupują surową zwięzłość Morawskiego.

P. Bądzkiewicz wprowadza do téj części nowelle, powieści i szkice humorystyczne. Mamy tu malutkie arcydzieło rzewności: „Janko muzykant“ Sienkiewicza, mamy jowialne opowiadanie Siemieńskiego p. n. „Posłowie siewierscy;“ mamy utwory humorystyczne Wilkońskiego, Lama i Prusa. Z pomiędzy tych ostatnich niewłaściwym wydaje mi się wybór kronik lwowskich Lama, gdyż te jako z natury swojéj jednodniówki miejscowe nie przedstawiają szerszego i trwalszego interesu, a nadto w wielu punktach zrozumiałe były tylko dla tych czytelników, dla których były pisane. Co np. pocznie nauczyciel, gdy uczeń zainteresowany talentem humorystycznym Lama, poprosi o pewne objaśnienia; co znaczy traktat zaczepno-odporny księcia Bismarka, kto to jest p. Brestel, kto Stadtmüller, kto dr. Henryk Jasiński i dlaczego przeznaczono mu rolę archanioła, mającego

strzedz bram raju federalistycznego w Austryi. Zapewne p. Bądzkiewicz dokładnie rozumie wszystkie drobniutkie aluzye w kronikach Lama zawarte, zapewne zna wybornie stosunki lwowskie i potrafiłby w razie potrzeby wyjaśnić ich znaczenie ciekawemu uczniowi; ale powinien był pamiętać, że nie każdy nauczyciel znajduje się w tém szczęśliwém położeniu i choćby przez względność koleżeńską powinien był w przypiskach podać stosowne objaśnienia. Naszém zaś zdaniem lepiéj było tych stosuneczków nie tykać a wziąć z dzieł Lama np. z *Wielkiego świata Capowic* ustępy zrozumiałe same przez się a pod względem werwy satyrycznéj w niczém od kronik nie niższe. Kroniki Prusa nie ulegają powyższemu zarzutowi, gdyż są ogólniéj wykonane i dają się zrozumiéć, przynajmniéj na teraz, bez komentarzy; ale i tu wolelibyśmy jego nowellę.

W dziale prozy opisowéj dostrzegać się daje brak jeden dość ważny. P. Bądzkiewicz uwzględnił głównie dzieła rąk ludzkich, oraz przyrodę martwą i poczęści roślinną; o świecie zwierzęcym zapomniał całkowicie, zdaje się wszakże, że przedmiotu tego pomijać niepodobna. Wypisy nie są wprawdzie przeznaczone do nauczania historyi naturalnéj, ale również nie mają na celu nauczać geografii, lub dziejów; jeżeli zaś artykuły z tych dziedzin wiedzy znajdują miejsce i to bardzo obszerne w Wypisach, nie można zrozumiéć, dlaczegoby wiadomości zoologiczne, stylowo poprawne lub nawet piękne nie były dla tychże Wypisów odpowiedniemi.

W podziale prozy zaprowadził p. B. bardzo korzystną reformę utrzymał zasadę jednolitości. Pod rubryką: „Proza opisowa i podróżopisarstwo“ znajdujemy także „Listy,“ ale to dlatego zapewne; że listy tu pomieszczone mają cechy opisowe, co bynajmniéj nie może przeszkadzać umieszczeniu innych listów w dziale prozy dydaktycznéj lub retorycznéj. Zaliczenie dyalogów do „Prozy opowiadającéj“ nie jest, zdaje mi się, uzasadnioném; rozmowy przez p. Bądzkiewicza pomieszczone mają charakter prozy dydaktycznéj.

Zewnętrzna strona Wypisów przedstawia się korzystnie: papier dobry, druk wyraźny i czysty. Korekta, niestety, pomimo staranności, nie jest zadawalniająca, zwłaszcza że omyłki trafiają się najczęściéj w imionach własnych, które nie każdy nauczyciel zna, jak np. Tirab*u*schi, S*o*nnazar (str. 233,234) albo w skróceniach np. p*o*w. A*r*. Um. (ma to znaczyć Pamiętnik Akad. Umiejętność) (str. 236) itp.

P. Ch.

Nowy Karakter Polski z Drukárnie Lázárzowéy: Y Orthographia Polska. Jana Kochanowskiego. Je⁰ M. P. Lukasza Gorniskie⁰, etc. etc. Jana Januszowskiego. Roku Pańskiego 1594 — Tractatus de orthographia polonica auctoribus Joan. Cochanovio, Luc. Gornicio, Joan. Janussovio qui inscri bitur Nowy Karakter etc. Cracoviae Anno Domini MDLXXXXIV editus. Posnaniae. Apud J. K. Żupanski.

Studyującym kwestyą grafiki i ortografii polskiéj niemałą zrobił p. Rafał Löwenfeld przysługę, podając w wierném litograficznem odbiciu bardzo rzadką już dzisiaj broszurę światłego drukarza z XVI wieku, Jana Januszowskiego, który powziąwszy zamiar wprowadzenia zmian w grafice, radził się różnych znakomitości literackich swego stulecia, a otrzymawszy piśmiennie ich opinie ogłosił je drukiem wraz za swojemi uwagami.

Wiedział Januszowski, że porywa się na rzecz trudną; „wydawać bowiem rzeczy nowe i niezwyczajne niebezpieczno; wstępować też jednému z wielą ich w szranki, co i lepsze broni i więtsze siły mają, i lepsze niż ja rozumieją, nie grzeczy; zwłaszcza że u nas w Polszcze już tak proclamatum, że jeśliż nie obcy, swój nic nie uczyni, chociaśmy się i sami nie w Paryżu, ale w Polszcze rodzili" (1). Ale ponieważ „nie przystoi doma zalegać pola, szczęścia też skusić nie wadzi; Bóg bowiem a natura, jako filozofowie mówią,—a do tych eksperyensyą przyłożyć może,—wiele mogą;"—więc wystąpił z propozycyą zmian, zwracając się do ogółu temi słowy: „ci co ojczyznę więcéj niż prywatę miłują, a mogą, niech daléj postąpią, zdali się wedle wzoru tego, albo niech uczynią co podobnego temu."

Niewiadomo dokładnie, jaki wpływ wywarła ta odezwa Januszowskiego, to tylko jest faktem, że zmiany w przyjętéj już wtedy grafice nie wywołała; a myśl reformy przezeń poruszoną, podjął nanowo dopiéro wiek XIX, także, jak się zdaje, napróżno. A szkoda. W XVI wieku, kiedy książek niewiele jeszcze było; łatwiéj przeprowadzić-by się dała reforma, do któréj wiele trafnych pomysłów podał i sam Januszowski i Kochanowski.

Januszowski w obszernym i, prawdę powiedziawszy, trochę za rozwlekłym „wstępku" rozprawia o utworzeniu się abecadła greckiego i łacińskiego, a następnie przykładowo wskazuje, że każdy język wziąwszy za podstawę litery łacińskie, na oznaczenie sobie tylko właściwych dźwięków posiada odpowiednie kształty. Uwagi te torują autorowi drogę do zrobienia zapytania, dlaczego język polski na wyrażenie właściwych sobie dźwięków nie ma właściwych kształ-

(1) W cytatach nie zachowuję pisowni Januszowskiego; ale zastrzedz winienem, że w nowém wydaniu skopiowano ją wiernie aż do najdrobniejszych szczegółów.

tów. Ażeby pobudzić miłość własną Polaków przytacza między innemi argumentami i tém, iż „on Hiszpan Petrus Roysius Maureus jako z nieporządków naszych, tak i z tego często żarty stroił, żeśmy żadnych pewnych opisanych granic w swym języku nie mieli.“ „Doczego i to muszę przyłożyć na większą sromotę naszę, że nam gramatyki polskie cudzoziemcy opisują.“

Po tym „wstępku“ idzie „orthographia polska rzędem obiecadła.“ Punktem wyjścia jest zawsze zdanie Jana Kochanowskiego, które Januszowski albo przyjmuje, albo prostuje, albo odrzuca, swoje własne natomiast stawiając; tu i owdzie powołuje się na opinią Górnickiego, raz na list Orzechowskiego. Co do wartości tych uwag, to można wogóle powiedzieć, że kreskowanie samogłosek opacznie zastosowano, każąc kreskować te, które wybornie bez tych znaczków obejść się mogły; ale zato reformy proponowane co do spółgłosek zmiękczonych wyrażanych dwiema literami (cz, dz, rz, sz itp.) zasługiwały na dokładną rozwagę. Zarówno Kochanowskiemu jak Januszowskiemu chodziło o to, ażeby dwie te litery oznaczające dźwięk jeden mogły być pisane i drukowane spójnie tak izby jeden znak tworzyły. W tym celu Januszowski proponował i, kazawszy odlać stosowne czcionki, wydrukował wswoim „Nowym karakterze“ wzory nowéj grafiki i to podwójne. W króciutkiéj przemowie „do łaskawego czytelnika“ wprowadził system ogonków pod literami c, d, r, a w „Orthographii,“ tak powiązano dwie litery, że jeden znak tworzyły. Ponieważ zaś Górnicki zupełnie innego systemu się trzymał a mianowicie podwajanie liter na wyrażenie odmienego ich niż w łacinie brzmienia (ll = ł, cc = cz ss — sz itp.) jako téż daszków nad literami; więc znajduje się jeszcze w końcu broszury i to trzecie pismo, które Górnicki zachwalał jako uniwersalne a na dowód przytoczył 3 psalmy w języku cerkiewnym jego systemem ortograficznym wyrażone. Kochanowski podaje liter 49, Górnicki 50, a Januszowski 52. U Kochanowskiego i Januszowskiego znajduje się *j*, którą ten drugi nieśmiało zaleca zamiast *i* gdy po i następuje np. bije, pije.

Kończymy ten krótki przegląd „Nowego Karakteru“ zwróceniem uwagi na ten ustęp, któremu Januszowski dał napis „Deriwacie.“ Tu między innemi zasługuje na wzmiankę ta okoliczność, że już Januszowski chciał odróżniać szóste przypadki przymiotników odnoszących się do rzeczowników rodzaju męzkiego lub żeńskiego. Powiada on: „Pewny, widomy, prawdziwy świadek: stądże pew*ny*mi, widom*y*mi, prawdziw*y*mi świadkami. Ale gdy rzekę: pewnè, widomè, prawdziwè rzeczy etc. tedy téż będzie: pewnèmi, widomèmi, prawdziwèmi rzeczami etc.“ Widocznie w stanowieniu téj reguły kierował się Januszowski okiem, chcąc widzieć jednostajność pomię-

dzy pierwszym a szóstym przypadkiem, przyczém nie zauważył, że drugi, trzeci i siódmy jednostajność tę burzą.

Przedmowa łacińska na początku broszury przez p. Löwenfelda dodana, objaśnia pokrótce uczonych cudzoziemców o autorach, którzy grafiką i pisownią polską się zajmowali, i o zawartości saméj broszury. *P. Ch.*

Niedole Dziecięce wydane staraniem miłośników dziecięcego wieku. Warszawa u Noskowskiego 1882 8° (str. 273).

Pod tym tytułem ogłoszono w tym miesiącu pracę zbiorową pewnéj grupy ludzi dobréj woli, projektujących zawiązanie Towarzystwa Przyjaciół dzieci, w celu niesienia pomocy, a nadewszystko opieki ubogim matkom, niemowlętom, dzieciom i podrostkom—tj. całym pokoleniom przyszłych obywateli kraju. Cel to wysoce filantropijny, a obok tego iście obywatelski, trafne dążenie do jego spełnienia, przynieść może ogromne korzyści społeczeństwu zarówno na polu materyalnego rozwoju jak w dziedzinie moralności.

W książce obecnie wydanéj, znani już po większéj części autorowie, zamierzyli sobie zaznajomić szersze koła publiczności z całą ważnością sprawy opiekowania się matkami i dziećmi, z usiłowaniami podjętémi w tym celu w Europie i ze stanem obecnym istniejących w Warszawie zakładów dobroczynnych, dających przytułek dzieciom opuszczonym, pozbawionym kierunku moralnego wśród rodzin niedbających o nie, lub nie mogących otoczyć je stałą i czynną opieką. Przesuwają się więc tu przed czytelnikiem obrazy: domów położniczych, domu podrzutków, kantorów mamek, żłobków, ochronek, szkółek i instytutów dobroczynnych, kolonii letnich i osad poprawczych, losu terminatorów i nakoniec więzień w których zamykają dzieci.

Obok zebranych bardzo nawet niewielu cyfr z zakładów tego rodzaju we Francyi, a po trochu w Anglii i Niemczech, smutno dość wygląda statystyka instytucyj Warszawskich—gdzie w 22 ochronkach przyjmują codziennie przecięciowo zaledwie do 2200 dzieci, gdzie jeden żłobek zbiera dziennie około 12 malców, gdzie w domu podrzutków hodują około 180 niemowląt. Lepiéj trochę wyglądają: dość bogato uposażony instytut św. Kazimierza ze 100 dziewczynkami, Zakład sierot i ochronka gminy ewangelickiéj i osada studziениecka.

A jednak szczycimy się z tego że Warszawa dobroczynnością słynie, że żyjemy więcéj sercem niż rachubą, że egoizm u nas nie

zapanował dotąd, i że cywilizowany zachód w ofiarności i miłości chrześciańskiéj prześcigamy jakoby. Książka o któréj tu mówimy, ułożona przez ludzi dobréj wiary, obywateli bez zaprzeczenia zacnych, napisana z ciepłem serdecznêm, znamionującém ludzi czynnie zajmujących się sprawami nędzy i ubóstwa, zdaje się świadczyć przeciwko tym naszym optymistycznym poglądom. Autorowie nie sadzili się na efekt, zaledwie na paru stronicach, w opisie losu terminatorów, czuć trochę deklamatorskiego zacięcia, reszta opisana prosto, spokojnie, a jednak robi to wrażenie przygnębiające. Warsz. Tow. Dobroczynności posiada znaczne kapitały, lecz tyle ono musi podejmować różnorodnych prac, takiemu ogromowi nędzy musi nieść pomoc, że nie ma środów nakarmienia dzieci w ochronkach. Trudno też żeby jedno towarzystwo było w stanie wystarczyć na umiejętne prowadzenie wszelkich dzieł miłosierdzia.

Od przesiąkłego egoizmem zachodu moglibyśmy nauczyć się paru rzeczy, śmielszego podejmowania pracy około spraw interesujących całe społeczeństwo, rozsądniejszego szafowania środków oddawanych na cele wspomożenia ubogich, a nadewszystko tego poczuwania się do obowiązków względem społeczeństwa, które sprawuję, że tam nie ma prawie zamożniejszego obywatela w kraju, któryby za życia, lub testamentowym rozporządzeniem po śmierci swéj, nie przyczynił się do podtrzymania czy zasilenia jakiego zakładu użyteczności publicznéj.

W książce téj zamieszczony jest projekt ustawy tow. przyjaciół dzieci, i wyrażono nadzieję, że ustawa będzie przez władze rządowe zatwierdzoną. W ustawie może trochę za wiele formalistyki, mianowicie w artykułach (13, 14) o ogólnych zebraniach członków, które to zebrania wątpimy aby do prowadzenia rzeczy wiele dopomogły; ale postawiony cel wspaniały, i jeżeli założyciele potrafią pracą czynną wlać ducha żywego w paragrafy ustawy, niewątpimy że obudzą współczucie dla swych usiłowań, a zbierając dostateczne środki od publiczności będą ratowali życie niemowląt, rozwijali w dzieciach poczucie obowiązku i nauczali ich jak mogą pracować, ażeby sobie środki utrzymania zapewnić i zarazem stać się użytecznymi obywatelami kraju. Wydana obecnie książka jest pierwszym tomem dalszych roczników, które towarzystwo, w razie zatwierdzenia ustawy i dojścia do żywota czynnego, obiecuje wydawać. W rocznikach tych pragnęlibyśmy spotykać jak najdokładniejsze opisy wzorowych zakładów opieki nad dziećmi w innych krajach, bo zdaje nam się, że nic tak silnie nie pobudza do czynnego zajmowania się niesieniem pomocy niedoli bliźnich, jak przykład tego co inni na tém polu zrobili.

Józef Trojanowski. Pogląd na wewnętrzną budowę materyi ciał stałych i płynnych, wysnuty z rozważania zjawisk ciepła i sił przyciągania. Kraków, 1882. str. 26, z tablicą.

Powyższą rozprawkę naukową, którą mamy przed sobą w osobnéj odbitce, znajdzie czytelnik w tomie IX-tym „Rozpraw wydziału matem.-przyrod. Akademii Umiejętności" z r. b. Autor, warszawianin, wychowaniec naszego uniwersytetu, pragnie tu w formie przystępnéj, bez matematycznych wywodów, rzucić pewne światło na kwestyą najgłębszą, jaka kiedykolwiek zajmowała badaczów przyrody. Czyni to z uwzględnieniem zasadniczych prawd nauki ścisłéj, nie schodzi z pola doświadczalnego i dlatego wywody jego mają charakter naukowy a nawet przekonywający; szkoda tylko, że w swéj pracy nie wspomina o zarzutach, jakie temu pojmowaniu materyi robiono i zgoła nie przeprowadza krytyki innych na tę sprawę poglądów.

Wychodzi pan T. z zasady, że ciepło parowania wszystkich w ogóle ciał jest większe aniżeli ciepło topnienia, tudzież że prawo Newtona o atrakcyi stosuje się do cząsteczek ciał tak samo jak do ciał większych i niebieskich. Opierając się na tém, stosuje prawo Newtona do owych zjawisk parowania i topnienia, przyczém posiłkuje się prawdą, że zmniejszenie odległości w pewnym stosunku wywiera daleko większy wpływ na wzmocnienie przyciągania, aniżeli powiększenie masy w takim samym stosunku, co jest zresztą prostém opowiedzeniem prawa Newtona.

Wewnętrzną tedy budowę materyi, jakoby niezbędnie wynikającą z powyższych założeń, autor przedstawia sobie szematycznie w taki sposób.

Kawałek jakiejkolwiek jednorodnéj chemicznie materyi składa się przedewszystkiem z wielkich względnie cząsteczkowych agregatów, które są oddzielone od siebie bardzo wielkiemi przestrzeniami. Agregaty te zupełnie się z sobą nie stykają, lecz pływają w eterze wszechświatowym, są nim otoczone ze wszystkich stron i nawskróś przeniknione. Nazwiemy je agregatami pierwszego stopnia. Badając następnie szczegółową budowę agregatu pierwszego stopnia, widzimy, że tenże składa się z mniejszych agregatów drugiego stopnia, suma wag których równa się wadze agregatu stopnia pierwszego, a przytém odległości pomiędzy temi agregatami drugiego stopnia muszą być znacznie mniejsze aniżeli pomiędzy pierwszemi. Każdy agregat drugiego stopnia składa się z daleko mniejszych agregatów trzeciego stopnia i t. d. W końcu dochodzimy do agregatów, które są tylko zbiorem pewnéj liczby cząsteczek chemicznych. Cząsteczki te ostatecznie składają się z atomów.

Na zakończenie autor zebrał pewną ilość przykładów stwierdzających wypowiedziane przezeń poglądy teoretyczne. Gdyby przypuścić, że cząsteczki materyi są rozmieszczone w przestrzeni jednostajnie, żadną miarą nie możnaby objaśnić dlaczego woda, chociaż gęstsza od lodu, jest cieczą ruchliwą; dla czego ciepło właściwe ciała w stanie ciekłym jest większe aniżeli w stanie stałym i t. p.

W drugiéj połowie swojéj rozprawy p. Trojanowski stara się teoretycznie dowieść, że agregaty ulegają stałym prawom, że wielkości ich, odległości i ruchy są uwarunkowane zasadniczemi prawami natury. Dotąd jednak rozwiązanie tych kwestyj jest bardzo odległe. Dla żadnego ciała stałego lub ciekłego nie znamy ścisłéj wielkości cząsteczki, i próby jéj oznaczenia za pomocą roztworów są błędne. Tém bardziéj więc dalecy jesteśmy od oznaczenia wielkości agregatów różnych stopni. To tylko na pewno twierdzić możemy, że wielkości i odległości tych agregatów dla ciał stałych i ciekłych w jednakowych warunkach są jednakowe.

= **Mikołaj Rej z Nagłowic.** *Wizerunk własny żywotá człowyeka poczćiwego, w ktorym iáko we źwierciedle, snádnie każdy swe spráwy oględáć może: zebrány y s Filozophow, y z roznych obyczáiów swiáta tego. Cokolwiek czynisz, rozstropnie czyń, á pátrz końcá.* (Warszawa, 1881—1882, zeszyt 3, str. 1—122). Pan Stanisław Ptaszycki jeszcze za czasu studyów uniwersyteckich gorliwie pismami Reja się zajmował, a najważniejszy i największy tegoż utwór poetyczny „Wizerunek“ krytycznemu poddał badaniu. Rezultatu badań tych nie ogłosił, o ile nam wiadomo, dotychczas w całości; niektóre tylko szczegóły jak stosunek Wereszczyńskiego do Reja, jak kwestyą źródeł, z których wiadomości swe czerpał nasz Rej, podał w formie luźnych artykułów. Natomiast zajął się żmudną i wśród naszych stosunków nader niewdzięczną pracą wydania samego tekstu „Wizerunku“ według drugiéj z kolei edycyi r. 1560, gdyż egzemplarz tego właśnie wydania miał w swém rozporządzeniu. Jak dalece praca taka, obowiązana liczyć się ze wszystkiemi drobiazgami nietylko językowemi, ale i ortograficznemi, jest mozolną. to ten chyba tylko ocenić potrafi, kto sam ją kiedykolwiek podejmował; a jak niepopłatną, tego dowodzi powolne wychodzenie zeszytów. P. Ptaszycki przedmowę podpisał w listopadzie 1880 r.; upłynęło już lat dwa, a mamy dotychczas wydrukowanych stron 122, obejmujących sześć rozdziałów poematu, to jest liczebną połowę, gdyż wszystkich rozdziałów jest

dwanaście. W krajach, w których miłość narodowości, miłość języka i literatury ojczystéj objawiają się nietylko pięknémi frazesami, ale i czynem, przedsięwzięcie takie, jak wydanie zabytku poezyi z połowy XVI wieku, byłoby powitane z zapałem; dziennikarstwo zwracałoby na nie uwagę ogółu a wykształcony kupowałby dzieło choćby tylko przez punkt honoru. My z długu wdzięczności dla przodków wywiązujemy się w sposób nierównie łatwiejszy; kadzidło zwłaszcza słowne jest tanim hołdem; to téż go nie skąpimy; do czytania za to autorów dawnych zachęcić trudno, do kupowania jeszcze trudniéj. Napróżno p. Ptaszycki woła, że „poznanie gruntowne“ *Wizerunku* „jest obowiązkiem niemal każdego miłującego literaturę ojczystą, już choćby dla tego samego, że to jest pierwszy utwór polski napisany na tak wielką skalę,“ kiedy znajdują się podobno jeszcze do dziś dnia nauczyciele literatury, nieodróżniający „Wizerunku“ od „Zwierciadła.“ Wydawca wiele się spodziewa od dokładniejszego niż dotychczas zbadania „Wizerunku.“ „Kto wie — powiada — może zaznajomienie się bliższe z Wizerunkiem otworzyłoby nam widnokrąg nowy, możebyśmy inaczéj pojęli naszą literaturę porejowską, możebyśmy, nareszcie, ocenili inaczéj i tego Reja, którego dzięki ks. Wereszczyńskiemu, znamy przeważnie jako żarłoka; inaczéj ponoś przedstawiłby się nam wtedy i sam wiek XVI, en wiek złoty rozkwitu i blasku literatury polskiéj.“ Nie podzielamy wprawdzie zbyt daleko idących nadziei wydawcy; ogłoszenie jednak ponowne „Wizerunku“ uważamy za rzecz pierwszorzędnéj wagi dla naszych badań krytyczno-literackich, których zapowiedzią są już do pewnego stopnia te króciutkie uwagi wydawcy dotyczące podobieństwa „Wizerunku“ do „Zodyaku życia“ Polingeniusza, podobieństwa przypomnianego w naszym wieku przez Aleksandra Tyszyńskiego. Zdaniem wydawcy podział „Wizerunku“ na dwanaście rozdziałów podobnie jak i „Zodyaku“ nie jest rzeczą przypadku. Palingen daje wprawdzie rozdziałom swym nazwy zwierzyńca niebieskiego, a Rej oznacza je imionami filozofów, ale w niektórych rozdziałach „Zodyaku“ występują te osobistości, których imionami są nazwane odpowiednie rozdziały „Wizerunku.“ Porządek rozdziałów i treść odpowiada zupełnie układowi ich w „Zodyaku.“ W części pierwszéj Rej trzyma się ściśléj przewodnika swego, w drugiéj jest samodzielniejszym; podczas gdy w rozdziałach pierwszych część większa jest zapożyczoną, w ostatnim niewiele znajdziemy cudzego.— Życzymy wydawcy „Wizerunku“ wytrwałości w podjętéj pracy a ogółowi—więcéj poczucia obowiązku w sprawie popierania literatury ojczystéj.

= **Archiwum do dziejów oświaty i literatury w Polsce**. *Tom II. Kraków. Nakład Akademii Umiejętności 1882* (str. 611). Długo bo od r. 1878 oczekiwany tom 2-i *Archiwum* tego przyniósł istotnie cenne przyczynki do dziejów literatury i wychowania naszego. I tak piśmiennictwo wieku XV wzbogaca się dyalogiem łacińskim o Zbigniewie Oleśnickim. Trzy osoby wchodzą do rozmowy: Tomasz, Jan i Goryasz; przedmiotem rozmowy jest obrona Oleśnickiego od zarzutów robionych mu przez spółczesnych, a zarazem pochwała jego cnót i działalności. Ks. Ludwik Piotrowicz, który rękopism dyalogu tego w księgozbiorze seminaryum sandomirskiego wynalazł, przypuszcza, że autorem jego był znany historyk XV wieku Jan Długosz. P. Szujski pozostawiając dochodzenia autorstwa dalszéj dyskusyi naukowéj, zdaje się osobiście skłaniać do powyższego przypuszczenia. Drugi rękopism tego dyalogu znajduje się w bibliotece kapituły krakowskiéj. Cały utwór, składający z 375 wierszy pisany jest heksametrem. Po nim w rękopiśmie następują 3 nagrobki również heksametrem napisane, liczące ogółem wierszy 83. Jeżeli utwór ten jest istotnie dziełem krajowca a nie cudzoziemca, to dowodziłby, że studya humanistyczne, uwidocznione w użyciu sześciomiaru, były pielęgnowane pilnie i wytrwale w ciągu wieku XV. Do literatury wieku XVII przybywają nieznane dotychczas w takiéj obfitości pisma Jana z Wielomowic Gawińskiego, które obejmują 252 stronice wielkiéj ósemki. Wydrukowane one zostały z odpisu sporządzonego według autografu, znajdującego się w bibliotece uniwersyteckiéj w Warszawie. W zbiorze tym mieszczą się: Liryka polskie na dwie księgi podzielone; poemat obszerniejszy p. n. „Herkules na dwoistéj drodze," daléj „Tarcz Chrześciaństwa" wierszem i prozą, po łacinie i po polsku; „Sielanki," „Gaj zielony," „Dworzanki," parę pieśni łacińskich, przekład 41 psalmów, „Miesięcy dwunastu opisanie" i parę innych wierszy. Nie tu miejsce oceniać wartość tych utworów, gdyż zasługują one na dokładniejsze rozpatrzenie. Tu nadmienię tylko, że myli się wydawca twierdząc, iż od roku 1820 kiedy Juszyński o rękopiśmie poezyi Gawińskiego wspomniał, aż do Żegoty Paulego, który w 1843 niektóre utwory poety tego ogłosił, nikt się nim nie zajmował. I owszem rękopism powyżéj wzmiankowany znał bardzo dobrze Brodziński i na nim głównie oparł nader pochlebny sąd swój o Gawińskim, stawiając go wraz z Twardowskim na czele poetów wieku XVII. Na odczytach w uniwersytecie liczne przytaczał wyjątki z owego właśnie rękopismu, a między innemi wyróżnił „Lecha wzbudzonego," „Vaticinium", „Do pszczół" i 18 „dworzanek" (Zob. Pisma K. B. wydanie poznańskie r. 1872, t. IV, str. 165—177). Do literatury wieku XVIII otrzymujemy często wprawdzie wspominaną, ale mało komu znaną

tragedyą ks. Konarskiego Epaminondas, wierszem polskim rymowanym w pięciu aktach napisaną. — Do dziejów oświaty dwa ważne przyczynki tu znajdujemy, mianowicie Statuta uniwersytetu krakowskiego z r. 1724, porównane z odpowiedniemi statutami r. 1604, ogłoszone przez prof. Szujskiego; oraz zapiski z rękopismów Uniwersytetu lipskiego przez p. Tomkowicza zebrane o polakach, którzy w tym zakładzie wykształcenie wyższe pobierali od r. 1409 do 1600. W końcu tomu mieści się bardzo szczegółowo i sumiennie przez d-ra Władysława Wisłockiego ułożona „Bibliografia z zakresu historyi literatury i oświaty w Polsce od czerwca r. 1878 do września r. 1881."

= **Nowe opowiadania i studya historyczne** *przez Kazimierza Jarochowskiego.* (Warszawa, 1882, Gebethner i Wolff).— Lat temu dwadzieścia dwa, jak wyszedł w Poznaniu pierwszy tom „Opowiadań historycznych" autora zaszczytnie już wówczas znanego badaczom i z wydanéj „Teki Podoskiego" i z rozpoczętych na wielką skalę „Dziejów panowania Augusta II." Opowiadania te zalecające się zarówno krytycznością w badaniu jak i wielką umiejętnością w żywém odtwarzaniu postaci i wypadków z wieku XVIII głównie, zaznajomiły szersze koło czytelników z talentem świeżo na widownię działalności przybywającego historyka-artysty. W trzy lata potém (1863) wyszedł tom drugi tego zbioru, a w nim tytuł miał już dopełnienie: „Opowiadania *i studya* historyczne." Odtąd p. Jarochowski nie ustawał w pracy i wiele tak opowiadań jak studyów pomieszczał w różnych czasopismach, ale do zbiorowego ich ogłoszenia długo nie przychodziło. Dopiero w roku 1877 pojawiła się w Warszawie druga serya „Opowiadań i studyów" a w roku bieżącym—trzecia pod napisem wyżéj przywiedzionym. W tym ostatnim zbiorze (str. 443) czytelnicy „Ateneum" znajdą wiele rzeczy dobrze sobie znanych, jako poprzednio w naszém czasopiśmie pomieszczonych, ale oprócz nich znajdą i kilka innych, przedrukowanych z „Przewodnika naukowego i literackiego" wychodzącego we Lwowie lub z „Roczników" Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Nie potrzebujemy się rozpisywać nad wartością naukową i literacką prac tych p. Jarochowskiego, opartych na źródłach najczęściej rękopiśmiennych, których spis podaje autor przy końcu książki. Dość będzie powiedzieć, że prace te godne są rozgłosu pierwszych „Opowiadań," a dowodzą nieustającéj staranności niestrudzonego badacza pod względem wszechstronności w rozpatrywaniu szczegółów dziejowych i ich umiejętnego oświetlania. Dla informacyi czytelników podajemy spis artykułów zawartych w téj trzeciéj seryi opowiadań: 1) Zamachy Augusta II na Leszczyńskiego; 2) Katastrofa Pat.

kula; 3) Koniec Radziejowskiego; 4) Brandeburgia i Polska w pierwszych latach po traktacie oliwskim; 5) Polityka brandeburska w pierwszych latach wojny Karola XII i misya Przebendowskiego do Berlina w 1704 roku; 6) Próba emancypacyjna polityki Augustowéj i intryga Posadowskiego, rezydenta Pruskiego w Warszawie 1720 roku; 7) Oblężenie miasta Poznania przez Patkula, epizod z kampanii roku 1704.

= **Spis bibliograficzny Pamiętników mających związek z historyą lub literaturą polską.** *Ułożył Edward Minkowiecki.* Kraków, 1882, str. 12, w 8-ce większ. — Jest-to dodatek do „Wiadomości bibliograficznych“ wydawanych w Warszawie przez p. Teodora Paprockiego. Pracujący nad dziejami ma przez ten, alfabetycznie według nazwisk autorów ułożony, katalog ułatwioną pracę o tyle, że łatwo wyszukać może potrzebnych dla siebie rzeczy. Zupełnym on nie jest, to prawda; ale bądź-co-bądź ułatwia oryentowanie się w znacznéj liczbie pamiętników. Znajdują się tu również wzmianki o pamiętnikach, pozostających dotychczas w rękopiśmie; ale nie ma wskazówek, gdzie ich szukać!

= **Don Żuan w haremie.** *Ustęp z pieśni VI Don Żuana Lorda Byrona (strofy 26—86). Przełożył Edward Porębowicz.* (Kraków. Nakład K. Bartoszewicza, 1882, str. 19). Dotychczas nie posiadamy jeszcze całkowitego przekładu na nasz język jednego z utworów Byrona najbardziéj charakterystycznych, najlepiéj przedstawiających jego usposobienie i uwydatniających jego potężny talent. W dobie panowania byronizmu w literaturze zdobyto się u nas zaledwie na urywkowe tłómaczenia, których dokonał Ignacy Barankiewicz, pomieściwszy je w „Bibliotece Warszawskiéj.“ Późniéj, kiedy już ochłodło wśród ogółu gorączkowe dla Byrona uwielbienie, p. Wiktor Baworowski podjął niewątpliwie bardzo trudne zadanie przyswojenia Don Żuana piśmiennictwu naszemu i w ciągu lat dwudziestu, poczynając od r. 1863, ogłosił przekład dziesięciu pieśni. Tłomaczenie jego ma zalety niemałe; jest dosyć wierne, często prawdziwie poetyczne, ale ma też jednę ważną wadę, że nie odtwarza budowy strof oryginału, pisanego oktawami. Ta okoliczność jak nie mniéj chęć sprobowania sił własnych w walce z trudnościami językowemi, stylowemi i wierszowemi pobudziła zapewne p. Edwarda Porębowicza do podjęcia i ogłoszenia próby nowego przekładu, z którego 60 strof mamy właśnie przed sobą w odbitce z „Przeglądu literackiego i artystycznego“ wychodzącego w Krakowie. Próbę tę nazwać można wcale udatną; nastrój oryginału lekki, w wysokim stopniu

kapryśny pochwycony został przez tłómacza szczęśliwie, a co jeszcze ważniejsza, oddany trafnie zarówno pod względem wyboru wyrazów i wyrażeń jako téż pod względem dykcyi poetycznéj i igrania rymami. Naturalnie, usterk znajdzie się tu i owdzie niejeden, że przytoczymy dla przykładu ze strofy 33 wyrażenie: „lecz *nie stańmy* w toku opowiadania,“ albo ze str. 58 rymowanie *ogień z bogiń* i t. p.,— całość atoli sprawia dobre wrażenie, dowodząc, że tłómacz z miłością pracy się podjął i starał się usilnie zawładnąć treścią i formą. Do zarekomendowania przekładu z dobréj strony każda niemal strofa się nadaje; poprzestaniemy na przytoczeniu 43-éj:

Dudu usiadła przy Joasi boku;
Milcząc muskała sploty jéj warkoczy
I spoglądała jéj w twarz; smutek w oku
W łezkę się zmienił, że tulacz uroczy
Bez opiekuna—sierota— w tym tłoku
Przed natrętnemi spojrzeniami oczy
Musi zakrywać, słuchać komentarzy
O każdym ruchu swym, postaci, twarzy.

Gdyby cały Don Żuan w ten sposób został przełożony, literatura nasza wzbogaciłaby się jedném więcéj, dobrze tłómaczoném, arcydziełem. Nie wahamy się téż zachęcać p. Porębowicza do nieustawania w téj mozolnéj, co prawda, ale przynoszącéj zaszczyt pracy.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Października 1882 r.

---

1. **W kraju Arpada**, wedle własnych wspomnień skreślił *Wld. Kar. Zieliński*. Warszawa. nakład F. Sulimierskiego, 1883, str. 182. (Cena kop. 50).
2. **Prałaci i kanonicy** katedry metropolitalnéj gnieznieńskiéj od roku 1000 aż do dni naszych, podług źródeł archiwalnych opracował *Ks. Jan Korytkowski*, kan. metr. gniezn. Zeszyt IX.
3. **Wybór pism J. I. Kraszewskiego** (wydanie tanie). Tom V. Serce i ręka, powieść. Warszawa. nakł. J. Ungra. 1882.
4. **Niedole dziecięce**. Wydane staraniem miłośników wieku dziecięcego. Warszawa. 1882.
5. **Mikołaj Rej z Nagłowic**. Wizerunk własny Żywota człowieka poczciwego. Według wydania z roku 1560. Wydał *Stanisław Ptaszycki*. Petersburg i Warszawa. J. Unger, Gebethner i Wolff, in 4°. 1881—1882. Zeszyty 1, 2 i 3. (Cena zeszytu kop. 75).
6. **Rocznik Towarzystwa osad rolnych** i przytułków rzemieślniczych za rok 1881. Wydany staraniem zarządu Towarzystwa. Warszawa. 1882.
7. **Wydawnictwa Akademii Umiejętności w Krakowie**:
   - *a*) Kodeks listów Witolda, W. Ks. Litwy. 1376—1430.
   - *b*) Kodeksu dyplomatycznego miasta Krakowa (1257—1506). Część druga, trzecia i czwarta. (Pomników dziejowych wieków średnich Tomy VI i VII). Kraków. in 4°, 1882.
   - *c*) Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału filologicznego Akademii Umiejętności. Tom IX. Kraków, in 8°, 1882.
   - *d*) Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce. Tom II Kraków, in 8°, maj, 1882.
   - *e*) Zbiór wiadomości do antropologii krajowej. Tom VI. Kraków, in 8°, 1882.
   - *f*) Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału matematyczno-przyrodniczego. Tom IX. Kraków. in 8°, 1882.
   - *g*) Pamiętnik wydziału matematyczno-przyrodniczego. Tom VII. Kraków, in 4°, 1882.
   - *h*) Rocznik zarządu Akademii umiejętności w Krakowie. R. 1881. Kraków, 1882.
8. **Elementarz** na którym nauczysz czytać w 5 albo 8 tygodni. Ułożył *Kazimierz Promyk*. Wydanie ósme. Warszawa, u Konrada Prószyńskiego, Krak. Przed. 75. 1882. Cena groszy 7, w okładce gr. 10 (145-y tysiąc egzemplarzy).

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzi w roku 1882 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1881. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do uwagi a fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie	**Rs. 12.**
Półrocznie	**„ 6.**
Kwartalnie (tylko w Warszawie)	**„ 3**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM

Włodzimierska, 14.

Дозволено Цензурою, Варшава, 20 Октября 1882 года.